

Krzysztof **BESKA**

Konstelacja ZBRODNI

Największy sekret
Mikołaja Kopernika
do dzisiaj zbiera krwawe żniwo!



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Krzysztof
BESKA

**Konstelacja
ZBRODNI**





E
OFICYNKA
WYDAWNICTWO

OSTIUM

Okolice wsi Sztutowo, koniec października 1939 roku

Ostatni wagonik żuławskiej kolejki wąskotorowej zastukał na łączeniu szyn i zniknął w mroku. Czerwone światełka końca pociągu jeszcze przez chwilę mrugały między pniami gęsto rosnących sosen. Szum cichnął z każdą chwilą.

Droga była wolna. Leżący w rowie człowiek nie ruszał się jednak. Czy ktoś mógł mnie zauważyć z okna pociągu? – zastanawiał się gorączkowo.

O tej porze dnia i roku kolejka mogła być pusta. Lato dawno się skończyło, a wczasowicze z Kaltberg wyjechali do domów. No i od prawie dwóch miesięcy trwała przecież wojna.

Przez chwilę rozważał, czy nie wskoczyć do ostatniego wagonu. Jedno szaleństwo więcej, jedno mniej – co za różnica?

Leżący bez ruchu, choć od ziemi ciągnęło przejmujące zimno, a na trawie pojawił się już szron, czujnie nasłuchiwał – nie tylko stukotu oddalającego się pociągu. Wyczekiwał odgłosów zbliżającej się pogoni: ujadania psów, szczęku repetowanej broni, nawoływań, tupotu podkutyh butów. Zamiast niej słyszał jednak tylko własny oddech i bicie serca.

Żył jeszcze – to nie ulegało wątpliwości. Pod znakiem zapytania, wielkim i ciężkim jak skórzany pejcz dyndający u pasa esesmana, była inna sprawa: ile życia mu jeszcze zostało? Ze wszystkich sił pragnął, żeby jak najwięcej. To właśnie dlatego znajdował się w tej chwili w rowie

ciągnącym się wzdłuż toru wąskotorówki łączącej Sztutowo z Nowym Dworem Gdańskim i Prawym Brzegiem Wisły. A nie pośród innych więźniów stojących na placu apelowym Zivilgefangenenlager Stutthof...

Zaszczekał jakiś pies. Leżący w rowie drgnął.

Idą. Są blisko – przeszło mu przez myśl.

Dopiero po chwili doszło do niego, że tak nie może szczebrać obozowy brytan-morderca, a najpewniej jakiś wiejski burek. Niewielki, a hałaśliwy.

Robiło się coraz ciemniej. Powiew wiatru niósł zgniłą woń zalewu, mogącą jednak równie dobrze pochodzić z bagna lub torfowiska, których w okolicach nie brakowało. Nawet nie wiedział, kiedy stracił świadomość...

Ocknął się cały zziębnięty, niemal sztywny od chłodu. Kilka mokrych od wieczornej rosy sosnowych igiełek przylepiło mu się do policzka. Nie miał pojęcia, ile czasu mogło upłynąć od chwili, kiedy ukrył się w rowie przed nadjeżdżającym pociągiem. Było już ciemno. Na szczęście noc była jego cichym sprzymierzeńcem.

Dźwignął się z ziemi. Zimne powietrze sprawiło, że poczuł nieoczekiwany przyptyw sił. Zrobił krok do przodu, lewa stopa trafiła na gałązkę. Nim zdążył pomyśleć, rozległ się trzask.

– *Was ist denn los?!* – odezwał się męski głos, blisko, bliżej, niż się mogło wydawać.

Uciekinier wstrzymał oddech. Przywarł do drzewa, również dlatego, by znaleźć oparcie dla trzęsących się rąk. Czekał tak dłuższą chwilę, ale głos Niemca, bo z pewnością był to Niemiec, nie powtórzył się. Mężczyzna ruszył więc powoli przed siebie.

Wtem, gdzieś z lewej strony, dobiegł stłumiony pomruk. Złowróżbny jak charkot dzikiego zwierzęcia, do którego w tej sytuacji wyciągnęłoby się

ręce jak do łagodnej owieczki. Ale to nie było zwierzę. Wiedział o tym dobrze. To była ciężarówka. A najpewniej dwie lub nawet trzy...

Ruszyli za nim. Doliczyli się. Spostrzegli zgubę!

Wtedy, pierwszego września, przyszli po niego wcześniej rano. W mieszkaniu w Langfuhr zostawił wszystko: notatki, książki, cały plon swoich wieloletnich badań. Wywlekli go, tak jak stał, potem zawieźli do Victoriaschule, gdzie znajdowało się już kilkunastu Polaków. Nie wiedzieli nic prócz tego, że zaczęły się walki. Nie mieli pojęcia o tym, co się dzieje na Poczcie Polskiej ani na Westerplatte. Przez całą noc słychać było tylko krzyki maltretowanych i odgłosy uderzeń.

Nazajutrz zapakowano ich do ciężarówek. Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, co go czeka. Czy samochód zatrzyma się w jakimś lesie, nad brzegiem morza czy w innym miejscu? Czy nagle zaszczeka karabin maszynowy? Ktoś łkał, inny modlił się głośno, wzywając wszystkich świętych.

Zatrzymali się po kilkudziesięciu minutach jazdy. To, co ujrzeli, obudziło w ich sercach nadzieję: kilka stojących na dużej polanie wojskowych namiotów z prowizoryczną kuchnią, nad którą unosił się dym, umywalnie i latryny. To miał być ich nowy dom.

Wiedział, że musi się stąd jak najszybciej wydostać. I w końcu to zrobił...

Wspomnienie minionych dni sprawiło, że podniósł się z ziemi. Zaczął iść, potem biec, niemal po omacku. Noc była pogodna, świeciła połówka księżycy, dzięki czemu udawało się uniknąć zderzenia z grubymi pniami drzew. Po kilku krokach potknął się jednak o jakąś gałąź albo korzeń i przewrócił, szczęściem lądując na miękkiej ściółce.

Podniósł się szybko. Z każdą chwilą czuł, że ma coraz mniej sił. Ciężko dyszał. Dwa miesiące „sanatorium Stutthof-Zdrój”, jak zwykli mawiać

niektórzy z więźniów, zrobili swoje. Miał wrażenie, że lada chwila wypluje na ziemię wszystkie zęby, trawione i tak przez szkorbut.

Las stawał się rzadszy, między pniami prześwitywała coraz śmieiej otwarta przestrzeń. Nozdrza uciekiniera pochwyciły znów zgniły zapach wodorostów. I znów usłyszał szczekanie psów. Było wyraźne, boleśnie wyraźne. Głosy ludzkie, nawoływania, krótkie rozkazy. Owczarki szły po zapachu, pewnie. Pogoń była coraz bliżej.

Wypadł na otwartą przestrzeń. Coś, co początkowo wziął za łąkę, było trzciniowiskiem, za którym znajdował się Zalew Wiślany. Kątem oka spostrzegł kołyszące się światła latarek. Byli też po drugiej stronie. Zaraz puszczą psy.

Nie odda darmo skóry! Jedyna droga prowadziła na wprost.

– *Halt! Halt!* – wrzasnął któryś esesmanów.

Uciekinier runął pomiędzy trzciny. Woda zachlupotała w butach, nogi zapadły się w muł. Parł jednak dalej, torując sobie drogę w szpalerze szepczących coś w niezrozumiałym języku, długich łodyg, które chwyciły go za łydki. Gruchnęła seria z broni maszynowej. Kule zagotowały wodę, całkiem blisko.

Zatrzymał się, przycupnął nisko, mocząc się po piersi. Objął głowę w dłonie, zatykając sobie z całej siły uszy. Dzięki temu kolejną serię usłyszał jak przez ścianę...

146 mil morskich na północny wschód od Gdańska, współcześnie, początek sierpnia

Frachtowiec See Atlantic pod maltańską banderą wypłynął z Kłajpedy kilka minut po szóstej wieczorem. Obrął kurs na Kilonię, z którego to portu, po

kilkugodzinnym postoju, miał ruszyć kanałem na Morze Północne i dalej kierować się na zachód. Tymczasem wciąż znajdował się na wschodnim Bałtyku.

Z piętnastoosobowej załogi jedynie kapitan, mechanik i nawigator nie udali się na spoczynek. Zapadła ciemność, lekka mgiełka rozmywała pokładowe światła, wilgoć zagościła na wszystkich elementach statku, które znajdowały się powyżej linii wody. A ta była spokojna.

Kapitan, Litwin nazwiskiem Marciulionis, ze spokojem wpatrywał się w przyrządy na mostku. Takim samym wzrokiem, może nawet bardziej marzycielskim, spoglądał na zewnątrz.

– Dobra pogoda – powiedział po angielsku nawigator, Niemiec, na którego mówili Helmut. Helmut Pilenz.

– Niezła. – Marciulionis kiwnął głową.

Znając gościa, przez następną godzinę mam spokój – zaśmiał się w duchu kapitan.

Nawigator nie był bowiem zbyt rozmowny; najczęściej ożywiał się wtedy, gdy dyskusje, a okazji do tych podczas wielodniowych rejsów nie brakowało, przechodziła na tematy polityczne. Był Helmut w swoim żywiole, gdy owa polityka dotyczyła Niemiec. A w szczególności ich zjednoczenia, którego, mimo że od tego momentu minęło już tyle czasu, nie tolerował. A pochodził, co nie bez znaczenia, z mało demokratycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

– Pomyśl, jak by się nam dzisiaj żyło, gdybyśmy to my zacieśnili nasz układ – roztaczał przez Litwinem swoją tak wydumaną, że aż rzeczywiście wzbudzającą zainteresowanie wizję. – My i wy. Niemcy i Litwini.

– Przecież jesteśmy razem w Unii – zauważał przytomnie Marciulionis, na co Niemiec tylko krzywił się, a potem ręką machał z pogardą.

– To nie to! – zaperzał się. – Francuzi, Rumuni, jacyś Słoweńcy. Cholera wie, gdzie niektóre te kraje w ogóle leżą na mapie – prychał, by za chwilę wybuchnąć z dziecięcym niemal entuzjazmem: – Wiesz, że kiedyś Kłajpeda nazywała się Memel?

– Wiem – skłamał Marciulionis

– Czy komuś by przeszkadzało, żeby znów się tak nazywała?

Kapitan zwykle wzruszał ramionami. I nie miał pojęcia, czy komuś by to przeszkadzało. Pewnie, jak zwykle, Polakom. Nie znał się zresztą na polityce, więc rzadko uczestniczył w tych dyskusjach, a często nawet, gdy robota czekała zbyt długo, gasił je.

Popatrzył przed siebie. Na lewo od mostka rysowały się dwa dźwigi, pomalowane na żółto i służące do rozładunku frachtowca. Mocne i szybkie, umiejscowione na lewej burcie, były wizytówką See Atlantic i kapitan bardzo je lubił. Jeśli można lubić dźwigi.

Skoro można kochać się w motorach czy samochodach, dlaczego nie można podobnymi uczuciami obdarzyć dźwigów – tłumaczył sobie za każdym razem, gdy jego wzrok skupiał się na nich za bardzo i zbyt długo.

Zbliżała się jedenasta wieczorem. Kapitan poszedł do szafki, gdzie trzymał swoją ulubioną filiżankę i wszystkie inne rzeczy niezbędne do przygotowania kawy. O spodeczek zadzwoniła łyżeczka. Z dwóch kostek cukru ukruszyło się nieco białych kryształków.

Kiedy Litwin odwrócił się, nie zauważył Helmuta Pilenza. Nie zdziwiło go to jednak.

– Pewnie poszedł się odlać – wytłumaczył sam sobie, tym razem na głos.

W tym samym momencie do prawej burty statku dobił duży ponton. Pojawił się właściwie znikąd – takiego najczęściej sformułowania używała załoga w późniejszych zeznaniach, nawet ci, którzy w tym czasie spali. Po

chwili kilka, może nawet kilkanaście cieni z istic małpią zwinnością i w całkowitej ciszy zaczęło wspinać się po burcie frachtowca.

Komendy wydawane półgłosem lub szeptem, a tym bardziej za pomocą umownych gestów, nie były w stanie zdradzić narodowości napastników. Natomiast sposób, w jaki się poruszali, szybkość, z którą rozpierzchli się po pokładzie, a wreszcie przedmioty, które mieli w rękach – wszystko to jednoznacznie świadczyło o ich zamiarach.

– Ręce do góry! – ryknął jeden z nich łamaną angielszczyzną, przekraczając próg kapitańskiego mostka.

Okolice Olsztyna, w tym samym czasie

Telefon komórkowy zaczął kręcić się na stole przy akompaniamencie miarowych jęków, które wydawała wibrująca bateria. Żadne inne dźwięki nie miały prawa się pojawić; nie w okresie słodkiej beczynności, którą od kilku tygodni cieszył się właściciel aparatu. To jednak wystarczyło, by Tomasa Horna, byłego dziennikarza jednego z ogólnopolskich dzienników, wyrwać z płytkiego snu.

– Słucham.

– Dzień dobry, Bogdan Piwowar z tej strony – w słuchawce odezwał się męski głos. – Obudziłem?

– Nie – skłamał Horn, prostując się na łóżku, a jednocześnie usiłując sobie przypomnieć, skąd powinien, jeśli powinien, znać nazwisko tego człowieka.

– Rozmawialiśmy tydzień temu w sprawie pracy w naszym dzienniku.

Horn pacnął się otwartą dłonią w czoło. No jasne!

– Tak, oczywiście, pamiętam.

– Chciałbym zapytać, czy nie zrobiłby pan czegoś dla nas awansem?

– Pewnie – odrzekł bez namysłu dziennikarz, by zaraz chrząknąć i zapytać: – W czym mogę pomóc? Zamach stanu, katastrofa? Może jakaś nowa wojna?

– Wiem, że jest pan w stanie załatwić wszystko! – Piwowar miał na szczęście podobne poczucie humoru. – Na razie jednak chciałbym tylko, aby pan zajrzał w jedno miejsce. Dobrze się składa, bo to po sąsiedzku. W tej chwili wysyłam maila z zaproszeniem.

– Powie mi pan, o co chodzi, zanim włączę komputer? – Horn wstał i zaczął rozglądać się za walizką, do której wieczorem zapakował swojego laptopa.

– O pańskiego starego znajomego. – Redaktor znów zachichotał w słuchawkę.

– Czyli?

– Mikołaja Kopernika.

Tomasz poczuł, jak krew zaczyna mu żywiej krążyć w żyłach. Gnuśność i senność, którą czuł jeszcze kilka sekund temu, zniknęły jak ręką odjął.

– Jutro w południe, w Olsztynie, ma odbyć się uroczyste pożegnanie astronoma – ciągnął ze swadą Bogdan Piwowar. – W sensie dosłownym, bo chodzi o to, co wykopano kilka lat temu w katedrze fromborskiej, a co teraz ponownie zostanie w tym samym miejscu uroczyście grzebane. Będą oficjele, duchowni, telewizja, a także członkowie ekipy archeologicznej, która dokonała odkrycia. W sezonie ogórkowym to świetny temat. Jest bryndza, jak zwykle, bierzemy zatem wszystko, co dają. Zdjęcia kupimy w jakiejś agencji. Może pan nawet zrobić z wywiad z głównym bohaterem. Byle było ciekawie i kolorowo.

– Da się załatwić! – rzucił Horn do słuchawki, w której, prócz głosu przyszłego, miał nadzieję, szefa, słyszał wyraźnie coraz szybsze bicie własnego serca.

Kilka minut później przeczytał maila, którego przesłał mu sekretarz redakcji. Niewiele tam było ponad to, co już powiedział Piwowar, więc Horn wyłączył komputer, choć jeszcze go nie chował. Zgasił światło, wyciągnął się na łóżku. Wiedział, że niełatwo mu będzie tej nocy zasnąć.

145 mil morskich na północny wschód od Gdańska

Kapitan Gediminas Marciulionis właśnie wyciągał rękę, aby nacisnąć przycisk kończący napełnianie filiżanki. Wiedział jednak dobrze, że jeśli nie wykona polecenia człowieka w czarnej kominiarce na głowie i z wycelowanym w niego kałasznikowem, stanie się coś gorszego niż rozlanie kawy. Uniósł zatem rękę w górę posłusznie, chociaż powoli, żeby nie drażnić przeciwnika żadnym gwałtownym ruchem.

– O co chodzi? – zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

W mgnieniu oka pomieszczenie wypełniło się identycznie ubranymi osobnikami. Ciężkie buciorzy zabębniły na podłodze. Wiedzieli dobrze, co i jak robić. Na pierwszy ogień, a raczej cios kolbą automatu poszło radio. Roztrzaskane kilkoma uderzeniami, dokonało żywota miażdżone pod obcasami. Inny z napastników, chyba był to ten, który wpadł na mostek jako pierwszy, odepchnął Litwina od pulpitu sterowniczego i zaczął coś przy nim manipulować.

– Kim jesteście? Czego chcecie?! – Marciulionis był coraz bardziej przerażony; coś, co tylko z początku mogło wyglądać na koleżeński kawał

– za okup starczała flaszką whisky, a i nikt się nawet po wszystkim zbytnio nie gniewał za dowcip – wyglądało jak z sensacyjnego filmu.

Pytanie widać niezbyt spodobało się jednemu z potomków piratów. Ogromnej postury mężczyzna bez twarzy huknął Marciulionisa kolbą prosto w pierś. Kapitan runął między szafki. Przez dłuższą chwilę nie mógł złapać powietrza...

Pomimo że leżał na podłodze bez sił, nie spuszczano z niego oka. Sam nie potrzebował też już więcej argumentów, aby się przekonać, że frachtowiec *See Atlantic*, którym dowodził, został właśnie porwany. Po chwili obraz przed jego oczami gibnął w bok, stracił ostrość, wreszcie przybrał kolor bandyckiej kominiarki albo pamiętanej z dzieciństwa flagi piratów.

Kiedy się ocknął, nie wiedział, gdzie się znajduje ani ile czasu minęło. Poczł blisko siebie czyjąś obecność.

– *Donnervetter!* – zaklął w swoim ojczystym języku Helmut Pilenz.

A więc i jemu się dostało – skonstatował Litwin.

Oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności i po kilku chwilach Marciulionis rozpoznał jedną z ładowni swojego statku. Siedzieli tu zresztą nie tylko on i Niemiec, ale cała załoga.

– W życiu bym się tego nie spodziewał na Bałtyku! – prychnął Pilenz. – Co to kurwa, Karaiby jakież? Kto to w ogóle był?!

– Jest – sprostował ktoś z załogi.

– Słyszałem rosyjskie słowa – dorzucił ktoś inny.

– Według mnie porozumiewali się po angielsku, ale rzeczywiście z dziwnym akcentem – powiedział kapitan.

Pozostali członkowie załogi w kilku prostych zdaniach opowiedzieli swoje historie, których takim samym finałem było wtrącenie ich kopniakiem do ciemnej ładowni i zaryglowanie drzwi.

– Wywlekli mnie na zimno, w samych gaciach i boso – żalił się pierwszy oficer, Łotysz. – Myślałem, że jakieś żarty sobie robicie. Ale kiedy dostałem po mordzie, zrozumiałem, że nie.

– Jak oni w ogóle dostali się na pokład?! – Fala złości znów zaczęła zalewać Marciulionisa.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Mówili, że są z policji – bąknął nieśmiało Helmut. – Wyszedłem na chwilę na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i wtedy zauważyłem, że ktoś wchodzi na pokład. Podchodzę, pytam. Któryś powiedział, że policja. Chyba nawet miał legitymację...

– Z policji? – zdziwił się Litwin. – Tylko jakiej? Na pewno nie litewskiej, skoro gadali ze sobą po angielsku.

Znów cisza, przytłaczająca i zła. Przez ściany było słycać miarowy pomruk pracujących silników. Znali bardzo dobrze ten dźwięk. Oznaczało to, że statek wciąż płynął – i to na pełnych obrotach. Tylko że nikt z jego uwięzionej pod pokładem załogi nie miał pojęcia dokąd.

– Na pewno nas szybko namierzą – spekulował pierwszy oficer. – Radio nie będzie odpowiadać i na pewno wyczują, że coś jest nie tak.

– Akurat – rzucił ktoś z głębi ładowni. – Oni przypominają sobie o nas dopiero wtedy, kiedy towar jest już w porcie.

– Albo kiedy go nie ma – zaśmiał się któryś, ale nie był to śmiech zaraźliwy.

W tym samym czasie na mostek kapitański niezbyt szybkim krokiem i ze splecionymi z tyłu rękami wkroczył mężczyzna. Był dobrze zbudowany, wysoki, a twarz jego kryła się nie pod kominiarką, a pod daszkiem

baseballowej czapeczki, spod którego patrzyła badawczo para oczu, głęboko osadzonych w oczodołach.

Nie dotykając niczego, przez dłuższą chwilę przyglądał się wszystkim przyrządom na tablicy sterowniczej, po czym nagle uniósł ręce niczym mag przed sztuczką i poruszał palcami jak pianista przed koncertem. Wreszcie odwrócił się do jednego z ludzi w kombinezonach i rzekł:

– Zameldujcie, że wszystko poszło zgodnie z planem.

Sekundę później przed dowódcą stanął inny człowiek z kałasznikowem w rękach.

– Znaleźliście wszystkich członków załogi? – zapytał go człowiek w baseballówce.

– Tak jest – odrzekł tamten. – Cała piętnastka siedzi w ładowni.

– To dobrze. Mam nadzieję, że nie trzeba będzie ich wiązać i kneblować.

Żołnierz słuchał z napiętą uwagą.

– W razie czego wiecie, co macie robić... – Dowódca zawiesił znacząco głos.

– Tak jest!

Gdy podwładny opuścił mostek, mężczyzna zdjął czapkę z daszkiem i otarł rękawem pot z czoła. Oparł się rękami o pulpit, po czym spojrział na lewo, w nieprzenikniony mrok.

– Śpij, Polsko – mruknął. – To ostatnie chwile na spokojny sen...

KSIĘGA PIERWSZA

SEPULCRUM



Olsztyn, nazajutrz, dzień pierwszy

Korytarz tonął w półmroku. Był wąski, za to wysoki. Na ścianach nie wisiało nic. Nawet głupi plakat z naiwnym rysunkiem i hasłem MYJ ZĘBY DWA RAZY DZIENNIE stanowiłby jakieś urozmaicenie, nie mówiąc już o zmianie aury tego dziwnego miejsca. Ilu ludzi przez całe lata siedziało tutaj, na jednym z drewnianych, połączonych ze sobą krzesełek i czekało.

Siedząca na jednym z nich Monika Lauder wzdrygnęła się na samą myśl. Identyfikacja zwłok? Chyba by zemdlą! Albo od razu umarła, na miejscu, i ktoś inny musiałby się fatygować do Zakładu Medycyny Sądowej na Żołnierskiej, żeby ją rozpoznać, leżącą na marmurowym stole, przykrytą białym prześcieradłem...

Wzdrygnęła się znów, niemal podskoczyła, aż zakołysał się cały rząd krzesełek. Rozejrzała się dookoła, zerknęła na zegarek. Dochodziła siódma rano. Nie mogła się pogodzić z tym, że to ją właśnie tu wysłano. W niedzielę, w środku wakacji. Ot, smutna dola najmłodszej w zespole.

Monika Lauder była paleoantropologiem, więc ciało ludzkie nie powinno mieć przed nią żadnych tajemnic. I nie miało, jeśli było truchłem, będącym żywym człowiekiem kilkaset lub nawet kilka tysięcy lat temu. Kupką kości, które należało poddać analizie morfologiczno-porównawczej, datować, rekonstruować. Mogłaby przy nim jeść kanapki!

Ale świeży trup? O nie!

Coś stuknęło w końcu korytarza. Monika wstrzymała oddech, ale nie była w stanie podnieść wzroku. Jeszcze bardziej skuliła się na krześle, obejmując palcami dłoni krawędzie siedziska. Przypominała teraz studentkę czekającą na egzamin. Oczywiście poprawkowy.

Na końcu korytarza znajdowały się podwójne oszklone drzwi z mlecznymi szybami. Od momentu gdy Monika Lauder usiadła pod ścianą, przesuwały się za nimi jakieś cienie. Z początku śledziła ich poczynania, czekając, aż jeden z nich nagle stanie się o wiele ciemniejszy, co będzie oznaczało, że zbliża się do drzwi i za chwilę je otworzy.

Sięgnęła po telefon, spojrzała na wyświetlacz. Potem z torebki wydobyła małe lusterko. Nawet nie zauważyła, kiedy stanął przed nią mężczyzna w białym lekarskim fartuchu. W rękach trzymał niewielkie, ocynkowane pudełko.

– Dzień dobry – przywitał się z uśmiechem. – Pani Monika...

– Lauder. Tak, to ja. Dzień dobry, doktorze.

Mężczyzna podsunął jej skrzynkę. Dopiero teraz zauważyła, że na wierzchu leży jakiś dokument, a na nim długopis.

– Proszę pokwitować.

W drżące palce ujęła długopis, maznęła coś na papierze. Po chwili szkatuła była w jej rękach. Monika wiedziała dobrze, co zawiera. Gdyby lekko potrząsnąć... Nie, nie zrobi tego. Zawartość jest zresztą z pewnością zabezpieczona i przygotowana do transportu.

– Może pomóc zanieść do samochodu? – zadeklarował się mężczyzna. Lauder jednak zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Po chwili znalazła się na świeżym powietrzu. W kilku krokach pokonała niewielki dziedziniec, wyszła przez bramę. Przy chodniku stał zaparkowany samochód. Postawiła delikatnie pudło na masce starego opla,

by sięgnąć po kluczyki. Ledwo namacała w torebce brzęczącą wiązkę metalu, usłyszała głos.

– Przepraszam panią! – wołał za nią lekarz, ten sam, z którym rozmawiała przed chwilą.

– Tak?

– Chyba zaszła pomyłka...

Mężczyzna szybko zbliżył się do Moniki. W rękach trzymał... drugie pudełko.

– Nie rozumiem – powiedziała, porównując obie szkatułki.

Były identyczne. Aż zrobiło jej się zimno.

– Pomyliliśmy się – tłumaczył z tym samym uśmiechem mężczyzna. – Mamy ostatnio wiele pracy, ciągle jakieś nowe ekshumacje. To jest właściwa szkatuła. Jeszcze raz przepraszam.

I nie czekając na reakcję, postawił swoją obok tamtej, po czym zabrał wcześniej przekazaną. Wszystko trwało chwilę. Monika Lauder nie zdążyła wypowiedzieć słowa, kiedy pracownik zakładu medycyny sądowej był już w drodze powrotnej. Po chwili zniknął w drzwiach.

– Nieźle się zaczyna – skwitowała pod nosem.

Spojrzała po raz kolejny na ocynkowaną szkatułę, po czym szybko otworzyła drzwi swojego opla frontiery, a następnie bagażnik. Wstawiła ją do środka, zabezpieczyła, zatrzasnęła klapę, by wreszcie zasiąść za kierownicą. Dopiero gdy uruchomiła silnik, odetchnęła z ulgą.

Za kilka godzin skończy się jej przygoda. Przygoda z Mikołajem Kopernikiem. To jego doczesne szczątki spoczywały w tej chwili w bagażniku jej auta. Dowieźć, pożegnać godnie, uśmiechnąć się do pamiątkowego zdjęcia, może odpowiedzieć na jakieś pytania dziennikarzy – wyliczyła w myślach wszystkie czynności, które wykona w ciągu dwóch najbliższych dni.

Nie wiedziała jeszcze wtedy, że tylko część tych planów się powiedzie.

II

Olsztyn-Dajtki, dzień pierwszy

Kim właściwie jest dzisiaj dla Polaków Mikołaj Kopernik? Takie właśnie pytanie pojawiło się w głowie redaktora Tomasza Horna w chwili, gdy wjeżdżając do miasta od zachodniej strony, ujrzał charakterystyczną, lubianą przez siebie panoramę. Uzbrojony w telefon, dwa dyktafony, dwa długopisy, notes i talię wizytówek, dopiero teraz zaczął się zastanawiać, po co i dokąd zmierza.

Należy przyznać – rozważał w duchu – że jest to bez wątpienia jeden z największych w historii naszych rodaków. Rodaków, za którego, co ważne, nigdy nie można było się wstydzić. Jest albo był Kopernik patronem niezliczonej ilości szkół, uniwersytetów, ośrodków badawczych, a nawet stacji telewizyjnych, szpitali, hoteli, kin i restauracji. Chrzczonego jego imieniem statki, samoloty, tysiące ulic i placów na Ziemi, a i kratery na Księżycu i Marsie. Jego wizerunek przedstawiany był na znaczkach pocztowych, na monetach i banknotach. Długie, ciemne, falujące włosy, zamyślona twarz, orli nos, a w palcach jakiś astronomiczny przyrząd albo konwalie – tak malowali go Jan Matejko, Téoóor de Bry, Tobias Stimmer i wielu innych, bezimiennych dziś artystów.

Największy w ostatnim czasie szum wokół postaci wielkiego astronoma miał miejsce niedawno, kiedy to, po trwających wiele lat i podejmowanych przez dziesiątki naukowców z różnych krajów poszukiwaniach, udało się

wreszcie ustalić, gdzie właśnie we fromborskiej katedrze, a dokładnie pod którą częścią posadzki, został on pochowany.

Truchła astronoma szukano kilkakrotnie. Po raz pierwszy na początku XIX wieku, następnie blisko sto lat później i na chwilę przed wybuchem II wojny światowej. Wszystkie te próby były dziełem polskich uczonych, chociaż zagadka spędzała też sen z powiek Niemców i Rosjan, którzy prawdopodobnie próbowali ją rozwiązać podczas wojny i zaraz po niej. Nikomu się jednak nie udało. Aż do teraz.

Kilka lat temu media obiegała sensacyjna informacja, że zespół archeologów wykopał czaszkę, która może należeć do Kopernika. Policyjni specjaliści, nie wiedząc, nad kim pracują, dorobili jej twarz, dzięki czemu otrzymano wizerunek starszego mężczyzny o siwych, rzadkich włosach i charakterystycznym, złamanym nosie. Dalece odbiegającego od wizerunku, do którego wszyscy byli przyzwyczajeni. Ale coś w tej twarzy było. Coś znajomego. Niepokojąco znajomego...

Mimo podobieństwa i wszelkich przesłanek, naukowcy nie mieli stu procent pewności, czy wykopane kości i czaszka bez dolnej części szczęki to rzeczywiście Mikołaj Kopernik. Odpowiedź dałaby analiza DNA, porównanie kodu z DNA bliskich. Problem w tym, że nie wiadomo do dzisiaj, gdzie pochowano resztę rodziny słynnego astronoma.

Z pomocą przyszedł, jak zwykle, przypadek. W bibliotece w Uppsali znajdowała się księga Johannes Stöfflera, której wcześniej właścicielem przez blisko ćwierć wieku był Kopernik, a która została wraz z całą biblioteką Kopernika zrabowana przez Szwedów podczas potopu. W księdze tej znaleziony został włos. Jego DNA i DNA kości się zgadzały.

– Możesz nawet zrobić z nim wywiad, byle było ciekawie i kolorowo – Tomasz Horn powtórzył na głos słowa redaktora Piwowara, zaśmiał się, po czym zredukował bieg.



Olsztyn, dzień pierwszy

Doktor Lesław Kubiak, szef zespołu archeologiczno-antropologicznego, rozluźnił węzeł krawata i sapnął ciężko. Potem spojrzął na zegarek i zakłopotaniem podrapał się po głowie.

Uroczystość pożegnania Mikołaja Kopernika miała odbyć się w samo południe na dziedzińcu olsztyńskiego zamku. Następnie w katedrze świętego Jakuba zaplanowano mszę żałobną. Zdecydowano o tym na górze, a naukowcy, w tym Kubiak, byli ostatnimi, którzy mogli w tej sprawie zadawać pytania. Ich rola przecież właśnie się kończyła. Mieli tylko przekazać ocynkowaną skrzynkę ze szczątkami wielkiego astronoma...

Wszystkim zajmował się zaaferowany młokos w ciemnych okularach ze słuchawką w uchu i tabletem w dłoni. Miotał się, kręcił, doglądał. Sprawdzał nawet krzesła, czy wygodne. Przed chwilą zadzwonił do niego aktor z teatru Jaracza, który miał odczytać kilka zdań z *Revolutionibus*, co stojący niedaleko Kubiak wywnioskował z krótkiej rozmowy.

Cieszył się, że jego rola skończy się za kilkanaście minut. Czekał już tylko na najważniejsze – na głównego bohatera wydarzenia. Miała go przywieźć, jakkolwiek to brzmi, Monika Lauder. Właściwie już powinna być na miejscu.

– Właściwie już powinna być na miejscu – powtórzył jak echo czyjś głos.

Kubiak obejrzał się przez ramię. Magister Olaf Szymuś walczył właśnie z węzłem krawata, który sam mógł być wzięty za archeologiczne wykopalisko. Doktor, ubrany uroczyście, ale i w miarę modnie, aż otworzył usta na widok podwładnego.

Ten chyba wyczuł, że coś jest nie tak.

– O co ci chodzi? – zapytał, mrugając przy tym oczami. W zespole uchodził za mistrza humoru, dyżurnego figlarza i opowiadacza dowcipów, do którego obowiązków należało również przekręcanie nazwisk, udawanie kretyna i sto jeden innych trików.

Kubiak tylko machnął ręką.

Mogło być gorzej – pomyślał. Wiedział dobrze, że Olaf, gdyby tylko zwietrzył hecę, byłby w stanie zamiast koszuli i tego beznadziejnego krawata włożyć na siebie... czarną koszulę z koloratką. Na szczęście dzisiaj tego nie zrobił, bowiem na uroczystości był oczekiwany arcybiskup metropolita, a także biskup pomocniczy i wielu księży, więc takie wybryki byłyby co najmniej nie na miejscu.

Doktor Kubiak jeszcze raz ogarnął wzrokiem miejsce uroczystości. Wśród ludzi, którzy już zaczęli kręcić się po dziedzińcu, mimo że do rozpoczęcia imprezy była jeszcze godzina z okładem, rozpoznał prezydenta miasta i przewodniczącego rady miejskiej.

Przeszedł go przyjemny dreszcz. Chłopięca radość oczekiwania. Dawno tak się nie czuł. Nawet w chwili, gdy po wielu miesiącach poszukiwań wykopali czaszkę, która miała okazać się TĄ czaszką.

– I jak, panie kolego? – z zamyślenia wyrwał go znów znajomy głos.

Kubiak obrócił się i zobaczył przed sobą samego rektora uczelni.

– Dzień dobry, profesorze – przywitał się Kubiak, mimowolnie przyjmując postawę zbliżoną do zasadniczej. – Tak, już wszystko gotowe.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Piękna pogoda, prawda? – rzekł rektor, unosząc w górę głowę i mrużąc oczy.

– Tak, jest bardzo ładnie.

– Po tych wszystkich burzach w lipcu... O, jest i pani magister! – rektor uśmiechnął się do kogoś za plecami Kubiaka.

Doktor odwrócił się i odetchnął z ulgą. Stała przed nim Monika Lauder.

– Ty już jesteś? – Kubiak zdziwił się i ucieszył jednocześnie.

– Jak widać.

– A gdzie... – zawahał się i rozejrzał niepewnie dookoła. Na szczęście rektor już sobie poszedł. – Gdzie Kopernik? – zapytał, ściszej konspiracyjnie głos.

– Czeka w samochodzie – odpowiedziała, by zaraz zapytać: – Są już ludzie z trumną?

– Poczekaj, zaraz zapytam kogoś, kto wie wszystko.

W tym samym momencie Tomasz Horn wjechał na Starówkę. Zawsze miał kłopoty z poruszaniem się po wąskich staromiejskich uliczkach, z czego połowa była jednokierunkowa, podobnie jak z zaparkowaniem, bo inne zasady panowały tu latem, a inne jesienią i zimą.

Tym razem jednak szybko udało mu się znaleźć miejsce niedaleko jednego z budynków uniwersyteckich nad Łyną. Kilka minut później szedł dziarskim krokiem w stronę zamku. Wiedział, że do rozpoczęcia uroczystości zostało jeszcze sporo czasu, ale miał zamiar porozmawiać w spokoju z kimś z ekipy archeologów, którzy dokonali odkrycia. Dostrzegł wozy transmisyjne telewizji i radia.

– Tomek? – usłyszał naraz kobiecy głos.

Na skraju fontanny przy Starym Ratuszu siedziała jakaś para. Dziewczyna machała ręką. Nie był tylko pewien, czy do niego. Nie poznawał tych ludzi, bo odległość była dość znaczna, w dodatku patrzył pod słońce.

– Tomasz Horn! – sprecyzował wtedy towarzysz dziewczyny.

Dziennikarz zbliżył się do fontanny, wciąż mrużąc oczy od słońca.

– Magda! – zawołał wreszcie z nieudawaną radością.

– Brodacz.

– Nie byliśmy pewny, czy to ty – powiedziała dziewczyna.

Jasnowłosa Magda i Brodacz, który zresztą nie miał już brody, była to para archeologów, którzy przed rokiem pracowali w zespole profesora Buczyńskiego we fromborskim kościele świętego Mikołaja i którzy wspólnie z Hornem i Ewą Rimmel przeżyli wówczas pełen niebezpieczeństw tydzień. Dzisiaj nie wyglądali na tych, co kopią w ziemi w poszukiwaniu przeszłości, a jednocześnie odpowiedzi na pytanie: co robić w życiu. Już bowiem wiedzieli – pod luźną, letnią sukienką dziewczyny rysował się wyraźnie ciężowy brzuszek.

– Wzięliśmy sobie urlop od wykopalisk – tłumaczyła Magda. – Ja za trzy miesiące urodzę, a on zatrudnił się w międzynarodowym koncernie.

– Sprzedaję sprzęt AGD – sprecyzował bez wstydu chłopak, choć po chwili chyba zaczął się tłumaczyć. – Taki odkurzacz przecież ma wiele coś z georadaru, nie?

Zaśmiali się wszyscy.

– A co u ciebie? – zapytała dziewczyna po chwili. – Macie jakiś kontakt z Ewą?

Horn potwierdził skinieniem głowy.

– Mimo że już się nie bawimy w piasku, nie mogliśmy nie być tutaj – rzekł po chwili w nutkę patosu Brodacz. – W końcu też mamy w tym swój

udział.

– Szkoda tylko, że profesor Buczyński tego nie doczekał – westchnęła
Magda.

– To prawda – zgodził się Horn.

IV

Gdańsk-Wrzeszcz, dzień pierwszy

Władysław Keller siedział w swoim ulubionym fotelu i usiłował czytać. Bardziej jednak od śledzenia rzędów liter i podążania za myślą autora książki usiłował nie zasnąć. Kilka razy zaczynał akapit, ale po paru zdaniach przestawał rozumieć tekst. Wtedy wracał i próbował jeszcze raz. Tylko że z początkiem nowego akapitu wszystko zaczynało się od nowa.

– Drugą kawę, co? – zapytał, a adresatem pytania był wilczur imieniem Kajzer, tak samo chyba jak jego pan znużony ciepłym, nudnym, sierpniowym popołudniem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, mężczyzna odłożył książkę na stół, dźwignął się z fotela i wyszedł do kuchni. Trzymał się nieźle, poruszał sprawnie, starając się zachować prostą sylwetkę – jak na emerytowanego oficera Marynarki Wojennej w stopniu komandora przystało.

W kilka chwil przygotował sobie kawę z ekspresu. Zazwyczaj obsługiwała urządzenie Mirka, żona Władysława. Kilka dni temu Keller odwiózł ją jednak do sanatorium w Inowrocławiu i teraz wiódł żywot słomianego wdowca. Bardzo mu to zresztą odpowiadało: on i pies, tylko we dwóch. Długie spacerunki, wypadki nad morze, a nawet na wzgórza. To lubili najbardziej.

Chwilę później Keller postawił filiżankę na spodeczek i powolnym krokiem ruszył z powrotem. Od stołu dzieliły go może dwa kroki, kiedy

odezwał się telefon. Komandor postawił filiżankę na stole i dopiero wtedy sięgnął po słuchawkę aparatu stojącego pod oknem.

– Słucham – powiedział zdecydowanym głosem; wiele czasu upłynęło, nim nauczył się właśnie tak mówić do słuchawki, zawsze bowiem wcześniej wymieniał swój stopień i nazwisko, a potem informował nieznanego wciąż rozmówcę, że, owszem, słucha.

Po drugiej stronie jednak nikt się nie odezwał. Za oknem przejechał z łoskotem tramwaj w stronę Brzeźna.

– Halo! – powtórzył.

Odpowiedziały mu jednak tylko jakieś trzaski i szумы. Nasłuchiwał z uwagą przez dłuższą chwilę. Nie miał zamiaru pierwszy się rozłączyć, jakby chciał przynajmniej w ten sposób ukarać żartownisia za kawał wysokości rachunku, choć z drugiej strony wiedział, że pewnie nieznanomy po drugiej stronie i tak tego nie odczuje. Ludzie nie wiedzieli, co robić z darmowymi minutami.

– No dobra – nie wytrzymał w końcu. – Jestem w domu, ja i mój pies, bynajmniej nie ratlerek. Na razie nigdzie się nie wybieram, a nawet jeśli, to mieszkanie ma solidne zamki i czujnych sąsiadów. Cześć!

I rzucił słuchawką. Przez chwilę słyszał bijące głośno serce. Lekarze kazali mu o nie dbać. A tu takie numery, nie ma co! – pomyślał, siadając z powrotem w fotelu.

Wypił kilka łyków, usiłował czytać dalej, ale znów za cholerę nie potrafił się skupić, już nie za sprawą senności, a wręcz przeciwnie: niepokoju, który komuś udało się w nim zasiać.

To, co niemal wykrzyczał do słuchawki, było prawdą. Wiele mówiło się o przypadkach, kiedy złodzieje najpierw dzwoniли do domu ofiary, żeby sprawdzić, czy ktoś jest na miejscu, a dopiero potem dokonywali włamania.

Pamiętał, że podczas stanu wojennego, a był już wtedy młodym oficerem marynarki, też mieli podobne głuche telefony.

Dopiero po kawie, Władysław Keller, jakby na przekór temu, co zaszło przed paroma minutami, postanowił wyjść z psem na spacer. Wstał, włożył wygodne, sportowe buty. Ledwo dotknął smyczy wiszącej w przedpokoju, Kajzer zerwał się ze swojego legowiska i zaczął wesoło machać ogonem, a nawet zaszczekał.

– Już, już, kochany piesku! – Mężczyzna pogłaskał czworonoga po łbie.

Kilka minut później byli na ulicy. Od morza wiał przyjemny wiaterek. Komandor Keller szybko zapomniał o głuchym telefonie.

V

Olsztyn, dzień pierwszy

Doktor Lesław Kubiak przełknął ślinę i jeszcze bardziej rozluźnił węzeł krawata. Stał przed nim młodziutki ksiądz wikary. Stał i czekał na odpowiedź.

Na szczęście ów chłopak w sutannie, blondynek o twarzy szkolnego prymusa z jasnym meszkiem pod nosem, w jakiś sposób wyczuł, że musi powtórzyć swoją prośbę. Bez zniecierpliwienia, z uśmiechem na twarzy, najłagodniej jak tylko potrafił, jakby zwracał się do dziecka lub osoby starszej.

– Ksiądz arcybiskup pyta, czy jest możliwość, żeby mógł pomodlić się przy trumnie kanonika fromborskiego? – wyrecytował niegłęboko i z uśmiechem, by dodać: – W samotności, zanim uroczystość się rozpocznie...

Z głośników popłynęła muzyka. Na zaimprovizowanej scenie przed jednym z mikrofonów stanął młody przystojny mężczyzna. Był to prawdopodobnie aktor, który podczas uroczystości miał recytować fragmenty *De Revolutionibus* Kopernika, a teraz miał zamiar zrobić to na próbę.

– „Spośród licznych i różnorodnych sztuk i nauk budzących w nas zamięłowanie i będących dla umysłów ludzkich pokarmem, tym według mego zdania przede wszystkim poświęcać się należy i te z największym

uprawiać zapałem, które obracają się w kręgu rzeczy najpiękniejszych i najbardziej godnych poznania, takimi zaś są nauki, które zajmują się cudownymi obrotami we wszechświecie i biegami gwiazd...”

Kubiak spojrział gdzieś ponad ramieniem wikarego.

– Tak, rozumiem, oczywiście, arcybiskup. Przepraszam księdza na chwilę. – Skinął głową i skierował kroki w stronę Moniki Lauder, siedzącej na jednym z krzesełek w ostatnim rzędzie.

Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby nie widziała świata poza artystą recytującym z coraz większym zapałem przetłumaczony na polski fragment epokowego dzieła. Kiedy więc poczuła na ramieniu niespodziewany dotyk, niemal podskoczyła.

– Gdzie zaparkowałaś wóz? – zapytał, jak tylko mógł najciszej.

– Na Okopowej. Za zakrętem, bo wszystko było totalnie zastawione – odpowiedziała. – A co, zablokowałam kogoś? – przestraszyła się.

– Nie, spokojnie – sapnął naukowiec.

Rozległy się oklaski. To reżyser uroczystości i kilku przypadkowych przechodniów nagradzali aktora, który kłaniał się gęsto z miną, jakby przed sekundą wtachał sam na czwarte piętro ciężką gdańską szafę.

– To o co chodzi? – niecierpliwiła się Monika.

– Od początku mówiłem, żeby nie robić z tego szopki. – Kubiak był coraz bardziej zdenerwowany. – Mieliśmy nadzieję obejść się bez wystawiania kości na widok publiczny. A większość tych ludzi przyjdzie tutaj tylko w nadziei, że zobaczy truchło Kopernika. Sensacji się spodziewali, a nie występów artystycznych. Skąd w ogóle w ludziach takie makabryczne ciągoty, co?!

– Przesadzasz.

– Nie sądzę! Daję głowę, że znaleźliby się i tacy, którzy chcieliby mieć taką kostkę na pamiątkę. Całe szczęście przepisy kazały nam trzymać go

w lodówce na Żołnierskiej. Dwa dni temu miałem telefon z jakiegoś brukowca. Wiesz, że chcieli zrobić sesję fotograficzną...

– Tobie?

– Kopernikowi!

Mężczyzna wyjął chustkę z kieszeni do nosa i starł nią pot z czoła. Potem powiedział doktorantce o prośbie arcybiskupa przekazanej przez wikarego, który wciąż stał pokornie tam, gdzie zostawił go archeolog.

– Ci od trumienki się spóźniają – podsumował doktor.

Dopiero teraz Monika i Kubiak zorientowali się, że ich rozmowie przysłuchuje się Olaf Szymuś. Właściciel koszmarnego krawata nie odzywał się, tylko w skupieniu i z jak najbardziej poważną miną kiwał od czasu do czasu głową.

– Poradziłbyś coś, zamiast pajacować – warknął doktor.

– Mam skombinować trumnę?

Leszek i Monika popatrzyli na siebie. Normalnie wzięliby taki tekst za głupi żart w wykonaniu Szymusia. Ale teraz? Tak! Jak nic na świecie potrzebna im była w tej chwili trumienka, a nawet elegancka skrzynka, z Kopernika nie zostało przecież tak wiele.

– Mówisz i masz. – Olaf poprawił ostentacyjnie węzeł krawata. – Dajcie mi dwa kwadransy.

– Dwadzieścia minut – jęknął Kubiak.

– Nie przesadzaj, Lechu – rzucił przez ramię Szymuś.

Doktor przeciągnął ręką po twarzy. Niech to wszystko wreszcie się skończy – pomyślał.

– Chodźmy. Szkoda każdej chwili – powiedziała Monika.

– Idź, ja zaraz dojdę – odparł Kubiak. – Powiem tylko temu dzieciakowi, że arcybiskup będzie mógł odmówić swój różaniec.

Chwilę później Monika Lauder opuściła dziedziniec i ruszyła w stronę miejsca, gdzie zaparkowała swojego opla. Nie kłamała, uliczka w pobliżu amfiteatru była szczelnie zastawiona samochodami. Gdy do zakrętu zostało jej kilka kroków, przyspieszyła, jakby tknięta złym przecuciem. Serce biło jej coraz mocniej.

Samochodu nie było.

Czuła, jak uginają się pod nią nogi. Ciało zmroził lodowaty dreszcz. Oparła się ciężko o ścianę budynku.

To niemożliwe – pomyślała z trwogą i niedowierzaniem.

Była bliska omdlenia, pociemniało jej w oczach. Ale to tylko słońce skryło się za ciężką chmurę. W tej samej chwili rozległ się pierwszy złowróżbny grzmot.

Deszcz zabębnił na siedziskach krzeseł, na których mieli zasiąść oficjele. Akustyk miotał się w pojedynkę, usiłując ratować sprzęt, który miał nagłośnić uroczystość pożegnania wielkiego astronoma. Ktoś kogoś głośno wołał, inny nieopatrznie nie przerwał rozmowy przez telefon komórkowy.

Tomasz Horn i małżeństwo urlopowanych archeologów znaleźli schronienie pod namiotem ustawionym na trawniku właściwie bez konkretnego celu. Namiot nie miał ścian bocznych, ale za to zajmował sporą powierzchnię, dzięki czemu ulewa zmoczyła ich nieznacznie. Usiedli na suchych plastikowych krzeselkach, przez dłuższą chwilę przysłuchując się istnej kanonadzie nad swoimi głowami.

– Ksiądz więcej wody leje, czekając na kopertę – zaśmiał się Brodac.

– A właśnie: co u proboszcza Nehringa? – zapytała Magda.

– Wszystko dobrze – odparł Horn. – Rozmawialiśmy jakoś przed Wielkanocą.

Z okolic miejsca, gdzie jeszcze przed paroma chwilami stał aktor, doszedł uszu siedzących jakiś rwetes.

– Co się tam dzieje? – zainteresowała się Magda, kładąc znów dłonie na brzuchu, jakby chciała ochronić dziecko.

– To Kubiak – stwierdził po chwili obserwacji jej mąż. – Może do nich pójdziemy? Chyba powoli przestaje padać...

Kilka chwil później, wykorzystując w istocie krótką przerwę w ulewie, dołączyli do grona starych znajomych i współpracowników. Wystarczył jednak moment, aby się zorientować, że coś nie gra. Twarz rzezonego Kubiaka była czerwona jak pomidor, znać było, że jest bardzo zdenerwowany. Stojąca przed nim drobna, ładna blondynka ocierała ukradkiem łzy.

Do tego dziwnego grona po Hornie, Magdzie i Brodaczu dołączył jeszcze dziwniejszy osobnik w krawacie, jakby zdjętym dopiero co z króla wiejskiej dyskoteki z lat siedemdziesiątych.

– No, co jest z wami?! – rzucił w przestrzeń między Kubiakiem a blondynką. – Trumna czeka. Mam nadzieję, że godna zarówno arcybiskupa, jak i kanonika.

– Jaka trumna? – zainteresowała się Magda.

– Porządna, dębowa, a w dodatku nieużywana. Niestety, nie mieli nic w rozmiarze XS – zaśmiał się Olaf. – Cześć, Magda. Już wiecie, co się wam urodzi?

– Dziewczynka.

– Super! – ucieszył się, by na powrót przybrać srogiego wyraz twarzy. – To co robimy?

Kubiak jakby dopiero obudził się z letargu.

– Co? Nic nie robimy.

– Jak to nic? Dlaczego?

– Dlatego, że właśnie rąbnęli nam samochód, gdzie znajdowała się szkatuła z kośćmi, przywieziona dziś rano przez Monikę z zakładu medycyny sądowej – wyrecytował jednym tchem doktor Kubiak i nie wiedzieć czemu odetchnął z widoczną ulgą.

– Co?! – krzyknęli niemal jednocześnie Olaf, Brodacz i Magda.

Deszczówka z jednostajnym szumem ściekała z dachów, płynęła wzdłuż krawężników i przeciekała przez kratki studzienek kanalizacyjnych.

– Kto by się miał połakomić na takiego grata? – zdziwił się Szymuś.

Lauder spojrzała na niego spod zmarszczonego czoła.

– Chyba wiem, kto to może być – powiedział cicho doktor Kubiak, po czym zwrócił się do Moniki. – Mówiłaś kiedyś, że planujesz założyć sobie system namierzania.

W odpowiedzi odezwał się grzmot.

Powietrze przesycone było elektrycznością, choć raczej nie za sprawą trwającej burzy.

– Zgadza się – potwierdziła wreszcie głucho dziewczyna.

– I założyłaś?

– Założyłam.

Kubiak skrzywił się, potarł otwartą dłońią czoło, z którego powoli zniknął rumieniec. Potoczył wzrokiem po obecnych, na chwilę zatrzymując się na Tomaszu Hornie. Magda wyczuła jego niezdecydowanie.

– W porządku, doktorze – powiedziała. – To jest ten dziennikarz, z którym pracowaliśmy rok temu. Opowiadałam ci.

– Miło mi – bąknął Kubiak, by po chwili niskim charkotliwym, ale zdecydowanym głosem kontynuować: – Trzeba teraz szybko iść na policję, niech sprawdzą, dokąd on jedzie. Jeżeli jest w tej chwili tam, gdzie myślę, że jest, to kościom nic się nie stanie. Przynajmniej na razie. Tutaj nikt się

nie dowie, że Kopernika nie ma w trumnie. Gdy przestanie padać, uroczystość odbędzie się tak, jak została zaplanowana. Najważniejsze, żebyśmy odzyskali skrzynkę...

Tomasz Horn przysłuchiwał się chciwie monologowi archeologa. Chłonał każde wypowiedziane słowo. Z każdą chwilą wzrastało w nim dziwne, może trochę naiwne, może niezbyt mądre, ale wyraźne i przyjemnie uczucie. Znał je dobrze. Przypominał sobie dokładnie. Czuł się już tak – i to całkiem niedawno.

VI

Okolice Ostródy, dzień pierwszy

Doktor Lesław Kubiak bez wahania przystał na propozycję pomocy ze strony Tomasza Horna. Tym bardziej że jego samochód, wysłużony mercedes, znajdował się właśnie w warsztacie. W chwili gdy obaj ruszyli krajową szesnastką w kierunku zachodnim, reszta wtajemniczonych udała się na policję, aby potwierdzić przypuszczenia naukowca.

Przez cały ten czas dziennikarz nie zadawał żadnych pytań. Ale długo nie wytrzymał.

- Mówił pan, że domyśla się, kto to mógł zrobić – zagadnął.
- Zgadza się – potwierdził Kubiak.

I nic więcej nie powiedział. Hornowi zrobiło się niewyraźnie. Widać, mimo swego rodzaju poręczenia Magdy i Brodacza, nadal widziano w nim pismaka żądnego sensacji i gotowego na wiele, by zdobyć informację. Kolorowe dzienniki dla taksówkarzy i kucharek z krzyczącymi okładkami, chełpiące się tym, że zawsze stają po stronie zwykłego, szarego człowieka, prześcigały się w serwowaniu okropności, posługując się językiem kloaki.

– Proszę wybaczyć, ale jestem z natury nieufny. Lata praktyki – rzekł Kubiak. – Rzeczywiście, Magda wiele nam opowiadała o panu i o tym, co przeżyliście rok temu.

Tomasz skinął głową. Nie znał siedzącego obok człowieka, więc za bardzo nie wiedział, co ma powiedzieć na coś, co mogło być równie dobrze

pochwałą, jak i przyganą. Tamten mógł mówić poważnie, ale też kpić w żywe oczy.

– Ciekawe, co uda im się ustalić na policji – rzekł Kubiak jakby do siebie, spoglądając przy tym na zegarek. – Monika miała dzwonić, gdy się czegoś dowiedzą. Ale jestem więcej niż pewny, że wybraliśmy właściwy kierunek.

– Jeżeli policja jest w stanie namierzyć auto, a złodziej nie wie, że jest widziany przez satelitę, to może być już połowa sukcesu – odpowiedział Horn.

– Pewnie teraz chciałby się pan dowiedzieć, kim jest złodziej? – rzekł z lekkim uśmiechem archeolog, zezując na kierowcę.

– Powie mi pan albo nie – mruknął Horn. – Podejrzewam, że nie chodziło mu o samochód, tylko o jego zawartość...

Kilka minut później wjechali na trasę S-7. Kubiak wciąż patrzył przed siebie niczym zahipnotyzowany. W pewnym momencie, kilka kilometrów za Miłomłynem, spojrzął w bok. Akurat mijali duży parking.

– Niech pan się zatrzyma! – krzyknął.

Horn napał nogą na hamulec. Rozległ się pisk opon, autem zarzuciło. W końcu szczęśliwie udało im się zatrzymać na pasie awaryjnym, kilkanaście metrów za zjazdem na parking.

– Musimy tam wjechać! – krzyknął naukowiec.

– Cofać na ekspresówce? – prychnął Horn.

Na to Kubiak zaczął szarpać się z zapięciem pasa. Szczęknęła zwalniana zapadka. Mężczyzna zerwał się z fotela, otworzył drzwi i wyskoczył z pojazdu. Dopiero teraz Tomasz zorientował się, o co chodzi: na parkingu stał terenowy samochód. Czy to ten, którego szukali?

Wbrew przepisom zaczął cofać. Na szczęście nikt w tym czasie nie jechał od południa. Po chwili znalazł się na parkingu i minął biegnącego

archeologa.

– Jest! Jest! – sapał Kubiak.

– Ostrożnie, złodziej może być... – zawołał Horn, ale nie dokończył zdania, doktor był już bowiem przy opla.

W środku nie było nikogo. Horn miał jednak złe przeczucia. Kubiak za to zachowywał się jak dzieciak, który po raz pierwszy w życiu widzi terenówkę na zachodnich numerach: zaglądał przez szybę, tak jak kiedyś zaglądało się, by sprawdzić, ile wóz wyciąga, czy ma drążek skrzyni biegów, czy to automat.

– Jest otwarty. – Spojrzał na dziennikarza, jakby szukał pozwolenia, czy może pociągnąć za klamkę.

Trwał jednak w tym niezdecydowaniu przez chwilę. Wreszcie szarpnął za drzwiczki, nachylił się, nacisnął jakąś dźwigienkę wewnątrz. Szczęknął mechanizm, kłapa bagażnika nieznacznie się uniosła. Tomasz Horn wstrzymał oddech. Zanim doktor Kubiak uniósł pokrywę bagażnika, on już wiedział.

W samochodzie nie było skrzyni ze szczątkami Mikołaja Kopernika.

Kilkanaście minut później na miejsce przyjechały dwa kolejne samochody: w pierwszym siedzieli Brodacz, Magda i Monika Lauder, drugim był radiowóz policji z Olsztyna. Widząc Kubiaka, siedzącego w otwartych drzwiach opla ze spuszczoną głową i palącego papierosa, szybko się domyślili, co zaszło. Przegrali.

Monika Lauder zachowywała się, jakby nie wierzyła w to, co się stało. Albo wciąż brała to za żart, niewinny numer, który ktoś im wykręcił. Podczas gdy inni stali i patrzyli, ona zaczęła gorączkowo obszukiwać cały samochód.

– Musi gdzieś tu być. Przecież musi gdzieś tu być! – powtarzała pod nosem.

Ale w końcu i ona dała za wygraną. Usiadła po drugiej stronie, także w otwartych drzwiach, i milczała. Zdezorientowali policjanci zaczęli wypytywać pozostałych, o co chodzi. Brodacz i Magda tłumaczyli, cierpliwie, jak na przyszłych rodziców przystało.

Jedynie Horn miał trudności ze znalezieniem sobie miejsca. Chciał już nawet pożegnać się i ruszyć do swojego samochodu, ale coś mu nie pozwalało tego zrobić. W pewnej chwili spojrzenia jego i blondynki spotkały się. Horn nie zauważył w oczach dziewczyny łez. Raczej złość.

Pomocną i w tym wypadku znów okazała się Magda. W kilku zdaniach wyjaśniła staremu znajomemu całą sytuację.

– Mieliśmy problemy od samego początku, od kiedy zaczęliśmy kopać pod posadzką fromborskiej katedry – mówiła. – Zdawało się, że wszyscy są po naszej stronie: biskup, proboszcz, władze miasteczka, dla których odnalezienie szczątków oznaczało natychmiastowe podniesienie prestiżu Fromborka. Bo co z tego, że wszyscy wiedzieli, że tu leży Mikołaj Kopernik, jak nie było wiadomo dokładnie gdzie...

– A ludzie przecież lubią wiedzieć – mruknął Horn.

– Znaleźli się jednak i tacy, którym nie w smak były nasze poszukiwania – ciągnęła Magda. – Z początku nie wiedzieliśmy, kto to może być. Wszystko wyglądało na chuligańskie wybryki. Ktoś zniszczył zamek w drzwiach katedry, nadpiłował trzonki szpadli, robił spięcie, gdy akurat pracował sprzęt elektroniczny. Ale profesor Buczyński i doktor Kubiak znosili to wszystko ze stoickim spokojem. Myślę, że już wtedy domyślali się, kto za tym wszystkim stoi, ale nie mieli żadnych dowodów. Zniecierpliwieni, obmyśliliśmy zasadzkę. I rybki łatwo w nią wpadły.

– Kto to był?

– Ludwik Rosłoń, archeolog-amator, fanatyk poszukiwań. Nie skończył studiów, nie miał uprawnień, więc nigdy nawet nie występował o pozwolenia na prowadzenie wykopalisk.

– Ale kopał?

– Owszem, zwykle zupełnie gdzie indziej niż inni, robiąc zresztą wokół tego dużo szumu. Wtedy też pracował nieopodal, twierdząc jednocześnie na swojej stronie internetowej, że to, co robimy, to skandal, amatorszczyzna i tak dalej. Złapaliśmy go, ale wycofaliśmy zarzuty, uważając, że najlepiej ukarzymy go, znajdując to, czego szukaliśmy. I udało się.

– Skąd pewność, że to właśnie on ukradł samochód i kości astronoma?

– Nie mamy takiej pewności. – Magda rozłożyła bezradnie ręce. – To tylko nasze przypuszczenia. Niestety, skrzynka już nie miała zamontowanego systemu namierzania.

– Co ten Rosłoń może teraz zrobić z Kopernikiem?

Archeolożka ciężko westchnęła.

– Nie wiem. Na pewno nie zniszczy kości ani tym bardziej nie sprzeda ich za granicę, choć wiem, że znaleźliby się chętni, chcący dać za to krocie. Sami mieliśmy wiele tego typu propozycji zaraz po odnalezieniu trumny. Ludwik ma swój honor i nie jest bandytą. Obawiam się jednak, że może zrobić co innego.

– Co?

– Po prostu pochować Kopernika...

Ledwo wypowiedziała te słowa, rozległ się pomruk burzy, która najwyraźniej dotarła i tutaj. Horn dostrzegł też dziwne ożywienie we wnętrzu terenowego opla. Blondynka i Kubiak wyraźnie szykowali się do drogi.

– Co robicie? – zainteresował się Brodacz.

– Mamy zamiar dopaść skurwysyna! – wyjaśnił rzeczowo i dosadnie doktor. – Myślę, że daleko nie ujechał. A jeśli nawet, to chyba wiem, gdzie go szukać.

Dziewczyna usiadła za kierownicą, włożyła kluczyk w stacyjkę, przekręciła. Spod maski nie wydobył się jednak żaden, nawet najcichszy dźwięk. Spróbowała jeszcze dwa razy, po czym, zniecierpliwiona, otworzyła od wewnątrz pokrywę silnika i szybko wyskoczyła z auta. Brodacz uniósł klapę i zaklął pod nosem.

– Zabrał akumulator – brzmiała diagnoza.

Doktor Kubiak łakomym wzrokiem spojrział na samochód Brodacza. Ten jednak szybko pojął, o co chodzi.

– Nie da rady – pokręcił zdecydowanie głową. – Mamy dziś wizytę u położnika, poza tym w każdej chwili może się zacząć.

W tym momencie spojrzenia Tomasza Horna i Moniki Lauder znów się spotkały.

VII

Frombork, dzień pierwszy

Aspirant sztabowy Adam Wasilewski, od niedawna pełniący obowiązki szefa posterunku policji we Fromborku, miał nadzieję, że limit kłopotów na dziś już się wyczerpał.

Właśnie zakończyła się sprawa kradzieży rowerów na polu namiotowym. Okazało się zresztą, że nie było żadnej kradzieży, ktoś tylko udał się na przejażdżkę. Właściciele co prawda nie pamiętali, żeby wydawali zgodę na pożyczanie jednośladów, ale nie wiedzieli też za bardzo, gdzie się znajdują, jaki jest dzień tygodnia ani nawet jak... się nazywają. Gdyby ktoś opowiedziałby aspirantowi tę historię, na pewno by nie uwierzył. Może poza tym, że we Fromborku działa latem pole namiotowe.

Zaterkotał telefon na biurku. Wasilewski spojrzał błagalnym wzrokiem na aparat oklejony przez pokolenia jego poprzedników nalepkami z bananów. Jednak nie udało mu się go zahipnotyzować ani spowodować, żeby umilkł. Powolnym ruchem sięgnął po słuchawkę.

- Aspirant sztabowy Wasilewski, posterunek policji we...
- Dobra, wiem. Oszczędzaj siły – po drugiej stronie odezwał się znajomy głos porucznika Jurka Kozła ze Straży Granicznej.
- Co się dzieje?
- Wieziemy ci delikwentów.

Wasilewski uniósł oczy ku sufitowi, ale nie skomentował rewelacji.

– Znów żeglarze wierzący w przyjaźń polsko-rosyjską? – próbował zgadnąć.

– Gorzej. Za pięć minut będziemy w porcie.

– Ale o co chodzi?

– Chodź sam, to zobaczysz.

Sam to na pewno nie pójdę – pomyślał, dźwigając się zza biurka.

W kilka sekund znalazł się na dole. Wstawił głowę do pokoju na parterze. Na szczęście ktoś tam siedział i nie była to sprzątaczką.

– Panowie, przejdziemy się, co?! – zawołał niewinnie.

Zwinał tym prostym zdaniem dwóch nudzących się jak mopsy młodych, jak zwija się dzieci z piaskownicy, gdy przy trzepaku dzieje się coś o wiele ciekawszego.

– Nie mogę znaleźć kluczyków – jęknął jeden z nich, trzaskając szufladami biurka pamiętającego zapewne czasy generała Józwiaka.

– Daj spokój, przespacerujemy się – rzucił Wasilewski.

W ciągu niespełna trzech minut dotarli na przystań. Akurat do betonowego pomostu dobijała łódź patrolowa Straży Granicznej. Nie było jednak przy niej żadnego jachtu. Tylko kuter rybacki.

– O co chodzi? – zapytał sam siebie Wasilewski, popatrząc to na łódź z mundurowymi, to na stary, zdezelowany kuter.

– Dzień dobry – usłyszał z boku.

To był miejscowy inspektor rybołówstwa, Walczak, który, jak się okazało, również został zaproszony do fromborskiego portu, choć o atrakcjach wiedział niewiele więcej.

– To, zdaje się, kuter Ambroziaka – powiedział policjant, na co Walczak skinął głową.

W pewnym momencie zaczęło dziać się coś dziwnego: o ile łódź z pogranicznikami przybiła do betonowej platformy bez problemów, o tyle kuter rybacki zachowywał się dość nietypowo. Był już blisko kei, kiedy nagle odbił gwałtownie z powrotem w stronę zatoki. Przy rufie zabulgotała woda.

Mężczyźni stojący na brzegu popatrzyli na siebie.

– Co on wyprawia?! – krzyknęli jednocześnie.

Tymczasem szybkim krokiem maszerował już do nich mężczyzna w mundurze Straży Granicznej.

– Cześć! – przywitał się Kozioł. – Dziękuję, że przyszliście.

– Powiesz w końcu, o co chodzi? – rzucił Walczak niezbyt przyjaźnie.

– Nie widzicie? – Funkcjonariusz spojrział na kuter, który właśnie kończył obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. – Ambroziak jest kompletnie pijany. Tak samo jak sternik i jeszcze jeden facet. Ledwo na pokład wleźli w Piaskach. Ktoś życzliwy od razu zadzwonił do nas. Płynęliśmy obok mniej więcej od środka zalewu i z tego, co udało nam się zauważyć, panowie zaaplikowali na pokładzie jeszcze raz zero siedem.

Jakby dla potwierdzenia tych słów na pokładzie kutra, któremu jakoś udało się szczęśliwie przytulić do krawędzi pomostu, pojawiły się wymienione postacie: Ambroziak ledwo trzymał się na nogach, nie lepsi byli jego dwaj kompani. Cała trójka była goła od pasa w górę.

– Potrzebne jest tylko oficjalne badanie na zawartość – powiedział porucznik, na co Wasilewski ciężko westchnął, ale kiwnął potakująco głową.

– Chyba jednak niezbędny będzie radiowóz – powiedział i skinął z kolei na jednego z młodych, po czym zwrócił się ponownie do oficera Straży Granicznej: – Pomożecie nam, nie? Dobrowolnie do rurek podłączyć się chyba nie dadzą...

Nagle uszu stojących na brzegu dobiegł krótki, modulowany dźwięk policyjnej syreny. Po chwili ujrzeli nadjeżdżające od zachodu trzy samochody. Była to terenowa toyota i jadący tuż za nią volkswagen, za nimi zaś srebrna kia, radiowóz drogówki. Wszystkie pojazdy zatrzymały się przed budynkiem nieczynnego dworca kolejowego.

Tomasz Horn wyłączył silnik i otarł pot z czoła. Spojrzał w bok, na siedzącą na miejscu pasażera Monikę. Dziewczyna wciąż kurczowo trzymała się uchwyty nad drzwiami. Była tak blada, że kolor skóry jej twarzy niemal stapiał się w jedno z kolorem włosów.

Nie spuszczała jednak z oczu stojącej przed nimi toyoty. W niej to kilkadziesiąt minut wcześniej, za Elblągiem, Monika rozpoznała pojazd, którym poruszał się Ludwik Rosłoń. Siedzący w środku złodziej – chyba to był on – zorientował się w zamiarach, jakie ma wobec niego załoga jadącego z tyłu pojazdu, zanim Horn podjął decyzję o wyprzedzaniu.

Sztuka ta zresztą mu się nie udała. Toyota co raz zajeżdżała im drogę. Kilka razy manewr o mały włos skończyłby się czołowym zderzeniem z pojazdem jadącym z naprzeciwka. Dziennikarz trąbił, mrugał światłami drogowymi, jednak bez rezultatu. Domniemany Rosłoń odskakiwał na kilkadziesiąt metrów, by po chwili pozwolić się zbliżyć. Najwyraźniej bawiła go ta sytuacja.

Kilka kilometrów za Pogrodziem zorientowali się, że mają towarzystwo policji. Z jednej strony ucieszyło to Horna, z drugiej wręcz przeciwnie...

We wstecznym lusterku Horn zobaczył, jak ze stojącego za nimi radiowozu wysiadają funkcjonariusze drogówki.

– Oby tylko uwierzyli w naszą opowieść – mruknął, po czym sięgnął w zanadrze po dokumenty swoje i wozu.

W odpowiedzi Monika Lauder szarpnęła klamkę drzwi, pchnęła je łokciem i wyskoczyła z samochodu. W mgnieniu oka znalazła się przy toyocie.

– Ty bandyto! Złodzieju! – krzyknęła.

Szarpnęła drzwiczki, otworzyła je, po czym cofnęła się o krok, jakby bała się, że ze środka samochodu może coś lub ktoś wyskoczyć albo spaść cios. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Dziewczyna przeszła szybkim krokiem ku tyłowi wozu, złapała za klamkę bagażnika pojazdu.

– Nie chciałbym się z nią pokłócić – mruknął Horn.

Monika Lauder uniosła wysoko drzwiczki. W tym samym momencie z toyoty wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna w ciemnych okularach i z kilkudniowym zarostem. Gdy podszedł do niego pierwszy z policjantów drogówki, uniósł w górę rękę.

Monika odwróciła się do Horna. Skinęła głową. Ten, choć nie znał dziewczyny prawie wcale, zrozumiał, co chciała mu przekazać. Mógł odetchnąć z ulgą. I zrobiłby to, gdyby nie mina drugiego funkcjonariusza drogówki, który właśnie się nad nim nachylił. Nie wróżyła nic dobrego.

VIII

Gdańsk-Wrzeszcz, dzień pierwszy

Wrócili do domu po blisko trzech godzinach spaceru. Władysław czuł się świetnie, eskapada dobrze mu zrobiła. Klatka schodowa była przyjemnie chłodna, co było domeną starych, ponemieckich budynków, a tych w Gdańsku i okolicach nie brakowało.

Mijając skrzynkę na listy, mężczyzna dostrzegł biel między ząbkami. Zatrzymał się.

To dziwne – pomyślał. W piątek wyjmował korespondencję ze skrzynki, a w soboty i niedziele listonosz nie chodzi. Chyba że w wakacje obowiązywały jakieś inne instrukcje. Wszędzie w lipcu i sierpniu wszystko stawało na głowie: od komunikacji miejskiej, rozkładu pociągów po program telewizyjny, a raczej jego brak, bo inaczej nie można chyba nazwać ciągłych powtórek...

– Pewnie znów ci roznosiciele ulotek, jak zaraza! – zdiagnozował głośno, na co jego pies zamerdał ogonem, bynajmniej nie przyłączając się do wyrzekań swojego pana.

Odkrycie spowodowało, że Władysław Keller zapomniał, iż planował zejść do piwnicy po puszkę „małpiny”, jak nazywano wojskowe konserwy mięsne, których kilka zostały mu z czasów służby i pasowały jak ulał na czas samotnego prowadzenia kuchni.

Niespiesznym ruchem sięgnął do kieszeni po klucze, zazgrzytał zamek. Z przegródki wypadła biała koperta. Nie miała znaczka ani adresu. Tylko imię i nazwisko Kellera, wypisane równym, starannym pismem.

– Może ze spółdzielni? – zastanawiał się głośno, idąc na górę.

Zauważył, że od jakiegoś czasu pracownicy administracji osobiście roznosili pisma do mieszkańców, oszczędzając na znaczkach. Jednak prawdę mówiąc, spodziewał się już jakiejś korespondencji od żony. Czekał na pogietą, kolorową pocztówkę z Inowrocławia, na której odwrocie znanym charakterem pisma zapisano kilka słów, może banalnych – o pogodzie czy jakości posiłków albo zabiegów – ale tak wyczekiwanym.

Zatopiony w myślach, nawet nie zauważył, kiedy stanął przed drzwiami swojego mieszkania. Pewnie szedłby dalej, gdyby nie Kajzer, który wyżej nie chciał iść, usiadł na słomiance i ziajał.

– Mądry piesek. – Keller pogłaskał go po łbie.

Przekręcił klucz w zamku, weszli do mieszkania. Pies od razu pobiegł do kuchni, gdzie stała jego miska z wodą. Po chwili dobiegło stamtąd charakterystyczne mlaskanie.

Keller usiadł w fotelu. Przez dłuższą chwilę obracał w palcach kopertę, nie otwierając jej. W końcu jednak się zdecydował. Staromodnym nożykiem rozciął papier, włożył okulary. Usta mimowolnie ułożyły się w czytane w myślach słowa...

Kilkanaście sekund później Kajzer zaskamlał cicho, a ociekający jeszcze wodą psi język lizał zwisającą bezwładnie z oparcia fotela rękę komandora.

IX

Frombork, dzień pierwszy

Wieczorna bryza niosła zapach wodorostów, marszcząc wody Zalewu Wiślanego i rozdmuchując przybrzeżne trzciny, jakby czegoś w nich szukała. W powietrzu unosiły się stada mew. Na horyzoncie pełgały światełka Krynicy Morskiej i jej latarni morskiej.

Kiedy Tomasz Horn i Monika Lauder opuścili posterunek policji we Fromborku, było już ciemno. Oboje byli bardzo zmęczeni, głodni, ale zadowoleni z przebiegu trwających niemal dwie godziny wyjaśnień. Nie obyło się bez pobrania odcisków palców. Zdziwiony Horn zapytał o to, ale wyjaśniono mu, że to nowe procedury powiązane z jutrzejszymi uroczystościami pogrzebowymi Kopernika. Tylko kilka osób wiedziało, że astronom jest już na miejscu.

Ludwik Rosłoń był dobrze znany tutejszej policji, dlatego nie było kłopotów z przekonaniem stróżów prawa, kto jest tu sprawcą, a kto tak naprawdę ofiarą. Zastanawiające było to, że złodziej za bardzo się nie bronił. Przeciwnie – zachowywał spokój, jeśli nie obojętność. A przecież nie udało mu się storpedować planów archeologów: jutrzejsza uroczystość powtórnego pochówku Kopernika mogła się odbyć zgodnie z planem.

Pierwszą rzeczą, jaką zresztą zrobiła Monika po wyjściu z komisariatu, był telefon do Kubiaka. Naukowiec, który musiał wracać do siebie, był spodziewany nad zalewem dopiero jutro rano. Szkatułę z doczesnymi

szczątkami astronoma zdeponowano natomiast w miejscu, gdzie miała się znaleźć przed pochówkiem, czyli w specjalnie przygotowanym zasobniku, znajdującym się na terenie muzeum katedralnego, w podziemiach pałacu biskupów. Monika Lauder miała jednak minę dość niewyraźną, gdy rozstawała się ze szkatułą.

Z kolei Ludwik Rosłoń został zamknięty w miejscowym areszcie. Następnego dnia, może nawet w momencie, gdy na Wzgórzu Katedralnym będą trwały uroczystości, miał się nim i jego niecnym postępkami zająć prokurator z Elbląga. Tym razem nie było szans, żeby archeolodzy wycofali oskarżenie.

– Robisz wielki błąd – zdążył jeszcze mruknąć do Moniki, nim skuty kajdankami opuścił korytarz, na którym Horn i antropolożka czekali na swoją kolej. – *Pavimentum*, Monika!

Dziewczyna na chwilę otworzyła usta.

– Co? – jęknęła.

– *Pavimentum!* – krzyknął przerażającym głosem szaleńca.

Na te słowa poziome bruzdy nad oczami Moniki Lauder jeszcze bardziej się pogłębiły.

Kiedy później szli w stronę budynku dworca, gdzie został samochód Horna, powiedziała:

– Nie wiem, jak mam panu dziękować. Jutro gdy sobie o tym wszystkim przypomnę, pewnie sama nie uwierzę.

Horn uśmiechnął się. Napięcie schodziło z niego jak znieczulenie po wyrwaniu zęba. Wszystko zaczynał widzieć ostro, można powiedzieć: na trzeźwo.

– Ma pan gdzie spać? – zapytała nagle, jakby wyczuła, co go gryzie.

– Jestem Tomasz.

– Monika – odpowiedziała szybko, jakby czekała na moment oficjalnej prezentacji. – Masz gdzie spać? – spytała ponownie.

– Skorzystam z hotelu.

Uśmiechnęła się. Chyba po raz pierwszy widział, jak się uśmiecha. Mocniejszy powiew wiatru znad zalewu poruszył jej włosami, co jeszcze bardziej mu się spodobało.

– W takim razie przed południem spotykamy się na... – urwała, jakby zabrakło jej odpowiedniego słowa.

– Na pogrzebie – dokończył Horn. – O której dokładnie?

– O jedenastej.

– Będę. Muszę w końcu coś przynieść do nowej redakcji.

Odprowadził dziewczynę do jednej z kanonii na Wzgórzu Katedralnym, gdzie znajdowało się jej lokum.

Znów mam *déjà vu* – pomyślał, schodząc powoli w dół, do miasteczka.

Pokój w małym hotelu, mimo środka wysokiego sezonu, udało mu się dostać bez problemu. Wziął prysznic, wskoczył do łóżka opasany tylko ręcznikiem.

Nie gasił jednak światła. Rozmyślał. Oto on, Tomasz Horn, znów wykazał się talentem do pakowania się w kłopoty i trafił, jak przed rokiem, do Fromborka.

X

Frombork, dzień drugi

Frombork, kilkutyśne miasteczko nad Zalewem Wiślanym, kiedyś wrota biskupiej Warmii, dziś nieco zapomniany i zapyziały kurort, zwany wciąż jednak dumnie grodem Kopernika, pogrążony był we śnie. Wiatr zelżał nieco i tafla wody się wygładziła. Dachy samochodów, stoliki w ogródkach kawiarni, blaszane okapy nad okienkami budek z lodami i goframi niewidzialna ręka skropiła już rosą. Czyste, rozgwieżdżone niebo nad wzgórzami Wysoczyzny Elbląskiej, mimo że nazwane niemal co do gwiazdy, wciąż zachwycało i kusilo odwieczną tajemnicą.

Na rogu ulic Kapelańskiej i Basztowej zatrzymał się pojedynczy cień. Sądząc z gabarytów, był to mężczyzna. Rozejrzał się dookoła. Zerknął także, dyskretnie, jakby rzecz działa się za dnia, a nie w środku nocy, w okna na wyższych piętrach. Trzymał ręce w okolicach rozporka, przez co przypadkowy przechodzień albo cierpiący na bezsenność mieszkaniec jednego z pobliskich domów wzięłyby go, stojącego dodatkowo w cieniu, za pospolitego pijaczka, jakich wielu wałęsa się po miasteczku od czerwca do końca sierpnia.

Żaden z przypadkowych obserwatorów nie byłby jednak w stanie dostrzec tego, co człowiek ów, dobrze zbudowany, wysoki, kryjący twarz pod daszkiem baseballowej czapeczki, trzyma w splecionych przed sobą palcach obu rąk. Na pewno nie było to przyrodzenie. Przyrodzenia nie

można przecież włożyć do dziurki zamka, przekręcić niczym klucz lub wytrych, otworzyć drzwi. A to właśnie się stało po chwili i tajemniczy nocny łazik, niczym duch, zniknął za zamkniętymi jeszcze przed chwilą na głucho drzwiami... posterunku policji.

Mimo ciemności, wiedział dobrze, jak iść. Zachowywał się niemal bezszelestnie, jakby nie był do końca pewien, czy fakt, że posterunek był zamknięty, oznaczał, że nie ma w nim nikogo.

W miarę jak przybysz kierował się ku dołowi, pierwsze wrażenie duchoty ustępowało chłodnej wilgoci. Czuć było zgniłymi ziemniakami. Pięć schodków, zakręt w prawo, kolejnych siedem stopni w dół, a ostatni nieco wyższy od pozostałych. Dalej korytarz szerokości rozłożonych ramion dorosłego człowieka. Wreszcie pierwszy hałas: zgrzyt przesuwanej zasuwki, skrzypnięcie starych zawiasów drzwi.

– Już myślałem, że będę musiał spędzić tutaj całą noc – odezwał się w mroku czyjś głos.

– Dobry wieczór – przywitał się przybysz-wybawca i już w tych krótkich słowach dało się wyczuć wyraźny obcy akcent.

– Raczej dzień dobry – zaśmiał się Ludwik Rosłoń.

– No tak – potwierdził przybysz po krótkiej chwili milczenia, po czym pociągnął znacząco nosem. – „Hilton” to raczej nie jest.

– Żebyś wiedział.

– Dziwne, że nie zamknęli cię na klucz.

W nikłym świetle, sączącym się przez wąską szparę piwnicznego okienka, zarysowała się plama białej koszuli, w którą ubrany był Rosłoń. Archeolog bez dyplomu, a teraz osadzony tu złodziej, zbliżył się do przybysza, ale równie szybko cofnął się, by ponownie zająć miejsce na pryczy, przypisane mu na tę jedną noc.

– Tak jest dużo lepiej – powiedział mężczyzna w baseballówce.

Przez chwilę było tylko słycać ich oddechy: jeden spokojny, drugi coraz szybszy, nierówny.

– Jednak zdecydowałeś się to zrobić? – ni to zapytał, ni to stwierdził przybysz.

– Tak.

– Wiesz, że to może ściągnąć na nas kłopoty?

– Czy możemy pogadać o tym gdzie indziej? – W głosie Rosłonia wyraźnie zabrzmiała irytacja, jednak twardo nie ruszał się z pryczy.

– Zapalisz?

– Nie palę.

– Szkoda.

Płomień zapalniczki na krótką chwilę oświetlił twarz pod daszkiem. Była ani młoda, ani stara, trudno by było też ocenić, czy to twarz przystojna, czy szpetna. Ale jedno było pewne – twarzy tej, tym bardziej tak oświetlonej, a w szczególności oczu, patrzących badawczo, głęboko osadzonych w oczodołach – można było się przestraszyć.

– Wszystko wygląda na to, że jutro szczątki wielkiego Polaka na zawsze spoczną w katedrze fromborskiej. – Przybysz głęboko zaciągnął się dymem z papierosa.

– Polaka? – prychnął Rosłoń.

– A co?

– Zawsze twierdziłeś co innego.

– To już dziś nieważne.

– A co jest ważne?

Gość westchnął ciężko.

– To, czy i ile wiedzą oni – rzekł powoli. – I czy są w stanie nam przeszkodzić.

– Tego ci nie powiem...

– Nasz zleceniodawca będzie bardzo zawiedziony. Także tym, że nadal nie wie tego, co chciałby wiedzieć. I za co słono ci zapłacił.

– Jeszcze zdążę! Mam pewność, że tym razem znalazłem właściwy trop. Jutro...

– Jutro będziesz siedział w anclu. I pojutrze pewnie też. A my nie mamy tyle czasu.

Niedopałek papierosa przeciął ciemność jak spadający meteoryt na sierpniowym niebie.

– Zdążę! Niech tylko stąd wyjdę! – krzyknął Ludwik Rosłoń.

XI

Frombork, dzień drugi

Tomasz Horn leżał w łóżku, a przed oczami przesuwały mu się obrazy wczorajszego dnia. Usiłował sobie jednocześnie przypomnieć słowo, łacińskie słowo, jakiego użył Rosłoń, a którego znaczenia dziennikarz nie znał. Teraz nie pamiętał nawet samego słowa.

– Panopticum, pesarium – wypowiadał głośno kojarzące mu się terminy, z których jedne go straszły, inne zaś śmieszyły, żaden jednak nijak nie pasował.

No, pandemonium to na pewno nie – pomyślał chwilę potem. Pandemonium może wybuchnąć, jak nie napiszę tego artykułu.

Wstał i udał się do łazienki. Gorący, a potem zimny prysznic może spowodowały, że krew w organizmie zaczęła żywiej krążyć, ale chyba nie dotyczyło to jego mózgu. Przynajmniej na tyle, żeby sobie wreszcie przypomnieć, jak brzmiał ów kłopotliwy łaciński termin.

Pokój był ze śniadaniem. Tomasz Horn uwielbiał hotelowe śniadania: coś na ciepło, jajecznicę lub parówki, świeże bułki i wszystko inne, co może jadał na co dzień, ale zawsze zaczynając dzień w hotelu, pochłaniał to w podwójnej ilości.

Po śniadaniu udał się na krótki spacer po miasteczku i porcie.

Monika Lauder spała źle. Całą noc śniło jej się, że Ludwik Rosłoń ucieka z aresztu, włamuje się do podziemi pałacu biskupiego i znów kradnie bezcenną szkatułę. Nie zakopuje jej jednak, jak miał zamiar wcześniej zrobić, ale sprzedaje jakiemuś człowiekowi bez twarzy. Z długiej, białej limuzyny, które w Polsce wypożycza się na śluby, wystają tylko ręce bogacza. Są śniade, porośnięte czarnymi włoskami. Na połowie palców lśnią złote pierścienie.

Zabierają skrzynkę, po chwili podają Rosłoniowi gruby plik banknotów. Samochód odjeżdża, gdzieś wysoko wirują płyty śmigłowca. Nikt nie reaguje na przestępstwo. Monika chce krzyczeć, ale oczywiście nie może. Próbuje biec za złodziejem, ale bieg wygląda jak w każdym śnie...

Kiedy się ocknęła, było już jasno, ale chyba jeszcze wcześnie. Bolała ją głowa. Z głębi kanonii dochodziły jakieś postukiwania, potem odgłos kroków. Wstrzymała oddech. Doświadczenia wczorajszego dnia nakazywały jej zachowanie ostrożności. Sięgnęła ręką pod łóżko, namacała toczoną i ciężką nogę od stołu, rozmiarami przypominającą kij do baseballa. Wstała z łóżka i bosy podeszła do drzwi. W tej samej chwili ktoś zapukał w nie z drugiej strony.

– Monika, śpisz?

Nie odpowiedziała.

– Monika. To ja.

Kubiak. Dziewczyna wypuściła z ust powietrze.

– Poczekaj.

Narzuciła na siebie szlafrok, a dopiero potem przekręciła klucz w zamku.

– Zaczynam wariować – przywitała się dość nietypowo.

Kilka chwil później siedzieli w kuchni i pili pierwszą kawę. Doktor wyglądał na zmęczonego, czemu nie można było się dziwić: wstał

o czwartej nad ranem.

Lauder opowiedziała mu o wszystkim, co działo się od chwili, gdy wyjechali na północ w nadziei, że przecucia ich nie mylą i wcześniej czy później uda się dogonić złodzieja.

– Na szczęście wszystko się udało – podsumował Kubiak. – Rosłoń pod kluczem, Kopernik za chwilę znów będzie leżał gdzie trzeba. Musimy tylko podziękować za wszystko temu dziennikarzowi. I chyba go przeprosić.

– Czemu?

– Nie za dobrze go z początku traktowałem – przyznał się naukowiec. – Wiesz, co myślę o gryzipiórkach. A facet nam pomógł. Komu by się chciało jechać, ot, tak, na pstryk, nad morze?

Kolejnym tematem, jaki poruszyli, osuszając dość spory dzbanek z kawą, były szczegóły dzisiejszej uroczystości, na którą archeolog ciągnął z domu granatowy garnitur, białą koszulę i czarny krawat – zestaw trochę inny od tego, w którym wystąpił poprzedniego dnia. Dzisiaj wszak żegnali kanonika na zawsze. Bronili się przed tym sformułowaniem, ale trudno nie było nazwać tego po prostu pogrzebem.

Nieco wcześniej, w tym samym czasie, gdy Tomasz Horn i Monika Lauder, przewracali się dopiero na przysłowiowy drugi bok, aspirant Adam Wasilewski szedł już do pracy. Maszerował z domu, stojącego we wschodniej części miasteczka. Minął kompleks katedralny i zszedł w dół.

Powietrze pachniało wodą, było rześko, choć czuło się, że dzień znów będzie gorący – i to w każdym znaczeniu tego słowa. Spęd koronowanych głów, bo tak na własny użytek nazwał wydarzenia, które miały się za kilka godzin rozegrać na Wzgórzu Katedralnym, wymagał, niestety, postawienia na nogi nie tylko niewielkiej załogi miejscowej komendy, ale i pomocy

kolegów z Braniewa i Elbląga. Z tych powodów aspirant szedł dziś do pracy ubrany w świeżo odprasowany mundur nowego wzoru.

– Czołem! – przywitał się z pełniącym dyżur posterunkowym. – Coś się działo dobrego?

– Nic – odpowiedział funkcjonariusz.

– A złego? – Wasilewski lubował się w gierkach słownych, czym czasami wyprowadzał podwładnych z równowagi, choć na ogół dał się lubić.

Młody tylko wzruszył ramionami, wracając do leżących na stoliku papierów, a miał ich tradycyjnie niemałą stertę. Mały posterunek nie oznaczał bynajmniej małej papierkowej roboty. Ale policjant był początkujący, więc doskonale jeszcze pamiętał czasy szkolne, mógł się zatem pomęczyć.

– Odprawa o dziewiątej, pamiętaj – rzucił jeszcze aspirant, po czym w kilku susach pokonał schody na pierwsze piętro.

Otworzył drzwi gabinetu, położył aktówkę na biurku. W tym momencie przypomniał sobie, że przecież ma „na stanie” aresztanta. Mógł zapomnieć, takie rzeczy praktycznie się nie zdarzały. Nikt nie bywał aż tak krewki, żeby go zamykać na noc na dołku. Jeżeli już, to zwykle zabierano delikwenta do komendy powiatowej, gdzie były do tego odpowiednie warunki.

Trzeba by mu zanieść coś do jedzenia – pomyślał policjant, drapiąc się z zakłopotaniem po głowie. Idąc do pracy, tradycyjnie wstąpił do niewielkiej piekarenki, gdzie nabył kilka świeżych bułeczek i dwa pączki. Wszystko to niósł w papierowej torbie, która już zaczęła przepuszczać lukier, a tego cukiernik nigdy nie żałował swoim wyrobom.

Wasilewski zalał wrzątkiem kawę rozpuszczalną, wsypał dwie łyżeczki cukru, przekroił bułkę, starannie posmarował ją masłem, położył obok

pączka na talerzyku ze stylizowanym niebieskim napisem SPOŁEM. Tak zaopatrzony zszedł na dół, do piwnicy. Nie mógł włączyć światła, ale znał drogę na pamięć. Pięć schodków, zakręt w prawo, kolejnych siedem stopni w dół, a ostatni nieco wyższy od pozostałych...

– No, kelnerem chyba nie mógłbym zostać – mruknął pod nosem, postawił talerzyk i kubek na podłodze, bo dopiero tak mógł otworzyć drzwi.

Rozległ się zgrzyt przesuwanej zasuwki, skrzypnięcie starych zawiasów drzwi. Wasilewski schylił się po talerz i kawę i wyprostował z cichym stęknieniem.

– Pobudka, panie Rosłoń! – zawołał wesoło. – Śniadanie przyniosłem. Prosto z „Grandu”...

Chwilę potem naczynia zatańczyły mu w rękach. Kilka kropel gorącej kawy wylało się na palce, ale nie poczuł bólu. I niczego nie upuścił. Nie był pewien tylko swoich nóg. Z każdą chwilą czuł coraz wyraźniej, że ich mięśnie przestają pracować.

XII

Gdańsk, dzień drugi

Władysław Keller odwinął mankiet pizamy w biało-niebieskie pasy i spojrzał na zegarek. Parę minut po dziesiątej. Było już po obchodzie. Chciał zasnąć, ale odgłosy dochodzące z korytarza wcale tego nie ułatwiały. Pielęgniarki nawoływały się jak przekupki na targu i śmiały tak samo głośno o piątej nad ranem, jak po południu. Szczęk sztućców czy jakichś nieprzyjemnych medycznych narzędzi niósł się po szpitalnych wnętrzach. I niepokoił jak nic innego.

Keller znalazł się tutaj, w 7. Szpitalu Marynarki Wojennej przy Polanki, wczoraj, w niedzielne popołudnie z podejrzeniem zawału serca. Wtedy, w domu, jego wierny pies Kajzer jakimś cudem zdołał ocucić go na chwilę, dlatego Keller sam wezwał pomoc przez telefon. Po czym znów stracił przytomność.

Obudził się wieczorem, w nieswoim łóżku, podłączony do jakichś kabli, a nad głową miał dziwny sprzęt z kolorowym monitorem, na którym widniało jego imię, nazwisko i wiek, a także jakieś wykresy i cyfry. Chwilę później nadszedł lekarz, przez moment coś czytał i analizował. Wreszcie na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Jest nieźle, panie komandorze – powiedział tylko i poszedł sobie.

Okolo dwudziestej do sali wpadła jak burza córka Kellera, Ola, która, powiadomiona o nieszczęściu przez sąsiadów albo szpital, wsiadła w SKM-

kę i przyjechała z Rumi. Zapłakana, a potem, gdy okazało się, że to jednak nie był zawał, już tylko przejęta. Z miejsca zaczęła wszystko organizować: kompoty, pomarańcze, jak to w przypadku bliskiej osoby przebywającej w szpitalu.

Patrzyła na ojca okrągłymi z niepokoju, lśniąco jeszcze oczami. Znał doskonale to spojrzenie. Wiedział, że kryje się w nim pytanie. Obiecywał przecież, jej i matce, że będzie o siebie dbał: spacerować z psem, najwyżej jedna kawa dziennie, nie jeść samej „małpiny” prosto z puszki, no i żadnego alkoholu. Co się więc stało? Oczywiście poszła do lekarza. Kiedy wróciła do sali po kilku minutach, nawet się uśmiechała. Wtedy ojciec kazał jej iść i odebrać psa od sąsiadów.

W poniedziałek wcześniej rano, tak jak Keller przewidywał, odłączyli go od skomplikowanej maszynery i przenieśli z sali na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej na salę ogólną, do innego skrzydła szpitala.

Na szczęście w pomieszczeniu tym ustawiono tylko cztery łóżka, a pacjenci byli dość młodzi, więc komandor żywił nadzieję, że w nocy nikt nie będzie zbyt mocno chrapał. Mimo że niemal pół życia spędził, śpiąc w wieloosobowych salach, przeszkadzało mu to jak nic innego, włącznie z ostrzałem artyleryjskim. Przewrócił się na drugi bok. Może jutro mnie wypuszczą – pomyślał.

– Czołem, komandorze – usłyszał nagle nad sobą.

XIII

Frombork, dzień drugi

Dzwony katedry odezwały się równo godzinę przed Aniołem Pańskim. Już za chwilę miała się rozpocząć celebra powtórnego pochówku astronoma i kanonika fromborskiego, Mikołaja Kopernika. Między czerwonymi murami roiło się od elegancko ubranych ludzi.

– Wielki Polak, wielki uczony, którego myśl zna dziś cały świat, a twarz każde polskie dziecko. Dzisiaj znów ma swój wielki dzień – cedziła dziennikarka do mikrofonu z logiem stacji telewizyjnej i ustawionej kilka metrów dalej kamery. – Jest ze mną doktor Lesław Kubiak, jeden z archeologów, którzy po wielu latach poszukiwań odnaleźli szczątki astronoma.

– Dzień dobry państwu – przywitał się archeolog; wyglądał na stremowanego.

– Ile dokładnie lat trwały poszukiwania grobu Mikołaja Kopernika?

– Dwa lata. Warto wspomnieć, że w ciągu ostatnich niemal stu lat kilka razy podejmowano próby znalezienia grobu astronoma. Kiedy jednak my zaczęliśmy badania, dysponowaliśmy nie tylko nowoczesnym sprzętem, ale i nową hipotezą, gdzie należy szukać. Chodziło o to, że kanonicy fromborscy byli chowani zwykle w okolicach tego ołtarza, którym zajmowali się za życia. Z dokumentów wynikało, że jego pieczy

powierzono ołtarz Świętego Krzyża, a zatem właśnie pod tym ołtarzem zaczęliśmy nasze wykopaliska.

– Co było potem?

– Po upływie roku udało nam się znaleźć trumnę i znajdujący się w niej niekompletny szkielet, który mógł należeć do Kopernika. Zaczęły się badania antropometryczne, rekonstrukcja twarzy metodą Gierasimowa, w końcu badanie DNA, które ostatecznie dało odpowiedź na zadawane przez wszystkich pytanie, czy to naprawdę Mikołaj Kopernik.

– No właśnie – usłyszała za plecami stojąca nieopodal Monika Lauder. Odwróciła się i ujrzała Tomasza Horna. – Dzień dobry, redaktorze.

– Jak się spało? – zapytał.

– Kiepsko.

Chwilę milczeli, patrząc na to, co działo się wokół. Mężczyźni w eleganckich, ciemnych garniturach, duchowieństwo, spośród czerni sutann tu i ówdzie mignął biskupi fiolet, ekipy telewizyjne, nie tylko z Polski, trzask fleszy aparatów fotograficznych. Wzgórze Katedralne dalece różniło się od tego, które było odwiedzane codziennie przez setki turystów, hałaśliwe grupy kolonijne czy wycieczki emerytów z Niemiec.

Tomasz czuł się odrobinę nieswojo w tym eleganckim towarzystwie. Miał na sobie tylko dżinsy i cienką, lnianą marynarkę. Pod nią włożył podkoszulek. Na szczęście znalazł gładki, bez napisów. Marynarkę nosił zawsze, choć zwykle wkładał pod nią koszulę. Zwisająca z szyi nieaktualna już legitymacja prasowa ze zdjęciem i dużym logiem dziennika miała zneutralizować uczucie dyskomfortu, ale tylko w niewielkim stopniu spełniała swoje zadanie. Na szczęście jest z kim pogadać – pocieszał się w myślach.

Monika Lauder nie była już tak zaaferowana jak wczoraj. Nawet uśmiechała się częściej. W pewnym sensie ona, Kubiak i kilku innych

naukowców, którzy zjawili się na wzgórzu – mieli dzisiaj swoje święto.

– Co właściwie miałeś na myśli, mówiąc: no właśnie? – zapytała po chwili.

– Czy to naprawdę Kopernik?

– Odpowiedź brzmi: tak.

– Ale doktor Kubiak wspominał coś o brakujących kościach.

– A ty co, szukasz sensacji? – Gniewnie zmarszczyła czoło.

Horn zmusił się do pojednawczego uśmiechu. Tymczasem dostojne grono gości zaczynało powoli topnieć.

Wszyscy znikali w drzwiach katedry. Monika również ruszyła ku wejściu do świątyni. Po kilku krokach obejrzała się i rzuciła pogodnie.

– No chodź już, nie obrażaj się.

Po chwili Tomasz Horn zrównał się z nią w marszu. Na krótką chwilę przed wejściem do katedry odruchowo spojrział w górę. Wiatr gonął białe obłoki znad morza. Jeśli nie liczyć smug po samolotach, a i tych akurat w tej chwili nie było, tylko niebo nad Fromborkiem nie zmieniło się od czasu, kiedy żył tutaj ten, którego szczątki miały dziś zostać ponownie złożone do grobu.

XIV

5 mil morskich od Helu, 12 lipca 1512 roku

– Spójrz. – Lekko drżący, zakrzywiony palec dłoni starszego mężczyzny o ciemnej karnacji wycelowany był w linię horyzontu. – Tam jest właśnie Polska.

– Skąd to wiesz, ojcze? – zapytał stojący obok chłopak, niski, drobnej budowy ciała, by nie rzec: cherlawy. – Przecież tam niczego nie widać. Jeszcze nikt z bocianiego gniazda nie krzyczał.

– Wiem. Po prostu to wiem, mój miły! – odpowiedział stary z uśmiechem, gładząc syna po głowie. – Przed wiekami pisał wielki uczonec, brat nasz Ibrahim ibn Jakub, że kraj ten obfituje w żywność, mięso, miód i rolę orną. Za srebrne monety, które wieziemy, kiedyś Saqlabi sprzedaliby ci skórki lisów i bobrów.

– A dzisiaj? – zapytał młodzieniec.

– Dzisiaj to już inni ludzie. Jest wśród nich wielu uczonych, matematyków, a nawet astronomów. Niezmienne jest jednak to, co najcenniejsze i po co tak naprawdę jedziemy do Polski.

– Co takiego?

– Amber.

– Krople słońca?

– Tak, synu. Od Gdańska w głąb Europy i jeszcze dalej, na Bliski Wschód, prowadzi od wieków szlak bursztynowy.

Stali we dwóch przy relingu fleuty, galeonu handlowego, jakich wiele pływało po Bałtyku i Morzu Północnym. Kadłub jego przywodził na myśl ogromnych rozmiarów gruszkę. Na pokładzie statku, pod szarymi, zniszczonymi od wiatru, deszczu i słońca żaglami uwijali się majtkowie, tu i ówdzie można było zauważyć też innych kupców.

I choć nad wszystkim powiewała trójkolorowa bandera habsburskich Niderlandów, słyszało się tu mowy wielorakie: niemiecką, angielską, francuską, ale i arabską. Na mostku kapitańskim niezmiennie czuwał van Hallen, dowódca fleuty.

– Ziemia! Ziemia na horyzoncie! – dobiegło naraz z bocianiego gniazda.

Kapitan podniósł do oka lunetę, chwilę wpatrywał się w bezkres zimnego morza, zwanego Bałtyckim albo Wschodnim. Morza, do którego kresu właśnie docierali.

– *Nu goed* – mruknął pod nosem z zadowoleniem.

Chwilę potem, zapytany o coś przez jednego z kupców, pokiwał głową, ale jego twarz nie zdradzała żadnych oznak radości z rychłego końca podróży. Choć niebo było czyste, morze spokojne, a słońce przygrzewało mocno, kapitan wskazał coś na horyzoncie i powiedział, może do kupca, a może do siebie, tylko jedno, jedyne słowo:

– Hel.

– *Hell?* – zdziwił się kupiec, czoło zmarszczył i o nic już nie pytał.

Stary człowiek o ciemnej karnacji skóry nazywał się Abbud Mohammed As-Sabur Salah, na syna zaś wołał Jasin. Jak sam Abbud mówił, pochodzili z Damaszku i od wielu lat podróżowali po Europie w celach handlowych. W Amsterdamie za odpowiednią liczbę guldenów

zaokrętowali się na fleucie, która wkrótce wzięła kurs na jedno z wielkich hanzeatyckich miast – Gdańsk.

Abbud Mohammed As-Sabur Salah miał być po raz drugi w tym mieście: oczami pamięci widział już piękny i ogromny port, zdolny, jak wieść niosła, przyjąć może i dziesięć setek statków rocznie! Widział rzekę Motławę i płynące nią w głąb lądu barki z drewnem, woskiem i miodem, a także ogromny, średniowieczny dźwig portowy, nazywany imieniem miejscowego ptaka.

W dali, wzdłuż liczącego ponad trzy kilometry nabrzeża portu, piętrzyły się portowe magazyny, spichrze, gdzie składowano zboże, warsztaty remontowe, a także gospody, w których można było otrzymać strawę i miejsce do spania. Uliczki Gdańska tętniły zawsze życiem, gwarny, kolorowy tłum przewalał się wzdłuż murowanych domów od wczesnego ranka do późnego wieczora, gdzieniegdzie rozbrzmiewała muzyka, występowały trupy teatralne.

O wszystkim tym wiele razy opowiadał Abbud swemu jedyńemu synowi. Teraz wreszcie młodzieniec miał ujrzeć wszystkie te cuda na własne oczy.

– Wypijmy, panie Salah! – Jeden z kupców podszedł z kielichem wypełnionym winem, na co kupiec i tym razem tylko się uśmiechnął.

– Pijcie, panowie, na zdrowie – odpowiedział.

Na pokładzie było wesoło, nie tylko za sprawą rychłego szczęśliwego zakończenia rejsu. Bywało, że kupcy popili sobie tego, ani razu jednak nie brali w tym udziału kupcy arabscy. Choć częstokroć nakłaniani, wymawiali się zakazami, jakie niesie w tym względzie ich religia.

Abbud Mohammed As-Sabur Salah miał jednak tak naprawdę dużo więcej powodów, by trzymać się prosto, choć przeżyte lata coraz bardziej pochylały jego tułów ku ziemi.

Nic nie zapowiadało zmiany pogody. Może prócz przeczucia kapitana van Hallena, choć tyczącego jedynie miejsca, w którym wiele razy, jak długa historia żeglowania po Bałtyku, dochodziło do rozmaitych nieszczęść. Mrukliwy z natury Holender zresztą i tak przez cały rejs minę miał taką, jakby ledwo wczoraj wymordowano mu całą rodzinę i spalono dom. Może zresztą i tak było, strach nie pozwalał jednak pytać wścawca, drażnić go niepotrzebnie.

Kosa Helska była już widoczna bardzo dobrze, kiedy nagle słońce skryło się za chmurami. Zrobiło się chłodno, choć morze wciąż było spokojne. Chmury mogły być jednak zarówno zapowiedzią nawałnicy, jak i niewielkiego deszczu.

Van Hallen wpatrywał się spod szerokiego ronda kapelusza w linię horyzontu, na której co niektórzy kupcy pokazywali już sobie wieżę helskiego kościoła, oraz w nieprzystające zmieniać kolorów niebo. Zapewne też nikt wśród członków załogi i pasażerów, nikt oprócz kapitana, nie zauważył, że gdzieś zniknęły wszystkie mewy.

- Refować żagle – wydał komendę po niderlandzku.
- Tak jest! – odkrzyknęło kilka głosów.
- Szybciej! I gdzie jest van Dijk?

Nikt jednak nie widział pierwszego oficera. Majtkowie doskoczyli do fałów, zaczęli wspinać się po rejach, ciągnąć liny, jak najlepsza załoga na chwilę przed długo wyczekiwany atakiem na okręt wroga. I tak ledwo co wypełnione wiatrem, ale napięte płachty płótna poczęły załamywać się, marszczyć niczym trawiona ogniem kartka pergaminu, na której wypisano tajemnicze słowa.

Wiedzieli dobrze, po co to robią. Fleuta van Hallena nie miała zapasowych żagli.

Tymczasem wiatr wzmógł się i drewnianą gruszką zaczęło kołysać. Falom wyrosły białe grzywy. Zdziwieni kupcy chwyтали się belek relingu, chwiejnym krokiem, za który tym razem nie odpowiadał wyjątkowo wypity miód ani wino, kierowali się do swych kajut.

Jedynie Abbud Mohammed As-Sabur Salah trwał wciąż w pobliżu dziobu, zaciskając ciemne dłonie na relingu. Syn nie spuszczał z niego oka.

– Allah ma nas w swojej opiece – uspokajał młodzieńca, zmuszając się do uśmiechu, z każdą chwilą sztuka ta wymagała od niego coraz więcej wysiłku. – *Allah akbar*.

– *Allah akbar* – powtórzył jak echo chłopak.

W ciągu zaledwie kilku chwil zrobiło się ciemno niemal tak jak w szarej godzinie. Chłopak z bocianiego gniazda, zwykle ku uciesze pasażerów galeonu wyczyniający w swoim koszu istne cuda, czym przypominał małąkę, teraz siedział skulony, zapewne drżący ze strachu i zimna, niemal niewidoczny, a zza krawędzi gniazda wystawała jeno jego spłowiała od słońca, kudłata głowa. Statek nie miał już wszak nóg, ale musiał mieć oczy.

– Co się dzieje, kapitanie?! – zapytał po niemiecku jeden z kupców, który na pokład wsiadł w hanzeatyckim Hamburgu.

– Idzie burza, panie – odpowiedział van Hallen z kamienną twarzą, nie spuszczając wzroku z jednego, sobie tylko wiadomego punktu. – Idźcie wszyscy do dziobowego kasztelu.

– Dotrzemy do brzegu? – zapytał Niemiec drżącym głosem.

Holender skinął głową.

– Na pewno? – naciskał kupiec. – Armator zapewniał, że...

– Tak – odparł twardo kapitan, zaciskając palce do białości na kole sterowym.

Jego fleuta bowiem już dawno nie płynęła w stronę lądu.

– Van Dijk! – krzyknął kapitan, znów jednak nikt nie odpowiedział na zawołanie.

Kupiec, choć odziany bogato, korpulentny i z pierścieniami na wszystkich palcach, małał w oczach niczym kiszka zwierzęca, z której uchodzi powietrze w rączkach dziecka. Skłonił się przy tym nisko i uniósłszy oburącz poły długiej szaty, niezdarnie drobiąc kroki, walcząc z przechyłami, ruszył ku dziobowi, gdzie, w istocie, w jednej z kaszt znikali inni kupcy.

Wtem huknęło. Kapitan nawet nie zdążył ujrzyć błysku. Nawałnica była coraz bliżej.

– *Godverdomme!* – ryknął. – Gdzie jesteś, do kroćset, van Dijk?!

Gdyby ktoś chciał odnotować moment, w którym o pokład uderzyły pierwsze krople deszczu, nie byłby w stanie tego zrobić. Ulewa – i to od razu ściana deszczu – po prostu zjawiała się, tak jak zjawia się zabójca w nożem w ręku w ciemnym zaułku portowego miasta. Woda otaczająca ze wszech stron gruszkowatą skorupę zdawała się wrzeć. Po pustym i mokrym pokładzie, objając się to o jedną burtę, to o drugą, przesuwała się jakaś zapomniana skrzynia, zapewne kryjąca cenny towar, o którym jednak nikt w tej chwili nie myślał.

Trwający wciąż na swoim stanowisku kapitan van Hallen darł się wniebogłoso, wydając polecenia pojedynczym cieniem, coraz mniej podobnym do ludzkich istot. W ciemnościach raz po raz łyssały tylko ich twarze i pięty bosych stóp. Van Hallen stał w szerokim rozkroku, napierając piersiami na koło sterowe, choć z każdą chwilą tracił pewność, czy ów nadludzki wysiłek ma jeszcze jakikolwiek sens...

W górze przetoczyła się cała seria grzmotów, poprzedzonych błyskami, które na ułamki chwili rozświetlały ciemność, ukazując jednocześnie, że na pokładzie fleuty wciąż ktoś się znajduje, biega w pozornym bezładzie,

próbuję walczyć z siłami natury, wytrwać w tym jeszcze przez chwilę, a nuż Stwórca, jakkolwiek mu na imię, łaskawie odstąpi, złagodzi swój gniew.

Za każdym razem, gdy jasność pękała nad masztami, kapitan van Hallen nie mógł oprzeć się wrażeniu, że widzi nieludzko wykrzywioną twarz demona. Krople wody siekły pionowo, ale i poziomo. Świat wokół tracił najwyraźniej rozum, a ludzie razem z nim.

– *Godverdomme!* – ryknął znów ze wszystkich sił.

Krzyk jego stopił się w jedno z kolejnym trzaskiem gromu, o wiele potężniejszym niż poprzednie. Statkiem kołysało jakby był tylko zabawką wystruganą przez chłopca z kory sosnowej, przez burty wlewało się coraz więcej wody. Nie było wiadomo nie tylko, gdzie znajduje się jaka strona świata, ale i gdzie jest niebo, a gdzie ziemia, a tak naprawdę morze.

– Kapitanie, nie nadążamy z wybieraniem wody! – wykrzyczał w swoim ojczystym języku jeden z majtków, z trudem zachowując równowagę.

Van Hallen nic nie odpowiedział. Nie zdążył. Rozległ się potężny huk, po nim trzask łamiącego się drewna. Jeden z masztów, przełamany niemal dokładnie w połowie, zwałił się z łoskotem na pokład, przygniatając kilka osób. Ryk bólu mieszał się z wyciem wiatru, ten przechodził w złowróżbny gwizd.

Statek przechylał się coraz bardziej w stronę lewej burty, uczeplone zrazu relingu pojedyncze postacie ześlizgiwały się po pokładzie. Szczęśliwcy kończyli boleśnie obici o przeciwległą balustradę, innych bezpowrotnie pochłaniało rozszalałe morze. Potężny kadłub zdawał się wirować niczym nic nieważący listek, splukany wraz z brudną wodą i niknący w okrągłym odpływie po porannej ablucji.

Trzasnął i drugi maszt. Reje zabębniły rozpaczliwie na deskach gretingu. Potargane żagle krępowały, a uwolnione liny siekły bezlitośnie

ciała miotających się po pokładzie ludzi, tak członków załogi, jak i kupców, których ze schronienia wyгнаła trwoga o swoje towary.

Pod pokładem, gdzie zmagazynowano skrzynie na czas podróży, kłębił się wielojęzyczny tłum. Kupcy szarpali się z materiałami, poodwijanymi z bel, usiłowali zapanować nad dywanami. Wszyscy brodzili po kostki w czymś sypkim, najpewniej zbożu. Kiedy tylko jednemu z drugim udało się pochwycić skrzynię w ręce albo nawet dwie i upchać pod pachami, nagły przechył bezlitośnie rzucał nieszczęśnikiem o ścianę, wytrącając mu z rąk szkatuły. Te, upadając, często się rozbiły.

Wtedy też dawała o sobie znać chciwość: mężczyźni rzucali się na lśniące w świetle palących się jeszcze w lichtarzach świec błyskotki, próbując zagarniać je całymi garściami. Zapominali o tym, co dzieje się na zewnątrz.

– To moje! – krzyknął któryś po francusku.

– Łżesz, psie – odparł prowokująco amator cudzej własności, który najwyraźniej zamierzał iść na całość.

– Zostaw to, mówię ci.

– No to sam mi odbierz, co niby twoje.

– Giń, świnió!

Francuz całym ciałem zwałił się na rabusia, upychającego zapamiętałe kosztowności po kieszeniach. Błysnęło ostrze długiego noża. Mężczyzna dopadł z rykiem gardła wroga i nim ktokolwiek z obecnych zdołał zareagować, poderżnął je jednym pociągnięciem. Krew trysnęła na wszystkie strony, ale i to nie było w stanie ostudzić złodziejskiego zapachu, w który tak szybko i łatwo przerodziła się zwykła bojaźń o dobro własne.

Niedługo jednak cieszyli się kupcy z nowych i odzyskanych towarów i pieniędzy, którymi chcieli płacić po dobieciu do brzegu. Wszystko zrównała i wszelkie spory zakończyła woda, która szerokim strumieniem,

sycząc jak ogromne stado jadowitych węży i kipiąc niczym podgrzewana w ogromnym kotle, wdarła się z impetem do ładowni.

W tym samym momencie ostatni maszt statku, ten z bocianim gniazdem na szczycie, dotknął wody, choć nie złamał się. Fleuta leżała teraz na lewej burcie. Koło sterowe obracało się samo. Nie było już przy nim ani kapitana van Hallena, ani do końca oczekiwanego na mostku van Dijka.

– Ojcze! Ojcze! – słychać było już tylko pojedynczy, płaczliwy, chłopięcy głos. – Ojcze, gdzie jesteś?

Ktoś wołał, ale w nieznanym przez nikogo języku. Lecz nawet gdyby krzyczał po angielsku, francusku, niderlandzku czy niemiecku, nikt, nie tylko Abbud Mohammed As-Sabur Salah, nie mógłby go usłyszeć. Nad głową młodzieńca huczało tylko zimne, nieprzyjazne i mordercze, jak się okazało, morze.

Gruszkowaty kadłub holenderskiej fleuty leżał do góry dnem, kołysany przez coraz bardziej spokojne morze. Burza odeszła tak niespodziewanie, jak przyszła. Wody Półwyspu Helskiego, za którego główką – znów było ją dobrze widać – rozpościerała się spokojna Zatoka Gdańska, i tym razem zebrały krwawe żniwo.

XV

Frauenburg, 14 lipca 1512 roku

– Boli mnie jeszcze, uważa ksiądz, o tu. – Piwowar Edwin

Lotzke wypiął tylną część ciała, podkasawszy połą kaftana. – Jak się schylam, to boli najbardziej. Normalnie jakby kto rozpaloną stal przykładał. Mówię księdzu, rozpaloną stal!

Medyk nic nie powiedział, tylko uśmiechał się dobrotliwie, choć jednocześnie czoło jego orały głębokie bruzdy. Takiego go zwykle widzieli pacjenci Szpitala świętego Ducha. U kanonika, który wiedzę eskulapa posiadał był aż w dalekiej Italii, przychodzili szukać ratunku zarówno ci, których przypadłości różne męczyły od dawna, jak i ci, z których krew lała się jak, nie przymierzając, ze szlachtowanego knurka, co wynikiem było sprzeczki nagłej albo pracy.

Jak umiał, tak pomagał. Jednym skutecznie, innym z gorszym skutkiem. Jego pacjentami byli zarówno prości rzemieślnicy, jak teraz piwowar Lotzke, któremu zaraz pomoc przyniesie, lek skuteczny obmyśli, recepturę na razie w głowie ułoży, jak i wielcy tego świata – książęta i biskupi, z czcigodnym biskupem warmińskim, a prywatnie wujem doktora i jego protektorem, Łukaszem Watzenrodem, na czele.

Choć kanonikat fromborski objął już niemal piętnaście lat temu, mijały dopiero dwa, odkąd człowiek ów, niemal czterdziestoletni, o surowym obliczu, nosie orlim i ciemnych, spływających łagodnie na ramiona

włosach, zamieszkał na fromborskim wzgórzu, gdzie zaczął pełnić urzędy kanclerza i wizytatora kapituły, a wkrótce i przełożonego kasy aprowizacyjnej. Rachował też i sporządzał mapy okolic.

Dwa jednak inne obowiązki wykonywał, można by rzec, z miłości bardziej niż z odgórnego nadania: leczył ludzi i patrzył w gwiazdy. I myślał. A myśl jego była wolną i, jak się miało okazać po latach, wielką.

– Będzie dobrze, mój Lotzke – uspokajał pacjenta. – Zgłoś się jutro po miksturę,

– Z rana?

– Byle nie przed świtem.

– Rozumiem.

– Ale i nie później, niż zadzwonią na Anioł Pański. – Medyk pogroził długim palcem opasłemu rzemieślnikowi.

– Niech cię Pan Bóg błogosławi, doktorze Mikołaju – jęknął piwowar, po czym zniknął za drzwiami izby, gdzie medyk przyjmował chorych.

Kopernik popatrzył w okno. Dzień był upalny, powietrze można było krajać mieczem. Najpewniej znów czeka nas burza – pomyślał.

Nowi pacjenci nie pukali do drzwi, więc zaczął przygotowywać leki, które, odebrane następnego dnia, miały przynieść ulgę w cierpieniu dzisiejszych pacjentów.

Praktykował od lat niemal dziesięciu. Cenił sobie bardzo Mikołaj przepisy Awicenny z Buchary, sławnego, żyjącego przed czterema wiekami arabskiego lekarza i filozofa. Zaglądał także do *Philonium pharmaceuticum et chirurgicum* autorstwa Valescusa de Taranta, który był lekarzem króla Francji, Karola VI, a także do *Chirurgii* Piotra de Lagerlata czy *Medycyny Anglicusa Rosy*.

Nie powstrzymywał się przed zamieszczaniem na marginesach owych ksiąg własnych uwag, jak i recept: jak uleczyć paraliż, kolkę, katar,

a nawet... dżumę. Co zrobić, by nie wypadły zęby ani włosy, a nawet jak je farbować. W jaki sposób sporządzić środek na przeczyszczenie, pozbyć się bólu brzucha, ale i głowy.

Księgi księgami, ale to każdy dzień, kiedy to bezpośrednio stykał się z ludzkim cierpieniem, czynił z niego lepszego lekarza. I człowieka.

– Niech będzie pochwalony – od drzwi dobiegł cichutki głos.

Mikołaj podniósł wzrok znad herbarium. W szczelinie między drzwiami a murem tkwiła głowa nieznanego mężczyzny, sądząc po wyglądzie, z niskich stanów. Nie był to widok niezwykły, wszak tylko tacy szukali pomocy w Szpitalu świętego Ducha. Tego człowieka kanonik jednak nie pamiętał.

– Na wieki wieków – odpowiedział na pozdrowienie. – Proszę, wejdźcie.

Przybysz ukazał się w pełnej krasie: był wielki, głową sięgał niemal sufitu. Ubiór i zapach szybko zdradziły jego codzienne zajęcie: był rybakiem.

– W czym mogę ci pomóc, przybyszu? – zapytał Mikołaj.

Rybak wydawał się zawstydzony albo bardzo czymś zaaferowany. Poza tym wyglądał na okaz zdrowia, a więc to pewnie nie on oczekiwał pomocy lekarskiej.

Chętnie przejdę się nad zalew – pomyślał Mikołaj, po czym uśmiechnął się zachęcająco.

– No, nie trzeba się bać – powiedział.

– Chodzi o to, że kilka dni temu była u nas burza, panie. Wielka burza! – zaczął, drapiąc się po głowie, która nie znała grzebienia. – Wiele łodzi strzaskały bezlitosne fale, a wiatr poniósł nawet i na Żmudź. Wiele szkód, bardzo wiele.

– Pamiętam – przytaknął kanonik. – Mówcie dalej, śmiało.

– Chodzi, panie, o to, że morze wyrzuciło na brzeg nie tylko deski, nadgniłe żagle i materie na sprzedaż, ale i pewnego żywego rozbitka. Czarny jest jak sam diabeł. Mówi też, że zrozumieć go nijak nie sposób. Gorączkuje. Co chwila jakby zasypiał. Wiele czasu musiał biedak płynąć, trzymając się rękami tego, co pewnikiem pozostało po statku, którym podróżował.

– Chodźmy zatem, rybaku – zawołał z uśmiechem medyk.

– A ile to, proszę księdza, kosztować będzie? – zaniepokoił się mężczyzna. – Bo moja rodzina...

– Chodźmy już, chodźmy. – Kanonik złapał za niewielki kuferek kryjący narzędzia lekarskie i obaj rychło opuścili budynek.

Szpital stał na wschód od katedry fromborskiej, ledwie o kilka minut marszu od świątyni. Nieco dłużej szło się do kanonii, którą zamieszkiwał Mikołaj Kopernik. Teraz jednak lekarz nie myślał nawet zachodzić do domu. Skierował się wprost na brzeg, z zamiarem dokonania jak najszybszych oględzin chorego, postawienia diagnozy, wstępnego obmyślenia antidotum.

Zdziwił się jednak bardzo, gdy miał do jednej z rybackich chałup nad Frisches Haff, rybak zaprowadził go do łodzi, cumującej w porcie, gdzie czekał drugi z rybaków, niemal identyczny z wyglądu, najpewniej rodzony brat posłańca.

– Szczęść Boże! – Skłonił się nisko.

Mikołaj tym razem nie odpowiedział.

– Nie pojmuję – rzekł. – Gdzie jest chory?

– W Kahlbergu, proszę księdza – odpowiedział rybak, buchtując cumy, a jego brat szybko dodał po polsku:

– Wieś nasza Łeb się zowie.

Kopernik spojrzął za siebie. Słońce stało w zenicie nad miastem i wzgórzem. Westchnął tylko głęboko, po czym wszedł na pokład łodzi. W chwili gdy odbijali do brzegu, odezwały się dzwony na Anioł Pański.

– Szczęść Boże! – odpowiedział dopiero teraz na pozdrowienie rybaka.

Wody Frisches Haff były spokojne. Łódź posuwała się szybko do przodu, wykorzystując półwiatr, dzięki czemu szybko znaleźli się na środku zalewu, gdzie tak samo było widać wieże fromborskiej katedry, jak i zalesioną mierzeję wiślaną i jej najwyższy punkt – wydniętą zwaną Wielbłądzim Grzbietem, skąd można było oglądać jednocześnie zalew i pełne morze.

– Już niedługo, panie – uspokajał rybak.

Nie był jeszcze Mikołaj po drugiej stronie Małej Wody, której to nazwy miejscowi często używali dla odróżnienia od Wody Wielkiej. Owszem, wiele razy nosił się z zamiarem wyprawy na półwysep zaczynający się w Stegnie, a kończący w Piławie, ale drogą lądową, powozem lub konno. Byłaby to ważna część jego prac nad mapą Zalewu Wiślanego, która miała być drugą, po sporządzonej mapie Warmii.

Im bardziej zbliżali się do Kahlbergu, medyk intensywniej myślał też o tajemniczym pacjencie, z którym dane mu będzie spotkać się za chwil kilka.

Czarny jak diabeł – tak go określili miejscowi rybacy. Czyżby Hiszpan? – spekulował w myślach. A może Włoch? – ucieszył się, przywołując wspomnienia niedawnych studiów w Ferrarze, Padwie i Rzymie.

Widać już było rybacki port w górzystej i ukrytej w lasach wsi Łeb. Łodzie o poszarzałych od wiatru żaglach odbijały od brzegu i przybijały doń z taką samą częstotliwością.

– Oby nie było za późno – jęknął jeden z braci, gdy dobijali do brzegu.

– Wszystko w rękach Pana – skwitował drugi, patrząc wymownie na gościa.

– Prowadźcie – rzekł twardo lekarz.

Ledwo Mikołaj wstąpił na stały ląd, z miejsca otoczyła go chmara rozkrzyczanych, półnagich dzieciaków i psów merdających ogonami. Zaczął żałować, że nie przygotował się lepiej do tej podróży, choćby wdzwiewając wygodniejszy, podróżny strój. Długa szata plątała mu nogi, dzieci łapały go za poły, czego z pewnością żadne nie odważyłoby się uczynić miejscowemu proboszczowi. Mimo to parł dalej, uśmiechał się do dzieci, czasem któreś pogłaskał po głowie.

Kręta ścieżka zaprowadziła tę nietypową świtę na jedno z wzgórz, gdzie położona była rybacówka. W miarę jak zbliżali się do domostwa, orszak topniał. Tych, którzy nie wyczuli powagi chwili, bracia rybacy zaczęli odpędzać. Zapiszczał trafiony kamieniem kundel.

– To tu – powiedział rybak, który kilkanaście pacierzy wcześniej stanął na progu izby lekarskiej Szpitala świętego Ducha.

W drzwiach chaty pojawiła się gospodyni, młoda kobieta, najpewniej żona któregoś z rybaków. Skinęła głową.

– Żyw jeszcze! – zawołali obaj bracia niemal jednocześnie.

Kopernik ruszył ku wejściu. W chacie panował półmrok, pachniało świeżo upieczonym chlebem i wędzonymi rybami. Gospodyni zaprowadziła kanonika do jednej z izby. W nikłym świetle, które sączyło się przez niewielkie okienko, widać było posłanie i leżącą na nim postać.

– *Boungiorno* – przywitał się Mikołaj, zbliżywszy się do chorego. – *Come ti chiami?*

Cisza.

– *Parla italiano?*

Chory westchnął. Lekarzowi wydawało się, że słyszy jakieś dźwięki płynące z jego ust.

– Dajcie więcej światła – zawołał do rybaków.

Rychło przyniesiono mu kaganek. Z płuc chorego dobiegało miarowe rżenie, zaś w pełgającym świetle patrzyły na lekarza wielkie, czarne oczy. Wargi rozbitka były spierzchnięte, z trudem, ale wydobywały się z nich jakieś słowa.

– *La afham.*

Mikołaj drgnął. Nie, to chyba niemożliwie – przeszło mu przez myśl.

– Niech wszyscy opuszczą izbę – zawołał znów, nie odwracając się. – Muszę dokładnie zbadać chorego.

– *La atakallam gayyidan bi-āl-lugha āl-‘arabiyya* – rzekł kanonik, gdy byli już sami. – Muszę cię zbadać.

Ręka mężczyzny sięgnęła w stronę brzucha leżącego, napotkała jednak na opór.

– Muszę cię zbadać – powtórzył Mikołaj najłagodniej, jak tylko potrafił.

Dwa pacierze później fromborski medyk siedział na ławeczce przed rybaczką i rękawem ocierał pot z czoła. Starał się opanować drżenie rąk.

– Wyżyje? – zapytali bracia znów zgodnym chórem.

Kanonik potwierdził skinieniem głowy.

– A wie już ksiądz, kim on jest? – zapytał drugi z rybaków.

Mikołaj Kopernik popatrzył na niego z napiętą uwagą. Z każdą chwilą jednak mięśnie jego twarzy rozluźniały się, aż w końcu wystąpił na nią uśmiech.

– Z daleka. Bardzo daleka – powiedział, po czym dodał jeszcze ciszej. Wiedział, że tym, co powie, wprawi ich w nie lada zdumienie: – I nie on, tylko... ona.

XVI

Frombork, dzień drugi

Tomasz Horn chyba nigdy dotąd nie był i zapewne nie będzie na pogrzebie, na którym nikt nie płakał. Żadnego pochlipywania, sięgania po chusteczkę, zaczerwienionych oczu, pocieszania wdów i sierot. Poza tym wszystko odbyło się jak należy, zgodnie z kościelną celebrą. Msza, dzwonki, komunia, do której ustawił się sznureczek VIP-ów (spróbowałby który tego nie zrobić!), przekazywanie sobie znaku pokoju i „Wieczne odpoczywanie racz mu dać panie...”.

Mała dębowa trumienka ze złoceniami, zawierająca skrzynię z kilkoma kostkami i niekompletną czaszką, ale o tym tak naprawdę wiedzieli nieliczni, zniknęła wreszcie pod posadzką katedry, w sąsiedztwie jednego z bocznych ołtarzy. Miejsce, które zostało tymczasowo, przed zamurowaniem i zamontowaniem specjalnej szklanej pokrywy, zakryte elegancką, obitą aksamitem pokrywą, pokryły wieńce i wiązanki kwiatów z biało-czerwonymi szarfami.

Przez cały czas grały słynne fromborskie organy, chór mieszany śpiewał podniosłe pieśni patriotyczne, od *Mazurka Dąbrowskiego* po *Rotę*, a kościelne dzwony były jak oszalałe. Około pierwszej po południu niecodzienna uroczystość dobiegła końca.

– I pomyśleć, że mało brakowało, a za swoje poglądy nasz bohater spłonąłby na stosie – podsumował Horn, gdy wraz z Moniką wyszli

z katedry i stanęli niedaleko głównego portalu.

Podszedł do nich uśmiechnięty i zadowolony doktor Kubiak. Z poluzowanym krawatem i rozpiętą pod szyją koszulą wyglądał jak student po egzaminie albo pan młody przed oczepinami.

– Chciałem jeszcze raz podziękować panu za pomoc. – Wyciągnął prawicę do Horna. – Jesteśmy naprawdę wdzięczni. Gdyby nie pan, pewnie w ogóle nie doszłoby do tej uroczystości.

Dziennikarz potaknął głową. Nigdy też jakoś nie był łasy na pochlebstwa. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to skierowanie dyskusji na inne tory.

– Ciekawe, co może grozić złodziejowi? – rzucił lekkim tonem. – Przepraszam, ale wypadło mi z głowy, jak on się nazywa...

– Rosłoń. Ludwik Rosłoń – odparł Kubiak, ściskając jednocześnie ręce przesuwających się wciąż obok gości, znajomych i tych, których widział po raz pierwszy, ale którym należało się tyle samo, jeżeli nie więcej sympatii.

– Dzisiaj ma przyjechać prokurator – dodała Monika. – To była recydywa, więc chyba tym razem tak łatwo się nie wywinie.

– Dziękuję, panie aspirancie – Kubiak właśnie potrząsał prawą dłońią Wasilewskiego. – Mam nadzieję, że nasz gagatek nabrał pokory przez tę noc? – zapytał ze śmiechem.

Twarz komendanta była nieruchoma, pokrywał ją rumieniec.

– Ja właśnie w tej sprawie – rzekł aspirant. – Czy moglibyśmy odejść na bok?

– Ale co się stało? Wszyscy złożyliśmy już zeznania, a jeśli chodzi o prokuratora...

– To ja – odezwał się mężczyzna w granatowej marynarce, którego obecności jakoś wcześniej nie zauważyli. – Dzień dobry panu. Prokurator Jerzy Nowacki – przedstawił się.

– Kubiak.

– Pan aspirant na rację, musimy porozmawiać, doktorze. Właśnie o Ludwiku Rosłoni.

– To oczywiste. – Kubiak rozejrzał się nerwowo, jakby w oczekiwaniu pomocy, po czym spojrzał znacząco na zegarek. – A może umówimy się na później? Mamy jeszcze zaplanowanych kilka spotkań, między innymi z prasą. Potem obiad...

– Ludwik Rosłoń nie żyje – powiedział twardo, ale niegłęboko Nowacki.

– Słucham?

Monika Lauder pobladła. Tomasz Horn wstrzymał oddech.

– Powiesił się w nocy w celi – dokończył prokurator.

Kiedy dotarli na posterunek u zbiegu ulic Kapelańskiej i Basztowej, akurat odjeżdżała stamtąd czarna furgonetka należąca do zakładu pogrzebowego. Wciąż jednak w pobliżu posterunku i okolicach parkowało o wiele więcej niż zwykle samochodów, w tym radiowozy. Wiedzieli już, że pochówek Kopernika nie jest tego jedyną przyczyną. Doktor Kubiak, nie chcąc robić sensacji w okolicach katedry, zgodził się złożyć zeznania na posterunku.

– Właściwie, co my mamy z tym wspólnego?! – zastanawiał się głośno, by za chwilę popaść w tępą zadumę, wszak, jakby nie było, nie żyła osoba znajoma: przeciwnik, złodziej, ale zawsze człowiek!

Prokurator Nowacki przyjął Kubiaka z jednym z gabinetów na piętrze, udostępnionym przez Wasilewskiego. Sam aspirant w tym czasie tłumaczył się wyższym oficerom z elbląskiej dochodzeniówki, których powiadomił o zdarzeniu chwilę po tym, jak znalazł zwłoki aresztanta wiszące na pasku.

– Jestem pewien, że w chwili, gdy wchodził do celi, nie miał nawet sznurówek, nie mówiąc już o pasku – powiedział oficerowi w stopniu

nadkomisarza, który od razu to zanotował.

– Protokół jest? – zapytał śledczy.

– Tam. – Wasilewski wskazał papier leżący na podorędziu nadkomisarza, po czym zapytał: – Wszystkie rzeczy są w depozycie. Ja wiem, że gość powinien siedzieć w normalnej celi, dyrektywy Unii Europejskiej i tak dalej. Ale to przecież miała być tylko jedna noc! Kawę mu nawet rano przyniosłem, a on już... Ty, Marek – zwrócił się po imieniu do oficera, bo dobrze się znali. – Jeżeli to był samobój, grozi mi coś?

W tym samym czasie Kubiak opowiadał o wszystkim, co wydarzyło się poprzedniego dnia: począwszy od kradzieży samochodu Moniki przez odnalezienie zguby, ale już bez skrzyni, po pościg.

– Skąd pan właściwie wiedział, że to właśnie Ludwik Rosłoń może za tym stać? – zapytał zniechęcony prokurator. Kubiak wzruszył ramionami.

– Jestem o coś podejrzany? – spytał zamiast odpowiedzieć.

– Nie. Chcemy tylko ustalić możliwie najwięcej okoliczności sprawy – odparł ze spokojem Nowacki, który podobne pytania słyszał kilka razy dziennie.

– Szkoda tylko, że sam Rosłoń nie będzie mógł nic wyjaśnić – rzucił sarkastycznie Kubiak. – Może po prostu sumienie wreszcie go ruszyło.

– I dlatego się powiesił?

– Bał się więzienia. Przecież jako recydywista miał Sztum lub Iławę jak w banku. A mało to krwi nam napsuł przez te wszystkie lata?! Nie mówiąc już o stratach finansowych. Wczoraj o mały włos nie spieprzyłby najważniejszego osiągnięcia naszego zespołu!

– Mieliście zamiar wnieść oskarżenie?

– Oczywiście! Tym razem miarka się przebrała. To już nie były kawały w rodzaju podrzucania na miejsce wykopalisk kości wołowych, kupionych

chwilę wcześniej w mięsnym, czy liścików od dinozaurów. Albo zasypywanie stanowisk.

– Tak, to wszystko jest w aktach – potwierdził bez cienia uśmiechu prokurator.

– Niech mi pan powie, czy to mogło samobójstwo? – zapytał Kubiak znów po chwili milczenia, zupełnie innym głosem.

– To wszystko musi zbadać patolog – odpowiedział Nowacki. – Za kilka dni będzie wiadomo, czy Rosłoń sam targnął się na swoje życie, czy może ktoś mu w tym pomógł.

W tym samym czasie, gdy prokurator i policjanci przesłuchiwali załogę fromborskiej komendy, a także archeologów, Horn siedział w jednej z kawiarni nad zalewem i kończył pisać artykuł na temat tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin. A właściwie dwa artykuły: pierwszy o powtórny pochówku Mikołaja Kopernika, zawierający urywki wystąpień zaproszonych ważniaków, drugi zaś o samobójstwie na komisariacie.

W ostatnich miesiącach często dochodziło do podobnych wypadków. Jako „breloki”, jak mawiało się na policji i wśród pracowników firm pogrzebowych, kończyli ludzie odsiadujący wyroki za różne sprawy. Za każdym razem mówiło się, że ktoś pomagał im przenieść się na tamten świat. Bywało też i tak, że któryś z osadzonych nie wytrzymał pod celą i wybierał rozwiązanie ostateczne, podczas gdy jego kompani głęboko udawali, że śpią...

Jak wyglądało to w przypadku Ludwika Rosłonia? Czy sam targnął się na życie, czy też ktoś mu w tym pomógł, co udało się wychwycić reporterskiemu uchu ze strzępków rozmów między policjantami – tego

Tomasz Horn nie wiedział. To jednak nie stało przeszkodzie, aby obie notatki, opatrzone zdjęciami posterunku i katedry fromborskiej, zostały właśnie wysłane pocztą elektroniczną do redakcji gazety, w której miał pracować.

– Do zobaczenia w kiosku – rzekł z zadowoleniem sam do siebie, dopił resztkę kawy, po czym wyłączył komputer.

Kiedy po kilku minutach niespiesznym krokiem wczasowicza dochodził do swojego samochodu zaparkowanego pod hotelem, zauważył wetkniętą za wycieraczkę kartkę. Tknięty złym przecuciem, przyspieszył kroku. Po chwili wyjął przesyłkę.

Była to złożona na pół kartka formatu A4. Wypisano na niej na komputerze tylko jedno zdanie, ale za to wersalikami wielkości trzydziestu punktów:

NIE PRÓBUJ ZNÓW PAKOWAĆ SIĘ W NIE SWOJE SPRAWY.

NIE BĘDZIE POWTÓRKI SPRZED ROKU.

TO PIERWSZE I OSTATNIE OSTRZEŻENIE.

Horn rozejrzał się naokoło, ale niczego ani nikogo podejrzanego nie zauważył. Złożył ponownie list i schował go do kieszeni z boku walizeczki laptopa. Coś kazało mu spojrzeć w dół. Omal nie krzyknął. W oponach obu przednich kół nie było powietrza. Co gorsza, tkwiły w nich zagięte, zardzewiałe gwoździe.

Twarz zalało mu gorąco. Bezsilna złość, której nie rozładuje zaciskanie palców w kułak.

Drgnął na głos zza płotu. Spojrzał w tamtym kierunku. Wołały go jakieś dzieciaki.

– Proszę pana, proszę pana!

Złapię najwyżej jednego – ocenił swoje szanse. Ale to i tak dobre, bo dostanie za pozostałych.

– My wszystko widzieliśmy – wołali jeden przez drugiego. – Wiemy, kto to zrobił!

XVII

Gdańsk, dzień drugi

Władysław Keller leżał na szpitalnym łóżku. Obok siedział na taborecie kapitan Andrzej Czyż, jego niedawny podwładny, oficer z ORP Hydro – ukochanego okrętu komandora.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał.

– Choruję trochę. Nieważne. – Keller machnął ręką. – Powiedz mi lepiej, co ty nabroił. Młody jesteś.

Andrzej Czyż uniósł rękę, przez chwilę spoglądał na plasterki kryjące wkłucia.

– Miałem badania kontrolne – odrzekł. – Ale komuś coś się nie spodobało i mnie położyli. Nie wiem, jak to przeżyję. Nie cierpię szpitali.

– Czasem warto sobie poleżeć. – Stary mrugnął okiem. – Mam tylko nadzieję, że masz trochę ładniejsze pielęgniarki.

Czyż machnął ręką.

– Nie cierpię bezczynności. Chyba jeszcze bardziej niż szpitali.

– Kiedy byłeś ostatni raz na urlopie?

– Nie pamiętam.

– Czyli wszystko jasne! Kolejny niezastąpiony. Jedź, kolego, na Witomino czy Srebrzysko i popatrz sobie. Tam leżą sami niezastąpieni. Co?

Masz gotowość bojową na Oksywiu? Beżowi podkładają ładunki? Armada płyń do nas z Kaliningradu z Wołodią na czele?

– Pewnie wielu by tego chciało...

Zaśmiali się, ale krótko i chyba był to smutny śmiech.

– Myślisz czasem o Dniu Dziecka? – Czyż nieoczekiwanie zmienił temat.

– O Dniu Dziecka? – Władysław Keller zmarszczył brwi.

– Na pewno pamiętasz...

Pamiętał bardzo dobrze. Było to kilkanaście lat temu, w pierwszym tygodniu służby, którą Czyż zaczął pełnić jako oficer na ORP Hydro, a właściwie pierwszego dnia. Kiedy pierwszego czerwca wypływali z Oksywia z zamiarem spędzenia na Bałtyku kilku dni, nic nie zapowiadało, że cokolwiek będzie nie tak. Wiadomo, że morze potrafi być nieprzewidywalne, tym razem jednak meteorolodzy nie mieli najmniejszych wątpliwości: pogoda jak marzenie, czysto, słonecznie, stan morza i zatok: 2–3 w skali Beauforta – niemal cmokali w palce! Były to oczywiście wprost idealne warunki na przeprowadzenie szkolenia młodych marynarzy. I powędkowania przy okazji.

W ciągu kilkunastu minut okręt pokonał Zatokę Gdańską, ominął Hel i wypłynął na pełne morze. Szkolenie marynarzy trwało od kilku godzin, przekazujący im wiedzę prymus Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, podporucznik Andrzej Czyż, nieopierzony młokos, też radził sobie coraz lepiej, a wszyscy szykowali się już, aby spożyć obiad, którego zapach niósł się po całym okręcie.

W pewnym momencie stało się coś dziwnego: słońce nagle skryło się za chmurę. Zrobiło się zimno, może nawet z dziesięć stopni w dół. Stare okrętowe wygi w rodzaju Kellera niejedno widziały, więc nikt za bardzo nie przejął się tą nagłą zmianą pogody.

Problem, i to niemały, pojawił się wtedy, gdy w jednej sekundzie wysiadło całe zasilanie, włącznie z awaryjnym! Przestała obracać się śruba, zgasły wszystkie światła. Okręt stracił nie tylko moc, sterowność, ale i wszelką łączność. Nie działało radio, sonor, radary.

Mimo że nie rzucono kotwicy, cały kadłub trwał w miejscu jakby zamurowany. Nie było widać lądu. Zwiększyło się również zanurzenie okrętu. Jakby coś, jakaś siła, ciągnęła od spodu...

XVIII

Frombork, dzień drugi

Tomasz Horn z całych sił zaciskał palce na blokadzie kierownicy, dwóch połączonych ze sobą, zagiętych na końcach metalowych rurkach, pomalowanych czerwoną emalią. Od dawna już jej nie używał, bowiem jego auto miało lepsze zabezpieczenia, jednak wciąż woził żelastwo w bagażniku. Może właśnie na takie okazje jak ta – pomyślał ze złością.

Gdzieś prysnął nastrój chwili, wywołany uroczystością na Wzgórzu Katedralnym. Horn bardzo nie lubił być w ten sposób sprowadzany na ziemię. Ale kto lubił?

Trójka dzieciaków, sądząc z ubioru i zachowania miejscowych, nudzących się rozrabiaków i ostrzyżonych jednakowo na języka, prowadziła go właśnie do rzekomego sprawcy przebicia opon i umieszczenia za szybą kartki z dziwnymi pogroźkami. Skakali, śmiali się, mając najwyraźniej niezły ubaw. W przeciwieństwie do Horna, którego bynajmniej nie uspokajała zbliżająca się z każdym krokiem perspektywa wyrównania rachunków. Szkoda była znaczna, trzeba było szukać zakładu wulkanizacyjnego, co pewnie mocno opóźni powrót do Warszawy.

– A co pan mu zrobi, jak go pan złapie? – zapytał naraz jeden z chłopaków.

– Zabije na miejscu, a co? Jak psa utłucze! – odpowiedział w zastępstwie Horna drugi małolat, średniego wzrostu.

– A zwłoki zakopimy w lesie – roztaczał makabryczną wizję ostatni, najmniejszy.

Horna nie bawiły te chłopięce fantazje. Ale właśnie za ich sprawą zaczął się w pewnej chwili naprawdę zastanawiać, co zrobi, gdy stanie twarzą w twarz z wandalami. Nigdy nie był zwolennikiem siłowych sposobów rozwiązywania sporów. Prędzej huknąłby w odwecie, rozbijając jeden reflektor, pod warunkiem wszak, że tamten byłby zmotoryzowany.

Tymczasem zbliżali się w stronę wylotówki na Braniewo. Złość zaczęła schodzić z Horna. A jeśli to jakaś pułapka? – pomyślał.

– Gdzie wy mnie właściwie prowadzicie, co? – warknął Horn, starając się przybrać groźną minę.

– Już niedaleko – uspokoił go jeden z młokosów.

Dziennikarz obejrzał się przez ramię, ale nikt za nimi nie szedł. Wreszcie skręcili na lewo, przeskoczyli rów z wodą i śmieciami. Stroma, kręta i żylasta korzeniami ścieżka prowadziła przez las. Słońce filtrowane przez gałęzie drzew plamiło suchą ściółkę.

W pewnym momencie Horn poczuł zapach dymu.

– To tutaj – powiedział szeptem najwyższy z chłopaków.

Ukryli się za drzewami, na skraju dużej polany. Na jej środku stał duży i dość dziwny namiot. Wykonany był z jasnego materiału, ale tu i ówdzie zdobiły go kolorowe detale. Miał wąskie okienka, przywodzące na myśl otwory okienne gotyckich budowli.

Nieopodal, spod brezentowego daszka wystawał blaszany komin, z którego niemal pionową smuzką wydobywał się dym. Cały teren tego małego obozu był ogrodzony palisadą z zastrzonych bali, a na ustawionym na środku maszcie powiewała biało-czerwona flaga.

Tomasz Horn był zdezorientowany.

– Nie rozumiem – powiedział do siebie, a potem spojrział gniewnie na chłopaków i znów warknął: – Żarty sobie ze mnie robicie, szczyłe?

– Jak bum cyk cyk! – zawołali wszyscy trzej niemal jednocześnie. – To ten facet.

Horn wychylił się zza drzewa, ale nie zauważył nikogo. Rurki blokady kierownicy groźnie zadzwoniły mu rękach.

– Mówimy prawdę, proszę pana – powiedział średni chłopak. – Wszyscy go we Fromborku znają. Mówią, że to trochę wariat...

– W rycerskiej zbroi chodzi, z mieczem, ludzi nieznanym zagaduje na ulicach i pod katedrą – uzupełnił najmniejszy małolat; od razu wsparli go jego kompani:

– Biwakuje tutaj od maja aż do końca października.

– A nawet i dłużej.

– W rycerskiej zbroi? – powtórzył Horn.

– Tak! I naprawdę widzieliśmy go przy pana samochodzie.

Horn znów wyjrzał z ukrycia. Tym razem jakaś postać mignęła w jednym z okienek namiotu. Co mógł chcieć od niego gość, który mieszka na odludziu w namiocie i z tego, co dziennikarz zdążył pojąć, bawi się w rycerza czy woja? Podobni mu zapaleńcy pojawiali się każdego roku w lipcu na Polach Grunwaldzkich, by wziąć udział w rekonstrukcji bitwy z tysiąc czterysta dziesiątego roku. Bywali też na turniejach organizowanych w polskich zamkach.

– To on – jęknął głucho najwyższy z chłopaków.

Zamiast po raz trzeci wyrzeć ostrożnie z kryjówki, Horn od razu wyszedł, a raczej wyskoczył zza drzewa i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę obozowiska. Z każdym krokiem wzbierała w nim złość.

Przy kuchni polowej krzątał się mężczyzna ubrany w jasną, lnianą, długą koszulę oraz czerwone, mocno spłowiałe spodnie. Na nogach miał

skórzano-sukienne ciżmy. Stał odwrócony tyłem, więc nadchodzący nie widział jego twarzy.

Nagle stało się coś dziwnego: lewa noga Horna nie natrafiła na spodziewaną twardość przed sobą. Nim to sobie uzmysłowił, noga druga też zdążyła już wykonać ruch. Rozległ się trzask łamanych suchych gałęzi i brzęk rurek blokady kierownicy. Dziennikarz zamachał rozpaczliwie ramionami. Z góry doszedł jego uszu zbiorowy śmiech dzieciaków.

– No i złapał się następny – powiedział ktoś, a potem zaśmiał się tubalnym głosem.

Chociaż Horn nie stracił przytomności, miał kłopoty z uświadomieniem sobie, co się stało. Miejsce, w którym leżał, było głębokim dołem. Pułapką – tego akurat nietrudno było się domyśleć. Pułapką dość humanitarną, bowiem dno dołu było wymoszczone gałązkami świerku i mchem.

Horn próbował rozejrzeć się za swoim orężem. Na szczęście blokada leżała obok. Sięgnął po nią prawą ręką i zacisnął palce na zimnym metalu. W tym samym momencie zza krawędzi wilczego dołu wychyłała czyjaś głowa. Leżący ujrzał również kawałek kolana.

– Żyjesz, człowieku? – zapytał gość, a raczej gospodarz.

Horn nie odpowiedział.

– To było stwierdzenie, a nie pytanie – powiedział po chwili prześladowca.

Po czymś takim dziennikarz tym bardziej nie wiedział, co rzec. Ale chyba tamten nawet na to nie czekał. Jego głowa zniknęła i po chwili zamiast niej pokazała się drabina. Sekundę potem jej koniec stał zaledwie kilka centymetrów od nóg więźnia.

Horn, wietrząc i teraz podstęp, podniósł się, ale nie stawiał stopy na szczelbu.

Pewnie są nadpiłowane albo czymś umazane – nie przestawał spekulować w myślach.

Nieznajomy, jakby spodziewał się takiego zachowania, zaśmiał się, a potem ponownie zachęcił wesołym głosem:

– Spokojnie, więcej atrakcji nie przewidziano.

Niespełna minutę później Horn i jego przeciwnik stali na krawędzi wilczego dołu i mierzyli się wzrokiem. Mogli być w podobnym wieku, z tym że twarz tamtego postarzała gęsta broda.

– Dlaczego pan zniszczył opony w moim samochodzie? – zapytał Horn.

– Słucham? – zdziwił się gospodarz.

– Jestem gościem hotelu we Fromborku. Pewni chłopcy twierdzą, że to pan przebił dwie opony w moim aucie, a za szybą zostawił list.

– Zgadza się – rzekł z uśmiechem brodac.

Trzeba było od razu iść na policję i przyjechać tutaj z nimi, a nie dać się tak podpuścić – pomyślał dziennikarz.

– Przepraszam, ale chyba mam już wrzątek – powiedział brodac, po czym odwrócił się. – A mówiąc: „zgadza się”, miałem na myśli zostawienie listu za wycieraczką pana samochodu.

– Nie rozumiem.

– Poprosił mnie o to pewien gentleman, a ja nigdy nie odmawiam pomocy. Chciał nawet zapłacić dziesięć euro, ale odmówiłem. Nie wiem natomiast nic o przebiciu opon...

Coś było w tym mężczyźnie takiego, co kazało myśleć, że mówi prawdę. Może spokój, z jakim się wypowiadał. A może ten niepoważny strój, który z miejsca wyczerpywał wszelkie limity.

– Plan jest taki – powiedział. – Wypijemy teraz na zgodę herbatkę malinową, a następnie weźmiemy zestaw wulkanizacyjny i może nam się

uda naprawić szkodę. Mam na imię Gniewomir. Rycerz Gniewomir.

XIX

Gdańsk, dzień drugi

Kapitan Andrzej Czyż zostawił Władysława Kellera i wrócił do swojej sali. Akurat zaczynał się obiad. Koledzy na łózkach obok wcinali aż miło, jednak emerytowany komandor nie miał jakoś apetytu. Nie tylko dlatego, że niezbyt przepadał za szpitalną kuchnią.

Chwilę potem w drzwiach pojawiła się Mirka, żona Kellera. Stało się więc to, czego najbardziej się obawiał: zaalarmowana przez ich córkę albo sąsiadów, przerwała pobyt w sanatorium w Inowrocławiu i wróciła do Trójmiasta.

– Dzień dobry – przywitała się ze wszystkimi i podeszła do łóżka męża.

– Po co przyjechałaś? – zganil ją mąż. – Przecież wszystko jest już w porządku...

– Przed chwilą rozmawiałam z ordynatorem – mówiła podekscytowana.

– I co?

– Za dwie godziny zostaniesz wypisany. Wracamy do domu!

– Świetnie. – Keller zmusił się do uśmiechu.

Po dokonaniu wszelkich formalności już ubrany zajrzał do sali, gdzie leżał kapitan Andrzej Czyż. Zastał tam siedzącą przy łóżku jego żonę. Chciał się pożegnać, dodać otuchy, bo Czyża czekały jeszcze jakieś badania, ale w takim wypadku wolał nie przeszkadzać. Czuł jednak, że

niebawem znów się spotkają. Nie mógł też czekać, ponieważ Mirka nalegała, żeby jak najszybciej opuścić to smutne miejsce, jak zawsze nazywała szpital, i zapomnieć. Keller cieszył się najbardziej na spotkanie ze swoim psem Kajzerem.

– Znalazłam w domu list – powiedziała, gdy wsiedli do taksówki. – Wszystko wiem. Myślałem, że ten problem już nas nie dotyczy

– Też tak myślałem – westchnął komandor.

– Co z tym zrobisz?

– Coś wymyślę.

Wychodząc, Keller pomyślał jeszcze raz o wydarzeniu, które z Czyżem wspominali.

Kapitan i oficerowie na mostku nie mieli pojęcia, co się dzieje. Wysłani z misją mechanicy zaczęli szukać i stukać, elektrycy przykręcać i dokręcać. Bez skutku. Nie można było nadać nawet sygnału SOS. Jedyne, co można było zrobić, to tylko wywiesić odpowiedni kod flagowy, przygotować szalupy ratunkowe i kapoki, zarządzić alarm, rozdać wszystkim broń – zakładano bowiem także i sabotaż. I czekać.

Trwało to godzinę, może chwilę dłużej. Wszystko powróciło do poprzedniego stanu tak samo niespodziewanie. Oświetlenie, moc, łączność – wszelkie urządzenia działały jakby nigdy nic. Tylko obiad był zimny.

Przez kolejne miesiące opowiadano sobie tę historię na całym Oksywiu, a może i we wszystkich polskich portach wojennych – od Helu po Świnoujście. Odpowiednie służby usiłowały zbadać wypadek, przesłuchiowano kilkudziesięciu świadków – uczestników feralnego rejsu, sprawdzano nawet satelity. Ale nic nie ustalono. Najciszej mówiono o tym, że Bałtyk wciąż pełen jest wszelakiego żelastwa, często mocno radioaktywnego.

– Stęskniłem się za domem – westchnął Władysław Keller.

Nad Gdańskiem i całym Trójmiastem trwał ciepły, letni dzień. Nikt nie przypuszczał, że wkrótce nad okolicą zbiorą się ciemne chmury. I nie będzie to kolejny kaprys sierpniowej aury...

XX

Frombork, dzień drugi

Tomasz Horn kończył późny obiad w hotelowej restauracji, kiedy do sali weszła jakaś hałaśliwa grupka młodych mężczyzn. Bez trudu można było się domyśleć, kim są i co tutaj robią: mimo że sezon wakacyjny był w pełni, część bazy hotelowej w wielu ośrodkach zajęty był przez firmy organizujące szkolenia dla pracowników.

Towarzystwo rozsiadło się przy długim stole i zaczęło pałaszować. Rozdzwoniły się telefony komórkowe, a nikt nie zadawał sobie trudu, by rozmowę przeprowadzać na stronie. Trzeba było nie lada sprytu, aby jednocześnie gadać o spadających akcjach i nie pozwolić spaść z widelca kawałkowi kotleta.

– Dziękuję – powiedział Horn do kelnerki, która zabrała talerz.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta po południu. Na tę godzinę umówił się pod hotelem z rycerzem imieniem Gniewomir, który obiecał stawić się z naprawionymi oponami. Horn nie miał powodów, aby nie wierzyć temu człowiekowi, który, poproszony przez jakiegoś faceta, po prostu włożył list za wycieraczkę auta. Nie był jednak w stanie stwierdzić, czy koła były już w tym momencie przebite.

A zatem kto to zrobił i czego chciał? – nie przestawał zastanawiać się Horn. Wiele powinno tłumaczyć słowo ZNÓW w liściku i następujące po nim zdanie NIE BĘDZIE POWTÓRKI SPRZED ROKU. Owszem, zdążył

wtedy nieźle nabroić, nie miał jednak pojęcia, kto może szukać na nim pomsty.

– Te, przerzucicie na Bloomberga! – krzyknął z pełnymi ustami któryś z uczestników szkolenia, ale nie było wiadomo, kto jest odbiorcą tej subtelnie wyrażonej prośby.

Przez cały czas bowiem w hotelowej restauracji włączony był telewizor, umiejscowiony na wysięgniku trzy metry nad ziemią i ustawiony na całodobowy kanał informacyjny. Właśnie jakiś starszy, poważnie wyglądający mężczyzna mówił coś do kamery.

– Jak na razie wszelkie próby nawiązania kontaktu z jednostką nie przyniosły rezultatów. Nie udało się także ustalić położenia statku See Atlantic, ponieważ jego transponder, automatycznie przekazujący pozycję, został najprawdopodobniej wyłączony lub zniszczony. Frachtowiec, który zmierzał z towarem do algierskiego portu Bidzaja, widziano ostatni raz u wybrzeży Litwy. Nie wykluczamy, że statek został porwany dla okupu...

Horn poszedł do swojego pokoju, zabrał rzeczy oraz komputer, zdał klucze w recepcji i wyszedł z hotelu. Na parkingu czekał woj Gniewomir. Tym razem jego strój wzbogacony był o szeroki skórzany pas, u którego zwisał krótki miecz.

– Cześć i chwała! – przywitał się wesoło dziennikarz.

– Jestem zgodnie z umową – rzekł brodac, wskazując na stojące obok koła.

– No to do roboty. – Horn zatarł dłonie.

Zdjęcie koła zapasowego i założenie dwóch kół z naprawionymi dętkami zajęło im kilkanaście minut. W chwili gdy Horn kręcił korbą lewarka, opuszczając samochód, Gniewomir sięgnął do wiszącej u pasa sakiewki, skąd wydobył... telefon komórkowy.

– Nie wiedziałem, że wojowie używają zdobyczy techniki – zaśmiał się dziennikarz.

– Pewnych rzeczy się nie da przeskoczyć. – Wzruszył ramionami rycerz, podnosząc trochę niezgrabnym gestem aparat do ucha.

Chwilę tak stał, czekając na połączenie, podczas gdy Horn, wytarłszy dłonie w ściereczkę, chował złożony lewarek do bagażnika.

– I znów nic – mruknął brodac.

– Jakiś problem? Odwołana bitwa? – Horn nie mógł powstrzymać się przed żartem.

– Nie mogę znaleźć swojego przyjaciela, a właściwie człowieka, dla którego od czasu do czasu pracuję. Umówiłem się z nim dzisiaj rano, ale nie przyszedł. Jego telefon nie odpowiada.

– Co to za przyjaciel? – nie wiedzieć czemu zapytał dziennikarz

– Nazywa się Ludwik Rosłoń.

Choć stali w cieniu, a wiatr od zalewu był dość chłodny, Hornowi zrobiło się gorąco.

XXI

Gdańsk-Wrzeszcz, dzień drugi

Władysław Keller usiadł w swoim ulubionym fotelu, w swoim pokoju, w swoim wrzeszczańskim mieszkaniu. Po chwili pod jego ręką znalazł się psi łeb. Za oknem przejechał tramwaj w stronę Jelitkowa. Już to wystarczyło, by mężczyzna uważał się w tej chwili za najszczęśliwszego człowieka na ziemi.

– Co chcesz na kolację? – zapytała Mira. – Może naleśniki?

– Rozpieszczasz mnie.

– Przesadzasz. W końcu jesteś rekonwalescentem.

Wyszła do kuchni, z której po chwili dobiegło podzwanie naczyń.

– Kiedy wracasz do sanatorium? – zapytał.

Chwilę trwało, nim wyjrzała zza futryny. Popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

– Żartujesz sobie?

– No co? – Udał głupiego.

– Żebyś znów miał wylądować na kardiologii?!

Wcale nie żartowała, wiedział to.

– Przecież mam blisko Olę – spróbował jeszcze tego argumentu, choć dobrze wiedział, że to na nic.

Po kilku chwilach jadł z apetytem. Jednocześnie czuł, że termin ważnej rozmowy zbliża się nieuchronnie. Nie będzie tłumaczenia ani prób zmylenia przeciwnika, uników czy manewrów oskrzydających. Tak, lepiej mieć to już za sobą.

Najpierw dłuższą chwilę milczeli. Potem Mirka sięgnęła po kopertę, którą przytrzymała na stole solidnych rozmiarów kryształowa popielniczka.

– Czego on od nas chce? – zapytała, waząc papier w rękach.

– Nie wiem – odparł Keller.

– Byłam pewna, że więcej już się nie odezwie.

– Może go sumienie ruszyło.

– To twój brat ma sumienie?!

– Kiedyś miał...

– Ale sprzedał za sto marek.

Władysław Keller urodził się na początku lat pięćdziesiątych, w styczniu, kilka dni po Nowym Roku. W grudniu tego samego roku, parę dni przed Sylwestrem, na świat przyszedł jego brat, Henryk. Ojciec i matka nie posiadali się z radości zarówno po pojawieniu się jednego syna, jak i drugiego. Oboje zresztą swoje przeszli podczas wojny, więc szybko chcieli to sobie wynagrodzić. Szybko oznaczało w tym wypadku sześć lat, ale i tak radość była wielka.

Bracia zawsze trzymali się razem, nie tylko za sprawą psikusa losu, który sprawił, że urodzili się w tym samym roku, choć nie byli bliźniakami, a za takich większość ludzi ich uważała. Wspólnie bawili się w niewielkim mieszkaniu rodziców, potem gdy byli nieco więksi, na jednym z wrzeszczańskich podwórek z szopą, składzikiem i na szczęście nieużywany już wychodkiem.

Świat braci rozrastał się, wabił kolorami, smakami, tajemnicą. Nie wiedzieli, że największa tajemnica kryje się blisko, nawet bardzo blisko, bo w ich rodzinnym domu... Lata mijały. Władek i Heniek skończyli podstawówkę i zaczęli naukę w liceum, gdzie radzili sobie raz lepiej, raz gorzej. Na szczęście mogli wzajemnie się uzupełniać: Władek był lepszy z przedmiotów ścisłych, Heniek zaś z humanistycznych, z naciskiem na historię.

Gdzieś w połowie nauki, w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, zaczęły dochodzić do nich echa studenckich wystąpień. Mimo że większość ich klasy głośno wyrażała swoje oburzenie wobec postępów władz, bracia wydawali się jakoś obok tego wszystkiego. Owszem, potakiwali, śmiali się z dowcipów o partii czy milicji lub potępiali ich działania, stojąc w większej grupce dyskutantów na przerwie, ale żaden z nich raczej nie zabierał głosu.

Nadszedł czas matur. Zakwitły kasztany jak w piosence. Wszystko poszło gładko. Następnie bracia złożyli dokumenty na wyższe studia. I tu mieli rozstać się po raz pierwszy: Władek wybrał Wyższą Szkołę Marynarki Wojennej w Gdyni. Zawsze o niej marzył i nie miało znaczenia, że musiał zmienić miejsce zamieszkania na koszary na Oksywiu, gdzie rano nie budziła mama, tylko pokrzykiwania mata. Heniek natomiast wybrał historię.

Także i jako studenci Kellerowie nie przynosili wstydu nazwisku. Wszystko jednak zmieniło się w grudniu 1970 roku, kiedy na ulice Trójmiasta wyjechały czołgi, padły strzały, połała się krew. Władek siedział wtedy na Oksywiu, gdzie zarządzono alarm bojowy, choć tak naprawdę nikt nie był pewien, w którą stronę poszliby marynarze, gdyby nagle znaleźli się na ulicy.

W tym czasie Henryk był w samym środku wydarzeń – w piekle. Milicja zrobiła mu zdjęcia i zaczęła szukać. Byli w mieszkaniu, przesłuchiwali rodziców, przetrząsnęli kąt, w którym chłopak pomieszkiwał, ale niczego nie znaleźli.

A Heniek zniknął. Mówiono, że się ukrywa, ktoś był pewien, że widział go na dworcu głównym w Gdańsku, jak wsiadał do pociągu jadącego w głąb kraju. Nikt nic nie wiedział na pewno, sam Heniek zaś nie dawał znaku życia.

Matka odchodziła od zmysłów, ojciec wypytywał znajomych i nieznajomych, ale bez skutku. Szukali z Władkiem, który jakimś cudem dostał przepustkę, w szpitalach, noclegowniach, na dworcach, w akademikach i na stacjach – tylko nie na milicji.

Nic. Henryk Keller przepadł jak kamień w wodę.

W domu zapanowała żałoba na wiele miesięcy. Aż do tego dnia, chwilę przed Wielkanocą tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy wracający z pracy ojciec znalazł w skrzynce na listy pocztówkę. Pocztówka przedstawiała katedrę w Kolonii. Stary Keller odwrócił ją i omal nie podskoczył! Od razu poznał pismo młodszego syna.

Heniek pisał z Niemiec Zachodnich i choć były to tylko zwykłe pozdrowienia, dla rodziny było to coś więcej. Znak życia. W jaki sposób chłopak się tam znalazł, odjak dawna przebywał za granicą – tego wciąż nie wiedzieli.

XXII

Frombork, dzień drugi

– Jak to się stało? – zapytał drżącym głosem Gniewomir.

– Powiesił się w nocy – odpowiedział Tomasz Horn.

– Jak to: powiesił się? Gdzie?!

– Kilkadziesiąt metrów stąd. W celi komisariatu.

Brodacz oddychał ciężko.

– A czemu tam się znalazł? – zapytał po chwili.

– Został oskarżony o kradzież, a właściwie o porwanie. W kilku zdaniach Horn opowiedział Gniewomirowi o tym, co się wydarzyło w Olsztynie. Siedzieli na ławce przed hotelem. Skończywszy, dziennikarz dyskretnie uchylił mankiet koszuli i spojrział na zegarek, którego mała wskazówka bezlitośnie opadała ku dołowi.

– Mieliście coś razem robić? – zapytał.

– Ludwik Rosłoń kilka miesięcy temu rozpoczął nowe poszukiwania. Szukał miejsca, skąd Kopernik przeprowadzał obserwacje nieba.

Horn przypomniał sobie słynny obraz Jana Matejki.

– Słyszałem, że to na pewno nie było na wieży Kopernika – powiedział.

– Zgadza się. *Pavimentum* znajdowało się zupełnie gdzie indziej.

– No jasne. *Pavimentum*! – Horn klepnął się otwartą dłońią w czoło.

Gniewomir spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– Owszem. Mieliśmy tam dzisiaj kopać.

Dziennikarz opadł ciężko na oparcie ławki i przeciągnął dłonią po twarzy. To przecież była ta łacińska nazwa, której nie mógł sobie przypomnieć od kilku dni, a o której Rosłoń powiedział Monice Lauder na chwilę przed aresztowaniem.

– Możesz mi pokazać to miejsce? – zapytał, starając się nie okazywać zbytnej ekscytacji, było to jednak dość trudne.

Gniewomir popatrzył na niego ze zdziwieniem. W jego smutnych oczach zabłysła żywa iskierka.

– Jasne!

W ciągu następnych minut Tomasz Horn dowiedział się, czym było *pavimentum*.

Nazwano tak zbudowaną z cegieł platformę, na której Mikołaj Kopernik prawdopodobnie ustawiał swoje instrumenty astronomiczne i prowadził obserwacje nieba. Musiała być doskonale wypoziomowana i wedle przekazu miała kształt kwadratu. Już od dawna było wiadomo, że astronom nie mógł prowadzić obserwacji z ganku wieży znajdującej się w kompleksie obronnym katedry. Wielu ludzi do dziś tak uważa, głównie za sprawą słynnego obrazu Matejki.

Pavimentum, które astronom sam zbudował, najpewniej w ogrodzie swojego domu, gwarantowało chociażby to, że obserwacja nieba mogła być prowadzona co wieczór z tej samej pozycji, a to dawało dużo dokładniejsze wyniki pomiarów. Miejsca tego zaczęto szukać dużo później niż grobu Kopernika, bo w latach sześćdziesiątych XX wieku. Niczego jednak nie znaleziono. Niedawno znów rozpoczęto poszukiwania w części ogrodowej

kanonii świętego Stanisława. Już pierwsze badania wykazały obecność dwóch struktur podziemnych na głębokości około metra.

– Rosłoń twierdził, że i tym razem nie uda się niczego odnaleźć – powiedział Gniewomir, kiedy szli wzdłuż brzegu zalewu.

– Dlaczego?

– Bo nie szukają tam, gdzie trzeba. A, mówiąc ściślej, podchodzą od złej strony.

Po kilku chwilach znaleźli się przed wejściem do kościoła. Horn wiedział o nim jedynie tyle, że kiedyś należał do ewangelików, dzisiaj zaś pełnił rolę domu przedpogrzebowego. Był pewien, że udają się gdzieś dalej, najpewniej na wzgórze, gdzie znajdowały się kanonie, jednak woj stanął przed drzwiami świątyni i wyglądało na to, że dalej maszerować nie zamierza.

– Nie rozumiem – powiedział Horn. – Przecież zwłoki Rosłonia jeszcze... – zawiesił głos, zmarszczył brwi, a potem uniósł je na znak, że oczekuje wyjaśnień.

Gniewomir podrapał się po brodzie, po czym rozejrzał dokoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt niepożądany nie widzi. Następnie sięgnął do sakiewki kryjącej telefon, skąd wyciągnął stary, pokryty warstewką rdzy klucz. Taki klucz nie mógł otwierać drzwi do zwyczajnych mieszkań, domów czy biur. Czy pasował do drzwi kościoła? Gniewomir wsunął go w dziurkę, ale nie przekręcał.

– Nie wiem, czy powinienem...

Po chwili klucz wykonał obrót, zgrzytnęły otwierane drzwi. Horn wstrzymał oddech.

Z miejsca owionął ich chłód, zapach parafiny, butwiejących tkanin, kadzidła i starego drewna. Na środku kościoła, na katafalku, stała trumna.

– Jesteśmy tu legalnie? – zapytał szeptem dziennikarz.

Zamiast odpowiedzieć, Gniewomir zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku, wyjął go i ponownie ukrył w sakiewce.

Weszli głębiej. Ich kroki odbijały się echem, mimo że świątynia była niewielka. Szli wzdłuż zachodniej ściany kościoła – surowego, właściwie bez wystroju, czym charakteryzowały się miejsca modlitw wiernych naukom Marcina Lutera. Różny był ich los w byłych Prusach Wschodnich. Po wojnie urządzano w nich świątynie katolickie, ale były i takie, w których działały magazyny, w najlepszym razie kina i domy kultury. Część popadła w ruinę i do dziś straszy pustymi oczodołami okien.

– To tutaj. – Gniewomir zatrzymał się przed drzwiami.

Były drewniane, z żelaznymi elementami, dość stare. Przez takie drzwi zawsze chciał przejść mały chłopiec, pragnący przeżyć prawdziwą przygodę...

– Coś jest nie tak – mruknął Gniewomir.

– Co?

– Te drzwi. – Chwycił oburącz skrzydło. – Są otwarte...

Szeroka szpara między skrzydłem a futryną, która ukazała się oczom przybyszy, była czarna i ziało z niej stęchlizną jak ze starej piwnicy. Horn postąpił krok do przodu i zbliżył twarz do szczeliny. W ciemności rysowały się stopnie prowadzących ku górze schodów.

– Dokąd prowadzi ta droga? – zapytał.

– Na miejsce.

– Ale bez latarki nie damy rady.

W odpowiedzi rycerz dobył, tym razem z kieszeni spodni, starą blaszaną latarkę na płaską baterię, z czerwonym szkiełkiem z tyłu.

– Zabytek – ocenił Horn.

– Ale działa bez zarzutu. – Gniewomir przesunął kciukiem włącznik i latarka zabłysła żółtym światłem.

Po chwili zniknęli za drzwiami. Gniewomir zamknął je za sobą starannie. Snop światła padł na stopnie z czerwonych cegieł prowadzących w górę, choć pod niezbyt ostrym kątem. Sufit był sklepiony półkuliście i wysoki. Nie było widać jednak końca schodów.

Ruszyli w górę. Początkowo Horn próbował liczyć stopnie, także na wypadek, gdyby trzeba było wracać po ciemku. Szybko jednak pomylił się w rachunkach. Panowała tu zupełna cisza, słychać tylko było przyspieszone oddechy ich obu.

Nagle zamajaczyło przed nimi nikłe światło. W tym samym momencie ich uszu doszedł odgłos miarowych uderzeń.

– Wiedziałem – warknął Gniewomir, po czym z impetem dopadł wejścia. – Złodzieje!

Jakiś przedmiot, być może był to wypuszczony z rąk kilof, zadzwonił o posadzkę. Po chwili Horn wyjrzał ostrożnie zza futryny drzwi. Na końcu niewielkiego, okrągłego pomieszczenia stała samotna postać. Mimo kiepskiego oświetlenia, nie miał problemu z jej rozpoznaniem.

To była Monika Lauder.

– Co ty tu robisz?! – zawołali jednocześnie Horn i dziewczyna.

Twarz dziewczyny była usmolona kurzem i potem, do tego wykrzywił ją grymas wysiłku, pomieszany z lękiem, który wywołało gwałtowne wtargnięcie Gniewomira.

– Myślałam, że już wyjechałeś – powiedziała po chwili.

– Też tak myślałem.

Chwilę słuchali tylko świstu własnych oddechów.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Gniewomir.

Dziewczyna zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

– To antropolog – odpowiedział Horn. – Dokładnie paleoantropolog.

– Jaki antropolog włamuje się do cudzych stanowisk?! – prychnął były współpracownik Rosłonia.

– Nigdzie się nie włamałam – broniła się Monika.

– Drzwi były naruszone. – Gniewomir wskazał palcem kierunek, z którego nadeszli.

– To prawda – potwierdził Horn.

– Zastałam je w takim stanie. Były otwarte...

– Skąd pani w ogóle wiedziała o stanowisku Rosłonia?

– Sam mi o nim powiedział.

Horn nie zdążył potwierdzić tych słów, bowiem nagle zgasło światło. Jakaś siła, może była to czyjaś noga, przewróciła – niechcący czy umyślnie – naftową latarnię, przy której pracowała dziewczyna, dusząc płomień. Nie świeciła się także latarka Gniewomira.

Po chwili huknęły zamykane drzwi.

XXIII

Gdańsk-Wrzeszcz, dzień drugi

– Pokaż mi jeszcze ten list. – Władysław Keller wyciągnął rękę nad stołem.

Mira bez słowa przekazała mu kopertę. Mężczyzna wyjął z niej ostrożnie list i przyglądał mu się przez parę chwil.

– W ogóle nie zmienił mu się charakter pisma – ocenił.

Po tej pierwszej pocztówce z Kolonii zaczęły przychodzić kolejne, z różnych miast Republiki Federalnej Niemiec, ale też dłuższe listy.

Heniek w końcu mógł opisać w nich swoje przygody. Kiedy okazało się, że jest poszukiwany za udział w protestach, zdecydował się opuścić Gdańsk i Wybrzeże. Nie liczyło się wtedy nic – rodzina ani studia. Tylko uciekać! Pierwszym pociągiem ruszył przez cały kraj, aż do Jeleniej Góry, skąd zaczął kierować się w stronę granicy z NRD i Nysy Łużyckiej, którą jakimś cudem udało mu się pokonać. Dodał do Berlina Zachodniego, a stamtąd, po otrzymaniu azylu, w głąb Niemiec.

Czytali wtedy ten jego pierwszy list po kilka razy, chłonąc każdy wyraz, niemal każdy zakrętas litery. Potem długo czekali na następny. Życie toczyło się dalej, świeże groby porastały trawą i chwastami. Władek ukończył studia, został mianowany na pierwszy stopień oficerski. Rodzice byli bardzo dumni. Wśród tłumu gości była też Mirka, narzeczona Władka, przyszła żona.

Tymczasem z Zachodu szły również dobre wieści: Heniek awansował w pracy, ale mimo to był krok od założenia własnej firmy budowlanej. Wydawało się, że jego pasja, historia, na dobre poszła w kąt. O tym, że tak się nie stało, przekonali się wkrótce – i to bardzo boleśnie.

Najpierw twarz Heńka mignęła w Dzienniku Telewizyjnym, gdzie pokazywano jakieś zgromadzenie niemieckich ziomkostw, czyli organizacji zrzeszającej byłych mieszkańców Ziem Odzyskanych. Mogli się pomylić, obraz w czarno-białym telewizorze marki Ametyst był kiepski.

Ale gdy ktoś pewnego dnia przyniósł im przywiezioną z Niemiec gazetę, chyba była to „Deutsche Allgemeine Zeitung”, nie mieli wątpliwości: Heniek przystał do rewizjonistów i tak jak oni wykrzykiwał, żądając powrotu Gdańska, Dolnego i Górnego Śląska, Prus Wschodnich i Pomorza Zachodniego do Niemiec. Był na zdjęciu. Zdjęcie było podpisane wyraźnie. Ojciec dostał zawału i choć udało się go odratować, nigdy nie wrócił już do wcześniejszej formy.

Mimo to Heniek wciąż przysyłał pieniądze do domu. A potem nastąpiła najdłuższa i najczarniejsza zima w historii powojennej Polski, czyli stan wojenny. Korespondencja się urwała. Kiedy jednak można było znów pisać, Heniek, a może raczej Heinrich nie pisał. Nie pomagał swojej gdańskiej rodzinie, jak to czynił wcześniej, a pomoc taka szczególnie w tamtym czasie bardzo by się przecież przydała. Kiedy umarł ojciec, a niecały rok później matka, nie pojawił się na pogrzebie. Milczał uparcie przez dziesiątki lat. Aż do ubiegłej niedzieli.

– Czego on może od nas chcieć? – zastanawiał się głośno Władysław Keller.

– Chyba od ciebie – sprostowała Mirka. – Mnie przecież nawet nie zna.

– To prawda.

– Może sobie przypomniał, że miał tu rodziców – powiedziała. –
Spadek dobra rzecz.

– Wymyślasz!

– Ale może być tak, prawda?

– Może.

– Spotkasz się z nim?

Keller nie od razu odpowiedział na pytanie.

– Muszę się przespać z tą myślą – rzekł wreszcie, wstając powoli od
stołu.

XXIV

Frombork, dzień drugi

Tomasz Horn spojrział na wyświetlacz komórki. Była dwudziesta trzecia dwanaście. Minęło pięć minut od chwili, kiedy zrobił to ostatni raz. Kreski informujące o sile baterii w telefonie były tylko, a może aż dwie, co mogło wystarczyć prawdopodobnie jeszcze na kilka godzin pracy telefonu.

Problem w tym, że znajdujących się po drugiej stronie ekranu kreski, które oznaczały zasięg, nie było wcale. Podobnie jak i nazwy sieci. Mimo to Horn kilka razy próbował się połączyć. Próbowala też Monika, mająca komórkę innej sieci. Efekt był jednak ten sam. Byli uwięzieni, bez szans na samodzielne wydostanie się z pułapki, jak i na powiadomienie kogokolwiek o swojej sytuacji.

Milczeli. Takie chwile zupełnej ciszy zdarzały się coraz częściej. Najpierw były krzyki, walenie w drzwi, złorzeczenia, których adresatem był nie kto inny jak Gniewomir. Szybko zorientowali się bowiem, że to on ich tutaj zamknął. Przez kilka chwil Horn miał jeszcze nadzieję, że to tylko niewinny psikus i drzwi za chwilę się otworzą. Ale minuty płynęły i nic się nie działo.

– Gniewomir był współpracownikiem Rosłonia – powiedział. – I bardzo się przejął jego śmiercią.

– Chyba za bardzo, skoro ma najwyraźniej zamiar i nas posłać jego śladem – skwitowała dziewczyna.

Cisza. Głucha. Żadnych, nawet najcichszych dźwięków z zewnątrz.

Czy tak ma wyglądać śmierć? – pomyślał dziennikarz.

– A ty skąd wiedziałaś o tym miejscu? – zagadnął po chwili.

– Przecież już mówiłam – w głosie Lauder zagrała irytacja. – Ludwik Rosłoń powiedział to w momencie aresztowania, zresztą nam obojgu...

– Pamiętam. Tylko on mówił wówczas o *pavimentum*, którego to zresztą słowa nie mogłem sobie przypomnieć aż do dzisiaj. Nie ujawnił jednak żadnych szczegółów.

– Prawdopodobnie znajdujemy się teraz pod nim – powiedziała po chwili dziewczyna.

– Pod *pavimentum*?!

– Ludwik Rosłoń może nie miał dyplomu archeologa, ale nie można było mu odmówić pasji i pomysłów, czasami szalonych – westchnęła Monika. – Kubiak to urzędnik, naukowiec, więcej czasu spędzający za biurkiem niż w dole z ziemią, Rosłoń zaś to poszukiwacz przygód. Znaliśmy się od lat. Wierzył w stare legendy, często posługiwał się nimi w swoich poszukiwaniach. Ludzie pukali się w czoło, ale on wytrwale kopał. Kiedy zaczęliśmy poszukiwania grobu Kopernika we Fromborku, tylko stał z założonymi rękami i przyglądał się, jak rozpakowujemy sprzęt z samochodu. Jakby był pewny, że i tak niczego nie uda nam się odnaleźć.

– Miał ku temu powody?

– To on jako pierwszy dotarł do jednego naukowca z Olsztyna, doktora Sikorskiego, który twierdził, że grobu trzeba szukać w pobliżu ołtarza, którym kanonik zajmował się za życia. Miał wiedzę, ale nie miał pozwolenia na prace w katedrze. Potem zajął się czymś innym, w swojej ocenie ważniejszym. Nikt z nas nie zaprzętał sobie tym głowy, wdzięczny, że Ludwik nie będzie już przeszkadzać. To mnie zastanawiało. Czego szuka?

– A szukał *pavimentum*?

– Tak. Powiedział mi o tym kilka miesięcy temu. Ktoś inny już zaczął badać teren, ale Rosłoń się tym nie przejmował. Wczesną wiosną, kiedy przyjechałam tutaj na inwentaryzację, pokazał mi to przejście prowadzące z kościoła przedpogrzebowego do tajemniczej komory. Wiedzieli o tym tylko miejscowi proboszczowie, ale żaden z nich nie znał przeznaczenia korytarza i krypty, choć trudno nazwać kryptą pomieszczenie, do którego idzie się pod górę...

Przerwała, przez chwilę oddychała ciężko. Mimo że siedzieli tu już od kilku godzin, powietrza nie ubywało. Być może nawet od świata dzieliła ich cienka ściana lub warstwa ziemi, problem w tym, że nie wiedzieli, gdzie kopać czy stukać.

Podczas poszukiwań grobu Mikołaja Kopernika Monika zapamiętała szczególnie jeden moment. I wcale nie był to dzień, w którym dokopali się wreszcie do trumny, jednej z niemal setki znajdujących się pod posadzką fromborskiej katedry, która zawierała szczątki mężczyzny, zmarłego w wieku około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu lat; później okazało się, że to właśnie Kopernik.

Zanim go bowiem znaleźli, natknęli się na szkielet należący do młodej kobiety. Miała około osiemnastu lat, a nie żyła od niemal dwustu albo i dłużej – to jeszcze należało zbadać. Na pierwszy rzut oka było to bezładne kłębowisko kości różnego kształtu i długości, ale po dokładnym przyjrzeniu się można było dopatrzeć się resztek jasnych włosów, fragmentów jedwabnej sukienki, czepka. Nieco niżej leżał święty medalik. To wszystko. Niewiele, a zarazem tak dużo.

Monika już chciała przystąpić do drobiazgowych badań, kiedy nagle ogarnęło ją dziwne uczucie. Był to żal pomieszany ze współczuciem.

Szybko pojawiły się pytania: kim była ta dziewczyna? Jak spędziła swoje krótkie życie? Co ją bawiło, a co smuciło?

Wtedy, chyba po raz pierwszy, Monika Lauder przestraszyła się przemijania.

– Czego tu szukałaś? – zapytał znienacka Horn.

– Istnieje legenda, że Kopernik zbudował coś o wiele większego niż tylko *pavimentum* – odpowiedziała.

– Coś innego? Kryptę? Schowek?

– Być może.

– Albo bunkier?

– Nie tylko Krzyżacy czy templariusze lubowali się w tajemnych przejściach, tunelach czy pułapkach – rzekła Monika Lauder. – To nie były spokojne czasy. Śmierć czekała na gościńcu, ale równie dobrze mogła nadejść i wejść za mury strzeżonej warowni. W latach tysiąc pięćset czternaście – tysiąc pięćset szesnaście Kopernik nabył drugi dom w miejscu dogodnym do obserwacji astronomicznych i na jego zapleczu zbudował doskonale wypoziomowaną płytę obserwacyjną. Na miejscu tej kanonii wznosi się teraz inny budynek. Nie wiadomo, co kryją fundamenty. Rosłon przypuszczał, że pomieszczenie, w którym się znajdujemy, było częścią jakiejś większej całości. I miał pewną wskazówkę...

– Jaką wskazówkę?

– Kopernik był astronomem i jako astronoma kojarzymy go do dziś. Był też lekarzem, znawcą praw i ekonomistą. Zreformował kalendarz, sporządzał mapy, a nawet był brany pod uwagę jako kandydat na kolejnego biskupa warmińskiego. Był w końcu matematykiem, poetą, ale i żołnierzem i świetnym strategiem, bo bronił zamku w Olsztynie. Choć są i tacy, którzy twierdzą, że Krzyżacy wcale go nie oblegali.

– Też tak słyszałem.

– Jednak najmniej znaną twarzą kanonika, a przecież najbardziej spokrewnioną z astronomią, jest astrologia.

– Horoskopy?

– Owszem. Od wieków wyczytywano z gwiazd, co człowiek ma robić, jakie kroki przedsięwziąć, w którą stronę się udać. Aby tego się dowiedzieć, płacił w złocie. Astrologowie pracowali dla królów, miast, a nawet papieży. Ich zawsze się słuchało.

– Zupełnie jak w Egipcie za czasów faraonów.

– Dokładnie tak. Straszili nadejściem zarazy, potopu, co wyczytali wcześniej ponoć w gwiazdach. Koniunkcja Jowisza i Księżyca na przykład miała spowodować nadejście Antychrysta. Podobnie wieszczono powtórne przyjście Jezusa Chrystusa.

– Żaden jednak nie nadszedł.

– Mimo to astrologom nie przestawano wierzyć. Dopiero Kopernik uporządkował, choć tylko teoretycznie, całe niebo ze Słońcem, a nie Ziemią w centrum. Tym samym właściwie obalił astrologię. Jednak pod koniec życia, czekając na pierwszy egzemplarz *De revolutionibus*, na chwilę się do niej skłonił.

– Nie mów, że postawił sobie horoskop...

– Na to wygląda. Tak przynajmniej twierdził Rosłoń. Wiadomo, że cała biblioteka Mikołaja Kopernika została zrabowana przez Szwedów podczas potopu na rozkaz samego króla Gustawa Adolfa i znajduje się dzisiaj w Uppsali.

– Aż dziwne, że Polska nie domaga się zwrotu tych dzieł.

– Istnieje jednak kilka rozproszonych dokumentów, których autorstwo naukowcy przypisują właśnie Kopernikowi. Część z nich eksponowana jest w tutejszym muzeum...

Monika Lauder zawiesiła głos. Horn odruchowo wstrzymał oddech, jakby w oczekiwaniu na coś niezwykłego: słowo, inny dźwięk. Wciąż jednak przytłaczała ich ciężka jak ołów cisza.

XXV

Frauenburg, 15 lipca 1512 roku

Doktor Mikołaj siedział w sali Szpitala świętego Ducha i kończył spisywanie recepty na kawałku pergaminu. Chorych nie było tego dnia nawet zbyt wielu: chłop z Pogrodzia z poranioną podczas prac polowych nogą, po nim karczmarz z dolegliwościami gastrycznymi, wreszcie córka młynarza w ostatnim trymestrze ciąży, której nienarodzone maleństwo nie dawało spać. To dla niej sporządzał miksturę, która powinna przynieść ulgę w tych ostatnich dniach.

Wpisywał ostatnie łacińskie słowa, kiedy skrzypnęły drzwi izby i pokazała się głowa w czerwonym kapeluszu.

– Witaj! – zawołał z radością, bo od razu poznał gościa. – Wejdz, proszę.

Drzwi otworzyły się szerzej i przybysz ukazał się w pełnej krasie. Kanonik rozpoczął swą obserwację dość nietypowo, bo od dołu. Gość miał na sobie ciżmy z kolorze wiosennej zieleni. Wyżej żółciły się pończochy jedwabne, portki w pasy czerwono-niebieskie, wykonane z połyskliwej materii, kamizela aksamitna, na złote guzy zapinana, rękawy białej koszuli bufiaste, pas szeroki i ćwiekowany. Całość przykrywał krótki skórzany płaszczyk.

Przybysz wyglądał jakby żywcem przeniesiony z ulic Padwy, Bolonii, a nawet i Krakowa czy Torunia, choć i we Frauenburgu zdarzało się czasem

ujrzeć takowego modnisia.

– I jak? – zapytał gość.

Mikołaj wyraził swe uznanie kiwnięciem głowy. Jeszcze raz spojrzął na niego, dokładnie mierząc go wzrokiem od pasa w górę. Nie, nic nie było widać.

Był chłopak, jest chłopak – uspokoił się w myślach, po czym powiedział z uśmiechem:

– Jak udowadniał święty Hieronim, pragnienie dodania sobie uroku i urody sztucznymi środkami prowadzi w linii prostej do grzechu lubieżności, a także do zamięłowania do marności ziemskich. Nijak się jednak ma do tego purpura bijąca z twego kapelusza.

Minął miesiąc, od kiedy tajemniczy rozbitek, znaleziony przez rybaków na plaży Mierzei Wiślanej, zamieszkał w domu warmińskiego kanonika. Nikt, prócz Kopernika i dwóch rybaków z drugiej strony Frisches Haff, nie wiedział najważniejszej rzeczy o rozbitku. Nie rozmawiał zresztą doktor z nimi od tamtej pory, zastanawiał się też, czy tego, co wtedy im powiedział, rybacy nie wzięli za zwykłe przejęzyczenie, a o to w krainie mieszania się języka polskiego, niemieckiego, łaciny i wszelkich miejscowych dialektów wcale trudno nie było.

Przy pomocy braci przewiózł tamtego dnia dziewczynę łodzią na drugą stronę zalewu, poprowadził pod osłoną nocy do kanonii, gdzie czekał już sługa jego wierny, Hieronim. W drodze dziewczka majaczyła, powtarzała w malignie obce wyrazy, dygotała w gorączce, ale jej ogólny stan zdrowia doktor ocenił jako dobry. Czemu nie zostawił jej więc u rybaków, tylko zabrał ze sobą?

Mijały dni i tygodnie. Ciało dziewczyny było już całkowicie sprawne i zdrowe, rany zablizniły się, siniaki zeszły. Gorzej było chyba jednak z jej psychiką. Wciąż krzyczała w środku nocy, budząc tym gospodarzy. Kiedy

wbiegali do jej izby, widzieli ją siedzącą na łożu, z wyciągniętymi do góry rękami, mokrą od potu. Wspomnienie burzy na morzu, która zabrała jej ojca, a o mały włos nie zabrałaby i jej, wciąż było świeże. W miarę upływu czasu nocne ataki gorączki i zwidów były jednak rzadsze.

Nikomu nie powiedzieli, że w kurii mieszka młoda kobieta. Owszem, kanonicy mieli gospodynie, ale wszystkie były kobietami w sile wieku, jeżeli nie staruszkami. Poza tym białogłowy mijało się tu na każdym kroku: były kucharkami, pracowały we młynie, warzyły piwo, oprawiały przywiezione z łowisk ryby. Przede wszystkim jednak rodziły i wychowywały potomstwo. Mikołaj wychował się właściwie wśród kobiet. Wcześniej stracił ojca, za najlepszego druha miał swojego starszego brata, Andrzeja. Tak, w domu zawsze było słycać więcej kobiecych głosów: prócz matki i ciotki Krystyny miał bowiem Mikołaj także dwie siostry – Katarzynę i Barbarę. Pierwsza z nich była teraz żoną Bartłomieja Gertnera z Krakowa, druga wstąpiła do zakonu cysterek w Chełmnie.

By dziewczynę z morza, jak często w myślach Mikołaj nazywał topielicę, odesłać właśnie do niej, było zresztą pierwszą jego myślą. Szybko jednak ją zarzucił, bowiem różnice kulturowe i religijne mogły być w tym wypadku przeszkodami nie do pokonania. Także i obowiązki na miejscu nie pozwalały Kopernikowi udać się teraz w podróż.

Nikt, prócz Mikołaja i Hieronima nie wiedział, że miała na imię Aida, co oznaczało odwiedzająca, wracająca, i pochodziła z dalekiej Persji. Kilka miesięcy wcześniej udała się w podróż ze swym ojcem Abbudem Mohammedem As-Sabur Salahem, który umyślnie ubierał ją w męskie stroje i wołał na nią Jasin, chcąc uchronić przed mężczyznami, którzy w podróży bywają często nieokrzesani i grubiańscy.

Dopiero Mikołaj odkrył tę tajemnicę, choć nie mógł i nie chciał podzielić się nią z innymi. Postanowił zachować ten kamuflaż. Za

podpowiedzią Hieronima nazwali dziewczynę Fritzem, sprawili modny męski strój, a wszystkim, którzy o chłopaka zapytywali, odpowiadali, iż to daleki kuzyn Mikołaja Kopernika, Fritz von Allen, który przybył tu z Torunia.

– Co piszesz, panie? – zainteresowała się, podchodząc bliżej do stolika, przy którym siedział Kopernik.

– Receptę – odparł doktor.

Przyjrzała się, jak operuje gęsim piórem.

– W złą stronę stawiasz znaki, panie – zauważyła.

– Masz rację, Fritz. Przyszłość przed tobą!

Roześmiali się. Dogadywali się coraz lepiej – w języku arabskim, który Mikołaj poznał nieco podczas studiów w Italii, zaglądając do znanych dzieł wschodnich naukowców, i trochę po niemiecku, który to język ona najczęściej słyszała podczas długich morskich podróży.

Aida bardzo interesowała się wszystkim, co robi Mikołaj: jego sztuką medyczną, matematyczną, a także obserwacjami nieba. Poczuła się dobrze w kanonii, jak i w jej otoczeniu. Nikt nie pytał, co będzie jutro.

Któregoś dnia, było to wczesną jesienią, zapytała doktora o obraz w złoconej ramie, który wisiał w jego komnacie. Właściwie nie zapytała, ale od razu oceniła dzieło:

– Dobry malarz.

– Dlaczego? – zainteresował się Mikołaj.

– Pokazał nie tylko to, co widać od razu, ale i to, co można dostrzec w tobie, panie, dopiero po dłuższym czasie.

Mikołaj uśmiechnął się.

– To nie jest mój portret – rzekł z powagą, a nawet ze smutkiem. – Tylko mego wuja, Łukasza Watzenrodego, biskupa Warmii, który ledwie kilka miesięcy temu odszedł do pana.

– Nie wiedziałam, wybacz mi... – Aida opuściła wzrok. – Byliście do siebie podobni.

– To brat mojej matki i możny protektor. Dzięki niemu ja i mój brat mogliśmy studiować w Krakowie, a potem w Padwie, Ferrarze i Bolonii. Światły był z niego człowiek, wierzący w siłę nauki. Straciliśmy wcześniej ojca i tylko dzięki wujowi udało nam się zostać tymi, kim jesteśmy.

– Mój ojciec też wielbił naukę. – Spojrzała gdzieś w bok, ale szybko na powrót się ożywiła. – Opowiesz mi o nim, panie?

Ból po starcie bliskiego krewnego był jeszcze świeży i silny, rany nie zdążyły się zagoić, jednak Kopernik zgodził się przybliżyć Aidzie-Fritzowi postać swojego wuja Watzenrodego.

Nie miała chyba Warmia pana większego od tego syna toruńskiego mieszczanina, który przez cały żywot swój z podobną żelazu konsekwencją i uporem, wolą i odwagą zdobywał i pomnażał majątki swoje. W równej mierze człowiek ów był, jak i miał, a tym, co miał – tak na podporządkowaniu, jak i w głowie, dzielił się szczerze z innymi.

Na edukację wydał cały swój majątek, który odziedziczył po ojcu. Mając lat ledwie szesnaście, udał się na nauki do Krakowa i Kolonii, potem doktorem prawa kanonicznego zapragnął zostać i takiż tytuł dumny przywiózł z dalekiej Bolonii. Mimo że wkrótce piękna torunianka Teschnerówna urodziła mu syna imieniem Filip, który po latach został burmistrzem miasta Braunsberg, czyli Braniewa, Łukaszowi bliżej było do duchowej sukni.

Zdobywał kolejne kościelne prebendy, w tym i warmińską, doradzał polskim królom, choć ci, przede wszystkim Kazimierz Jagiellończyk,

wbrew zakusom i ambicjom torunianina, nie widzieli w nim nikogo ponad to.

Kiedy jednak Pan bliski był powołania do siebie biskupa warmińskiego Mikołaja Tungena, Łukasz spostrzegł w tym wielką szansę dla siebie. Udał się przeto do Rzymu, by, wbrew królowi, ale z poparciem Tungena, samego papieża prosić o tę godność. W tym samym czasie i w tym samym celu w Stolicy Piotrowej pojawiło się także polskie poselstwo, bo król jako biskupa Warmii widział swojego syna. Papież Innocenty VIII zatwierdził elekcję Łukasza, ten zaś musiał jeno servitta wysokości sześciuset florenów zapłacić, ażeby wykupić bullę.

Z Rzymu wracał Watzenrode biskupem, ale bez grosza przy duszy, w dodatku ścigany przez gniew królewski, więc okrężną drogą, by zmylić przeciwnika. Wiózł na Warmię jedynie książki, co koncept przyniosło, aby podszyć się pod... księgarza. Godność obejmował, niepewny, czy gniew Kazimierza przemieni się w zbrojną interwencję, papież odrzucił bowiem królewską apelację. Jagiellończyk zmarł jednak niebawem, a Łukasz Watzenrode stał się panem na Warmii.

Wkrótce jego siostrzeńcy, Andrzej i Mikołaj Kopernikowie, korzystając ze środków finansowych wuja, poszli jego krakowską, a później włoską drogą nauki, po której skończeniu młodszy z braci został sekretarzem oraz lekarzem na zamku biskupim w Lidzbarku. Uczestniczył też wraz z wujem w zjazdach stanów Prus Królewskich.

Potęga Łukasza Watzenrodego rosła z każdym rokiem, wraz z nią potęga Warmii i jej Kościoła. Biskup budował coraz to nowe świątynie i suto je wyposażał. Również i jego pałac biskupi piękniał, wypełniały go niezwykłej urody obrazy, rzeźby, a nawet porcelana. Przede wszystkim jednak ukochał biskup Łukasz księgi – pięknie oprawne i bogato iluminowanie.

Część z nich otrzymał Mikołaj Kopernik po owym tragicznym zimowym dniu, w którym biskup Łukasz po zatruciu nieświeżymi rybami, w drodze z Krakowa, gdzie fetował zaślubiny króla Zygmunta Starego, oddał ducha w rodzinnym Toruniu, w wieku lat sześćdziesięciu trzech. Mikołaj nie mógł darować sobie, że nie było go wówczas przy swym krewnym i protektorze. Może coś by zarządził, kto wie?

Łukasza pochowano we fromborskiej katedrze, a lud i duchowieństwo żegnali go z żalem.

– To te książki? – Aida wskazała ręką na jedną z półek, które zajmowały ściany w głównej izbie zamieszkiwanej przez Mikołaja kurii.

– Tak – potwierdził doktor i westchnął.

– Piękne.

– Zawsze będą mi o wuju przypominać. W niektórych z nich znaleźć jeszcze można ślady po nim: ręcznie dokonane notatki, zasuszone kwiaty, a nawet włosy...

XXVI

Frombork, dzień trzeci

Kiedy Tomasz Horn ocknął się z półsnu, w który zapadł nie wiadomo kiedy, od razu chwycił za telefon i sprawdził godzinę. Był już następny dzień, choć dopiero pierwsza w nocy.

– Śpisz? – usłyszał naraz głos Moniki; zdziwiło go, że dobiegał z dalszej odległości. – Nie – odpowiedział. – Gdzie jesteś?

– Przy drzwiach. Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy.

– Jakie głosy?

– Psst...

Przez chwilę nie słyszał nic poza własnym oddechem. Kiedy dziewczyna zaczęła walić nagle pięściami w drzwi, zupełnie tak jak on przed paroma godzinami, najpierw omal nie podskoczył, a po kilku sekundach zachciało mu się tylko ziewać.

Monika Lauder wyładowała swoją złość, po czym ponownie usiadła przy Hornie.

– Nigdy nas tu nie znajdą – jęknęła.

Nie wiedział, jak ją pocieszyć. Sprawa już dawno przestała być zabawna.

– W takich sytuacjach jak nasza ludzie zwykle obiecują, że jeśli jakimś cudem wyjdą z potrzasku, zmienią się – powiedział po chwili Horn. –

Ciekaw jestem, co byś dała za możliwość opuszczenia tego miejsca.

– W czarnym worku?!

Mam nadzieję, że się nie zarażę jej entuzjazmem – pomyślał dziennikarz.

– Nie, na własnych nogach i w dobrym zdrowiu – sprostował po chwili.
– Ludzie w takich wypadkach obiecują rzucić palenie. Albo że zadzwonią wreszcie do matki. Pić dwie szklanki mleka dziennie, biegać trzy razy w tygodniu, czytać Biblię...

Dziewczyna westchnęła, Horn zaś z ciekawością nadstawił uszu. W tym samym momencie coś zazgrzytało. Zupełnie jak klucz w drzwiach. Palce Moniki zacisnęły się kurczowo na ramieniu mężczyzny. Horn się zaśmiał.

– Masz szczęście – powiedział, wstając z ziemi. – Nie musisz przynajmniej odpowiadać na kłopotliwe pytania.

Drzwi uchyliły się i przez szparę do środka wpadło światło, najpewniej latarek. Monika również wstała, ale wciąż mocno trzymała się ramienia Horna. Mimowolnie oboje zaczęli się cofać, chwilę potem położyła temu kres ściana komory. W tej samej sekundzie w pomieszczeniu zrobiło się zupełnie jasno, ale i... ciasno. Prócz Horna i Moniki znajdowało się w nim bowiem trzech policjantów. Za ich plecami czaił się Gniewomir.

– Lepiej późno niż wcale – skwitował Horn z kpiącym uśmiechem.

– Tomasz Horn? – zapytał oficjalnie stojący na czele grupki aspirant Wasilewski.

– To on – szepnął za jego plecami rycerz.

– Zgadza się – odpowiedział zdezorientowany dziennikarz. – O co chodzi?

– Jest pan zatrzymany do dyspozycji prokuratora. Proszę za mną. Pani też – spojrzał na Monikę, która już zdążyła puścić ramię niedawnego współwięźnia.

Niecałe pół godziny później Tomasz Horn siedział w jednym z pomieszczeń posterunku policji we Fromborku.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedział do siedzącego naprzeciwko, poznanego kilka dni prokuratora.

– A ja myślę, że wie pan doskonale – odparł Nowacki.

– Klucz do drzwi kościoła miał przecież Gniewomir, ten rycerz. Nie wiem, czy legalnie. Jego zapytajcie, skąd je ma.

– To nie należy do sprawy.

– A co należy do sprawy?! – Horn był coraz bardziej zdenerwowany.

Prokurator Nowacki sięgnął po leżącą na biurku teczkę, otworzył ją, wyjął jakiś papier. Przez chwilę ważył go w rękach. Potem sięgnął niżej. Po chwili na blacie pojawiła się zwykła plastikowa butelka z resztką wody. Zapakowano ją w foliowy woreczek z jakimiś napisami.

– Mam przed sobą analizę odcisków palców, znalezionych w celi, w której w nocy z niedzieli na poniedziałek przebywał i w której następnie zmarł Ludwik Rosłoń.

– To pewnie wiele wyjaśni – próbował zgadywać Horn.

– Zgadza się – potwierdził Nowacki, a Tomasz poczuł, że robi mu się dziwnie gorąco. – Niestety, nie istnieje zbrodnia doskonała. Nerwy zgubią każdego.

– O co panu chodzi?

– O to, że na tej butelce, którą znaleziono przy denacie, znajdują się pańskie odciski palców, panie Horn.

– Co?!

– Tak. Pańskie odciski palców. Czy przyznaje się pan do zamordowania Ludwika Rosłonia w celi posterunku policji we Fromborku?

Tomasz poczuł nieznośną suchość w ustach. Nawet gdyby chciał, trudno by mu było cokolwiek powiedzieć. Ale nie chciał, a raczej nie miał pojęcia, jakich słów użyć w tak niecodziennej, a przede wszystkim absurdalnej sytuacji.

– Czy przyznaje się pan do zamordowania Ludwika Rosłonia w celu posterunku policji we Fromborku? – Nowacki powtórzył zdanie monotonnym głosem i znów nie doczekawszy się odpowiedzi, ponownie coś zapisał na jednej z leżących przed nim kartek papieru.

Horn słyszał wyraźnie pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej, pot wystąpił mu na czoło.

Dobra, postraszyli. I co dalej? Nawet z drogówką gadać nie potrafił, a co dopiero z prokuratorem, tym bardziej z pozycji oskarżonego. Jakiego, kurwa, oskarżonego? Chyba ktoś mu robi głupi kawał. Tak, to na pewno głupi dowcip...

– Chce mi się spać – wymamrotał wbrew sobie.

Czuł się otepiały, jak po zażyciu dużej ilości środków przeciwbólowych. Upłynęła chwila, nim usłyszał własny oddech. Głos siedzącego naprzeciwko mężczyzny niby do niego docierał, ale mózg nie nadążał z przetwarzaniem słów na ich znaczenie. Bardzo, ale to bardzo zachciało mu się zamknąć oczy. Nic innego. Powinien krzyczeć, szarpać się – zamiast tego jednak chciał tylko położyć głowę. Gdziekolwiek.

Nie czuł dotyku policjantów, którzy po kilku chwilach podnieśli go niczym worek z krzesła, skuli mu ręce z tyłu i poprowadzili w dół. Do jego nozdrzy dotarł zapach zgniłych ziemniaków – zdołał go nazwać w myślach. Przed oczami przesuwał się obraz jak ze steadicamu – ruchomej kamery: pięć schodków, zakręt w prawo, kolejnych siedem w dół, a ostatni nieco wyższy od pozostałych. Korytarz szerokości rozłożonych ramion dorosłego człowieka. Dziesięć kroków.

Zgrzyt przesuwanej zasuwki, skrzypnięcie starych zawiasów drzwi. Zapach stęchlizny blisko twarzy, szorstkość koca. Potem ciemność, kojąca, głęboka. Znajoma...

XXVII

Piotrków Trybunalski, 6 grudnia 1512 roku

Mimo że obrady sejmu w Piotrkowie trwały już od dwóch dni, wszyscy posłowie, senatorowie i zaproszeni goście w napięciu oczekiwali przybycia króla polskiego, Zygmunta I Starego. Krasomówcze popisy panów przedstawicieli szlachty wybranych na sejmikach ziemskich, jak i nocne pijatyki, które jeszcze bardziej sprzyjały elokwencji, gwar rozmów, a nawet śmiechy i szmer stali – wszystko to kanonicy warmińscy, którzy delegacją stawili się w odległym Piotrkowie, przyjmowali częstokroć z dziecięcym wręcz zdziwieniem.

Czekali przeto na króla, choć może i było tak, że to król popędzał konie w swym orszaku, wszak w obowiązującej od lat siedmiu konstytucji *Nihil novi* stało jasno, że władca nie może żadnych praw stanowić bez zgody posłów i senatorów. Może i ktoś z wąsaczy, osuszających w grudniowym Piotrkowie kolejny gąsior wina, w dwudziestym roku od chwili zwołania pierwszego w dziejach Korony sejmu tak właśnie myślał...

– Na tak pięknej polskiej równinie chyba lepiej widać gwiazdy, prawda, Mikołaju? – zagadnął Kopernika kanonik Jan Sculteti.

Mikołaj wzdrygnął się, choć nie wiadomo, czy efektem było nagłe wyrwanie go z zamyślenia przez Scultetiego, czy może zimno, grudzień był bowiem wyjątkowo srogi.

– O co pytałeś, bracie? – zwrócił się cicho do towarzysza.

– O jadło – zaśmiał się kanonik Jan. – Pytałem, jak ci smakuje polskie jadło, którym nas tu podejmują.

– Smakuje.

Nietrudno było zgadnąć, że myślami ów kanclerz i wizytator kapituły warmińskiej, niedawny przełożony kasy aprowizacyjnej, jest daleko stąd. I bynajmniej nie rozmyśla o dukatach czy sposobach, jak je pozyskać.

Wielu ludziom, nie tylko na Katedralnym Wzgórzu, wiadomą była pasja, jaką od dawna się zajmował. Parę lat temu sporządził był Kopernik *Komentarzyk* o teoriach ruchu ciał niebieskich, które to dziełko, rozpowszechniane po świecie w wielu odpisach, było pierwszym, nieśmiałym jeszcze, a i czysto teoretycznym, choć i niebezpiecznym (kościelna klątwa czy ekskomunika – były to ciężkie kary) zarysem teorii, w której myśl to nie Ziemia jest centrum Wszechświata, a Słońce.

Siedzieli przy biesiadnym, suto, choć odpowiednio na czas adwentu zastawionym stole w jednej z karczm w sercu Piotrkowa, skąd przez wąskie okna, w świetle gasnącego dnia, było widać zamek, w którym ogrzewano komnaty w oczekiwaniu na przybycie króla Zygmunta.

Już pięć lat rządził polskim królestwem ten przedostatni z sześciu synów Kazimierza Jagiellończyka. To właśnie z jego ślubu z Barbarą Zápolyą, córką pana na Trenczynie, wracał biskup Watzenrode, nie wiedząc, że to jego podróż ostatnia. Mimo że nie niechętny parlamentarnemu systemowi i przywilejom politycznym szlachty, zwoływał był Zygmunt coroczne sejmy – takie jak ten w Piotrkowie.

– Mikołaju, Mikołaju! – Uszu kanoników doszedł podniesiony głos.

Przez ciżbę przepychał się sługa jednego z kanoników. Kilka par oczu odprowadzało go aż do stołu, zajmowanego przez panów z Frauenburga.

– Co się urodziło, Kurt? – zapytał kpiąco i w zastępstwie Kopernika Sculteti.

Sługa nazwany Kurtem stał przy stole i sapał przez dłuższą chwilę. Z burki, którą miał na grzbiecie, unosiła się para.

– Pan mój, Herbert Kunze, zaniemógł! – wyrzucił wreszcie z siebie.

Kanonicy Jan i Mikołaj popatrzyli na siebie. Wiedzieli dobrze, co mogło zaszkodzić kantorowi fromborskiemu, i że i tym razem przeżyje. Doktor Mikołaj jednak nie potrafił nie przejmować się takimi wiadomościami.

– Powiedz swojemu panu, że za dwa pacierze będę – rzekł ze spokojem.

Kiedy Kurt się oddalił, Sculteti popatrzył pełnym melancholii wzrokiem ponad głowami i ramionami gości za okno karczmy, w którym dzień już zgasł na dobre.

– Niech no tylko zdrów będzie na jutro nasz drogi kantor Kunze, opój i obzartuch – powiedział jakby do siebie. – Jutro wielki dzień!

Kolumna wozów i jeźdźców posuwała się bardzo powoli. Śniegu nasypało świeżego, więc to właśnie jej przyszło przecierać na nowo dukt prowadzący na północ. Kopyta końskie co raz zapadały się w zasy, śnieg oblepiał koła wozów. Jechali właśnie przez gęsty las. Mimo że oświetlali sobie drogę pochodniami, niewiele było widać.

– Jeszcze kilka mil i będziemy w Łowiczu – uspokajał dowodzący zbrojnymi, zajrzawszy na chwilę do powozu, w którym podróżowali kanonicy.

Siedzący w środku Jan Sculteti nic nie powiedział na te słowa pocieszenia, zaś Herbert Kunze, który od dwóch dni cierpiał istne katusze, jęknął przeciągle. Mikołaj wtulił głowę w kozuch, tak że było widać tylko jego czoło i włosy, spadające na boki. Dzień jeszcze się nie skończył, choć zapadły ciemności, jak to zimą; kanonik walczył z sennością.

Jednocześnie przed oczyma wciąż miał obrazy, które widział wcześniej: króla Zygmunta, zwanego Starym, w otoczeniu dworu – niewiast, duchowieństwa i ruchliwego błazna, grające podniosłe trąby, przemowy, modły, a wreszcie najważniejsze – przysięgę wierności królowi polskiemu, złożoną przez kapitułę warmińską. Układ, który wcześniej zawarto na sejmie w Piotrkowie, gwarantował kapitule prawo wyboru swojego biskupa.

Można było wracać na Warmię. Obeznany z mapami Mikołaj, który często sam je sporządzał, skonstatował zresztą, że Piotrków, Płock i Frauenburg łączy linia, biegnąca dokładnie po prostej wyznaczonej przez igłę magnetyczną. Przyjaźnił się Mikołaj od lat z Bernardem Wapowskim, choć dawno nie mieli sposobności do rozmowy, gdyż kanonik krakowski pracował teraz z włoskim kartografem Marco Beneventano nad mapami Europy Środkowej.

Gdyby tak mieć cudowną maszynę latającą – rozmarzył się doktor. Podróż taka zajęłaby może z pół dnia, a nie, jak teraz, kilka...

Z daleka dobiegło ujadanie psów.

Najpewniej zbliżają się do jakichś osiedli – koncyrował doktor Mikołaj. Oj, błędem chyba było, że wybrali się w drogę zaraz po obiedzie, miast jeszcze noc przeczekać i ruszyć z samego rana, dzięki czemu może na noc udałoby im się dotrzeć nawet do Płocka.

– Co za cholerny mróz! – zaklął Sculteti, po czym szybko uczynił znak krzyża, oczy wzniósł ku niebu, teraz czarnemu niczym smoła.

– Daleko jeszcze do tego Łowicza? – wymamrotał spod góry skór i kozuchów kanonik Herbert, najpewniej wciąż trawiony gorączką.

Nikt mu nie odpowiedział, bo i nikt nie był pewny, gdzie się obecnie znajduje ich kolumna. Wozem zatrzęsło, koła pewnikiem trafiły na wyboje lub jakiś większy dół, których na gościńcu spotykało się wiele.

Mikołaj był przyzwyczajony do trudów podróżowania – i to podróżowania o każdej porze roku. Śnieg czy deszcz, upał czy wiatr – wiele razy musiał kazać Hieronimowi zaprzęgać konie i ruszać. Głównie były to wyjazdy z pomocą lekarską na wezwanie złamanego chorobą biskupa warmińskiego.

Wiele podróży odbył też Kopernik w młodości: do Krakowa, a potem do i z dalekich Włoch. Dziwił się jednak trochę panom, którzy wybierali się z pielgrzymkami aż do Ziemi Świętej. Dziwił się jeszcze kilka miesięcy temu, bowiem poznanie tajemniczej Aidy, dziewczyny z morza, obudziło w nim zainteresowanie miejscami, po których chodzili Jezus Chrystus i prorok Muhammad ibn Abd Allah ibn Abd al-Muttalib, zwany w Europie Mahometem.

Rozmyślenia przerwał Mikołajowi dochodzący od północy, głośny i z każdą chwilą narastający tętent końskich kopyt. Zaciekawiony kanonik odsunął przesłonę i wyjrzał przez okno.

To, co ujrzał, zmroziło go dużo bardziej niż temperatura, która dawała się we znaki podróżnym. Gościniec wiódł już po odkrytym terenie, szeroko zakręcał i prowadził w górę, co sprzyjało obserwacji: prosto na kolumnę zmierzała drogą duża wataha konnych z pochodniami. Na oko piętnastu ludzi. Dzikie wrzaski, również coraz głośniejsze odgłosy wydawane przez galopujące konie nie mogły świadczyć o przyjaznych zamiarach tych ludzi.

Nikt w Piotrkowie nie ostrzegał kanoników przed niebezpieczeństwem napadu, droga na sejm też przebiegła bez przygód. Kim więc byli nadjeżdżający jeźdźcy? Tatarami, Rusinami, Krzyżakami, a może najpospolitszymi bandytami, z których każdy znał na pamięć *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario*, co jednak nie powstrzymywało go w żaden sposób przed podejrzeniem gardła pierwszemu napotkanemu na gościńcu kupcowi.

– *Was ist denn los?* – zawołał Kunze.

– Zobaczę – odrzekł Mikołaj.

– Nie – zaprotestował słabym głosem Jan, ale Kopernik już go nie słyszał.

Wychylił się jeszcze bardziej i ujrzał, jak konni ochraniający wozy kanoników dobywają mieczy i ustawiają się w szyku obronnym. Wszystko trwało chwilę. Powietrze przeszył świst strzał, zadzwoniła stal wydobytych z pochew mieczy, konie rżały. Już któryś z rycerzy z mrozącym krew w żyłach krzykiem spadł z konia.

W tej samej chwili serce doktora zmroził nagły lęk o małego Fritza, choć przecież był on tak daleko...

– Jezu Chryste! – zawołał kanonik Sculteti.

Kopernik wzdrygnął się, szybko odzyskując ostrość patrzenia. Wtem powozem kanoników szarpnęło gwałtownie, rzuciło w bok; stanął na ukos drogi, jednym kołem ryjąc głęboko w zaspę. W tym samym momencie jakiś cień zafurkotał i runął z jękiem w dół, ledwie długość ręki przed twarzą Mikołaja, który dopiero po dłuższej chwili skonstatował, że to ich woźnica, rażony najpewniej wrażą strzałą, spadł z kozła.

Tymczasem na czele kolumny trwała już zażarta walka. Kątem oka Kopernik dostrzegł kilka cieni, czających się na skraju drogi, a w ich rękach długą broń.

Niewiele myśląc, gwałtownie napał łokciem na drzwi, otworzył je i zręcznie wskoczył na kozioł. Chwycił bat, porzucone cugle, ściągnął je i zaparł się mocno stopami o próg. Czwórka koni od razu zareagowała na ruch, ustawiając się karnie wzdłuż drogi.

– Wio! – krzyknął Mikołaj ze wszystkich sił.

W tej samej chwili w drzwi ruszającego powozu wbił się oszczep i kilka strzał; jedna z nich wpadła do środka przez uchyloną przesłonę. Kopernik posłyszał krzyk kanoników, potem jednak uszy wypełnił mu szum

mroźnego powietrza. Jeden z napastników już wspinał się z lewej strony na kozioł, w jego rękach błysnął ogromnych rozmiarów topór.

Mikołaj z całej siły kopnął intruza, trafiając precyzyjnie piętą w twarz, po czym jeszcze raz krzyknął na konie. Powóz rozpędzał się z każdą chwilą, zmierzając w sam środek potyczki...

XXVIII

Frombork, dzień trzeci

Tomasz Horn obudził się z mocno bijącym sercem. Usiadł na pryczy, potarł dłońmi twarz. Otaczała go nieprzenikniona, miazdząca wręcz ciemność. Po chwili poczuł pulsowanie w skroniach, nieznośne gorąco na twarzy i karku. Wszystko wróciło w jednej chwili...

– Kto? Dlaczego? – zapytał sam siebie na głos.

Strach. Czuł go coraz wyraźniej. Nieraz czytał, ale i również sam opisywał historie ludzi umoczonych. Robiono im to z różnych powodów: aby pozbyć się z pracy konkurenta, współnika, przejąć udziały w firmie. Różne były metody, które stosowano, aby osiągnąć cel. Cóż to była za trudność podrzucić na przykład do komputera dziecięcą pornografię. Na szczęście laptop Horna z taką zawartością nigdzie „przypadkiem” się nie znalazł. Przynajmniej na razie...

Coraz bardziej był przekonany o tym, że przebite opony i kartka z pogrózkami miały z tym coś wspólnego. Tylko kto mógł szukać na nim pomsty? I za jaką historię sprzed roku? Komu się naraził, będąc rok temu we Fromborku? Przecież tamta sprawa została zakończona! Co jednak chciał osiągnąć ktoś, kto wrabiał go w morderstwo? Przecież takie historie nie zdarzały się zwykłym zjadaczom chleba.

Nagle zza drzwi celi dobiegł odgłos kroków. Horn zastygł w bezruchu, wstrzymał oddech. Wstał i na palcach doszedł do ściany, na której

znajdowały się drzwi, i przywarł do niej. Kto to może być? Policjant, który ma zamiar sprawdzić, czy i w tym przypadku nie doszło czasem do nieszczęśliwego wypadku? Dwa „breloki” w ciągu dwóch dni – to by było stanowczo za wiele jak na jeden niewielki posterunek.

A jeśli to nie policjant? – przeszło mu przez myśl.

Drzwi się uchyliły. Ktoś stał w progu. Stał i patrzył. Nie zapalał światła – ani górnego, ani latarki. Tomasz Horn usłyszał przyspieszony oddech człowieka, od którego dzieliło go zaledwie kilkanaście centymetrów i grubość drzwi.

Nagle skrzydło się poruszyło. Zachrząściło miażdżone podeszwą buta ziarenko piasku.

Horn cofnął się pół kroku. Za plecami wyczuł prostopadłą ścianę. Nie, nie będzie kozłem ofiarnym! Podjął decyzję. Zaparł się, uniósł prawą nogę i z całych sił... kopnął w skrzydło drzwi.

– Jezu! – rozległ się stłumiony krzyk i czyjeś ciało zważyło się ciężko na podłogę celi.

Horn w mgnieniu oka wyskoczył z kąta, dał susa przez próg. Nadepnął na coś miękkiego, może dłoń intruza, ale nie potwierdził tego krzyk. Słyszał jedynie dochodzące z dołu rżenie.

Kim był tamten człowiek? Policjantem czy zabójcą? Może i tym, i tym? – zastanawiał się gorączkowo, choć tak naprawdę nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Chwycił za klamkę, pociągnął do siebie. Drzwi się zamknęły. Namacał zasuwę, przesunął. Po sekundzie był już w korytarzu. Na jego końcu znajdowało się źródło światła. Co będzie dalej: otwarte drzwi czy pełniący nocną służbę policjant – nie było ważne.

Tomasz Horn już był przestępcą.

XXIX

Gdańsk-Wrzeszcz, dzień trzeci

– Chodź, Kajzer! – Władysław Keller zawołał na psa, który w ciągu chwili zerwał się z legowiska pod kuchennym stołem i pobiegł do przedpokoju, merdając ogonem.

– Wychodzisz? – zainteresowała się Mirka.

– Dobrze mi robi, jak się trochę dotlenię.

Kobieta załamała rękę.

– Boję się.

– Niepotrzebne. Będę szedł powoli.

– Tylko za daleko nie odchodź. – Pogroziła mu palcem jak dziecku.

Zakręciło mu się w głowie, ledwo zamknął za sobą drzwi mieszkania. Zacisnął dłoń na poręczy, odczekał chwilę. Pomogło. Pies z miłością przyglądał się swojemu panu, nie przestając wywijać ogonem.

– Już idziemy – uspokajał go mężczyzna.

Jakoś udało mu się pokonać kilkanaście stopni w dół. Co stanie się potem, kiedy będzie musiał wracać, o tym na razie nie chciał myśleć. Mijając skrzynkę na listy, rzucił okiem, ale między ząbkami nie natrafił na inny kolor poza tym, który oznaczał pustkę.

Wyszedł na powietrze. Mimo że była dopiero siódma rano, słońce świeciło pracowicie, Keller założył więc uprzednio przygotowane, ciemne

okulary. Rzadko je nosił, nawet latem; teraz jednak okazja do ich założenia była szczególna. I podwójna.

Połączył smycz z obrozą Kajzera i obaj ruszyli w stronę jednej z głównych arterii dzielnicy. Minął ich tramwaj jadący z centrum do Jelitkowa.

Po dziesięciu minutach Władysław Keller i jego pies znaleźli się na niewielkim skwerku. Mężczyzna usiadł na ławce, pies położył się u jego stóp. Kilka metrów dalej znajdowała się rzeźba siedzącego na ławeczce małego chłopca z bębenkiem. Ruch wokół nie był duży, jeżeli nie żaden.

Keller spojrzął na zegarek i oparł się wygodnie na ławce. Pies przymknął oczy. W tym samym momencie kilkanaście metrów dalej zatrzymał się nowy opel vectra koloru zielonego. Wsiadł z niego starszy mężczyzna, zamknął starannie drzwiczki auta, jak czynią to ludzie, których dopiero w jesieni życia stać było na kupienie samochodu, po czym skierował kroki w stronę skwerku. Pod pachą miał złożony „Dziennik Bałtycki”.

Przybysz przeszedł obok ławki, na której siedział Władysław, podszedł do ławeczki zajętej przez chłopca z bębenkiem i przez dłuższą chwilę z zainteresowaniem przyglądał się rzeźbie.

– Chcieli samemu Grassowi postawić pomnik. Ale powiedział, żeby najpierw założyli tutaj ludziom kanalizację – rzekł wesoło, zbliżywszy się do Kellera.

– Witaj, Gieniu.

Uścisnęli sobie ręce, mężczyzna nazwany Gieniem zajął miejsce obok Kellera. Kajzer nie zwrócił na gościa najmniejszej uwagi.

– Co dobrego? – zapytał przybysz. – Słyszałem, że położyli cię na trochę.

– Nic szczególnego. – Keller wzruszył ramionami.

- Zwykle badania kontrolne?
- Zgadza się.
- Czyli kiepsko.
- Bywało lepiej.

Od Grunwaldzkiej dobiegło wycie syreny karetki pogotowia albo policji. Pan Eugeniusz położył swoją gazetę na ławce, w połowie dzielącej ich odległości.

- Przyniosłem, co sobie komandor zażyczył – rzucił półgębkiem.
- Dziękuję, komandorze – odparł Keller, patrząc wprost przed siebie. –

Co to?

- P-64.
- Antyk.
- Ale za to dwa magazynki z pestkami.
- To już lepiej.

Keller chwycił za gazetę i pewnym ruchem schował ją za pazuchę.

– Zadarłeś z mafią? – zapytał Eugeniusz, gdy Władek zbierał się już do odejścia.

- Nie. Tylko spotykam się z bratem.

XXX

Frombork, dzień trzeci

Mimo że część nocy spędzona w kazamatach kościoła przedpogrzebowego była niemal bezsenna, Monika Lauder nie mogła zasnąć. To, że poszła sama i zaczęła na własną rękę szukać, zresztą nie wiadomo czego, należałoby określić wpakowaniem się w kłopoty na własne życzenie. Za zamknięcie ich w celi odpowiadał już ktoś inny, ale czy nie była to konsekwencja wcześniejszych wyborów?

Z nocnej rozmowy z dziennikarzem, co do którego była w stanie zmienić swój stosunek, wyniosła nadzieję, że uda się namówić go do pomocy. Taki miała zamiar, aż do chwili, kiedy usłyszała o zarzutach, które na nim ciążyły.

Czy rzeczywiście to ten człowiek, który wydawał jej się coraz bardziej sympatyczny, zabił Rosłonia? Dlaczego? Po co? Kim był? Na czyje zlecenie działał? A może to tylko nieporozumienie? Policja w tym kraju coraz częściej najpierw wyważała drzwi domu bladym świtem, rzucała oszołomionych domowników na podłogę, przystawiała broń do głowy, czasem nawet łamała kręgosłup, a dopiero potem ktoś prosił o podanie nazwiska...

W końcu udało jej się zasnąć nad ranem. Obudziło ją pukanie do drzwi. Lauder odczekała chwilę na wypadek, gdyby dźwięk okazał się sennym omamem. Ale nie był.

– Kto tam?

– Gospodyni księdza proboszcza – zza drzwi dobiegł kobiecy, znajomy głos.

– Już otwieram.

Monika narzuciła na siebie szlafrok, przekręciło kółko w zamku patentowym. Pod drugiej stronie rzeczywiście stała gospodyni proboszcza katedry we Fromborku, pani Gertruda. Kobiecina jeszcze nie zdążyła się odezwać, ale antropolożka już wiedziała, że coś się stało.

– Niech pani za mną idzie, szybko! – zawołała Gertruda, wymachując przy tym rękami.

– Stało się coś?

– Ktoś zdewastował grób.

Zimny dreszcz przebiegł dziewczynie po plecach jak ta małpka, kapucynka, z którą bawiła się podczas wykopalisk na Bliskim Wschodzie.

– Czyj? – zapytała przez ściśnięte gardło, choć już się domyślała, o co chodzi.

O drewnianą podłogę zastukały chodaki. Gospodyni była już w progu kurii, nie odwróciła się też, żeby odpowiedzieć. Antropolożka błyskawicznie wciągnęła dzinsy, w walizce znalazła czysty podkoszulek, na gołe stopy wzięła tenisówki. W ostatniej chwili chwyciła jeszcze gumkę do włosów i zebrała loki w garść. Zamknęła pokój na klucz, po czym wybiegła z kanonii w ślad za gospodynią proboszcza.

– Ktoś zdewastował grób Kopernika. Przecież to świętokradztwo, barbarzyństwo! – wyrzekał proboszcz katedry, na którego Monika kilka chwil później wpadła w progu świątyni.

Wziął ją za rękę jak małą dziewczynkę i poprowadził w stronę miejsca, gdzie jeszcze wczoraj gromadzili się oficjele. Kolorowe witraże kościoła

filtrowały już promienie lipcowego słońca. Monika spojrzała na zegarek, który miała na wolnej ręce. Zbliżała się siódma rano.

Doszli do ołtarza, pod którym dokonano pochówku. Wieńce i wiązanki kwiatów, złożone na płycie w chwili pogrzebu w zgrabny kopczyk, były teraz porozrzucane w promieniu kilkunastu metrów. Tu i ówdzie na posadzce świeciło szkło z rozbitych zniczy, walały się strzępki szarf z wieńców, pojedyncze płatki kwiatów.

– Świętokradztwo, barbarzyństwo! – nie przestawał sapać proboszcz.

Monika podeszła bliżej. Wskazała palcem uszczerbek w jednej z płytek posadzki.

– Ktoś musiał podważyć płytę łomem. – Nawet nie zauważyła, jak jej myśli zamieniają się w słowa. – Tutaj został wbity łom.

– Z łomem w miejsce święte! – jęknął proboszcz.

Ale tak było. Żeliwna płyta, którą tymczasowo przykryto niszę grobowca – w perspektywie miała to być gruba szklana płyta, przez którą można oglądać trumienkę – była podważona i odsunięta. Szpara była jednak zbyt mała, żeby cokolwiek przez nią wyjąć. No, chyba że płytę odsunęto, aby jednak opróżnić grób, a potem próbowano zasunąć...

– To jakiś koszmar – jęknęła Monika.

Od strony wejścia do katedry dobiegł stukot butów. Spojrzała, nie zmieniając pozycji; wzdłuż rzędu ław maszerował komendant posterunku w towarzystwie jakichś mężczyzn w cywilu, z których każdy dźwigał w ręku niewielką walizeczkę. Widząc Monikę klęczącą przy tablicy nagrobnej, wyciągnął przed siebie rękę i zawołał:

– Proszę niczego nie ruszać!

Bez słowa i pośpiechu podniosła się z klęczek, strzepnęła z kolan niewidoczny kurz i zmierzyła przybyszów obojętnym spojrzeniem.

– Proszę się odsunąć. Oficerowie z komendy w Elblągu się tym zajmą – rzucił autokratycznie Wasilewski, przedstawiając mimowolnie mężczyzn w cywilu. – Mam nadzieję, że ten drań zostawił odciski palców.

Policjanci otworzyli swoje magiczne kuferki i przystąpili do działań.

– Kto pierwszy to wszystko zauważył? – Lauder zwróciła się do księdza proboszcza, ignorując aspiranta.

– Kościelny – odpowiedział przytomnie duchowny. – Jak zwykle rano miał zamiar przygotować kościół do porannej mszy.

– Która to była godzina?

– Około szóstej.

Znów huknęły zamykane drzwi katedry. Cała trójka stojących spojrzała w tamtą stronę. Szlakiem, którym kilka chwil wcześniej nadeszli policjanci z Elbląga i Wasilewski, posuwał się teraz inny młody funkcjonariusz. Miętosił w rękę czapkę z orzełkiem, a i minę miał nietęgą. Podeszedł do przełożonego, nachylił się i coś szepnął mu do ucha, po czym odstał na krok. Twarz aspiranta poczerwieniała w jednej chwili.

– Jak to się stało? – warknął.

Ale posterunkowy już nic więcej nie miał do powiedzenia. Wasilewski utkwiał ciężkie spojrzenie w Monice. Ta, choć nie miała pojęcia, jakim sposobem, ale odczytała je bezbłędnie: coś stało się na posterunku.

XXXI

Gdynia, dzień trzeci

– Kajzer! Kajzer, do nogi!

Władysław Keller skręcił ze Świętojańskiej na wysokości Skweru Tajnego Hufca Harcerzy, przeciął go, by po kilku chwilach znaleźć się w jednej z parkowych alejek. Odkąd przeszedł na emeryturę, raczej rzadko bywał w tych okolicach. Dotarcie z Wrzeszcza kolejką SKM zajęło mu sporo czasu.

Czuł się już zmęczony, także całą tą głupią i dziwną sytuacją – z koniecznością okłamania Miry na czele. Nie chciał powiedzieć żonie, że jednak spotka się z dawno niewidzianym bratem, tym bardziej że zrobi to teraz – przyjdzie na spotkanie, właściwie wymuszone w liście, jakby Henryk w ogóle nie dopuszczał innej myśli i Władysław miał obowiązek zjawić na Kamiennej Górze.

Czemu właśnie tutaj? Czemu Heinrich Keller nie przyszedł po prostu do nich do mieszkania? Może bał się Miry? Ale przecież nawet jej nie znał.

– Kajzer – sapnął znów, bo pies gdzie zniknął.

Droga na górę nie była stroma, jednak dość męcząca, nawet dla młodego człowieka, a co dopiero dla człowieka w latach, jakim był komandor. Minęła go jakaś para turystów z plecakami, schodzących w dół. Zadowolone, młode twarze, jakby właśnie zdobyli co najmniej jakiś szczyt w Tatrach, a nie morenowe wzgórze w centrum miasta.

Ścieżka skręcała, krzyżowała się z innymi, węższymi i szerszymi. Był ich tu cały labirynt, jednak Keller dobrze wiedział, jak iść, by znaleźć się na szczycie, gdzie ustawiono wielometrowy krzyż, widoczny z zatoki i do niedawna jeden z najwyższych punktów mieście. Jakiś czas temu wybudowano bowiem w okolicach Skweru Kościuszki wieżowiec o ciemnej elewacji i architekturze odstraszałej nie tylko potencjalnych amatorów mieszczących się w nim apartamentów – i to właśnie ów wieżowiec witał wszystkich, którzy docierali do Gdyni drogą morską.

Keller zatrzymał się, by uspokoić oddech. Chciał zawołać na psa, ale Kajzer znalazł się przy nim nie wiadomo skąd.

– Dobry pies – powiedział cicho, głaszcząc czworonoga po głowie i karku.

Usiadł na ławce, pies położył mu się u stóp i swoim zwyczajem zamknął oczy.

Jak niewiele potrzeba takiej istocie – pomyślał z rozrzewnieniem Władysław.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się ósma. Do szczytu pozostawało kilka minut drogi, jednak on, choć przyzwyczajony do punktualności, wołał się spóźnić chwilę niż być za wcześnie i czekać. Żeby przynajmniej tym nie dawać bratu poczucia przewagi.

Ciekawe, czy w ogóle się poznamy – przeszła mu naraz przez głowę myśl, która wcale nie była nedorzeczna, w końcu to tyle lat.

– Idziemy, piesku – mruknął, wstając powoli z ławki.

Gdzieś z dołu doleciał odgłos syreny. Miasto młodości akademickiej Kellera żyło swoim rytmem, wakacyjnym, mocno przyspieszonym, ale i leniwym. Ścieżka, po której się wspinali, znów zakręciła i oczom wędrowca ukazał się szczyt Kamiennej Góry. Na jednej z parkowych ławeczek siedział jakiś mężczyzna.

Czy to Heniek? – zapytał sam siebie w myślach Keller i serce żywiej mu zabiło. Poczuł, że koszula przylepia mu się do pleców. Na nieco sztywnych nogach zbliżył się do ławki.

Słyszając kroki, siedzący na niej mężczyzna odwrócił się.

Henryk.

Pod starszym z braci Kellerów niemal ugięły się nogi, w oczach w sekundę wezbrały łzy. Podniósł prawą rękę jak do powitania, po czym szybko ją opuścił. Henryk nie wstawał, tylko patrzył uważnie na przybysza. Jego starannie ogolona twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Czyżby mnie nie poznawał?! – pomyślał Władysław. To niemożliwe.

– Dzień dobry – przywitał się drewnianym głosem.

– Dzień dobry – odparł siedzący, nie zmieniając ani trochę pozycji.

Władysław już miał bez słowa, no bo co tu mówić, najwyżej skinąć przepraszająco głową, odstąpić, zawrócić, zająć inną ławkę, kiedy siedzący uśmiechnął się, ukazując rząd białych zębów.

– Władek? – zapytał lekko nieczystą polszczyzną, mrużąc przy tym oczy.

– Ja – odpowiedział Keller szybko, nie zdając sobie z początku sprawy, że potwierdził swoją tożsamość w dwóch językach jednocześnie. – Heniek?

– Tak.

Młodszy Keller wstał z ławki i wyciągnął rękę, którą Władek uściskał szybko i sztywno, szybko też puścił ją, jakby parzyła lub wzbudziła w nim wstręt. Niemiec usiadł z powrotem na niedawno odnowionym siedzisku, to samo chwilę później uczynił Władysław. Przez dłuższą chwilę żaden nie odzywał się słowem. Słyszać było tylko jednostajny szum miasta w dole i krzyk mew krążących nad głowami braci.

– Kopę lat, jak mówią – rzekł Henryk.

– Zgadza się.

Patrzyli w jednym kierunku, przed siebie. Co raz tylko któryś, lekko zezując, utwierdzał się w pewności, że drugi wciąż tutaj jest. No i głos. Władysław usiłował przywołać w pamięci głos brata, ale nie potrafił. Nie było już wątpliwości, że więcej ich dzieli niż łączy i trzydzieści centymetrów od niego siedzi zupełnie obcy człowiek. Nagle cała złość, którą w sobie miał starszy z braci, a którą był gotów stłumić w sobie, wróciła.

– Czego chcesz?! – warknął nieprzyjaźnie, odwracając się gwałtownie do Henryka, aż pies, leżący tradycyjnie u stóp, podniósł czujnie łeb.

W odpowiedzi Henryk najpierw unióśł wysoko brwi, a potem się roześmiał.

– Po co te nerwy, braciszku?

– Nie nazywaj mnie tak – sapnął komandor, czemu towarzyszyło powarkiwanie Kajzera.

Henryk Keller bezradnie rozłożył ręce i rzekł:

– Faktów nie zmienisz.

– A ty historii!

– I tu się mylisz – powiedział Niemiec, a jego brwi zmarszczyły się, nadając zupełnie inny, wrogi wyraz całej twarzy. – Właśnie tu się mylisz.

– Nie rozumiem.

– Niedługo zrozumiesz – mruknął Henryk, patrząc znów przed siebie.

Również i Władysław zmienił pozycję, wygodnie opierając plecy o deski.

– Pytałem, czego chcesz? – powiedział już spokojniej niż poprzednim razem.

– Kasetę.

Starszy Keller zbladł.

– Co?!

– Kasetę ojca wraz z kluczem – sprecyzował Henryk.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Wiesz o tym doskonale.

– Wydaje mi się, że jest inaczej.

– Poza tym nie masz prawa...

– Mam takie samo prawo jak ty. Przypomnę ci, że sprawy spadkowe między nami wciąż są nieuregulowane.

Władysław poczuł, że zaczyna się dusić. Ale nie, nie da satysfakcji temu niewdzięcznemu gnojkwowi.

– Nigdy! – krzyknął, łapiąc się za serce. – Nawet nie wiesz, nie zdajesz sobie sprawy, jak ojciec i matka przeżyli to, co zrobiłeś. Szczególnie ojciec, którego Niemcy jako jednego z pierwszych Polaków wsadzili do Stutthofu. Na początku rodzice nie chcieli uwierzyć. Błąd w druku, źle podpisane zdjęcie i takie tam. Ale ja wiedziałem, że byłeś zdolny to zrobić!

Henryk znacząco spojrzał na zegarek.

– Tak, wspomnienia to miła rzecz, ale interesy nie mogą czekać. Mam dziś jeszcze kilka spotkań z ważnymi kontrahentami – powiedział. – Rozumiem, że widzimy się jutro o tej samej porze: ty, ja i kasetka. Może być w hotelu „Gdynia”. Oszczędzę ci wspinaczki.

– Zapomnij!

– Obyś ty nie musiał zapomnieć o swojej miłej...

Nagle gorąco zalało Władysławowi twarz. Henryk ostentacyjnie ziewnął, jeszcze raz spojrzał na zegarek i dorzucił jakby od niechcenia:

– Pracuje w urzędzie miasta, prawda?

Tego było już za wiele. Komandor gwałtownym ruchem sięgnął prawą ręką w zanadrze, gdzie ukrył pistolet.

Henryk był jednak szybszy.

XXXII

Frombork, dzień trzeci

Tomasz Horn ocknął się zziębnięty i zeszywniały. Nie planował zapadać w drzemkę, okoliczności i miejsce nijak temu nie sprzyjały, jednak stało się inaczej. Na szczęście nikt nie dostrzegł mężczyzny koczującego pod drewnianym mostkiem, prowadzącym do bramy południowej kompleksu katedralnego.

Przez pierwsze chwile, od kiedy Horn wybiegł przez otwarte i niepilnowane drzwi posterunku i znalazł się na zewnątrz, chciał... wrócić. Wrócić i przeprosić. Zamiast tego jednak szedł coraz szybciej. Nogi najwyraźniej wiedziały lepiej niż głowa. Działał, jakby wprowadzono go w trans. Adrenalina przydała mu siłę, jednak strach nie pozwalał na zbyt gwałtowne ruchy.

Zawsze zastanawiał się, jak to jest być ściganym. Nie wyobrażał sobie żyć w czasie wojny, gdy każdy spacer po mieście mógł się zakończyć uliczną łapanką, a każda noc waleniem w drzwi mieszkania. A jak potem, podczas stanu wojennego, radzili sobie poszukiwani ludzie z opozycji? Czy wystarczyło zapuścić brodę, aby mieć większe szanse, że przejdzie się spokojnie ulicą? Dziś mówiło się o operacjach plastycznych, które miały uchronić na przykład świadka koronnego przed zemstą byłych kompanów z gangu.

Rozmyślania te przerwał tupot, który rozległ się nad jego głową. Kiepski byłby z niego Indianin albo traper, jednak nie miał problemu z oceną, że to kroki jednej osoby, w dodatku kobiety. Z nadzieją w sercu wychynął ostrożnie z kryjówki. I serce, struchlałe i małe dotąd niczym serce zająca, aż podskoczyło mu z radości, bowiem drogą wzdłuż muru szła Monika Lauder.

Niewiele myśląc, Horn wyszedł spod mostka, wspiął się na skarpe, wciągając jednocześnie koszulę w spodnie. Dygotał z zimna. Będąc już na szczycie fosy, odwrócił się, aby sprawdzić, czy nikt więcej nie idzie mostkiem. Dopiero potem pojął, że i tak byłoby za późno na ponowne ukrycie się.

Na szczęście było pusto. W kilku susach znalazł się przy antropolożce, która odwróciła się akurat w chwili, gdy chciał chwycić ją za rękę.

– Boże... – jęknęła.

Położył palec na ustach.

– Jestem niewinny – szepnął.

– Wiem.

– Możesz mnie gdzieś przechować?

W kilku zdaniach opowiedzieli sobie o wszystkim, co wydarzyło się od chwili rozstania w nocy. Potem w łazience kurii, w której mieszkała Monika, Horn mógł doprowadzić się do porządku. Umył twarz i spojrzął w lustro. Zdążył już nieźle zarosnąć, ale może to i dobrze. Broda pomoże w kamuflażu. Chwilę potem podzielił się tą myślą z dziewczyną. W odpowiedzi Monika Lauder wstała i sięgnęła do jakiegoś pudełka.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała z tajemniczą miną, jakby chodziło o jakąś zabawę, wyjmując z pudełka kolejne pudełko.

– Co to jest?

– Twoja nowa twarz.

Horn zmusił się do śmiechu. Dziewczyna bez słowa otworzyła pojemnik, skąd wydobyła z kolei kilka foliowych torebek.

– Człowiek, który wykonywał dla nas rekonstrukcję znalezionej czaszki Kopernika starą i wypróbowaną w kryminalistyce metodą Gierasimowa, używał między innymi tych materiałów, pomocnych w innej, nowej metodzie.

– Co to jest? – zapytał raz jeszcze.

– To doskonałej jakości gumowe nosy, policzki i tak dalej. Są też kompletne twarze...

Horn pokręcił głową.

– Żartujesz! – prychnął.

Jednak dziewczyna najwyraźniej wcale nie miała takiego zamiaru.

– Mamy do rozwiązania kilka zagadek – ciągnęła z powagą, ale też wyczuwalną pasją – i najwyraźniej nie jesteśmy jedynymi, którzy chcą tego dokonać. Ktoś, kto zabił Rosłonia i chciał wrobić ciebie, pewnie zainteresowany jest wykopaliskami. Może nawet wie, czego szuka.

– W odróżnieniu od nas.

– Jeśli mamy cokolwiek razem zrobić, musimy mieć przynajmniej szcątkowy komfort pracy, a takim będzie na pewno spokój z policją. Poza tym nie będziesz się do końca życia ukrywał. Będziesz musiał prędzej czy później zjawić się u jakiegoś adwokata albo przynajmniej w swojej redakcji.

– Nie mam redakcji. Dopiero staram się o pracę.

– To już coś.

Horn słuchał z napiętą uwagą. Nie można było nie przyznać tej dziewczynie racji. Ale zawsze odczuwał fizyczny wstręt do nakładania sobie czegokolwiek na twarz: maseczek, podkładu czy pudru, nie wspominając już o używaniu szkieł kontaktowych. Nie musiał, wzrok miał niezły, ale znał ludzi, gotowych wsadzić sobie coś do oka, aby tylko zmienić ich kolor.

Tymczasem w palcach dziewczyny pojawiła się jedna ze wspomnianych twarzy. Wyglądała makabrycznie może za sprawą oczu, a raczej pary dziur w miejscu, gdzie powinny się znajdować.

Horn wzdrygnął się.

– Nie ruszaj się. – Monika przybliżyła wynalazek do twarzy mężczyzny.

Zdziwił się, bo to, co poczuł, było nawet przyjemne. Lauder pewnie ułożyła maskę na jego twarzy i zaczęła poprawiać jej ułożenie palcami. Właśnie ugniatała silikon poniżej oczu, kiedy rozległo się pukanie. Nie zdążyła zareagować; drzwi otworzyły się i w progu pokoju stanął aspirant Wasilewski.

Widząc antropolożkę z rękami wyciągniętymi w stronę siedzącego naprzeciwko mężczyzny, chrząknął z zakłopotaniem, wycierając podeszwy butów na nieistniejącej słomiance.

– Przepraszam.

– Coś się stało? – zapytała Monika, wstając.

– Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań w sprawie dzisiejszego poranka... Dzień dobry panu – rzucił ponad ramieniem dziewczyny.

Horn skinął głową, po czym również wstał i skierował się w stronę łazienki.

– Zaraz zejdę – odpowiedziała Lauder. – Znajomy z uczelni przyjechał dziś rano, muszę zaprowadzić go do muzeum.

– Umówmy się za kwadrans, na komendzie – rzekł Wasilewski.

Policjant zniknął za drzwiami. Tomasz czuł, jak pot wzdyma mu jego nowe, gumowe policzki. Dotknął ich palcami i przycisnął mocniej do prawdziwych.

Muzeum Mikołaja Kopernika na fromborskim Katedralnym Wzgórzu nie przeżywało w okresie wakacyjnym większego najazdu gości niż przez pozostałe miesiące. W lipcu i sierpniu byli to zazwyczaj turyści odwiedzający miasteczko, często przyplływający statkami z Krynicy Morskiej. W czasie roku szkolnego zaś – właśnie szkolne wycieczki, i to z całej Polski. Ich natężenie było raz większe, raz mniejsze. Nie było jednak dnia, żeby progę muzeum, które zaczęło swą działalność w roku 1912 od jednej salki w wieży Kopernika, a dziś działającego w przestronnych wnętrzach dawnego pałacu biskupiego, nie przekroczyła ani jedna osoba.

W ciągu niemal wieku działalności instytucja wzbogaciła się o niemal cztery tysiące eksponatów, bardziej lub mniej związanych z osobą wielkiego astronoma. Aby zatem poznać i obejrzeć wszystkie, należałoby poświęcić nawet kilka godzin.

Monika Lauder i Tomasz Horn nie mieli tyle czasu.

– Szybko załatwiłaś sprawę na posterunku – powiedział dziennikarz.

– Na szczęście nie chodziło im o ciebie, tylko o dzisiejszą historię ze zdemastowaniem grobu Kopernika – odpowiedziała.

– Nic więcej nie słyszałaś? Nie ściągają antyterrorystów, żeby mnie dorwali?

Spojrzała na niego z ukosa. Kamuflaż był niezły, dla pewności Horn miał na głowie czapkę z daszkiem, a na nosie ciemne okulary.

– Podziwiam cię. Jakbyś zupełnie się nie przejmował...

– Jeszcze zdążę popłakać.

Prawda jednak była zupełnie inna: Horn nie przestał ani na chwilę rozważać możliwości powrotu na posterunek, pokajania się i dobrowolnego włożenia dłoni w „bransoletki”.

Mostkiem, pod którym kilka godzin wcześniej koczował dziennikarz, para weszła na teren warowni. Byli dokładnie w cieniu bramy, kiedy Monika na chwilę zwolniła.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Musimy ustalić, jak mam się do ciebie oficjalnie zwracać.

– Patrz! – Horn klepnął się w gumowe czoło. – A już prawie zapomniałem, że mam to coś na twarzy.

– Przystaniesz się kiedyś zgrywać?

– Mów mi Maciek.

– To twoje drugie imię?

– Nie mam drugiego. Za to mam drugą twarz. I chyba pożyczę ją sobie na dłużej.

Weszli do pałacu biskupiego. Monika przywitała się z jedną z przewodniczek i przedstawiła towarzysza. Przewodniczka zaprowadziła ich od razu do sali, gdzie znajdowały się przedmioty najściślej związane z Kopernikiem. Przede wszystkim były to dokumenty, których autorstwo przypisywano astronomowi.

– Kiepsko to widzę – mruknął Horn.

– Dlaczego?

– Przecież to już tyle lat. Co mogło po nim zostać? Byłem kiedyś w Czarnolesie, gdzie działa muzeum Kochanowskiego. Nie było tam nic, coby do niego należało. Żadnych pamiątek! Nawet dwór stoi zupełnie inny. I tylko miejsce, gdzie rosła kiedyś lipa. Prawdopodobnie. Poza tym zawsze można takie rzeczy wykonać współcześnie i potem nabierać ludzi, że

należały do kogoś znanego. Wystarczy wziąć obraz Jana Matejki i już wiemy, czego nam potrzeba: księgi, kwadrantu, cyrkla, jakiejś lampy.

– Interesuje nas jeden z dokumentów, który Kopernik prawdopodobnie sporządził na krótko przed śmiercią. Rosłoń twierdził, że to...

Nie dokończyła. Rozległ się krzyk prowadzącej ich przewodniczki. Kobieta stała z wycelowanym w jeden punkt palcem.

– Kto... kto śmiał?! – artykułowała z największym trudem.

Przed nimi znajdował się rząd szklanych gablot, w nich książki, a także dokumenty. Szkło jednej z nich zostało rozbite. Krzyk przewodniczki zaalarmował „panie krzeselkowe”, które zeszły się błyskawicznie i tłumnie na miejsce przestępstwa.

– Za późno – skwitował ze złością Horn.

– Jeszcze nie wszystko stracone. – Monika pociągnęła go za rękaw. – Chodźmy stąd.

XXXIII

Frombork, dzień trzeci

Droga na ulicę Braniewską, gdzie w wynajętej części niewielkiego domku naprzeciwko cmentarza mieściła się kwatera Ludwika Rosłonia, zajęła im pięć minut. Horn zdziwił się, kiedy około dziesięciu metrów od wejścia Monika jakby nigdy nic wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy i zadzwoniła nimi.

– Kim właściwie był dla ciebie Rosłoń? – zapytał.

– To jest już teraz bez znaczenia.

Zbliżyli się do drzwi. Całe pokryte były papierową taśmą z czerwonymi pieczętkami komendy powiatowej policji w Braniewie.

– Nie dziwię się – podsumował Horn, jednak dziewczyna uśmiechnęła się cwaniacko. – Drugie wejście? – zapytał. – I do niego również masz klucz?

Odpowiedziało mu kolejne potrząśnięcie pękiem kluczy. Po chwili znaleźli się w ciemnym, krótkim przedsionku. Roznosił się tu zapach charakterystyczny dla wiejskich domów. Monika poruszała się po domostwie pewnie. Horn postanowił, że nie będzie jej już więcej pytał o to, co łączyło ją z nieżyjącym archeologiem-amatorem.

Znaleźli się w obszernym pokoju, pełniącym najpewniej funkcję salonu i pracowni.

– Ludwik Rosłoń zdążył wykonać zdjęcia dokumentów – powiedziała antropolożka. – Wszystko trzymał w tej skrzynce. – Wskazała palcem na spory kuferek rodem z cepelii.

Podeszli bliżej. Dziewczyna podważyła jednym z kluczy wieczko i uniosła je do góry.

– Są.

Po chwili trzymała w rękach zdjęcia. Trzy z nich przedstawiały wieże kościołów, dwie składały się na jakiś dokument.

– Co to jest? – zapytał Horn.

– Strona tytułowa *Komentarzyka*, pierwszego dzieła Kopernika. To właśnie ona została skradziona z gabloty w muzeum.

– Co jest takiego niezwykłego w stronie tytułowej? – Horn skrzywił się, a może to tylko zmarszczyła się maska, którą wciąż miał na twarzy.

– Po pierwsze to, że Szwedzi nie ukradli jej podczas najazdu na Polskę i nie znajduje się w tej chwili, jak już ci mówiłam, w bibliotece Uniwersytetu w Uppsali – rzekła z powagą Monika. – A po drugie to... Zresztą sam zobacz.

Tomasz wziął do ręki zdjęcie. Nie znał się na starych dokumentach, jednak to, co od razu rzuciło mu się w oczy, to dwa rodzaje pisma. Litery drukowane w tamtym czasie niewiele różniły się od liter pisanych. Jedno łacińskie zdanie biegło po nieco pochyłej linii i wyglądało na ręcznie dopisane. Na szczęście łatwo było je odczytać.

– *Sagittarius in remontissimo angulo terrae*. – Horn spojrział pytająco na dziewczynę,

– *In remontissimo angulo terrae*, czyli najodleglejszy zakątek ziemi – przetłumaczyła szybko dziewczyna. – Właśnie tak Kopernik nazwał Frombork w swojej dedykacji najważniejszego dzieła papieżowi Pawłowi III.

– A *Sagittarius*?

– To łacińska nazwa Gwiazdozbioru Strzelca.

– Strzelca?

– Z czymś ci się to kojarzy?

– Mówili mi zawsze, żebym się wystrzegał kobiet spod tego znaku – zażartował, ale szybko dodał z powagą: – Czy pamiętasz, jaki jest symbol Strzelca?

Monika Lauder chwyciła ołówek i narysowała na czystej kartce skierowaną w prawo i ku górze strzałkę, którą w połowie długości przecinała ukośna linia.

– Coś ci to mówi? – zapytała.

Przypomniała sobie, że to właśnie pytanie zadał kilka tygodni temu Ludwik Rosłoń, kiedy przedstawił Monice swoje teorie. Według archeologa i historyka, w którym wielu ludzi widziało amatora i wariata, Mikołaj Kopernik pod koniec życia starał się za wszelką cenę coś ukryć.

– Nie był to chyba majątek, bo tego jakoś nigdy, przez siedemdziesiąt długich lat życia, nie udało się kanonikowi zgromadzić zbyt wiele – ciągnęła Lauder. – Jeśli zaś chodzi o własność intelektualną, wszystko, co miał ogłosić, ogłosił. Do ostatniej chwili nie był zresztą pewny, czy praca owa nie poszła na marne, bowiem wydrukowany egzemplarz *De revolutionibus*, złożony do druku w tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym roku u Petrejusa, dostarczono Kopernikowi dopiero po dwóch latach.

– Gdy był już na łożu śmierci – wtrącił Horn.

– W tysiąc pięćset dziewiętnastym roku opracował pierwszą redakcję traktatu o monecie, którą przedłożył następnie stanom pruskim. Wydał też drukiem książkę o bokach i kątach trójkątów, pisał listy, także polemiczne listy naukowe, sporządzał mapy. Pod koniec życia ponad wszystko

umiłował sobie zacisze domowe. Nie był pewny, czy dobrze zrobił, oddając dzieło swego życia do druku...

– Jak inni bał się inkwizycji, która już wtedy rozpaliała tysiące stosów w całej Europie.

– Zgadza się. Sam zresztą uważał księgę za niedokończoną. Według zapisków w czasie Wielkanocy tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego roku odbył swą ostatnią podróż. Do Królewca, gdzie miał konsultacje lekarskie. Potem było już tylko gorzej z jego zdrowiem. Niegodzący się na taki stan rzeczy Kopernik ponoć napisał własnoręcznie na jednej z ksiąg znamienne zdanie: „Jak krótkie jest życie! I jak biedna jest nasza wiedza, bo większość wiadomości przecieka nam przez sito pamięci...”.

– Naprawdę sporo wiesz o Koperniku.

– Jakby nie było, zabrał mi kilka lat życia – mruknęła.

– Tak. – Horn podrapał się po głowie. – Tylko jaką wiadomość i komu chciał przekazać łacińskim zapiskiem na tytułowej karcie swojej pierwszej książki?

– Nie wiem. – Monika rozłożyła szeroko ręce. – Rosłoń, który zawsze dużo rozmawiał z ludźmi tam, gdzie prowadził badania, wypytując ich o różne rzeczy, powiedział mi kiedyś, że słyszał o człowieku, który mieszkał we Fromborku i tak jak my badał życie Kopernika. Mówiono o nim, że interesowało go zarówno miejsce pochówku astronoma, jak i to, z którego obserwował niebo. I jeszcze coś.

– Trzecia tajemnica.

– Schowek?

– Na to wygląda.

– Komora, w której siedzieliśmy?

– Być może.

– Co Kopernik chciał w niej ukryć?

– To jest właśnie pytanie, na które szukamy odpowiedzi.

– Nie my pierwsi.

– A co gorsza, nie jedyni.

Zamilkli oboje. Przez otwarty lufcik dobiegł śpiew ptaków.

– Mówisz, że Kopernik zajmował się horoskopami, znakami zodiaku – powiedział dziennikarz, drapiąc się tym razem po czole. – Chyba coś mi się kojarzy...

– Co?

– Wygląda na to, że Rosłoń patrzył nie tylko w dół, jak każdy archeolog, ale i ku górze. – Horn sięgnął po pozostałe trzy fotografie, które przedstawiały wieże kościołów. – Poznajesz?

Monika wzięła do rąk jedną z fotografii.

– Na tej jest chyba jedna z wieżyczek katedry – powiedziała. – Tych dwóch pozostałych raczej nigdy nie widziałam. A ty?

Zamiast odpowiedzieć, Horn zaczął się drapać jeszcze bardziej zapamiętale, by po chwili zrobić, co osobę niewtajemniczoną w najlepszym razie by przeraziło. Jednym ruchem zdarł z twarzy gumową maskę. Na jego prawdziwej skórze twarzy perlił się pot, pomieszany z grudkami talku, co robiło makabryczne wrażenie.

– Co ty robisz? – Przestraszyła się dziewczyna.

– Nie mogłem już wytrzymać tego łaskotania.

– Rozpoznają cię.

– Już mi wszystko jedno, czy ktoś mnie rozpozna, czy nie...

Ledwo wypowiedział te słowa, przed domkiem Rosłonia zatrzymał się policyjny radiowóz.

XXXIV

Gdynia, dzień trzeci

Władysława Kellera obudził ból ręki. Nieraz się zdarzało, gdy podczas snu jedna czy druga została przygnieciona ciałem, drętwiała. Coś podobnego poczuł i teraz. Gdy jednak otworzył oczy, stwierdził, że jest przykuty kajdankami do kaloryfera. Leżał wprost na podłodze. Podłoga była nowa, drewniana i dokładnie zamieciona.

Przekręcił głowę, popatrzył wyżej: ściany białe, czyste. Poza tym pokój, w którym się znalazł – choć nie miał pojęcia, jak to się stało – był niezbyt duży, ale za to nieumeblowany. Drzwi prowadzące do reszty mieszkania zamknięto. Pachniało nowością, świeżą farbą i gipsem. Zapachy te przywołały powtarzane od lat, ale jakoś wciąż niezrealizowane postanowienie o remoncie starego mieszkania.

Ledwo o tym pomyślał, od razu sam siebie zbeształ w myślach. Myśleć o głupotach w takiej chwili?!

Nie miał najmniejszego problemu z przypomnieniem sobie, co się wydarzyło. Jego brat Henryk szybciej od niego wyciągnął broń i nacisnął spust. Pistolet był gazowy. Władysław od razu stracił przytomność. Teraz też czuł wyraźnie dziwny zapach, bolała go głowa i chciało mu się wymiotować. Nie wiedział za to, od ilu minut, a może godzin znajduje się tutaj. Zdjęto mu zegarek, pewnie dlatego, żeby nie przeszkadzał obręczy kajdanek.

Był tylko jeden powód, dla którego Henryk użył broni takiej, a nie innej i jakimś sposobem przetransportował bezwładne ciało brata aż tutaj.

Tutaj, czyli gdzie? – brzmiało pytanie, na które nie było jeszcze odpowiedzi. Odpowiedź na pytanie zasadnicze, owszem, była: Henryk Keller potrzebował kasety ojca, a tylko jego brat wiedział, gdzie się ona znajduje. I najpewniej bandyta użyje wszelkich sposobów, aby się tego dowiedzieć.

Władysław podniósł się na łokciu, ukląkł na oba kolana i usiłował spojrzeć za okno, jednak standardowa długość łańcucha kajdanek mu na to nie pozwoliła. Za szybą noszącą jeszcze ślady białej farby było widać tylko błękitne niebo.

– Kurwa mać! – zaklął, szarpiąc kajdankami; na skutek tego gwałtownego ruchu omal nie zawył z bólu.

Zemściła się na nim. Tajemnica. Także ta, przed której poznaniem bronił żonę.

Nie powiedział jej przecież, że nieprawdą było, iż swojego brata widział po raz ostatni w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. Widzieli się, kiedy niszczyciel, na którym wówczas służył komandor, wpłynął do portu w Rostocku w byłej NRD, a więc na krótko po zjednoczeniu Niemiec. Była to kurtuazyjna wizyta, a jednocześnie zapowiedź ścisłej współpracy między armiami obu dotąd wrogich sobie państw i obecności Polski w NATO.

Kiedy Władysław zszedł na ląd razem z resztą oficerów, Henryk czekał na nabrzeżu. Zupełnie jakby się umówili na spotkanie. Skąd mógł wiedzieć, że przyplynie właśnie na pokładzie tego okrętu, skąd wiedział, na jakim w ogóle polskim okręcie wojennym brat jego służy – nie wiadomo. Wywiad działa – zwykle się mówi żartem. Ale Władysławowi nie było wcale do śmiechu, zważywszy, czym przez całe lata zajmował się Henryk.

Kiedy podszedł, Władysław poznał go od razu. Przez dwadzieścia lat zmienił się niewiele, może miał nieco mniej włosów i zaczątki siwizny na skroniach. No i na twarzy zmarszczki, choć mniej od Władysława. Nikt, kto przyglądałby się tej scenie z boku, nie pomyślałby nawet, że oto spotkali się dwa rodzeni bracia, których los rozdzielił przed dwiema dekadami. Uścisnęli sobie ręce. Tylko tyle. Kilka słów, co słyhać, jak zdrowie i że wreszcie będzie można widywać się częściej, bo doczekaliśmy upragnionej wolności.

Henryk zaprosił wtedy brata na obiad do restauracji. Rozmawiali o starych czasach, gdańskim dzieciństwie, dawnych znajomych. Nazwiska, twarze, wydarzenia – wszystko to było odległe, nie tylko geograficznie, a Henryk wysłuchiwał relacji brata jedynie przez grzeczność. Potakiwał, uśmiechał się, popijał steffla, ale jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

Po drugim kuflu piwa wreszcie odważył się wyjawic bratu, o co mu chodzi. Z początku Władysław uznał to za żart. Potem gdy brat naciskał, zdenerwował się. W rezultacie rozstali się w gniewie. O spotkaniu z bratem komandor nie powiedział żonie. Było mu wstyd.

Z głębi mieszkania dobiegł jakiś stukot. Keller drgnął. Podniósł głowę i nadstawił uszu. W grubym, żółtym szkle drzwi zamajaczyła jakaś postać. Po chwili już wyraźnie było słyhać dzwonek u drzwi. Odgłos przekręcania klucza w zamku.

Ktoś przyszedł do mieszkania. Ktoś postronny – ocenił w myślach. Listonosz, ktoś z administracji, dostawca pizzy? Wystarczy głośno krzyknąć, wezwać pomocy...

– Tak, dziękuję – dobiegło zza drzwi.

Keller nie potrafił ocenić, czy to głos brata.

– Reszty nie trzeba. Do widzenia.

Trzaśnięcie drzwi. Po wszystkim. Cień ponownie przesunął się w szybie. Władysław Keller jeszcze raz ukląkł, by z tej pozycji spróbować wstać. Maksymalnie przesunął kajdanki, zacisnął zęby, wyciągnął szyję.

Nie, nie spodziewał się takiego widoku. Skwer Kościuszki i zacumowane przy nim ORP Błyskawica i Dar Pomorza wyglądały jak plastikowe modele!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pokoju. W progu stał Henryk.

– Namysliłeś się?

XXXV

Frombork, dzień trzeci

Wymknęli się z domku wynajmowanego przez Rosłonia, używając do tego tylnych drzwi, tych samych zresztą, którymi weszli. Monika w ostatniej chwili porwała ze stołu skrzyneczkę z kserokopiami dokumentów i map, które sporządził nieżyjący archeolog. Kiedy dali nura w chaszczę zaniedbanego ogrodu, policjanci właśnie zrywali pieczęcie i otwierali drzwi. Horn i antropolożka przeszli ogrodem na drugą posesję, którą następnie opuścili, przez nikogo nie zatrzymywani.

– *Sagittarius in remontissimo angulo terrae* – Tomasz powtórzył łacińską sentencję zapisaną na stronie tytułowej Kopernikańskiego *Komentarzyka*. – Chyba wiem, gdzie szukać Strzelca. I Ludwik Rosłoń też to wiedział...

Kilka minut później stali znów przed wejściem do kompleksu katedralnego. Mimo że Horn zrezygnował z kamuflażu, wciąż miał na głowie czapkę z daszkiem i ciemne okulary. Na sercu zaś ogromny kamień, którego to uczucia nie była w stanie zmienić nawet ekscytacja spowodowana stopniowym odkrywaniem tajemnicy.

Minęli główne wejście do świątyni, Kaplicę Zbawiciela, przeszli kilkanaście metrów wzdłuż jej murów. W pewnym momencie Horn zadarł głowę.

– Stąd dobrze nie widać – ocenił. – Musimy się trochę cofnąć.

Znów zrobili kilka kroków, tym razem jednak w stronę muru warowni.

– Co ty kombinujesz? – Dziewczyna pokręciła głową.

– Muszę mieć pewność, że myślę tak samo jak twój nieżyjący przyjaciel. – Horn ponownie podniósł głowę, oparłszy się plecami o mur.

Uśmiech na jego twarzy oznaczał sukces poszukiwań. Monika spojrzała w tę samą stronę.

– Przydałaby się lornetka – powiedziała ponuro, by za chwilę się ożywić. – Czekaaj, mam przecież aparat z dużym zoomem!

Po czym wyciągnęła z futerału przy pasku niewielką cyfrowkę, uruchomiła ją, wycelowwała. Horn nie musiał patrzeć w aparat, żeby się przekonać o trafności swej hipotezy. Tak jak powiedział, we Fromborku znajdował się pamiętający prawdopodobnie czasy Kopernika symbol Gwiazdozbioru Strzelca – na blaszanej chorągiewce, zatkniętej na szczycie jednej z czterech charakterystycznych wieżyczek, wyrastających z czterech rogów Bazyliki archikatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i świętego Andrzeja Apostoła.

Lauder zrobiła zdjęcie. Zbliżenie na ekranie aparatu nie pozostawiało wątpliwości: w blasze wycięty był kształt strzałki przeciętej ukośną linią. To samo przedstawiało jedno ze zdjęć Rosłonia.

– I co dalej? – zapytali jednocześnie.

– Może teraz strzałka powinna nam wyznaczyć kolejną wskazówkę – powiedział dziennikarz, jeszcze raz uważnie przypatrując się szczytowi katedry. – Chyba będzie lepiej, jeśli popatrzymy z dzwonnicy. Chodź!

W ciągu paru minut znaleźli się w Wieży Radziejowskiego. Wspinaczka na szczyt zajęła im trochę więcej czasu i kosztowała nieco wysiłku, jednak widok, jaki się przed nimi roztoczył, szybko im to wynagrodził.

– I jak? – zagadnęła po chwili, osłaniając usta przed silnym wiatrem od zalewu.

Patrzył przez chwilę, mrużąc oczy.

– Coś jest nie tak – rzekł po chwili.

– Co takiego?

– Spójrz. Wszystkie chorągiewki obrócone są w jednym kierunku, a ta ze Strzelcem nie!

Teraz Monika przez dłuższą chwilę przypatrywała się wieżom.

– Masz rację. Wszystkie chorągiewki na wieżyczkach ustawione są w jednej linii oprócz tej jednej...

– ...która wskazuje na inną – dokończył, wstrzymując oddech.

Dziewczyna uniosła aparatu do oka, chwilę mierzyła, wreszcie nacisnęła przycisk.

– To chyba jakieś zwierzę – powiedziała po chwili, wpatrując się w ekran aparatu. – Owca?

– Raczej baranek – sprostował Horn. – W dodatku święty, bo z aureolą i pastorałem.

– To jakiś herb?

– Herb biskupów warmińskich, ale także pewnego miasta. – Horn zsunął czapkę ku tyłowi głowy i potarł dłonią czoło. – Nie sprawdziłem nawet, czy mam jeszcze samochód.

Kiedy zbliżali się do hotelu, na którego parkingu Horn zostawił auto, właśnie na ulicę wyjeżdżała laweta. Zmełł tylko w ustach ciężkie przekleństwo, potem zaczął się zastanawiać, dokąd będzie odholowany jego samochód, w którym został bagaż.

Pewnie na policyjny parking, gdzie przynajmniej nie zginie – skonstatował w myślach.

Z odrętwienia wyrwał go głos Moniki.

– Pojedziemy moim.

– Przecież został na autostradzie – zauważył przytomnie Horn.

Uśmiechnęła się.

– Kubiak zamontował nowy akumulator i przyjechał nim na uroczystość. Mamy wóz! – Aż zatarła dłonie z zadowolenia.

Niecały kwadrans później, przy akompaniamencie dzwonów bijących na Anioł Pański, wyjeżdżali z Fromborka. Monika włożyła przeciwsłoneczne okulary i wrzuciła kolejny bieg. Widać było, że za kółkiem swojego opla czuje się pewnie. Tymczasem siedzący na miejscu pasażera Horn pochylał się nad mapą samochodową północno-wschodniej Polski.

– Boczne drogi są tu fatalne, ale da się po nich jechać. Byle nie za szybko...

Monika Lauder puściła aluzję mimo uszu.

– Myślisz, że znajdziemy tam coś? – zapytała po chwili.

Tomasz Horn zamyślił się. Herb, który ujrzeli na chorągiewce sąsiedniej wieży, był niewątpliwie herbem Lidzbarka Warmińskiego, który od tysiąc trzysta pięćdziesiątego roku aż do XIX wieku był stolicą całego regionu i jego największym miastem, gdzie sprawowali swe rządy biskupi warmińscy. W widłach Łyny i Symsarny wybudowano gotycki zamek – dziś wizytówkę miasta.

Sam Mikołaj Kopernik mieszkał w nim w latach tysiąc pięćset sześć – tysiąc pięćset dwanaście i pełnił funkcję sekretarza, doradcy, jak i osobistego lekarza swojego wuja, biskupa warmińskiego Łukasza Watzenrodego. Bywał tam i po jego śmierci, u kolejnych biskupów, najczęściej z poradą lekarską.

– Mam przecucie, czego należy szukać – odpowiedział Horn.

– No? – Lauder wcisnęła sprzęgło i wrzuciła czwarty bieg.

– Kolejnego znaku zodiaku.

Oboje byli do tego stopnia skupieni na zamierzchłej przeszłości, że żadne z nich nie zauważyło samochodu, który ruszył w ślad za nimi.

XXXVI

Lidzbark Warmiński, dzień trzeci

Przez Braniewo, Pieniężno i Ornetę w ciągu nieco ponad godziny Tomasz Horn i Monika Lauder dotarli do Lidzbarka Warmińskiego. Przez cały czas rozmawiali, snując domysły i wysuwając wciąż nowe hipotezy.

Zamek biskupów pochodził z XIV wieku i był jednym z najcenniejszych zabytków architektury gotyckiej – i to nie tylko w Polsce. Jego bryłę w narożu północno-wschodnim zdobiła wysoka, ośmioboczna wieża, a w pozostałych narożnikach charakterystyczne wieżyczki na konsolach, czyli specjalnych, służących za podpory występcach w murze. Dzisiejszy kształt wieżyc zamek zawdzięczał biskupowi Łukaszowi Watzenrodemu.

Budowla sprawiała wrażenie, jakby była nie do zdobycia, choć nie mogła równać się choćby z zamkiem w Malborku. Wiele razy słyhać w jej wnętrzach było obcą mowę zdobywców: w tysiąc czterysta czternastym roku krzyżacki wówczas Lidzbark zdobyły wojska polskie, w latach tysiąc siedemset trzecim – tysiąc siedemset dziewiątym miasto okupowali Szwedzi, w roku tysiąc osiemset siódmym stacjonowały tu wojska walczące przeciwko Napoleonowi. Sto lat później, podczas I wojny światowej, Heilsberg był okupowany przez krótki czas przez wojska rosyjskie, a pod koniec następnej wojny zdobyty i zniszczony niemal

doszczętnie przez Armię Czerwoną, która oddała miasto, a raczej to, co z niego zostało, Polakom.

– Rzeczywiście, to ta wieża! – Monika spojrzała na dwie pozostałe fotografie z kuferka Ludwika Rosłonia, a potem na jedną z trzech takich samych wież zamku biskupów.

– Wydawało mi się, że już gdzieś ją widziałem, ale nie byłem pewien – przyznał się Horn.

– Co dalej?

– Wejdziemy do środka.

– Na tę wieżyczkę ze zdjęcia?

– Nie wiem. Mam tylko nadzieję, że zachowało się tu cokolwiek z czasów Kopernika. Jak widzisz, zrobiono tu hotel. Zresztą jeden z najdroższych w regionie.

Zanim weszli przez główną bramę, obeszlili całą budowlę dookoła. Monika obfotografowała wszystkie chorągiewki na wieżyczkach.

– Czemu myślisz, że wskazówką będzie kolejny znak zodiaku? – zapytała po chwili. – Następny po Strzelcu jest, zdaje się, Koziorożec.

– Jeżeli go tu znajdziemy, będzie to przynajmniej potwierdzenie systemu – odparł Horn.

– Ciekawe, czy Rosłoń coś znalazł.

– Nie wiem. Nie powiedział ci?

– Nie o wszystkim mi mówił – burknęła dziewczyna, by zaraz dodać: – Nie byliśmy tak blisko, jak ci się wydaje.

– Nic mi się nie wydaje.

Ruszyli w stronę wejścia na zamek.

– Coś ci przypominają te krużganki? – zapytała Lauder chwilę po tym, jak wkroczyli na niezbyt wielki dziedziniec.

– Są niemal takie same jak te na Wawelu. No, może nieco mniejsze.

Skierowali się w stronę pomieszczeń administracyjnych muzeum, które udało im się znaleźć bez trudu. Sekretarce kustosza kazali się zaanonsować jako dziennikarz i paleoantropolog z Warszawy, co było przecież prawdą, stanowiących zespół badawczy życia Mikołaja Kopernika.

Przyjął ich niemal natychmiast kustosz muzeum, Jan Śmigielski, mężczyzna z wyglądu pięćdziesięcioletni, z wąsem marszałkowskim, otyły i dobrodusznie uśmiechnięty.

– W czym mogę państwu pomóc? – Szeroko rozłożył ręce, który to gest oznaczał zwykle: „Niestety, nic się nie da zrobić”.

– Interesuje nas wszystko, co wiąże się z pobytem na zamku Kopernika – rzekł z powagą Horn.

– Dokumenty, księgi, instrumenty astronomiczne, może jakieś rzeczy osobiste – zaczęła Monika.

W miarę jak wymieniała wszystkie te pobożne życzenia, oczy pana Śmigielskiego stawały się coraz większe i coraz bardziej okrągłe.

– Z rzeczy osobistych, proszę państwa, mamy jedynie stroje, które zagrały w filmie o Koperniku, nakręconym na początku lat siedemdziesiątych! – Kustosz zaśmiał się rubasznie. – Futrzane szuby, suknie, togi, birety, a nawet ornat i mitra biskupa Łukasza. Bardzo często uczniowie miejscowych szkół wypożyczają je od nas, kiedy wystawiają u siebie jasełka czy inne przedstawienia. Niestety, do dzisiaj nie zachowało się nic, co należało do Kopernika.

– To oczywiste, przecież to już niemal pół tysiąca lat – zgodził się Horn, by dodać: – Interesuje nas cokolwiek z tamtych czasów. Pracujemy nad monografią. Odkrycie grobu Kopernika, w którym zresztą moja koleżanka brała udział, na nowo obudziło, zresztą nie tylko w naszym kraju, zainteresowanie osobą astronoma.

Masz gadane, cwaniaku! – pomyślała Monika, a kustosz nie przestawał kiwać głową.

– Gratuluję pani – zwrócił się do dziewczyny.

– Dziękuję.

– Myślę, że najbardziej zainteresowałyby państwa Kaplica Domowa – rzekł po chwili.

– Kaplica Domowa? – powtórzyła Monika.

– Tak. Znajduje się na poziomie Wielkiego Refektarza, w kwadratowej podstawie wież zamku, na prawo od sali sądowej. W latach tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym – tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim miały w niej miejsce prace konserwatorskie. Odkryto wówczas cztery malowidła, które z pewnością powstały na zlecenie wuja Kopernika. Malowidła na ścianach tarczowych kaplicy przedstawiają cztery tematy biblijne – Adorację Boga, świętego Jana na Patmos, Ofiarę Abrahama i Mojżesza na Górze Synaj, a także Chustę świętej Weroniki.

– Czy można je zobaczyć? – zapytał Horn.

– Ależ oczywiście!

Chwilę później szli pięknymi krużgankami, a pan Jan, urodzony gawędziarz, nie przestawał opowiadać.

– Mamy aktualnie wiele różnych ciekawych wystaw, między innymi „Bitwa pod Heilsbergiem na tle epoki napoleońskiej”, „Lidzbark Warmiński w malarstwie, rysunku i grafice” czy wystawę jubileuszową z okazji siedemsetlecia nadania praw miejskich. O, a tu – wycelował palcem w dół – widzą państwo lufy armatnie. Siedem z nich pochodzi z fundacji biskupa Adama Stanisława Grabowskiego i zostały przywiezione do zamku lidzbarskiego w połowie XVIII wieku, trzy pozostałe zaś to kolubryny, których używano od XV do XVII wieku.

– Kolubryny, jak w *Potopie* Sienkiewicza. Jedną taką Kmicic wysadził Szwedom w Częstochowie – przypomniał sobie Horn.

– Zgadza się. Krużganek, którym idziemy, został przykryty unikalnym sklepieniem trójpodporowym, które jest wsparte na ośmiokątnych filarach. Tu, na ścianie, proszę spojrzeć, zachowały się liczne polichromie. Na ścianie zachodniej są dwie sceny Sądu Ostatecznego, a na ścianie południowej scena Biczowania z końca XIV wieku.

– Zaraz sama się wybiczuję – szepnęła Hornowi na ucho Monika.

– Szczególnie jesteście dumni z zegara słonecznego z tysiąc siedemset czterdziestego szóstego roku – ciągnął niezmiernie kustosze – który jest umieszczony na ścianie północnej, nieco powyżej dachu krużganek.

Przeszli przez kilka następnych pomieszczeń, o których mężczyzna wciąż opowiadał z niesłabnącą pasją. Nagle przystanął.

– Znajdujemy się w Kaplicy Zamkowej – powiedział, przekrzywiając przy tym głowę, jakby nasłuchiwał. – Wykonana została w stylu rokokowym. Ołtarze, kazalnicę i organy ufundował biskup Grabowski, który panował na Warmii ponad dwieście lat po Łukaszu Watzenrodem. Niestety, część wystroju zniknęła w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Na uwagę zasługuje także drewniany, połączony herb biskupstwa warmińskiego. – Kustosz wskazał na wizerunek baranka z głową w aureoli i pastorału.

Horn i Lauder spojrzeli na siebie.

– Chodźmy dalej – zaordynował Śmigielski.

Po kilku chwilach przeszli przez renesansowy portal z piaskowca i znaleźli się w Wielkim Refektarzu. Na ciągnącym się wzdłuż ściany fryzie wisiały herby kolejnych biskupów warmińskich, w innej części pomieszczenia znajdowała się płyta nagrobna biskupa Legendorfa,

ufundowana przez Łukasza Watzenrodego, jednego z jego następców. W jednej ze ścian zaś – drzwi.

– To tam – rzekł kustosz z tajemniczą miną. – Jesteśmy na miejscu.

Całą trójką weszli do pomieszczenia, zwanego Kaplicą Domową. W istocie, wystrój izby świadczył o jej sakralnym przeznaczeniu. Gorzej było z drugim członem nazwy, który kojarzy się z ciepłem i przytulnością. Monika i Horn od razu zaczęli przyglądać się freskom na ścianach.

– Piękne, prawda? – zachwycił się pan Jan. – Kaplica Domowa zwana też była Oratorium Watzenrodego. Nad nami wznosi się główna wieża zamku. Na wprost, po lewej stronie – wycelował ręką – widzimy herb biskupstwa warmińskiego, zaś po prawej herb Watzenrodego.

Ani dziennikarz, ani Monika nie potrafili już dłużej ustać na jednym miejscu.

– Możemy bliżej przyjrzeć się detalom? – zdążył jeszcze zapytać Horn.

– Oczywiście.

– A czy lampa błyskowa nie zaszkodzi malowidłom? – zapytała antropolożka, wyjmując aparat z futerału.

– Staramy się tego unikać – przyznał kustosz. – Zwykli turyści nie mogą tego robić, ale państwo są tutaj przecież służbowo.

Przez kilka minut Monika robiła zdjęcia pastelowym freskom i herbom, a Horn z uwagą przyglądał się wszystkiemu, co mogło mieć jakieś znaczenie. W Kaplicy Domowej panowała cisza jak podczas czuwania przy zmarłym, gdyż nawet kustosz zapadł w stan dziwnego odrętwienia.

– Dokąd prowadzi to przejście? – zapytał w pewnym momencie dziennikarz, wskazując na niewielki przedsionek.

– Do klatki schodowej wewnątrz muru, wiodącej do lochu więziennego, który umieszczony jest pod oratorium – odpowiedział kustosz, jakby tylko czekał na takie pytanie.

– Możemy zobaczyć?

Z korytarzyka łączącego Wielki Refektarz z oratorium zeszli w dół do nieoświetlonego pomieszczenia. Rzeczywiście, miejsce świetnie nadawało się na karcer, choć kustosz użył też na jej określenie innej nazwy: Izba Zapomnienia. Hornowi zachciało się śmiać.

Sam chętnie bym tu posiedział, jeżeli to by coś pomogło – przeszło mu przez myśl. Od kilkunastu godzin był w pewnym sensie w takim właśnie stanie zapomnienia, bo nie miał przy sobie komórki, zarekwirowanej przez policję.

– Tędy puszczano w dół za pomocą kołowrota więźniów skazanych za ciężkie przestępstwa – powiedział kustosz, wskazując otwór na środku posadzki.

Horn i Monika spojrzeli z trwogą w dół. Budowla wyglądała jak zwyczajna studnia z cegieł, okrągła i głęboka, nad nią znajdował się kołowrót, a wszystko było zabezpieczone przed ciekawością zwiedzających, nie tylko dzieci.

– Chyba coś mam – mruknął dziennikarz, po czym zwrócił się do kustosza: – Co jest za tym drzwiami? – Wskazał na jedną ze ścian, w której umieszczono kolejną niszę.

Wąsacz uśmiechnął się tajemniczo.

– Wszyscy o to pytają – rzekł z dumą. – W siedemnastym i osiemnastym wieku za tymi drzwiami znajdował się skarbiec. Oczywiście, możecie tam wejść. Kasę i tak trzymamy dziś już gdzie indziej...

To powiedziawszy, pchnął drzwiczki. Weszli do środka. Na końcu krótkiego korytarzyka ujrzeli niewielkie pomieszczenie w kształcie sześcianu. Puste. Na jednej ze ścian znajdowała się tylko tarcza herbowa, przedstawiająca mur z otwartą bramą i trzema wieżami.

– I co? – zapytała cicho Monika. – Dlaczego tu weszliśmy?

– Powiedz mi lepiej, przez jakie drzwi weszliśmy – Horn odpowiedział pytaniem na pytanie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wąskie, bo się panu kustoszowi nie chciało przez nie przeciskać. No i pewnie gotyckie.

– Łukowate?

– Tak. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– Nad łukiem drzwi znajdował się jeszcze jeden łuk, skierowany garbem w dół.

– Nie zauważyłam.

– A oba te łuki łączy pionowa linia. Chodź, sama zobacz.

Szybko wyszli ze skarbcza i stanęli przed drzwiami. Było dokładnie tak, jak opowiadał Horn; w dodatku symbol wyglądał na stary, więc mógł pochodzić z XVI wieku.

– Co to jest? – zapytała dziewczyna.

W odpowiedzi przekręcił głowę. Monika zrobiła to samo.

– Jeżeli spojrzymy w ten sposób, to będzie to odwrócony symbol gwiazdozbioru – rzekł.

– Jakiego?

– Ryb.

– Przecież szukaliśmy Koziorożca!

– Widać chodzi o inny klucz. – Horn zmarszczył czoło w zamyśleniu. – Może znaki idą po kolei, ale nie wszystkie. Przecież można je podzielić na wiele grup: znaki wody, powietrza, ziemi i ognia. Strzelec, Baran i Lew reprezentują na przykład ogień.

– Skąd ty masz taką wiedzę? – zdziwiła się dziewczyna.

– Czasami odmóżdżam się, pisząc horoskopy w gazecie.

– Ale co ma wspólnego Strzelec z Rybami? Jeżeli to rzeczywiście są Ryby? – Monika jeszcze raz przyjrzała się płaskorzeźbie. – Niczego nie zauważyłeś na freskach?

– Możemy jeszcze popatrzeć. Nie wiem jeszcze, co łączy Strzelca z Rybami, ale łatwo to będzie znaleźć w internecie. Ale za to już teraz wiem, dokąd powinniśmy jechać.

– W kufierku Rosłonia nie ma więcej wskazówek.

– Co oznacza, że dotarł on tylko do Lidzbarka.

XXXVII

Lidzbark Warmiński, dzień trzeci

Horn i Monika podziękowali kustoszowi za pomoc. Jan Śmigielski siedział za biurkiem dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ujrzeni go po raz pierwszy. Tym razem gest szerokiego rozłożenia rąk oznaczał:

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę tylko nie zapomnieć o przysłaniu folderu.

Po chwili opuścili gabinet kustosza i udali się w stronę wyjścia. Idąc korytarzem, minęli jakąś postać ubraną w sposób dość dziwny jak na porę roku i czasy, czyli wiek XXI, choć niedziwujący w tym miejscu. Był to bowiem ktoś w granatowym, długim, bo sięgającym kostek płaszczu. Na głowie osobnik ów miał czubaty kaptur, zasłaniający zupełnie twarz, przez co przydzwiek bardzo przypominał mniszy habit.

– Pewnie duch zamku – zażartował Horn, oglądając się przez ramię.

Dawno minęły bowiem czasy, kiedy sam zamek, pałac czy ruiny były w stanie zainteresować turystów albo miejscową młodzież. Dziś gdy często w upalny dzień lata młody człowiek wybierał internet zamiast kąpieli w jeziorze, a turyści zwiedzali hipermarket zamiast miejscowej fary, pracownicy muzeów musieli zadbać o jakieś dodatkowe atrakcje. Takimi atrakcjami mogło być zwiedzanie w towarzystwie ducha, kiedy to po drodze straszy Biała Dama. Po zamku w Olsztynie oprowadzał aktor

przebrany za Kopernika. Najwyraźniej Lidzbark nie zamierzał być pod tym względem gorszy.

Ledwo Horn i Monika Lauder minęli osobnika w płaszczu, ktoś ubrany bardzo podobnie pojawił się przed nimi i stanął na środku, tarasując przejście. Nie wyciągnął co prawda ramion w bok i można było go spokojnie wyminąć, nawet nie dotykając, coś jednak kazało im się zatrzymać. Napotkany chwilę wcześniej również się zatrzymał i odwrócił, co Horn stwierdził, obejrzawszy się ponownie przez ramię.

– Trzeba się wykupić? – zażartował znów, udając, że szuka w kieszeni pieniędzy. – Nie mam drobnych. Ciekawe, czy można zapłacić kartą.

Monika jednak nie roześmiała się z żartu.

– Tomek, to chyba nie są przebierańcy – powiedziała głucho.

– A kto? Ten z tyłu wygląda mi na emeryta, a ten? – Skinął głową na stojącego na końcu korytarza. – Obstawiam studenta dorabiającego latem do skromnego stypendium. Choć może być odwrotnie.

To powiedziawszy, zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku drugiego z duchów. Zbliżając się, wyciągnął przed siebie rękę. Chciał mu ściągnąć kaptur z głowy. Jednak tamten był szybszy: gibnął w bok i nie wiadomo kiedy zacisnął palce na przegubie prawicy Horna. Ten dopiero teraz pojął, jak bardzo się mylił. Usiłował spojrzeć tamtemu pod kaptur, ale bez skutku.

– Tomek! – krzyknęła nagle Monika.

To go ocuciło. Obejrzał się. Druga zakapturzona postać trzymała Monikę, usiłując wykręcić jej rękę do tyłu. Już chciał skoczyć jej z pomocą, ale poniechał tego, widząc w dłoni, która przed chwilą trzymała go ze nadgarstek, znajomy kształt.

Był to pistolet.

– Nie radzę – odezwał się tamten niskim, gardłowym głosem.

– Czego od nas chcecie? – zapytał Horn.

- Ostrzegaliśmy cię, ale nie posłuchałeś.
- Kim jesteście, do cholery?!
- Nieważne. Ważne, że ty jesteś zbiegiem i mordercą.

Monika jęknęła.

– Puść ją, kurwa! – ryknął dziennikarz; widząc podnoszącą się wyżej rękę z pistoletem, dodał już łagodniejszym, głosem: – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Zakapturzony z bronią tylko się roześmiał.

– Mylisz się. Ona też jest nam potrzebna. Myślę, że nawet bardziej niż ty – powiedział, po czym zwrócił się do Moniki Lauder: – Szkatułka.

- Co? – wydyszała antropolożka.
- Oddaj szkatułkę, którą zabrałaś z domu Rosłonia.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Nie przeciągaj struny, panienko.

Horn zmarszczył czoło. Tysiące myśli, które dotąd przelatywały mu przez głowę w różnych kierunkach, jakaś siła zaczęła teraz porządkować. Oto najprawdopodobniej mają przed sobą ludzi odpowiedzialnych za śmierć Ludwika Rosłonia, kradzież w muzeum, pewnie też zdemolowanie, najpewniej dla odwrócenia uwagi, świeżego grobu Kopernika.

Jak znaleźli się w Lidzbarku?

– Przepraszam, ale zapomnieli państwo... – U wlotu korytarza pojawiła się korpulentna postać kustosza.

W tym samym momencie powietrzem wstrząsnął huk wystrzału. Dziewczyna krzyknęła. Horn rzucił się na mur, kątem oka dostrzegając, że to samo, ale najprawdopodobniej pchnięte z ogromną siłą, robi ciało Moniki. Zafurkotały w powietrzu długie płaszcze. Nim Horn zdążył

pomyśleć, napastników nie było już w korytarzu. Mimo to przez dłuższą chwilę bał się oderwać od ściany. Tak samo jak bał się spojrzeć w bok.

Tomasz Horn nie mógł przestać się trząść. Wciąż miał przed oczami obrazy sprzed kilkudziesięciu sekund. Chwilę po ucieczce napastników w płaszczach z kapturami oderwał się wreszcie od ściany i dopadł Moniki. Skulona pod murem, drżała. Kilka metrów dalej niezdarnie podnosił się z ziemi kustosz. Mrugał oczami, jakby przed chwilą ktoś wybudził go z głębokiego snu.

Nikommu nic się nie stało.

– Chciałem tylko powiedzieć, że zapomnieli państwo aparatu – powiedział z sapką, unosząc w górę na szczęście nienaruszony futerał z cackiem Moniki. – Co to było?!

– Sami nie wiemy. – Horn rozłożył ręce, jakby złośliwie przedrzeźniał kustosza. – W porządku? – zapytał dziewczynę.

– Tak.

Kustosz dotknął dłonią muru. Czerwony pył został na jego palcach.

– Kula wbiła się głęboko – stwierdził ze znanstwem; po chwili zmarszczył srogo czoło. – Przecież oni mieli moje stroje!

Po chwili znaleźli szaty porzucone pod wschodnim krużgankiem, między armatami. Kustosz podniósł stroje pieczołowicie i zaczął jakby nigdy nic otrzepywać je z brudu.

– Może nie powinniśmy tego ruszać... – zauważył przytomnie Horn, ale Śmigieński tylko machnął ręką.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi i czego naprawdę szukacie – powiedział, nie przerywając czynności. – Ale wiem, że ci dwaj chcieli czegoś od was. A ja nie chcę mieć kłopotów.

– Nie sprawdzi pan w wypożyczalni, kto to był? – zapytała antropolożka.

– Zguba się znalazła. – Kustosz wzruszył ramionami. – Te płaszcze i tak miały iść do prania. Został mi niecały rok do emerytury i nie chcę mieć żadnych kłopotów. Jeśli ktoś o was zapyta, nic nie wiem.

– Do widzenia. – Horn pociągnął dziewczynę za rękę; nadużywanie gościnności kustosza Śmigielskiego byłoby chyba rzeczywiście niewskazane.

Opuścili zamek, ale już nie głównym wejściem, ale bocznym, ukrytym w murze, właściwie wąską furtką, które to rozwiązanie polecił im kustosz tytułem, jak to sam nazwał, ostatniej przysługi. Horn wzdrygnął się na te słowa, ale podziękował za pomoc.

Kilka minut później ruszali spod zamku. Monika Lauder spojrzała we wsteczne lusterka opla, w których odbijała się oświetlona przez ostre słońce bryła zamku biskupów warmińskich. Przytomność wrócił jej krzyk siedzącego obok Horna, który w tej samej chwili szarpnął za kierownicę. Odruchowo nacisnęła pedał hamulca, auto zatrzymało się. Spojrzała w przednią szybę. Krok przed maską opla ujrziała cień jakiejś postaci.

– Zabiję go! – Horn rozpiął pas bezpieczeństwa, drugą ręką otwierając drzwi.

Nim Lauder się spostrzegła, dziennikarz podchodził do mężczyzny, którego przed sekundą omal nie rozjechali. Dopiero teraz go poznała. Był nim Gniewomir, rycerz z Fromborka.

– Czemu to zrobiłeś, co? Odpowiedz! – ryknął Horn.

– Nie wiem – odpowiedział ledwo słyszalnie Gniewomir.

– Nie wiesz, dlaczego oskarżyłeś mnie o zamordowanie człowieka?!

– To nie ja.

– A kto?!

- Policja miała dowody.
- Jakie dowody?
- No, przecież tę butelkę...
- Wierzysz we wszystko, co ci podsuną pod nos?

Horn odwrócił się, odszedł kilka kroków, złapał się za głowę.

- Przepraszam – jęknął rycerz.
- Skąd pan wiedział, gdzie jesteśmy? – zapytała przytomnie Monika, która wyszła w międzyczasie z auta i w milczeniu przyglądała się całej scenie.

– Skąd wiedział? – zachnął się Horn. – Nie wiesz jeszcze, skąd wiedział?! Przecież od początku z nimi współpracuje, to jasne!

– Nie wiem, co czym mówisz. – Gniewomir zasłonił się wyciągniętymi rękami, jakby spodziewał się ciosu. – Z kim mam niby współpracować?

– Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie nas szukać? Co tu robisz? Dla kogo pracujesz?! – atakował go kolejnymi pytaniami-oskarżeniami dziennikarz.

– Dla nikogo. Po prostu widziałem, że wyjeżdżacie.

– I nie pobiegłeś na policję? – zapytał Horn. – Widziałeś zbiega z policyjnego aresztu i nie zameldowałeś o tym władzom? Przecież to się kupy nie trzyma...

Jak na zawołanie zza zakrętu wyjechał policyjny radiowóz. Starając się nie patrzeć w tamtą stronę i zachowywać jak najbardziej naturalnie – cała sytuacja, nie licząc może jej początku, mogła wyglądać na zwyczajne pytanie się miejscowego o drogę – Horn wrócił do auta. To samo uczyniła Monika. Niemal jednocześnie udało się zatrzaskać drzwi i zapiąć pasy bezpieczeństwa.

– Hej, nie zostawiajcie mnie! – zawołał Gniewomir i było w tym wołaniu coś rozpaczliwego.

Dziewczyna ponownie uruchomiła silnik, wrzuciła pierwszy bieg. Rycerz usunął się z drogi. Zrobiło jej się go żal, ale mimo to nacisnęła na gaz. Samotna postać zaczęła maleć w lusterku.

– Którędy najszybciej tam dojedziemy? – zapytała po chwili. – Przez Olsztyn?

Nie dostała odpowiedzi. Horn był już chyba myślami bardzo daleko. Albo przeciwnie, zupełnie blisko.

XXXVIII

Toruń, 8 grudnia 1512 roku

Mikołaj obejrzał się przez ramię i jeszcze raz ogarnął wzrokiem swoje rodzinne miasto: wieże kościoła świętego Jana i innych świątyń, spichlerze, mury obronne z wieżyczkami.

– Wio! – zawołał na konie.

Zwierzęta natychmiast zareagowały na komendę, nie trzeba było używać bata. Powóz przyspieszył, także dzięki drodze, na której nie było dużo śniegu. Tu i ówdzie spod białej pokrywy wyglądały nieśmiało fragmenty czarnej ziemi i kamieni, a słońce świeciło ostre, niemal wiosenne, choć przecie nie było jeszcze połowy grudnia.

Kilka dni wcześniej kawalkada powozów, wiozących kanoników warmińskich z sejmiku w Piotrkowie Trybunalskim do Fromborka, została zaatakowana nocą przez bandę uzbrojonych ludzi. Nie wiadomo, jak historia ta by się skończyła, gdyby nie koncept kanonika Mikołaja i jego szaleńcza szarża powozem, która popsuka szyki rzezimieszkom, pewnym łatwego łupu.

Napastnicy zabili dwóch i ranili sześciu ludzi ze służby i zbrojnej obstawy kanoników, ale i druga strona nie pozostała dłużna. Dziwne było jednak to, że ci z zbójców, którzy nie padli od razu, osaczeni i zapytywani, kim są, cudem jakimś dobywali mizerykordię i zadawali sobie samobójczy cios w serce, jakby bali się śledztwa.

Kim byli, tego nie udało się już dociec. Nie można też było kontynuować podróży. Część rannych odwieziono do pobliskiego Płocka, Mikołajowi zaś polecono zboczyć z drogi, aby mógł odwiedzić swe rodzinne miasto, nieodległy przecież Toruń.

Spędził tu zaledwie jeden dzień. Odwiedził stare kąty, dom, w którym się urodził, a w którym teraz mieszkała rodzina von Allenów, spokrewniona z Kopernikami. Mikołaj spotkał się także ze swym kuzynem Łukaszem, następnie zajrzał do kościoła świętego Jana, gdzie w szkole parafialnej lata temu uczył się łaciny i podstaw matematyki. Stojąc w bramie Mostowej, spojrzął jeszcze na Wisłę, toczącą krę, po czym kazał zaprzęgać.

Konie szły na pamięć. Droga była szeroka i niemal pusta. Omijał Mikołaj zamki krzyżackie w Golubiu-Dobrzyniu, Brodnicy, a zatrzymał się dopiero w przyjaznej Lubawie, gdzie otrzymał ciepłą stawę i nocleg. Następnego dnia od rana znów był w drodze.

Była już ciemna noc, kiedy zdrożony i zmarznięty znalazł się wreszcie we Fromborku. Czekał na niego wierny służący, Hieronim.

– Słyszałem, panie. Słyszałem. Wszyscy o tym mówią – rzekł z uznaniem, pomagając kanonikowi zejść z kozła.

– Nie gadaj tyle, tylko wyprzęgaj. Konie ledwo żyją.

– Tak jest, panie.

– Gdzie jest nasz Fritz? – zapytał po chwili Mikołaj schrypniętym głosem, przez co nie było słychać, że jest zdenerwowany.

Sługa nie odpowiedział.

– Gdzie Fritz?! – Mikołaj niemal krzyknął i to dopiero ocuciło Hieronima.

– A jest, panie – odparł ze swobodą. – Odkąd wyjechałeś do Piotrkowa, w ogóle z biblioteki nie wychodzi. Ciągłe czyta, coś zapisuje. Musiałem inkaustu dokupić...

Kopernik odetchnął z ulgą. Mimo że już spokojny, a do tego zmęczony niehumanie, do swej kanonii zmierzał szybkim krokiem. Od wejścia dzieliły go dwa kroki, kiedy drzwi otworzyły się.

Stała w nich ona. Bez słowa rzucili się sobie w ramiona.

– Bałam się o ciebie... – szepnęła Aida.

Oboje wiedzieli, że ta niezbyt długa rozłąka wiele zmieniła w ich życiu. Nie wiedzieli jednak, jak niewiele im go pozostało.

XXXIX

46 mil morskich od Kahlbergu, 6 maja, 1513 roku

Herbert von Erlichshausen, kapitan krzyżackiego okrętu, owinął się szczelnie płaszczem. Wiatr od zachodu wiał mocny i przejmujący.

Taki wiatr najpewniej sztorm przyniesie – pomyślał żeglarz, wtulając twarz w kołnierz z niedźwiedziego futra, co mu tylko częściowo pomogło.

Bardziej niż sztormu na morzu bał się jednak von Erlichshausen ludzi. Pod żaglami spędził już trzydzieści lat, wciąż jednak serce mu truchlało na samo słowo, jedno słowo. Kaprowie.

Pospolici ci przestępcy, łotry bez Boga w sercu, uzbrojeni po zęby, pływający na szybkich i zwrotnych okrętach, zaopatrzeni byli w listy, podpisane przez kolejnych władców polskich, co zapoczątkował przez lata król Kazimierz Jagiellończyk, lub wystawione przez magistrat gdański. Pisma te pozwalały im bezkarnie napadać i łupić statki krzyżackie, płynące z towarami do miast Marienburg, Möve, a nawet Königsberg!

– Refować główny żagiel! – wydał komendę kapitan, wiatr bowiem wzmagał się z każdą chwilą.

Kiedy wykonano polecenie, Herbert von Erlichshausen na nowo zatopił się w rozmyślaniach. Był jeszcze maleńkim dzieckiem i mieszkał pod Lubeką, kiedy na wschodzie Europy trwała wojna trzynastoletnia między zakonem krzyżackim a koroną polską.

Na pomoc oblężonemu zamkowi w Möve, zwanemu przez Polaków Gniewem, gdzie wraz z niemal czterema setkami ludzi bronił się komtur Ulryk von Isenhoven, miały ruszyć oddziały z Königsbergu, prawie półtora tysiąca zbrojnych. Najszybsza droga wiodła przez Zalew Wiślany, potem rzeką Szkarpawą i Wisłą, aż pod Gniew, gdzie siły zakonne miały połączyć się z korpusem Bernarda von Zinnenberga. Okręty wojenne z Królewca nie były w stanie pomieścić wszystkich, więc rycerze wsiadali na statki handlowe, a nawet rybackie łodzie.

O planowanym desancie krzyżackim dowiedziano się jednak w Gdańsku i Elblągu i postanowiono do niego nie dopuścić. Do spotkania sił tych miast, wspomaganych przez rycerzy polskich, i sił krzyżackich, liczących ponad czterdzieści jednostek i dowodzonych przez samego Wielkiego Mistrza Ludwika von Erlichshausena, doszło dziewiątego dnia września roku pańskiego tysiąc czterysta sześćdziesiątego trzeciego, u ujścia rzeki Szkarpaawy, w którą bracia zakonni zamierzali wpłynąć.

Nie mogli jednak tego uczynić, gdyż koryto było zablokowane tak przez okręty, jak i specjalnie przygotowane umocnienia. Kilka dni obie strony trwały w napiętym oczekiwaniu.

Bitwa rozpoczęła się o świcie piętnastego września, kiedy to jednostki wycofały się na szersze wody zatoki, wzajemną wymianą ognia z kusz, łuków i hakownic. Bracia zakonni, przez to, że stłoczeni na niewielkich skorupach, zaczęli padać, jakby rażeni gromem.

Potem okręty zbliżyły się do siebie na odległość potrzebną do dokonania abordażu, ale i tu częstokroć brat zakonny nie zdążył nawet miecza dobyć, bo zbyt bliska kamrata mu w tym przeszkadzała, a już padał od ciosu zadanego polską ręką. Także i same okręty krzyżackie odstąpić szybko ani ścigać wroga nie mogły, gdyż woda w Frisches Haff była w tym miejscu zbyt płytka.

Reszty dokonały dwa obce sobie żywioły – ogień, co niesiony na polskich strzałach wzniecał pożary, a w końcu i woda, która pochłaniała ciała braci, częstokroć w ciężkie zbroje zakute i okutane w płaszcze z czarnym krzyżem.

Flota krzyżacka została rozbita. Z masakry udało się uciec tylko okrętowi, na którym znajdował się wielki von Erlichshausen. Gniew nie doczekał się odsieczy, choć bronił się jeszcze długo, niemal do końca wojny, a o przegranej bitwie pod Suchaczem długo jeszcze rozprawiano...

– Okręt na lewej burcie! – rozległ się krzyk z bocianiego gniazda.

Herbert von Erlichshausen wzdrygnął się. Przeszedł na lewą burtę, spojrzął w dal, usiłując przeniknąć wzrokiem mgłę i pył wodny. Chwilę dłuższą trwało, nim sztuka ta mu się udała.

– Dziwny to galeon – rzekł sam do siebie. – Czyżby fleuta handlowa?

– Nie widać jeszcze żadnych znaków – powiedział pierwszy oficer, który zjawił się obok niego niczym duch, tak też wyglądał: wychudły, poszarzały na twarzy, a nazywał się Klaus.

– Kaprowie? – zapytał Herbert.

– Chyba nie. To obcy statek.

– Pułapka?

– Tego nie wiem, panie.

Nagle gorąco rozlało się po piersiach i szyi kapitana, serce bić zaczęło niemal jak taraban, a ręce świerzbiły. Znał to uczucie. Zawsze się tak czuł, gdy zbliżała się jakaś awantura.

– Przygotować się do walki! – krzyknął.

Cała załoga jakby tylko czekała na ten rozkaz. Ruszyli pod pokład, gdzie znajdowała się broń. Już rychtowali hakownice, nakręcali cięciwy ciężkich kusz kulkowych, odwiązywali liny, potrzebne do desantu na statek wroga. Bo że nim był, nie ulegało wątpliwości. Nie miał ich kapitan

Herbert von Erlichshausen, nie miał Schmidt, a więc nie miała ich reszta załogi.

– Przygotować się do zwrotu! Przygotować się do zwrotu! – brzmiała następna komenda, którą wykonano z ochotą.

Odległość między jednostkami zmniejszała się z każdą chwilą. Gdzieś z boku dobiegły pierwsze słowa *Pater noster*, ale wypowiedane nie głosem trwożnym, a z mocą. Było już widać więcej: nie tylko kolor i rodzaj żagli statku czy okrętu wroga, ale wszelkie inne szczegóły, ludzi poruszających się na pokładzie, jakby nie dostrzegali zbliżającego się niebezpieczeństwa. Nie było wciąż tylko wiadomo, pod jaką pływa banderą. Zresztą nie było to ważne.

Wtem stała się rzecz dziwna. Prujący z impetem fale okręt von Erlichshausena nagle zatrzymał się w miejscu, jakby zarył stępką w piach mielizny. Gotowi do walki bracia stracili równowagę, kilku przekoziółkowało przez reling i wpadło do wody.

– *Halt! Halt!* – zaczął wykrzykiwać Klaus, choć nie wiadomo do kogo: okręt stał bowiem w miejscu jak wmurowany, przy czym żagle niezmiennie wypełniał wiatr, a majtkowie nie mogli zapanować nad siłą, która pozbawiała równowagi.

– Co się dzieje?! – wrzasnął kapitan.

– Panie, spójrz tam! – zawołał jeden z marynarzy, wskazując mieczem kierunek, w którym przed chwilą zmierzali, pewni celu, łupu i łatwego zwycięstwa.

Von Erlichshausen posłuchał. Przetarł oczy, załamane od wiatru, a może emocji, wyteżył wzrok. Im bardziej go jednak wyteżał, tym bardziej statku wroga... nie było. Zniknął, a przecież go widzieli jak słońce na niebie! Schował się pod powierzchnią wody, a może zdążył odpłynąć?

Czy to czary jakie? Siły nieczyste? A przecież miejscowi rybacy ciągle opowiadali legendy o morskich diabłach, zatapiających ich łodzie, czy statkach, na których pływają żywe trupy.

Nagle zmarszczona przez wiatr powierzchnia wody uspokoiła się, wyrównała, stała się równa jak stół. Stan taki trwał może z pół pacierza. Nikt z załogi krzyżackiego okrętu nie odezwał się przez ten czas ani słowem.

– *Kyrie eleison* – szepnął bezgłośnie kapitan Herbert von Erlichshausen i były to ostatnie słowa, jakie w życiu tym wypowiedział.

Inni zaś milczeli. Ze strachu, ze zadziwienia. Z dziesiątek gardeł dobył się ryk przerażenia dopiero wówczas, gdy w miejscu, gdzie przez paroma chwilami znajdował się okręt przeciwnika, zaczęła wyrastać... góra. Góra wody!

Przecierali oczy ze zdumienia, znak krzyża czynili, ten i ów krył się pod pokładem lub wręcz przeciwnie – w górę miecz unosił albo strzelał z kuszy w ową górę. Ona jednak zwiększała się coraz szybciej, szumiąc złowroźnie i okrywając wszystko cieniem.

I nim ktokolwiek z członków załogi zdążył pomyśleć, ta niewidziana nigdy wcześniej ogromna i każąca prawica Pana spadła bezlitośnie na ich głowy, a sine wierzeje zamknęły się nad nimi. Pierwsze słowa *Pater noster*, wypowiedane siniejącymi wargami marynarza, pełne były teraz żalu i najczarniejszej trwogi.

Kiedy top masztu krzyżackiego okrętu zniknął pod powierzchnią, woda w tym miejscu zabulgotała i zasyczała niczym wrzątek. Potem zatoka znów pokryła się falami, jak jeszcze kilka chwil temu, wiatr majowy wiał bowiem mocno i był przejmujący, a taki wiatr sztorm przyniesie, to pewne.

Ćwierć morskiej mili od miejsca, gdzie zatonął okręt kapitana Herberta von Erlichshausena, jakby nigdy go nie było, płynął spokojnie galeon. Nie

miął bandery. Na mostku kapitańskim stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich podniósł do oka metalową tuleję i przez dłuższy czas spoglądał przez nią na linię horyzontu.

– Jako przed wiekami pisał wielki uczyony, brat nasz Ibrahim ibn Jakub, kraj to najrozleglejszy z ich krajów – powiedział do drugiego, oddając mu ów dziwny przyrząd. – Dopływamy do Polski.

– Mam nadzieję, że już bez przygód – rzekł drugi.

– Nie byłbym tego taki pewien.

XL

Frauenburg, 10 maja, 1513 roku

Wieść o zatopieniu krzyżackiego okrętu szybko rozniosła się po całym Wybrzeżu, od Helu po Memel. Ludzie mówili, że to najpewniej sprawa kaprów. Co niektórzy cieszyli się z ich kolejnego sukcesu, inni zrzucali winę za ten czyn na nieczyste siły i dawali na mszę za dusze poległych. Morze co raz oddawało ciała Krzyżaków wraz w pomniejszych elementami okrętu, resztkami wyposażenia. Komtur Królewca wszczął śledztwo w tej sprawie, jednak szybko utknęło ono w martwym punkcie.

Na Wzgórzu Katedralnym życie toczyło się normalnym tempem. Rzecz jasna, wydarzenia zza mierzei odbiły się echem także i o mury fromborskiej warowni. Były dni, kiedy nie mówiono o niczym innym. Mimo że kilka miesięcy wcześniej kapituła przysięgała wierność królowi polskiemu Zygmuntovi, różne były oceny tego, co spotkało Krzyżaków na Bałtyku.

– Toż to nie może być! Nie może to być. – Herbert Kunze, kantor fromborski, aż złapał się za głowę, a że był mężczyzną pokaźnych rozmiarów, drewniane krzesło pod nim zaskrzypiało.

Towarzyszący mu kanonik Jan Sculteti, który temat na nowo rozpoczął, z frasunkiem kiwał głową.

– Historia, która spotkała nas w drodze z Piotrkowa, a teraz to. Ciekaw jestem, co na ten temat mówią gwiazdy – powiedział.

– Dobry koncept, mój Janie. Znakomity! – ożywił się Kunze, ale szybko ściszył głos, rozejrzał się dokoła, czy żadne uszy niepożądane ich słów nie słyszą. – Zapytajmy o to Mikołaja.

– Tak, Mikołaj zna odpowiedź.

Bo choć w Boga wierzyli i jemu służyli – wielu uważało, choć rzadko o tym mówiło głośno, że na imię mu... denar złoty! – o przyszłość często pytali astrologa. W położeniu planet i gwiazd szukali, sownie płacąc temu, kto potrafił to wyczytać, wyjaśnienia swojego położenia na ziemi, złego lub dobrego. Chyba częściej złego, bo gdy jest dobrze, choroby omijają dom, a fortuna sprzyja, nikt nie pyta, czemu tak jest.

Także i wielcy tego świata, nie wyłączając królów, cesarzy, a nawet papieży, w gwiazdach szukali odpowiedzi na pytania, zamawiając przepowiednie u astrologów, a tym pomyłki uchodziły płazem. Jaki dzień będzie najlepszy, by wybrać się w daleką podróż – najlepszy tak pod względem pogody, jak i tego, że na drodze nie napotka się zbójców. Jak leczyć dolegliwości, jakie *antidotum* zastosować – o to medyk często pytał astrologa. Do jakiego zawodu dziecko przeznaczyć, dowiadywał się dzięki koniunkcji planet ojciec czy matka. Król dzięki gwiazdom wiedział, z kim zawrzeć przymierze, a przeciw komu i o jakiej porze roku wyprawić się, by odnieść zwycięstwo.

Jednak ani czcigodny Jan Sculteti, bliski przyjaciel Kopernika, ani Herbert Kunze nie wiedzieli, że Mikołaj, obserwując pogodne nocne niebo, wcale nie szuka w nim odpowiedzi na problemy ludzi, ale bada gwiazdy i planety, i Słońce samo w sobie. Nie wiedzieli, że dzieło, które po kryjomu i od wielu lat pisze, pozbawi władzy astrologów.

Tego dnia Mikołaj szybko zakończył swój dyżur w Szpitalu świętego Ducha. Przez jakiś czas od przyjęcia ostatniego pacjenta ucierał zioła w moździerz, mieszał je, sporządzając mikstury, mające przynieść ulgę cierpiącym. Pomagał mu w tym bratanek, Fritz.

Obaj mężczyźni przenieśli właśnie zawartość swoich moździerzy do większych pojemników, kiedy próg szpitalnej izby przekroczyli Jan Sculteti i Herbert Kunze.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się kantor fromborski, z przesadną starannością wypowiadając każde słowo.

Fritz skłonił się, przypominająca bochenek chleba dłoń Herberta musnęła mu policzek i zmierzwiła czarną czuprynę.

– Uczy się bratanek, jak widzę – skomentował Kunze.

– Fritz nie jest moim bratankiem – sprostował Mikołaj. – Wiecie przecież, że brat mój, Andrzej, jest tak jak ja i wy kanonikiem warmińskim.

Jan Sculteti i Herbert Kunze odchrząknęli jednocześnie z zakłopotaniem. Temat Andrzeja Kopernika nie był zbyt miły.

– Co was sprowadza? – zapytał Mikołaj.

Sculteti, który od czasu pamiętnego powrotu z sejmu w Piotrkowie miał dziwny nerwowy tik twarzy, zamrugął kilkakrotnie, rozejrzał się naokoło i nachylił nad uchem Kopernika.

– Przepowiedni, drogi Mikołaju – szepnął.

– Przepowiedni? Czyż nie jest najlepszą przepowiednią to, co mówi nam pan nasz, gdy codziennie modlimy się do niego, klęcząc na zimnej posadzce naszej katedry? Czyż wyraz twarzy wiszącego na krzyżu Chrystusa, choć wyszedł spod dłuta rzeźbiarza, nie jest najlepszą odpowiedzią na pytanie, jak żyć?

Obaj kanonicy przez dłuższą chwilę patrzyli na niego jak na jakąś istotę, która spadła na ziemię z jednej z odległych gwiazd albo planet, po

czym Kunze zamachał nerwowo rękami, jakby chciał odpędzić jakieś natrętne owady.

– Wszyscy to wiemy – powiedział uroczyście kanonik Jan.

Wyszli całą czwórką przed szpital. Wiosna była w pełni: ptaki śpiewały, drzewa zieleniły się, a niebo było błękitne, bez jednej chmurki.

– Święty Franciszek z Asyżu podziękowałby panu za taką pogodę i nie pytał o przepowiednie – powiedział Mikołaj, czym ostatecznie pozbawił kanoników resztki złudzeń i szans na to, co chcieli od niego uzyskać.

Już mieli rozejść się na rozstajach drózek i oddalić każdy w stronę swojej kurii, gdy nagle zrobiło się ciemno i zimno. Od zatoki powiał silny wiatr. Popatrzyli na siebie, jeszcze bardziej zdziwieni tą nagłą zmianą niż zaniepokojeni.

Żaden z kanoników prócz Mikołaja nie zwrócił uwagi na Fritza, który, oddalony od panów fromborskich na odległość czterech, może pięciu kroków, rozłożył właśnie obie ręce, ułożył dłonie tak, jak wczesną wiosną wystawia się je ku pierwszym promieniom słońca.

– Co mu jest? – zaniepokoił się kanonik Jan.

– Epilepsja? – zgadywał Kunze.

Mikołaj był nie mniej zaskoczony i zaniepokojony niż oni.

– To od szkodliwych pyłów – powiedział wreszcie i dodał: – Cały dzień mieszał zioła...

Chwycił Fritza pod ramię i próbował pociągnąć w stronę swojej kanonii.

– Widzę śnieg – usłyszeli naraz kanonicy. – Widzę dużo śniegu, białego jak płaszcz biały na zbroi. Widzę was obu – tu Fritz spojrzął na Mikołaja, a potem odwrócił głowę i spojrzął także i na kanonika Jana – otoczonych przez ludzi w białych płaszczach. Wielu ich, bardzo wielu...

To powiedziawszy, Fritz zawisnął bezwładnie w ramionach Mikołaja.

– Chcieliście przepowiedni, oto ją macie – mruknął z niechęcią doktor.

Tej samej nocy zmieniło się całe życie Mikołaja Kopernika. Nie, nie odkrył on żadnej nowej planety ani gwiazdozbioru, nie uporządkował dotychczasowych badań ani nie napisał ni wiersu, który złożyłby się na przyszlą rewolucyjną księgę *De revolutionibus orbium coelestium*. Nie sporządził mapy ani nowego lekarstwa na dolegliwości ciała, nie doszedł do nowych wniosków na temat siły monet, z których jedna jest mocniejsza, a druga słabsza.

Położył się spać późno, bo po północy. Mimo to długo nie mógł zasnąć. W sąsiedniej izbie leżał-leżała on-ona. Fritz. Aida. Sierota. Niewierna. Dzikuska – jak często mówiono o ludziach z krajów arabskich w Europie, mimo że oświeconej.

Nigdy przy nikim nie czuł się Mikołaj tak, jak przy tej kruchej istocie. Owszem, poznawał panny urodziwe podczas studiów w Italii, choć brat jego Andrzej większą miał do nich zawsze śmiałość, przez co Mikołaj wcale nie był pewny, czy nie jest czasem niczym stryjem. Teraz los zesłał ją. Czyżby na starość, a ta zbliżała się przecie wielkimi krokami i była nieodwołalna jak śmierć, miałby porzucić suknię duchowną, a wraz z nią Katedralne Wzgórze, i zacząć inne, zupełnie nowe życie?

Coś stuknęło za ścianą.

Pewnie Hieronim krząta się jeszcze po domu – skonstatował doktor po chwili. Coś jednak nie pozwalało mu ponownie położyć głowy na poduszce i spróbować zasnąć. Ta sama siła kazała mu wstać z łoża, wzuć stare ciżmy, narzucić na siebie płaszcz i wyjść z sypialnej komnaty.

– Trzeba sprawdzić, czy z nią wszystko dobrze. Strzeżonego Pan Bóg strzeże – wytłumaczył sam sobie szeptem.

Pod stopami zaskrzypiała podłoga. Mikołaj najpierw napił się wody z dzbana stojącego w przedsionku, potem postanowił zajrzeć do izby, którą zajmowała Aida.

Drzwi była uchylone. Pchnął je lekko, by jak najbardziej dyskretnie zajrzeć do środka. Nie musiał jednak specjalnie wyteżać wzroku ani otwierać drzwi szerzej, żeby pojąć, co się stało.

Aidy nie było. Nie było Fritza!

Nogi ugięły się pod kanonikiem. Nie budząc sługi, szybko wrócił do swojej izby, ubrał się, złapał za wąski i długi sztylet w prostej, pozbawionej ozdób pochwie i wybiegł z domu.

Dokąd mogła pójść? – zapytał sam siebie. Odpowiedź nie była zbyt trudna: nie znała zupełnie tego kraju, więc nie mogła udać się w głąb lądu. A jeżeli nie poszła w głąb lądu, to mogła pójść tylko w jednym kierunku. Była przecież „dziewczyną z morza”...

Nie zapalając łuczywa (znał bowiem dobrze drogę do portu; zdarzyło się przecież, że wzywano go do nagłych przypadków, do których najszybciej było dotrzeć łodzią), ruszył w dół, po stromiźnie, krętą ścieżką. Frauenburg pogrążony był we śnie, gdzieniegdzie tylko zaszczekał pies. Mikołaj szedł coraz szybciej, podkasawszy poły obszernego i długiego płaszcza.

W pół pacierza doszedł do przystani. Jego oczom ukazała się rozszeptana otchłań Frisches Haff. Wtedy dostrzegł również to.

– Niebywałe... – jęknął z podziwem mieszającym się ze strachem.

Pomiędzy łodziami należącymi do rybaków cumował ogromny galeon. W całości oświetlały go pochodnie, dziesiątki pochodni, przez co kadłub sprawiał wrażenie, jakby płonął. Statek miał zrefowane żagle, a na jego pokładzie nie było widać żadnego człowieka.

Widmo jakie, mara senna? Mikołaj stał jeno i patrzył. Po chwili ujrzał i ją. Szła wolnym krokiem po pomoście. Kilka razy zetknął się doktor z tą dziwną przypadłością, jaką było sennowłóctwo. Gdyby tylko mógł teraz wiedzieć, czy Aida ma zamknięte oczy...

Ale, ale! Dlaczego nie miałby sam tego sprawdzić?!

W kilku krokach znalazł się przy nasadzie drewnianego pomostu. Ledwo jednak postawił stopę na pierwszej z brzegu desce, posłyszał znajomy skądś szum. Obok pierwszej stopy znalazła się i druga, ale Mikołaj już wiedział, że dalej nie pójdzie. Kilkanaście strzał o dziwnych bełtach, wystrzelonych przez niewidocznych łuczników, wbiło się w deskę, ledwo szerokość dłoni od palców jego stóp!

– Aida! – wyrwało mu się, jakby z samej głębi; nigdy nie podnosił głosu, więc jego własny krzyk zdziwił go, a może nawet przestraszył.

Zatrzymała się. Serce żywiej zabiło w piersi kanonika. Odwróciła głowę. Widział doskonale, że oczy ma otwarte i patrzy na niego. Że się uśmiecha. Nagle podniosła w górę prawą rękę, gestem pozdrowienia. Serce w piersiach Mikołaja, walące jeszcze chwilę temu jak oszalałe serce biegnącego, teraz zatrzymało się w pół uderzenia. Twarz wykrzywił grymas bólu, w oczach wezbrały łzy.

Mikołaj pojął oto, że ów gest przyjazny oznacza pożegnanie. Uniósł i swoją rękę. Trzymał ją długo, póki „dziewczyna z morza” nie zniknęła na pokładzie galeonu, póki galeon, gasząc po kolei wszystkie światła, nie odbił od nabrzeża. I póki jego cień nie rozpląnął się we mgle unoszącej się nad wodami Frisches Haff.

XLI

Toruń, dzień trzeci

Dzień miał się już ku końcowi, kiedy Tomasz Horn i Monika Lauder dotarli do Torunia.

– Marzę o kąpieli – powiedziała dziewczyna.

Dopiero teraz do Horna dotarło, że przecież są w rodzinnym mieście antropolożki. Świadczyły o tym także numery rejestracyjne jej samochodu.

– Dokąd mam jechać? – zapytał.

– Wiesz, gdzie jest Rubinkowo?

Potwierdził skinieniem głowy. Pół godziny później byli na miejscu. Monika Lauder mieszkała w niewielkim, dwupokojowym mieszkaniu na dziesiątym piętrze w bloku z wielkiej płyty.

– Co zjesz? – zawołała z kuchni, podczas gdy Horn podziwiał widok z okna.

– Cokolwiek.

Około dwudziestej, odświeżeni i najedzeni, znaleźli się na toruńskiej Starówce. Zachodzące słońce czerwieniło dachy najwyższych kamieniczek, skądś dobiegały dźwięki muzyki. Wystarczyło przejść kilkanaście metrów w stronę Żeglarskiej, łączącej rynki z nadwiślańskim bulwarem, by stwierdzić, że miasto żyje.

– Mamy kilka możliwości – zaczął Horn, poprawiając ręką niewysuszone do końca włosy.

– Grzebień albo szczotka – weszła mu w słowo Monika.

– Jesteś coraz bardziej złośliwa.

– Kwestia treningu.

– Mamy kilka możliwości – Horn powtórzył twardo i o wiele głośniej.

– Zamieniam się w słuch.

– Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny albo Kościół świętych Janów. Obydwie świątynie istniały w czasach Kopernika.

– A zamek?

– W ruinie. A my nie mamy pozwolenia na wykopaliska.

– Pozostaje jeszcze Dom Kopernika.

Horn zamyślił się.

– To by było najbardziej logiczne – rzekł po chwili. – Problem w tym, że składające się na dom dwie późnogotyckie, piętnastowieczne kamienice, a raczej spichlerzodomy, bo w dawnych czasach w tym samym miejscu mieszkało się i magazynowało zboże, zostały przebudowane w wieku XIX, a potem rekonstruowane w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt – tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt trzy.

– W takim razie rzeczywiście trudno by było cokolwiek ciekawego tam znaleźć – zgodziła się Monika.

Ruszyli spacerkiem, jakby byli tylko zwykłymi turystami. Wmieszali się w tłum, ciągnący we wszystkich kierunkach. Miasto żyło swoim specyficznym rytmem przez cały dzień, jednak dopiero wieczorem, kiedy paliły się latarnie i sklepowe witryny, kiedy na ulicę wychodzili połykacze ognia i żonglerzy, było widać najlepiej, jak niewiele brakuje Toruniowi do innych europejskich miast akademickich.

– Czemu na warszawskiej Starówce nie można się tak poczuć? – zastanawiał się głośno.

– Bo warszawska Starówka nie jest dla warszawiaków – odpowiedziała mu Lauder. – Raz, że życie zamiera tam po dziesiątej wieczorem, przez co młodzi Angole wybierają na swoje pijackie eskapady Kraków albo Wrocław. Dwa, że aż strach wchodzić do knajp, aby nie zostać oszukany.

– Jakoś nigdy mi się to nie zdarzyło – skomentował Horn.

– No to masz szczęście.

Weszli na główny rynek. Jacyś ludzie w większej grupce robili sobie zdjęcia pod pomnikiem Mikołaja Kopernika, mającym za tło toruński ratusz. W pobliżu pomnika astronoma kudłaci młodzieńcy bili w bębny. Wzdłuż wschodniej pierzei jechał niemal pusty uliczny pociąg turystyczny, zwykle oblegany przez rodziny z małymi dziećmi.

W tym samym momencie, kilkaset metrów dalej, na rogu ulic Rabiańskiej i Ducha Świętego, zatrzymało się czarne bmw. Wyszło z niego dwóch mężczyzn, którzy następnym powolnym krokiem spacerowiczów ruszyli w stronę Żeglarskiej. Mijając zaparkowanego przy chodniku oplą frontierę, jeden z nich złapał za klamkę drzwiczek, po czym odwrócił się, jednocześnie sięgając obiema rękami do tyłu. Ktoś, kto byłby w tej chwili blisko, usłyszałby trzask. I pewnie przyspieszył kroku.

Po chwili mężczyzna otworzył drzwi oplą i wsiadł do samochodu. Drugi obszedł pojazd dookoła i dyskretnie rozejrzawszy się na boki, otworzył bagażnik i zajrzał do środka. Chwilę później obaj spotkali się na przednich siedzeniach.

– Nie ma? – zapytał ten, który się włamał.

– Nie.

– Zostawili to w domu.

Szczęknął zamek przeładowywanej broni.

– Nie za duży tłum na „klamkę”? – zapytał mężczyzna siedzący na miejscu pasażera, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Po chwili opuścili pojazd. Mijając ich akurat w tej samej chwili grupka młodzieży nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi. Było to jednak złudne wrażenie.

– Nie zamknął pan samochodu! – zawołał jeden z młodych chłopaków za mężczyznami, którzy już wracali do swojego bmw.

Spojrzeli na siebie z ukosa. Jeden odruchowo sięgnął ręką w zanadrze.

– Halo, proszę pana! – nie odpuszczał chłopak. – Zapomniał pan zamknąć auto.

– Tak, rzeczywiście – mężczyzna odpowiedział wreszcie z wymuszonym uśmiechem. – Dziękuję. Jest pan bardzo miły.

Po czym wrócił do opla, chwilę grzebał przy zamku, udając że przekręca klucz. Kiedy spojrzał ponownie w perspektywę ulicy, grupki już nie było.

Monika Lauder nie słuchała, co mówi Horn. Przestała słuchać, choć jeszcze przed chwilą śmiała się, zadawała pytania. Zauważył to.

– Chcesz wracać do domu? – zapytał.

Kiwnęła głową. Zawrócili z uliczki, na której końcu było widać gmach Collegium Novum, i ponownie wmieszali się w tłum. Wzdłuż zachodniej pierzei Rynku i ściany ratusza ciągnęły się kawiarniane ogródki i namioty z kwiatami.

Horn z żalem spoglądał na te pierwsze; lubił siedzieć latem na zewnątrz i patrzeć na ludzi. Już chciał powiedzieć o tym Monice, kiedy nagle... stwierdził jej brak. Zatrzymał się, rozejrzał dookoła. Jeszcze nie zdążył się zaniepokoić.

– Monika! – zawołał.

– Pewne poszła do ratownika – skomentował jakiś przechodzący obok figlarz na gazie.

Hornowi jednak było coraz mniej do śmiechu. Tłum wokół niego tężał, jakby wszyscy się zmówili... Wtem z prawej strony usłyszał krzyk. Nie poznał go, nie wiedział, czy to Lauder, ale instynkt kazał mu ruszyć w kierunku, skąd dobiegł. Najpierw szedł, potem biegł. Minął fontannę ze skrzypkiem i żabami, widział już gotycki gmach poczty.

– Pan zostawi tę panią! – zatrajkotała naraz jakaś kobiecina.

Odwrócił się i dopiero wtedy ujrzał całą grozę sytuacji: ślaniająca się na nogach Monika Lauder była prowadzona przez dwóch osiłków. Próbowwała się szarpać, ale tamci dalece przewyższali ją gabarytami i siłą. Próbowwała krzyczeć, ale jeden z nich zasłonił jej usta.

Horn nie zastanawiał się, co zrobi, gdy już będzie na miejscu, czyli za pięć sekund, może siedem. Musiał lawirować jak w slalomie. Minął kilkoro ludzi, grupkę dzieci, kobietę pchającą wózek. Kiedy na powrót miał stuprocentowe pole widzenia, tamtej trójki już nie było.

Zatrzymał się i niemal zapłakał z bezsilności i przerażenia. I wtedy uprowadzonej dziewczynie udało się krzyknąć po raz trzeci. To bezbłędnie naprowadziło go ponownie na trop. Kiedy znów miał ich jak na dłoni, stwierdził, że jeden z porywaczy szarpie się z trzecim mężczyzną. Horn z impetem wpadł na faceta, który usiłował oddalić się razem z Moniką. Coś błysnęło w świetle ulicznej latarni.

– On ma nóż! – krzyknął ktoś.

– Policja! Wezwijcie policję – równie głośno zawtórował mu inny.

Bandyta trafiony kopniakiem Horna w plecy, stracił równowagę, ale nie upadł. Puścił jednak ramię dziewczyny. W tym samym momencie ten z nożem zaczął się wycofywać. Horn chciał przyjrzeć się napastnikom. Czy to ci sami, którzy napadli na nich w Lidzbarku?

Napastnicy ulotnili się jednak w mgnieniu oka. Nikt ich nie gonił. Horn i Monika zostali sami. Ktoś z gapiów głośno komentował, jakaś kobieta podeszła do Moniki i o coś ją pytała; antropolożka potrząsnęła głową. Wtedy Tomasz dostrzegł, kim jest człowiek, który stanął na drodze porywaczom i o mało nie został raniony przez jednego z nich nożem sprężynowym.

– Uciekli – sapnął Gniewomir, ocierając pot z czoła rękawem spłowiałej rycerskiej koszuli.

XLII

Gdynia, dzień czwarty

Od pół roku mogłem być na emeryturze! – pomyślał kapitan Andrzej Czyż, przekraczając próg siedziby Żandarmerii Wojskowej przy rondzie Bitwy po Oliwą.

Zastępca dowódcy ORP Hydro, wyszedłszy zaledwie wczoraj ze szpitala, wcześniej rano pojechał na Oksywie. Tam musiał wyjaśnić kilka spraw, które na niego czekały. W porcie wojennym, dokładnie w jednym z magazynów, miał miejsce wybuch. Sprawę badała Żandarmeria Wojskowa. Czyż miał teraz złożyć wyjaśnienia, zresztą jako jeden z wielu.

Zajął mu to niespełna pół godziny. Wyszedł z gabinetu, gdzie miała miejsce rozmowa, i przez dłuższą chwilę stał na korytarzu, usiłując uporządkować myśli. Wciąż nie czuł się dobrze.

Mówili, że jak armia będzie zawodowa, to skończą się wypadki. A gówno! – myślał ze złością, maszerując w kierunku wyjścia.

Kiedy mijał drzwi jednego z gabinetów na parterze, usłyszał swoje imię.

– Panie Andrzeju.

Zatrzymał się. Siedząca na jednym z krzeseł kobieta zerwała się z miejsca i złapała go za ramię.

– Pani Mirka? – zdziwił się na widok Kellerowej, a potem przeraził: kobieta miała oczy pełne łez, trzęsła się, nie zwalniała swojego uścisku. – Co się stało?

– Władek zaginął.

– Co?!

– Wyszedł z psem i nie wrócił.

– Kiedy to było?

– Wczoraj rano.

– Niech pani usiądzie, proszę nie płakać – powiedział łagodnie, ciągnąc uczipioną ramienia kobietę w stronę rzędu krzesel.

– Boję się, że coś się stało.

Nie potrafił pocieszać kobiet. Jego żona zawsze miała o to do niego pretensje. O wiele łatwiej przychodziło mu kiedyś pocieszenie marynarza, który miał kłopoty z dziewczyną, mimo że – a może właśnie dlatego! – oddaloną o pół tysiąca kilometrów. Choć Czyż psychologiem specjalnym nie był, marynarz wychodził zawsze z takiej rozmowy wyraźnie pokrzepiony.

– Zgłosiłam zaginięcie na policji, ale im nie wierzę. Dlatego przyszedłam tutaj. Wysłuchali mnie, chociaż chyba nie musieli. Obiecali, że pomogą. Może on gdzieś leży, może zamarzł w nocy... – zaczęła od początku swoje zawodzenia.

Szybko jednak udało jej się opanować. Wyjęła chusteczkę, wytarła nos.

– Wszystko ma najprawdopodobniej związek z bratem Władka, Henrykiem – powiedziała.

W kilku zdaniach streściła Andrzejowi tę historię. Kapitan Czyż słuchał z uwagą, od czasu do czasu potakiwał.

– Może odwiozę panią do domu? – zaproponował. – A nuż Władek już tam jest...

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Podnieśli się i ruszyli w stronę wyjścia.

Szybko przejechali przez Gdynię, Sopot i dotarli do Wrzeszcza.

– Dziękuję – szepnęła, by zaraz dodać: – Może wejdzie pan na herbatę?

Andrzej zgodził się. Już po chwili oboje wspinali się schodami na górę. W miarę jak zbliżali się na właściwe piętro, pani Mirka przyspieszała. Może naprawdę wierzyła, że jej mąż jakby nigdy nic wrócił do domu? Kapitan był jeszcze na półpiętrze, gdy kobieta dzwoniła pękiem kluczy.

– Jezus Maria! – usłyszał jej krzyk.

W sekundę był na górze. Drzwi do mieszkania były uchylone. Pani Mirka stała z kluczem wycelowanym w dziurkę. Andrzej pchnął drzwi. Już od progu było widać, że to nie komandor wrócił do swojego mieszkania. Kellerowie mieli innych gości. Nieproszonych. Całe mieszkanie było zdemolowane.

XLIII

Toruń, dzień czwarty

Bazylika katedralna świętego Jana Chrzciciela i świętego Jana Ewangelisty był to gotycki, ceglany kościół, jedna z wizytówek miasta i największy element jego panoramy, oglądanej z lewego brzegu Wisły. Kiedyś kościół ów był farą, od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku bazyliką mniejszą, zaś od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego katedrą diecezji toruńskiej. Tablice informacyjne donosiły, iż najprawdopodobniej w kościele tym odbył się chrzest Mikołaja Kopernika i że pochowano tu serce króla Polski, Jana Olbrachta, a na krępej wieży wisi największy średniowieczny dzwon w Polsce – odlany w tysiąc pięćsetnym roku *Tuba Dei*, czyli Trąba Boża.

Ale to nie dźwięk tego dzwonu obudził rano Tomasza Horna i Monikę Lauder. Dziewczyna zerwała się z łóżka na równe nogi, najpewniej za sprawą przeżyć ubiegłego wieczora. Chwilę potem siedziała skulona na brzegu łóżka i płakała.

– Zjemy śniadanie i od razu inaczej spojrzysz na świat – rzekł Horn, wyjrzawszy zza futryny drzwi.

– Gadasz jak moja babcia – burknęła antropolożka.

– To znaczy?

– U niej wystarczyło tylko siedzieć cicho i jeść. Tylko że świat nie jest taki prosty. Sam widziałeś. Oni nie żartują! Gdyby nie ten rycerz...

Tak, Gniewomir. Niedoceniony rycerz z Fromborka. Nie dał się namówić na nocleg w domu Moniki. Umówili się jednak na następny dzień. Wiele należało sobie wyjaśnić.

Horn i Monika zjedli śniadanie, po czym zjechali na dół. Opel frontiera stał tam, gdzie zaparkowała go właścicielka.

Wczoraj gdy po awanturze wrócili do samochodu, Monika stwierdziła z przerażeniem, że auto jest otwarte. Od razu zajrzeli do bagażnika, ale nic nie zginęło. Pewnie dlatego, że szkatułkę Ludwika Rosłonia z cennymi dokumentami Monika ukryła w sejfie instytutu archeologii, zaraz po przyjeździe do miasta.

- Myślisz, że jesteśmy obserwowani? – zapytała.
- Nie wiem. – Horn potrząsnął głową. – Na razie róbmy swoje.
- Może trzeba iść na policję?
- To byłoby właściwe posunięcie, gdyby nie mały problem.
- Jaki?
- Jestem zbiegiem.
- No tak, prawie o tym zapomniałam...

Na pustawym jeszcze o tej porze dnia Rynku czekał na nich Gniewomir. Przywitali się z uśmiechami, jakby nic się nie stało, nikogo nie dręczyły wyrzuty sumienia ani pytania, w jaki sposób człowiek ten w ogóle znalazł się w Toruniu i to jeszcze w chwili, gdy był najbardziej potrzebny.

Ruszyli w stronę toruńskiej katedry. Jeszcze przy śniadaniu Horn i Monika zdecydowali bowiem, że wtajemniczą tego człowieka w swoje zamysły i przedstawią wyniki dotychczasowych obserwacji. Jakby nie patrzeć, fromborski rycerz nie był przecież zupełnym laikiem w tych sprawach, wszak swego czasu pomagał Rosłoniowi.

Kościół świętych Janów był już otwarty; przez główne drzwi wychodziły właśnie starowinki z zakończonej przed chwilą mszy.

– Wchodzimy – zaordynował Horn.

Z miejsca owionęła ich charakterystyczna dla starych świątyń woń kadzidła i spalonego wosku, pomieszana z zapachem butwiejących sztandarów i więdnących kwiatów, starego i nowego drewna, a także ludzi. Przy głównym ołtarzu krzątał się kościelny, przy bocznych modlili się pojedynczy wierni. Do następnej mszy pozostało chyba sporo czasu.

Żadne z trojga poszukiwaczy nie wiedziało, czego i gdzie szukać, choć nikt nie wypowiedział tego głośno.

– Rozdzielmy się – rzekł półgłosem Horn.

Odkąd pamiętał, stare budowle, w których przebywał i które oglądał, zawsze wzbudzały w nim specyficzne uczucia. Pomieszanie lęku z podziwem, dumy z tego, czego może dokonać człowiek, ale i dojmującego żalu z powodu kruchości i krótkości jego żywota. Zapamiętał jedno zdanie, usłyszane nie wiadomo gdzie i z czyich ust: człowiek jest tylko krótkim epizodem w życiu przedmiotów. Bolesne to było, ale prawdziwe. Ile pokoleń torunian patrzyło na te mury, modliło się w nich, składało ofiary, chrzcilo dzieci, zawierało związki małżeńskie, wreszcie żegnało się z tym światem, leżąc już bez czucia czy myśli?

Czy na te mury patrzył także młody Mikołaj Kopernik? – zastanawiał się Horn.

Z pewnością tak. Pytanie, na które od kilku dni szukają odpowiedzi, brzmi jednak inaczej: czy jest możliwe, że astronom był tu na krótko przed śmiercią, a jeżeli tak, jaki kolejny ślad zostawił? O ile tylko wszystko to, co dotychczas kierowało ich działaniami, nie było wynikiem fantazji, urojeń, gdybań, efektem za dużej ilości przeczytanych książek i obejrzanych filmów.

Myśli Horna zaczęły się zapętlać, gonić własny ogon. Czasami miał coraz większe problemy z ich opanowaniem...

– Dobrze, dobrze. Modlitwa pomaga – szepnęła z uśmiechem jakaś mijająca go staruszka.

Posłał uśmiech starowince, po czym ruszył do przodu, starając się jak najszybciej zniknąć z jej pola widzenia. Prędkość myśli, które przelatywały mu przez głowę, nie zmniejszyła się.

W domu Moniki skorzystali z internetu, zaopatrując się w kilka kartek, na których udało się wydrukować najważniejsze fakty z historii świątyni. Również z informacji i mapki, znajdujących się w przedsiönku katedry, wynikało, że jest tu epitafium Kopernika.

W latach tysiąc pięćset trzydzieści – tysiąc pięćset osiemdziesiąt trzy fara służyła protestantom, potem użytkowano ją wspólnie. Właśnie w tym okresie wewnątrz świątyni pokryto tynkiem i pobielono na protestancką modłę, przez co pod warstwą wapna zniknęły ścienne malowidła. Ale dzięki temu powstało właśnie epitafium Kopernika, fundowane przez toruńskiego lekarza nazwiskiem Pirnesius.

Trudno jednak, żeby Mikołaj Kopernik zostawił znak po swojej śmierci – tłumaczył sobie w duchu.

Ale były tu jeszcze dwa inne zabytki związane z astronomem. W kaplicy Zaśnięcia Marii Panny, zwanej właśnie Kaplicą Kopernika, znajdowała się gotycka chrzcielnica z pierwszej połowy XIV wieku, w której prawdopodobnie ochrzczono małego Mikołaja, a także rzeźbione popiersie z tysiąc siedemset sześćdziesiątego szóstego roku. To ostatnie zdecydowanie odpadało ze względu na wiek. A zatem chrzcielnica!

Kaplica Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny znajdowała się w nawie południowej kościoła. Horn znalazł ją bez trudu. Zastał przy niej zresztą pozostałych członków swojej ekipy.

– Myślimy podobnie – ocenił szybko.

– Tylko czy prawidłowo – westchnęła Monika Lauder.

Jak na komendę pochylili się nad wykonanym z brązu naczyniem, umiejscowionym na rzeźbionym postumencie. Ogromna misa miała barwę zieloną, tu i ówdzie prześwitywał kolor brązowy, zaś znajdująca się na zwieńczeniu grupa późnobarokowych rzeźb, składających się na scenę Chrztu Chrystusa, mieniła się zielenią i czerwienią.

– Gwiazdozbiór Wodnika? – rzucił Horn, patrząc na pozostałych w oczekiwaniu na pomoc. – Chrzcielnica, woda...

– Wodnik, wbrew pozorom, nie jest znakiem wody – zauważyła Monika. – Znakami wodnymi są Rak, Skorpion i Ryby.

– Ryby były w Lidzbarku – podchwycił dziennikarz. – Pamiętasz, że mieliśmy sprawdzić, co łączy Ryby i Strzelca.

Monika Lauder w odpowiedzi zasześciła kartką.

– Sprawdziłam. Znaki Zodiaku, prócz czterech żywiołów, dzielimy też na kardynalne, stałe i zmienne. Ryby i Strzelec wraz z Panną i Bliźniętami należą do znaków kardynalnych.

– Panna i Bliźnięta – powtórzył Horn, ogarniając wzrokiem chrzcielnicę.

Antropolożka westchnęła ciężko i znów spojrzała do notatek.

– Tu jest napisane, że chrzcielnica pochodzi z przełomu trzynastego i czternastego wieku, ale jej zwieńczenie wykonano prawdopodobnie dopiero w latach tysiąc siedemset dwadzieścia – tysiąc siedemset trzydzieści.

– Czyli znów pudło – ocenił milczący dotąd Gniewomir, drapiąc się po brodzie.

– Przyjrzyjmy się zatem reszcie. – Horn, przeszedł kilka kroków w stronę ściany, gdzie znajdowały się epitafium oraz popiersie astronoma.

Monika zaczęła czytać z kolejnej kartki:

– Epitafium Mikołaja Kopernika ufundowane i wykonane w latach osiemdziesiątych szesnastego wieku, odrestaurowane w roku tysiąc

siedemset trzydziestym trzecim. W zwieńczeniu epitafium znajduje się portret króla Jana Olbrachta, który zmarł w Toruniu siedemnastego czerwca tysiąc pięćset pierwszego roku. Serce króla wmurowano w ścianę międzyokienną kaplicy...

Spojrzenia wszystkich skierowały się w tymże kierunku. Wspomniane miejsce pochówku niczym szczególnym się jednak nie wyróżniało; do wyobraźni Horna bardziej przemawiała odległość w czasie tamtego wydarzenia.

– Za króla Olbrachta wyginęła szlachta – przypomniał sobie starą sentencję. – Ciekawe, co z serca mogło zostać po takim czasie.

– Pewnie tyle co soli na dnie solniczki – rzekł filozoficznie Gniewomir, po czym obaj spojrzeli pytająco na największą, przynajmniej w tym towarzystwie, specjalistkę od tematu.

– Tak się składa, że kiedyś zajmowałam się tą sprawą – powiedziała po chwili zadumy. – Król Jan Olbracht, syn Kazimierza Jagiellończyka, władca, przypomnijmy, w odróżnieniu od ojca przychylny biskupowi Łukaszowi Watzenrodemu, przyjechał do Torunia, żeby prowadzić tu rozmowy pokojowe z Krzyżakami. Pertraktacje te były jednak bardzo trudne i strony się nie dogadały. Najprawdopodobniej właśnie z powodu zbyt wielkich emocji król Jan miał wylew krwi do mózgu i został sparaliżowany. Stało się to w ratuszu staromiejskim. Mówiono jednak też, że choroba i śmierć władcy miała związek z jego rozwiązłym trybem życia.

– Ale dlaczego wyjęto mu serce? – naciskał Horn.

– Zgon Jana Olbrachta miał miejsce w czerwcu, kiedy było już gorąco. Ciało, zgodnie z tradycją, trzeba było pochować na Wawelu, na co zresztą też należało jakiś czas poczekać, bowiem zmarłego króla chował dopiero jego nowo obrany następca. Problem stanowił również transport. Zdecydowano się więc na wyjęcie wnętrzności, a wraz z nim i serca, które

miały być przechowane w Toruniu, i mumifikację ciała na miejscu. Ciało króla znajduje się w kaplicy Bożego Ciała na Wawelu, w grobowcu z czerwonego marmuru. A wnętrzności gdzieś tutaj. Włożono je do drewnianej skrzyni i wmurowano pod posadzką kościoła, w okolicach jednej z kolumn.

– Mówiłaś, że między oknami – zauważył przytomnie Gniewomir.

– Ostatnie badania wskazują, że pod ziemią. A co teraz z nich zostało? – Monika wzruszyła ramionami. – Pewnie nawet najmniejszego czerwonego pyłku.

– No, a serce Chopina? – przypomniał sobie nagle Horn. – Też nic z niego nie zostało?

– Z tego, co wiem – ciągnęła z pasją antropolożka – serce Chopina, zanurzone w spirytusie w zwyczajnym, szklanym słoiku, znajduje się dziś w kościele świętego Krzyża w Warszawie.

– Spirytus wystarczy? – zdziwił się Horn.

– Serce Tadeusza Kościuszki zanurzone jest podobno w glicerynie z dodatkiem odpowiednich ziół. Szkoda tylko, że nikt nie pomyślał, żeby zadbać bardziej o truchło Kopernika.

– I tu wracamy na właściwą ścieżkę – ucieszył się Gniewomir, po czym zatarł ręce, jakby za chwilę miał chwycić jakiś ciężar.

Gdzieś z głębi kościoła dobiegły głosy.

– Pospieszmy się – rzekł Horn. – Co wiemy o tym popiersiu?

Monika Lauder znów pochyliła się nad swoją ściągą. Po chwili wszyscy dowiedzieli się, że wykonane z dwóch rodzajów marmuru i niezbyt chyba udane popiersie Kopernika ufundował w tysiąc siedemset sześćdziesiątym szóstym roku książę Józef Jabłonowski, znany swego czasu mecenas nauk i sztuki. Niestety, z punktu widzenia poszukiwań ten element kaplicy był bezużyteczny.

Tymczasem wewnątrz kościoła świętych Janów wypełniało się gwarem i innymi odgłosami. Zbliżał się czas kolejnej mszy, a i pewnie pierwsze wycieczki chciały do jej rozpoczęcia obejrzeć pobieżnie zabytki toruńskiej katedry. Kilka osób, w tym wszędobylskich Japończyków, zdążyło już zajrzeć i do kaplicy Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny.

Horn wziął do rąk kartki, z których korzystała dotąd Monika, przyjrzał się bliżej mapce katedry i znajdującej się poniżej legendzie.

– Jak miała na imię matka Kopernika? – zapytał zniemacka.

– A jakie mamy możliwości? – zapytał Gniewomir z jak najbardziej poważną miną.

– To nie gra o milion, acan! – sapnął dziennikarz, opanowując narastającą irytację.

– Barbara – odpowiedziała Monika. – Barbara Kopernik, z domu Watzenrode.

Trzymające papier dłonie Horna zadrżały.

– Zgadza się – szepnął.

Ruszyli w poprzek kościoła, mijając pojedynczych ludzi i zorganizowane grupki turystów. Monika przez cały czas czytała z kartki.

– Kaplica świętej Barbary zwana jest też Kaplicą Bractwa Szyperskiego. Pierwsza nazwa wiąże się z późnobarokowym ołtarzem świętej. Warto zwrócić uwagę na obrazy wiszące na ścianach.

– Chrystus nauczający z łodzi – przerwał jej Horn, przekraczając próg kaplicy.

– Nie tylko. – Monika znów nerwowo zafurkotała kartkami.

Ale Horn już przypatrywał się z uwagą obrazowi.

– Coś jest w nim dziwnego – mruknął.

– Pierwszy raz widzę – przyznał Gniewomir. – Zwykle u ludzi wiszą inne obrazy z łodzią i Jezusem.

– Popatrzcie, jaką ta łódź ma banderę. – Horn wyciągnął rękę przed siebie.

– Biało-czerwoną – odpowiedziała Monika.

– Ale jakie to ma znaczenie? – Gniewomir spojrział z ukosa na Horna.

– Jeszcze nie wiem. Ale pierwi się o tym dowiecie.

Podniósł głowę, spojrział na sufit, potem pod nogi. Cofnął się o krok, a następnie pochylił. Po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech.

XLIV

Gdynia, dzień czwarty

Kapitan Andrzej Czyż zaparkował przed biurem przepustek portu wojennego na Oksywiu. Długo jednak nie wychodził z samochodu. Miał jeszcze kilka minut, żeby to zrobić, a następnie przejść przez wartownię, pokonać kilkaset metrów w stronę nabrzeża, gdzie czekał na niego ukochany ORP Hydro.

Już miał otworzyć drzwiczki auta, kiedy rozległo się stukanie w boczną szybkę. Spojrzał w bok. Obok fiata stał jakiś facet.

Jak to się stało, że Czyż nie zauważył go wcześniej? Nieważne.

– Słucham – burknął, opuściwszy okienko do połowy.

– Kapitan Andrzej Czyż? – zapytał gość, patrząc na przemian na kierowcę i ponad dachem samochodu.

– Zgadza się. O co chodzi?

– Major Krzysztof Trawiński, Służba Kontrwywiadu Wojskowego – przedstawił się mężczyzna, po czym pokazał swoją legitymację.

Kurwa mać! Jeszcze tego brakowało – zaklął w duchu Czyż.

Otworzył drzwi, wysiadł z samochodu i stanął obok tamtego.

– W czym mogę pomóc? – zapytał. – Składałem już wyjaśnienia w Żandarmerii Wojskowej. Właśnie stamtąd wracam, majorze.

W odpowiedzi oficer wskazał mu oszczędnym gestem stojącą kilka metrów dalej nieoznakowaną furgonetkę.

– Tam będzie nam lepiej. A na pewno dużo chłodniej – rzekł z uśmiechem Trawiński i zaraz dodał. – Proszę się nie denerwować, to potrwa chwilę. Zdąży pan na okręt.

Podeszli do furgonetki. Trawiński otworzył rozsuwane drzwi i obaj weszli do środka, zajmując miejsca na potrójnej kanapie. Wnętrze samochodu nie odbiegało wyglądem od tysiąca innych aut tego typu, jeżdżących po polskich drogach. I było tu, w istocie, dużo chłodniej.

Andrzej Czyż mimo to czuł się trochę nieswojo; nigdy nie miał kontaktu z wywiadem ani kontrwywiadem. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Zanim Trawiński zamknął ponownie drzwi, zapalił małą lampkę pod sufitem. Czyż w milczeniu przyglądał się tym wszystkim poczynaniom, jego cierpliwość szybko jednak się skończyła.

– Czy mógłby mi pan major w końcu wyjaśnić, o co chodzi?

Krzysztof Trawiński uśmiechnął się pojednawczo.

– Oczywiście, kapitanie. Sprawa dotyczy pana bliskiego znajomego, komandora Kellera.

– Znaleźliście go? – zapytał z nadzieją kapitan, ale tajniak pokręcił przecząco głową.

– Nie. Ale mamy nadzieję, że pan nam w tym pomoże.

– Nie wiem, jak mógłbym to zrobić. Widziałem go ostatni raz kilka dni temu.

– Tak?

– Wylądowaliśmy na jednym oddziale w szpitalu: on z podejrzeniem zawału serca, ja na rutynowych badaniach. Nie rozmawialiśmy dużo. Potem

od jego żony dowiedziałem się, że Władysław zniknął. No i ktoś włamał się do ich mieszkania we Wrzeszczu. To wszystko.

Major Trawiński przez cały czas kiwał głową jak dobry nauczyciel, wysłuchujący odpowiedzi ucznia. Czyż zresztą trochę tak się czuł: jak sztubak, chociaż nie powodowała tego różnica szarży. Poza tym nigdy nie darzył „zielonych” przesadną sympatią.

– Czy coś zginęło z mieszkania? – zapytał po chwili Trawiński.

– Żona Kellera mówi, że nie.

– Zastanawialiście się, kto to mógł zrobić?

– Tak. Nie... – Czyż przygryzł wargi.

Major westchnął głęboko i powiedział:

– Szczerość za szczerość, jak to mówią. Musi pan wiedzieć, że komandor Władysław Keller był wieloletnim pracownikiem kontrwywiadu wojskowego i posiadał... to znaczy wciąż posiada bardzo cenne informacje. Wiemy, gdzie jest w tej chwili.

Andrzej lekko uniósł się na kanapce, ale nic nie powiedział.

– Nie zdradzę chyba wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że wiemy, gdzie są wszyscy nasi byli i obecni pracownicy. Zniknięcie szyfranta z Warszawy, pamięta pan zapewne tę głośną sprawę sprzed paru lat, wymogło na nas podjęcie zdecydowanych działań, żeby zapobiec tego typu wypadkom w przyszłości.

– Rozumiem.

– Wszystkim pracownikom zostały wszczepione mikrochipy. Komandor Władysław Keller, mimo że już nie był w służbie czynnej, ale z racji swojego niegdysiejszego zakresu obowiązków, również otrzymał takie urządzenie. Dzięki sygnałowi, emitowanemu przez chip raz na czterdzieści osiem godzin, jesteśmy w stanie zrobić więcej.

Andrzej słuchał. Dopiero gdy Trawiński przerwał, nagła cisza wymogła na nim jakiś ruch. Oderwał plecy od oparcia. Kiedy ponownie je opuścił, stwierdził, że koszula jest mokra od potu.

- Co teraz? – zapytał głucho.
- Nic. Za godzinę spróbujemy tam wejść.
- Tam, czyli gdzie?
- Tam gdzie przebywa Keller.
- Mogę pojechać z wami?

Wydawało się, że major nie usłyszał pytania. Przez kilka chwil wpatrywał się tępo w cyferblat zegarka.

- Jest taka możliwość – odparł wreszcie.

Na Skwerze Kościuszki w Gdyni był ruch jak w każdy dzień wakacji. Tabuny turystów przemierzały szlak wzdłuż mariny do Oceanarium, skąd, często zniechęcone kolejką, szły dalej ku zatoce, by następnie zawrócić.

Przy nabrzeżu zacumowanych było zwykle kilka statków spacerowych, wodoloty, następnie Dar Pomorza oraz okręt-muzeum, ORP Błyskawica. Już te atrakcje plus setki stoisk z pamiątkami wystarczyły, że momentami przez kolorową i rozkrzyczaną cizbę ciężko się było precyzyjnie przemieszczać. Dla Andrzeja Czyża miejsce to miało szczególne znaczenie, albowiem właśnie tutaj umawiał się za czasów studenckich ze swoją dziewczyną, późniejszą żoną.

Dzisiaj spojrzął na Skwer Kościuszki zza przedniej szyby furgonetki, którą odjechał z Oksywia. Trwało to zaledwie kilka sekund. Pojazd zatoczył łuk i wjechał w boczną uliczkę. Po lewej stronie minęli dowództwo Marynarki Wojennej, po prawej centrum handlowe. Chwilę potem wyrósł przed nimi szary kształt wieżowca.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział cicho Trawiński, gasząc silnik.

– Nigdy tu nie byłem – przyznał Andrzej, usiłując przez przednią szybę dostrzec wierzchołek drapacza chmur.

– Ja też nie. Ale sygnał z chipa komandora Kellera pochodził właśnie stąd.

– Wiadomo, które to mieszkanie?

– Nasi wywiadowcy usiłują to ustalić.

Wyszli z furgonetki. Trawiński rozciągnął się z głośnym stęknieniem, jakby właśnie przyjechał z Katowic bez chwili postoju. Andrzej Czyż zastanawiał się, czy to może element kamuflażu, ale nie zamierzał naśladować majora. Rozpiął tylko jeszcze jeden guziczek koszulki polo, lipcowy upał stawał się bowiem coraz bardziej nieznośny.

– To jak, inżynierze? – Trawiński mrugnął okiem do kapitana. – Który apartament pan wybiera?

Czyż uśmiechnął się smutno. Niechcący został trafiony w czuły punkt. Od dawna planowali kupić z żoną coś większego, ale z tych ambitnych planów nic nie wychodziło.

– Z tego, co wiem, wybór jest wciąż duży. – Krzysztof Trawiński zapalił papierosa. – Jeśli coś wykupiono, to z zamiarem wynajmu w sezonie. Chodźmy, może coś uda nam się obejrzyć.

Drzwi do wieżowca były otwarte. Wnętrze klatki schodowej przywitało ich przyjemnym podmuchem chłodu. Przez nikogo niezatrzymywani weszli do windy. Drzwi zamknęły się, jednak major Trawiński nie naciskał żadnego przycisku.

Dźwigiem szarpnęło. Czyż nie jeździł na co dzień windą, ale bez problemu zorientował się, że jadą w dół. Po chwili drzwi na powrót się rozsunęły. Byli w garażu, niemal pustym. Rozległ się ryk silnika i zza zakrętu wyjechały z zapalonymi długimi światłami dwa wojskowe honkery.

Zatrzymały się z piskiem opon niespełna metr od stóp Trawińskiego, który najspokojniej w świecie kończył palić papierosa.

Z pierwszej z terenówek wyskoczył mężczyzna w czarnym kombinezonie, stanął na baczność i zaszalutował.

– Dajcie jakieś wdzianko dla pana kapitana – powiedział Trawiński.

– Rozkaz!

Nie odzywając się ani słowem, Czyż dał się ubrać w kamizelkę kuloodporną. Do ręki dostał beretkę.

– Uwaga, prawdziwa – rzucił niby od niechcienia dowódca grupy.

– Na co dzień używam takiej na wodę – burknął marynarz.

Ruszyli w górę: część ekipy schodami, część windą. Andrzej Czyż załapał się do tej drugiej grupy, choć pewnie i po schodach dałby sobie świetnie radę.

– Skąd właściwie podejrzenie, że... – Czyż zawiesił głos.

– Że potrzebni są specjaliści? – dokończył major Trawiński, uśmiechając się blade.

– Dokładnie. Może Władek zasiedział się po prostu u jakiejś znajomej. Albo stracił pamięć. Przecież ledwo kilka dni temu wyszedł ze szpitala! Skąd wiecie, że trzeba go...

– Odbić?

Kapitan Czyż ledwo dostrzegalnie kiwnął głową. Krzysztof Trawiński nie odpowiedział mu na ostatnie pytanie, Andrzej zaś nie naciskał. Obaj w milczeniu przyglądali się zmieniającym się cyfrom na wyświetlaczu windy. W pewnym momencie kapitan zdziwił się nawet, że budynek ma aż tyle pięter. Nie miał lęku wysokości, ale tak wysoko też nie chciałby chyba mieszkać, nawet za cenę widoków.

Wreszcie winda się zatrzymała. Wyszli na korytarz. Zeszli dwa piętra w dół, gdzie spotkali się z główną drużyną uderzeniową. Na czoło wysunął się osobnik z wielkim wybijakiem w rękach. Trawiński wskazał ruchem głowy drzwi. Wtedy Czyż po raz kolejny pomyślał o emeryturze.

XLV

190 mil morskich na północ od Rozewia, dzień czwarty

Śniła mu się wielka fala, wysoka może nawet jak dziesięcioletni wieżowiec. Szła od Ławicy Słupskiej i taką też miała szerokość, na południe, w stronę lądu. Była w kolorze stali, tu i ówdzie pojawiały się zielone przebarwienia i pęknięcia białej piany. Napotkany po drodze prom do Nynäshamn zniknął pod jej ramieniem niczym plastikowa zabawka i już się nie wynurzył. Im bliżej lądu, tym góra wody była coraz większa. Ujrzał ludzi na plaży, patrzących w stronę morza, niektórzy z nich zaczęli uciekać, większość jednak stała jak zaczarowana...

Obudził go huk. Kolejnym uczuciem, którego doznał chwilę po otwarciu oczu, było przerażenie. Otwierał je bowiem szeroko, z całych sił, a i tak nic nie widział. Nawet nikłego zarysu czegokolwiek, co można przecież dostrzec nawet w nocy.

Umarłem – to była pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, a raczej mocno chwyciła go za gardło i ścisnęła. Druga okazała się zresztą jeszcze gorsza: pochowano go żywcem!

Władysław Keller leżał w jakiejś skrzyni, wyprostowany i nie dość, że nic nie widział, to jeszcze nie mógł się ruszyć.

Na ile wystarczy mi powietrza? – myślał gorączkowo. Kiedyś zastanawiał się nawet nad tym, co by czuł, gdyby znalazł się w takiej

sytuacji. Szybko jednak odganiał samą myśl o takiej historii, zbyt była przerażająca...

Na szczęście powietrza było dość, co jednak nie było w stanie odpędzić czarnych myśli – i to nie tylko dlatego, że ręce miał skute kajdankami i w dodatku unieruchomione przez niskie wieko skrzyni.

Keller usiłował sobie przypomnieć, co było wcześniej, zanim zapadł się w tę ciemną rozpadlinę. Wieżowiec. Tam go trzymali, przykutego do kaloryfera. Ktoś dzwonił do drzwi, ktoś je otworzył. Po chwili Henryk stanął w progu pokoju, w którym uwięziony był komandor.

„Namyśliłeś się?” – zapytał. „Zapomnij!” – brzmiała odpowiedź. „To twoja ostatnia szansa”. „Powiedziałem”. „Twój wybór”.

Wtedy młodszy z braci Kellerów cofnął się pół kroku, stając w przedpokoju. Chwilę potem rozległ się tupot kilku par nóg i do pokoiku wbiegło dwóch mężczyzn w kominiarkach na twarzach. Jeden z nich nie zatrzymując się, walnął pięścią w twarz więźnia. Keller upadł, uderzając tyłem głowy o parapet. Cały obraz zawirował mu przed oczami i stracił ostre kontury. Z nosa trysnęła krew.

Chwilę później drugi z zamaskowanych pochylił się nad leżącym. Keller pamiętał strzykawkę w jego dłoniach, pstryknięcie paznokciem w szkielecko i płyn tryskający z igły na chwilę przed wbiciem jej w ciało. Nie czuł ukłucia. Tracił świadomość. W ostatniej chwili świadomości zdążył jeszcze pomyśleć o Mirce, ukochanej córce Oli i psie Kajzerze.

Obudził się dopiero teraz. Bolała go głowa, czuł suchość w ustach. Całe ciało zaczynało drętwieć. Nie wiedział, ile czasu minęło ani tym bardziej, co będzie dalej. Leżał więc bez ruchu, a myśli niemal gotowały mu się w głowie.

W pewnym momencie poczuł coś dziwnego, a raczej dziwnie znajomego. Nie, chyba do końca życia będzie potrafił rozpoznać to uczucie

– tym razem fizyczne, wyjątkowe, niepodobne do niczego innego. Było to kołysanie, specyficzne i niepowtarzalne. Kołysanie morza! Uświadomiwszy to sobie, struchlał znów. Nie zakopią go żywcem, tylko... utopia!

Sytuacja, w której się znalazł, przywołała dwa wspomnienia, wcale nie odległe, jeśli patrzeć na całość życia w chwili jego rychłego zakończenia. Pierwsze: płynął kiedyś batyskafem. Mieli sprawdzić, co mogą kryć wraki zatopionych pod koniec wojny niemieckich okrętów wojennych. Przeżycie było ogromne, choć stres nie mniejszy. No ale przede wszystkim była pewność, że ktoś ich wyciągnie w tej głębi.

Drugie wspomnienie Kellera wiązało się z lekturą książki *Hrabia Monte Christo*, a dokładnie fragmentu, kiedy bohaterowi udaje się wydostać z worka wrzuconego do wody, a tym samym uciec z więzienia. Cholera wie, czemu akurat te dwa obrazy stanęły mu teraz przed oczami. Nie był przecież nigdy przesadnie sentymentalny.

Nigdy też nie zdarzyło się, żeby ujrzał coś, co dopiero się zdarzy...

XLVI

Gdańsk, dzień czwarty

Komisarz Artur Matejuk spojrział na zegarek. Dochodziła trzecia po południu.

Jeszcze tylko przeżyć jakoś czwartek – pomyślał. Potem zobaczy swoją rodzinę: żonę i syna. Będę mieli dla siebie cały piątek, no i weekend. Pewnie pojeżdżą na rowerach, może odwiedzą teściów na działce. Żeby tylko była dobra pogoda. A znów będzie musiał wsiąść w samochód i wracać do Gdańska. Ale czy nie o tym zawsze marzył?

Właśnie mijał pierwszy miesiąc służby w pomorskiej komendzie wojewódzkiej, dokąd komisarz Artur Matejuk został przeniesiony z komendy powiatowej w Kwidzynie, jako to określono w rozkazie, w uznaniu zasług i celem zdobycia nowych umiejętności i wiedzy. Na owe zasługi złożyły się sukcesy w tropieniu przestępczości, świetne wyniki na strzelnicy, zaliczony kurs w Szczytnie, a także niewątpliwie rozwiązanie sprawy serii morderstw księży, którą Matejuk zajmował się przed rokiem. Broniąc jednej z ofiar, został wtedy nawet postrzelony.

Teraz jednak z każdą godzinę myślał mniej o pracy i odliczał godziny do wyjazdu. W internacie, gdzie pomieszkiwał w małym pokoiku bez łazienki, czekała już spakowana torba. Byle tylko nic się nie wydarzyło dziś i jutro. Matejuk miał nadzieję, że za sprawę serii kradzieży na gdańskiej

Starówce i tego, co ową serię zakończyło, będzie można zabrać się spokojnie dopiero w poniedziałek.

A mieli z tym nie lada problem. Kilkanaście zgłoszeń w ciągu paru dni. Schemat za każdym razem ten sam – ktoś okradał turystów zwiedzających kościół Najświętszej Marii Panny w Gdańsku. Najczęściej do zdarzeń dochodziło na wieży i na schodach prowadzących na jej szczyt.

Ale dwa dni temu wszystko się zmieniło. Jeden z okradanych turystów zareagował w czas, ale i nerwowo. Doszło do szamotaniny ze złodziejem, w wyniku czego turysta spadł w kilkunastometrową przepaść. Zginął na miejscu. Na szczęście sprawca został zatrzymany. Mieli go teraz na dołku, czekali, aż zmięknie...

Szarpięcie za klamkę drzwi wyrwało Matejuka z zamyślenia. Drzwi się otworzyły i do gabinetu, w którym komisarz siedział ze swoim przełożonym, nadkomisarzem Zawiszą (nie odzywali się do siebie od dłuższego czasu, choć nie było to wynikiem żadnego nieporozumienia), wszedł, a właściwie wtoczył się policjant. Był spocony; czarne plamy odznaczały się na błękitnej koszuli.

Brakuje mu pejcza w rękach – przeszło przez myśl komisarzowi.

– Pękł – rzucił przybyły, po czym zniknął za drzwiami tak szybko, jak się pojawił.

– Co robimy? – zapytał Matejuk Zawiszę, na co szef dochodzeniówki skinął głową, po czym podniósł słuchawkę telefonu i po chwili powiedział do niej jedno zdanie:

– Panie prokuratorze. Tak, możemy zaczynać.

Komisarz Artur Matejuk nie potrafił wyjść z podziwu dla działań gdańskich służb: najpierw policji, potem prokuratury.

Ciekawe, czy drogi też tak szybko zimą odśnieżają – przeszło mu przez myśl. Można było jednak sobie kpić, śmiać się i gdybać, ale jedno było pewne: pierwsza wizja lokalna miała odbyć się również błyskawicznie, bo jeszcze dzisiaj. Dokładnie za dwie godziny.

Matejuk prędko połknął obiad w policyjnym kasynie, po czym, popijając jeszcze kompot z plastikowego kubeczka, stawiał się na miejsce zbiórki. Orszak miał wyruszyć spod komendy na Okopowej o godzinie czternastej trzydzieści. I stało się tak niemal co do sekundy. Nadkomisarz Zawisza nie krył swojego zadowolenia, wsiadając do służbowego volkswagena.

Nie jechali długo. Przed kościołem Najświętszej Marii Panny zauważyli zdezorientowanych turystów, których najpewniej wyproszono przed chwilą z kościoła. Widząc taki obrazek, Zawisza zaklął pod nosem, szarpnął klamkę drzwiczek i wyskoczył z auta.

– Mówiłem, żeby nie robić zbiegowiska! – zaatakował pierwszego z brzegu mundurowego, który coś tłumaczył, gestykulując i wskazując na główny portal kościoła.

Nadkomisarz Zawisza udał się w tamtym kierunku. Po chwili turyści mogli wejść do środka świątyni.

– Umawiaj się z patałachami – sapnął, wróciwszy do samochodu.

Matejuk był zdezorientowany.

– Ludzie będą tak normalnie patrzeć na naszą wizję? – zapytał.

– Wyłączyłem tylko wieżę, do której i tak dostaniemy się od tyłu – wyjaśnił półgębkiem Zawisza. – Mam nadzieję, że wszyscy zdążyli z niej zejść.

– A jeśli nie, to co? Zeskoczą?!

Wreszcie ruszyli wzdłuż muru kościoła w stronę zakrystii. Po chwili weszli do środka. Przywitał ich chłód i charakterystyczny zapach kadzidła.

Główny bohater wydarzenia, czyli złodziej, który stał się zabójcą, był już na miejscu. Był to młody chłopak, może dwudziestoletni, chudy, ostrzyżony na pałę, z pryszczami na twarzy. Właśnie rozkuwał go jeden z mundurowych.

– Witam państwa! – zawołał wesoło jakiś facet z teczką i o wyglądzie akwizytora perfum.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – przywitał się z równą serdecznością nadkomisarz Zawisza. – Jak pan widzi, jesteśmy gotowi.

XLVII

190 mil morskich na północ od Rozewia, dzień czwarty

Frachtowiec See Atlantic pod maltańską banderą płynął po Bałtyku daleko od granicy polskich wód terytorialnych. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie: nowoczesne dźwigi żółtego koloru, umiejscowione na lewej burcie statku – znak rozpoznawczy jednostki, stały na swoim miejscu, a po pokładzie krzątała się załoga.

Ktoś, kto zna się na rzeczy i kto dokładniej przyjrzałby się jednostce, stwierdziłby jednak kilka rzeczy, co najmniej zastawiających: przede wszystkim statek płynął bardzo wolno. Nie działał też radar, a załoga ubrana była w jednakowe stroje – i nie były to kombinezony powszechnie używane na tego typu statkach. I jeszcze jedno: wszystkich tych obserwacji można było dokonać tylko za dnia, bowiem nocą na porwanym frachtowcu nie świeciło się prawie żadne światło.

– Coś nowego? – zapytał potężny mężczyzna, wkraczając pewnym krokiem na mostek kapitański.

– Nic – odpowiedział mu człowiek, stojący nad pulpitem sterowniczym; żaden z nich nie mógł być kapitanem jednostki, bowiem kapitanowie nie noszą automatów Kalasznikowa przewieszonych przez plecy.

– Za chwilę przyplynie stary – powiedział wielkolud i dodał, krzywiąc się na widok bałaganu, którego wciąż nie sprzątnięto po abordażu: – Ogarnij tu jakoś.

– Tak jest!

W istocie, do prawej burty frachtowca zbliżała się niewielka motorówka. Na jej pokładzie znajdowało się trzech mężczyzn. Jednym z nich był Henryk Keller.

Po kilku chwilach jednostka dobiła do burty frachtowca. Jeden z dźwigów poruszył ramieniem. Kwadrans później wciągał powoli na górę drewnianą, podłużną skrzynię przypominającą kształtem trumnę.

– To nasza przepustka, Konradzie – rzekł po niemiecku Keller do potężnego kompana, nie spuszczać wzroku z towaru na końcu haka.

– Znalazłeś szkatułę? – zapytał mężczyzna nazwany Konradem.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że jesteśmy blisko.

– Nic nie powiedział?

– Nie. To twarda sztuka. Szkolili go.

– W KGB?

– Coś w tym rodzaju. W WSMW.

– Gdzie?!

– Szkoda łamać język.

Tymczasem skrzynia dotknęła szczęśliwie pokładu. Kilka cieni ludzkich zaczęło się przy niej krzątać: odpięto hak, oddano linę, ramię dźwigu wróciło na poprzednie miejsce, skrzynia zaś zniknęła pod pokładem.

– Ile mamy czasu, zanim nas znajdą? – zapytał Keller.

– Dobę, może dwie.

– Mało.

– Franz i Uve są w tej chwili w Thorn i nie spuszczać oka z tej parki.

– To dobrze. Ten wariat Rosłoń miał jednak łeb na karku. Szkoda, że musiałeś go zabić.

Konrad odchrząknął.

– W każdym razie mamy dwie drogi. Jedna z nich musi zaprowadzić nas do celu – powiedział Henryk Keller, patrząc w dal.

XLVIII

Gdańsk, dzień czwarty

Komisarz Artur Matejuk nigdy nie widział takiego początku wizji lokalnej. Dałby głowę, że za chwilę ten uśmiechnięty od ucha do ucha bubek w garniturze otworzy swój tajemniczy neseser i z uroczystą miną prestidigitatora wyciągnie zeń flakoniki, na które momentalnie rzucą się ukryte gdzieś dotąd baby. Albo zacznie zachwalać swój towar do kamery, bo i operator z komendy wojewódzkiej znalazł się w tym zacnym towarzystwie. Tak jak adwokat z urzędu, starszy, spocony jegomość w okularach w grubej oprawie i ksiądz, który dołączył nie wiadomo skąd i najpewniej miał pełnić honory – nagich przyodziać, chorych i więźniów nawiedzać? – gospodarza.

– Rozumiem, że możemy zaczynać naszą wizję lokalną. – Prokurator-młokos wyszczerzył zęby i potoczył wzrokiem po całej reszcie.

Przedziwny i smutny, mimo zapału i permanentnego uśmiechu prokuratora, korowód z księdzem na czele, niczym pochód zmierzający wprost na miejsce kaźni, maszerował kazamatami, piął się w górę po wąskich i krętych schodach, co dalece utrudniało eskortowanie zatrzymanego.

– Rekonstrukcję bazyliki Najświętszej Marii Panny ukończono w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, natomiast wysokie hełmy narożnych wieżyczek odtworzono dopiero na początku lat

siedemdziesiątych – posłyszeli w pewnej chwili głos, najpewniej przewodnika, który jakimiś drogami przedostawał się tu z wnętrza świątyni.

Po kilku minutach znaleźli się w podstawie kościelnej wieży. Przez wąskie drzwi znów musieli przeciskać się pojedynczo, wreszcie wszyscy stanęli u podnóża schodów. Zapaliła się czerwona dioda w kamerze, wycelowanej w główne osoby dramatu.

Prokurator zaszurał nogami, wykonał szybką gimnastykę twarzy.

A jednak gwiazdor zasrany! – pomyślał Matejuk.

Wreszcie prokurator odchrząknął, sprawdził coś jeszcze w swoich notatkach i oficjalnym tonem zwrócił się do aresztowanego.

– Czy poznaje pan to miejsce?

Mężczyzna skinął głową.

– Proszę odpowiadać na głos – upomniał go inspektor.

– Tak, poznaję to miejsce – odpowiedział.

– Czy był tu pan trzydziestego lipca bieżącego roku? – zapytał znów prokurator.

– Tak.

– Gdzie dokładnie doszło do zdarzenia?

– Tam. – Złodziej uniósł wzrok. – Wyżej.

Na dany przez nie wiadomo kogo znak procesja ruszyła znów, tym razem schodami ku górze. Matejuk dopiero teraz zauważył manekina z brązowej skóry, którego niósł jeden z funkcjonariuszy. Przez wąskie gotyckie okna w murze wieży dochodził huk miasta i gruchanie gołębi.

W pewnym momencie Matejuk usłyszał wyraźnie czyjeś głosy, wśród nich głos kobiety. Czyżby nie oczyścili wieży z turystów? – pomyślał.

Kolumna się zatrzymała.

– Czy to tutaj? – zapytał prokurator.

– Tak – odpowiedział podejrzany.

Do rozmawiających zbliżył się policjant z manekinem. Nie wiedząc dokładnie, co dalej z nim począć, po prostu postawił go obok podejrzanego, opartego plecami o balustradę. Chłopak zaczął opowiadać, jak okradł turystę.

– W zeznaniu powiedział pan, że zaatakował pana, tak? – kontynuował śledczy.

– Zgadza się.

– A pan się bronił?

– Bronilem się.

– Proszę pokazać, jak się pan bronił.

Złodziej wyciągnął przed siebie ręce, trochę niezdarnie dotknął rąk, a potem ramion manekina. Matejuk musiał się szybko opanować, żeby nie parsknąć śmiechem. Wyglądało to bowiem komicznie, no i z pewnością nie było w stanie odzwierciedlić całej sytuacji, a już na pewno jej dramatyzmu. Po chwili manekin przechylił się przez balustradę i runął w dół. Rejestrujący cały czas przebieg zdarzeń kamerzysta aż wystawił język z emocji. Posterunkowy, który zapewne pobrał kukłę z magazynu za pokwitowaniem, od razu ruszył jej śladem.

Wtedy Matejuk po raz kolejny usłyszał głosy. Wspiął się kilka kroków i znalazł się na półpiętrze. W murze znajdowały się drzwi. Były uchylone. Ktoś za nimi był.

Głosy musiał usłyszeć również nadkomisarz Zawisza.

– Cholera, wiedziałem, że nie wszyscy zeszli z tej wieży! – zawołał ze złością, gromiąc wzrokiem wszystkich dookoła, choć nikt z obecnych nie mógł być odpowiedzialny za uchybienie.

Minął Matejuka, podszedł do drzwi i szarpnął za zardzewiałą klamkę. Skrzydło uchyliło się z jękiem, ukazując ciemne wnętrze. Wszystkie

poczynania oficera bacznie obserwowali uczestnicy wizji lokalnej. „Trup”
wszak już nie żył...

– Jest tam kto? – zawołał Zawisza.

Cisza. Matejuk podszedł i otworzył szerzej drzwi. W tym samym
momencie wewnątrz pomieszczenia, które równie dobrze mogło być tylko
niszą, jak i jakimś lochem, dał się odczuć ruch. Kilka sekund później na
ciemnym tle można było dostrzec zarys ludzkiej postaci.

– Co się dzieje? – zapytał czyjś głos.

– To ja chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje! – warknął Zawisza. –
Policja.

Na progu zatrzymał się młody mężczyzna. Na jego widok komisarz
Artur Matejuk mało nie usiadł z wrażenia.

– Tomek? – wykrztusił. – Tomasz Horn?

– Artur Matejuk? Co tu robisz?

Uścisnęli sobie dłonie. Za Hornem pojawiły się jeszcze dwie osoby:
mężczyzna i kobieta trzymająca w rękach jakąś zakurzoną szkatułkę.

– Co państwo tu robią? – wtrącił się milczący dotąd prokurator. – Tu nie
wolno przebywać.

– Dlaczego? – zainteresował się Horn.

– Przeprowadzamy wizję lokalną – odpowiedział w zastępstwie
prokuratora Zawisza.

– Nic nie wiedzieliśmy. – Dziennikarz rozłożył szeroko ramiona.

Uśmiechnął się przepaszająco i już razem z Moniką Lauder
i Gniewomirem mieli precyzyjnie się przemieścić przez ciżbę i ruszyć w dół po
schodach, kiedy nagle prokurator zmarszczył brwi i zwrócił się do
komisarza Matejuka.

– Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć nazwisko tego pana?

Artur udał jednak, że nie słyszy polecenia. Wtedy stało się coś dziwnego.

– Stój! – rozległ się krzyk z dwóch gardeł.

Tomasz Horn zatrzymał się. Spojrzał w dół i przygryzł wargę. Kilkanaście metrów przed nim, u podnóża schodów, nieznany mężczyzna obejmował ramieniem młodego policjanta, tego od wyrzuconego manekina, w drugiej ręce trzymał zaś pistolet skierowany lufą w skroń mundurowego. Stojący z tyłu prokurator celował w Horna, ale tylko wskazującym palcem. Czy nie widział, co dzieje się na dole?

– Wszyscy ręce do góry! – Wyżej pojawił się drugi mężczyzna z kałasznikowem w rękach. – No, już. Raz, raz! – ponaglił, wykonując kilka ruchów automatem.

Prokurator, obrońca, ksiądz, dwóch posterunkowych, nadkomisarz Zawisza, a także troje nieoczekiwanych gości zza tajemniczych drzwi – wszyscy posłusznie wykonali polecenie.

Artur Matejuk zdjął bardzo powoli dłoń z kabury i również uniósł obie ręce na wysokość uszu. Miał służbową „klamkę”, ale co z tego? Wystarczyła chwila, aby ocenić sytuację, a raczej stopień jej beznadziejności: automatem nie posługiwał się byle kto. Było wiadomo, że jeśli już ktoś ma w rękach taką właśnie broń, to wie doskonale, jak jej użyć.

– O co chodzi? – zapytał zmienionym nieco głosem nadkomisarz Zawisza.

– Rączki, rączki – ponaglił go w odpowiedzi gość z automatem i natychmiast został wysłuchany. Zawisza podniósł ręce jeszcze wyżej.

– Chcą go odbić? – zapytał prokurator szeptem Matejuka, wskazując ruchem głowy na złodzieja, choć ten też, jak wszyscy, ręce miał uniesione.

Zaległa cisza, jeśli nie liczyć gruchania gołębi. Chwila taka dla ludzi pozostających w dość niekomfortowej sytuacji jest zawsze wiecznością.

Przerwał ją dopiero Horn.

– Czego chcecie? – zapytał.

– Dobrze wiesz, o co nam chodzi – odpowiedział ten z dołu, poprawiając jednocześnie chwyt, którym unieruchamiał policjanta; było to zresztą całkowicie zbyteczne, gdyż chłopak był sztywny ze strachu.

Horn przeniósł wzrok na Monikę Lauder. Ta dała mu znak powolnym opuszczeniem powiek. Niewielkich rozmiarów szkatułkę, którą przed chwilą trzymała w rękach, ukryła za plecami.

– Dawaj natychmiast szkatułkę Rosłonia albo go rozwalę! – ryknął znów bandyta.

– Policjanta na służbie?

– Nie żartuję!

Ostatnie zdania złowróżbne echo poniosło w górę klatki schodowej wieży kościoła Najświętszej Marii Panny. Dźwięk ów był jednak niczym w porównaniu z hukem wystrzału, który rozległ się po krótkiej chwili. Zdawało się, że jakaś siła szarpnęła gwałtownie całym powietrzem nagromadzonym w budowli.

Ktoś krzyknął. Skądś posypał się czerwony ceglany pył. Stuknął o podłogę wypuszczony z rąk pistolet. Oto bandyta, który sterroryzował policjanta u podnóża schodów, osuwał się na ziemię, uwalniając stopniowo uścisk. Kilka metrów za nim, niemal na progu drzwi, stał drugi z mundurowych z glockiem w wyciągniętych rękach.

Wydawało się, że padający bandyta nic już nie robi. Musiał być jednak zawodowcem, bo w nienaturalnej pozycji udało mu się jeszcze nacisnąć spust. Rozległ się drugi strzał. Gniewomir chwycił się oburącz za brzuch.

– To moja wina, zmusili mnie... – jęknął, zanim upadł.

Koniec – zdążył pomyśleć Matejuk, rzucając się, tam gdzie stał, na ziemię w oczekiwaniu rozpylonej szeroko serii z kałasznikowa.

Ta jednak nie nastąpiła. Kątem oka dostrzegł, jak napastnik z automatem, który miał wystrzelić i zadać śmiertelne rany wszystkim lub większości obecnych, przechyła się przez barierkę i leci w dół, na dno okolonej schodami studni, śladem manekina. Na pokrytej pryszczami twarzy złodzieja, bo to właśnie on jeszcze raz pokazał, co zrobił kilkanaście dni wcześniej, nie malowały się żadne emocje. Wszystko odbyło się w ciągu paru sekund.

– Trzymajcie go! – ryknął prokurator, jakby nagle wyrwany z głębokiego snu.

Kilka par rąk wyciągnęło się ku chłopakowi. Ten nawet się nie bronił.

– Jego też. – Palec śledczego tym razem został wycelowany w Horna.

– Za co?! – zapytał Matejuk, podnosząc się z ziemi.

– Ten człowiek jest poszukiwany za morderstwo...

XLIX

192 mile morskie na północ od Rozewia, dzień czwarty

- Otwórzmy tę skrzynię – powiedział kapitan Marciulionis.
- Nie wiadomo, co to może być – jęknął ktoś.
- A jak jedzenie? – przyszedł w sukurs przełożonemu ktoś inny.
- Otwierać! – zarządził kapitan.

Szybko uporali się z zamkiem, unieśli wieko.

- *Donnerwetter!* – zaklął w ojczystym języku Helmut Pilenz.

Kiedy otwiera się wieko trumny, a w środku jest żywy człowiek, umieszczony tam dla kawału lub nauczki, z reguły zgina on gwałtownie tułów, głośno i gwałtownie łapie powietrze. No i jest cały siny. Ze strachu. Tak to wygląda zwykle w głupich komediach sensacyjnych. Władysław Keller, kiedy otwarto skrzynię, w której leżał, był tylko spocony.

Usiadł. Ze strachem potoczył wzrokiem po ładowni i po ludziach, których zobaczył. Oni przyglądali mu się zresztą z nie mniejszą obawą. Długo zastanawiali się też, czy w ogóle ruszać skrzynię, którą piraci wrzucili do ładowni. Był środek dnia, ale część z uwięzionej pod pokładem załogi frachtowca najzwyczajniej w świecie spała, leżąc pokotem na podłodze.

Widok starszego mężczyzny uwięzionego w skrzyni z jednej strony wcale ich nie zdziwił: ot, kolejny zakładnik. Z drugiej strony chyba

naprawdę mieli nadzieję, że w pudle uda im się znaleźć coś więcej do jedzenia. Niemal cały suchy prowiant, którym im łaskawie wrzucono do celi, został już wykorzystany.

– Kim pan jest? – zapytał po angielsku Marciulionis.

– Nazywam się Władysław Keller – przedstawił się komandor, ogarniając wzrokiem pociemniałe od zarostu i świecące potem twarze, białka oczu łyskające czujnie w półmroku; wiedział, że to nie mogą być wrogowie.

– Polak?

– Tak. Emerytowany oficer Marynarki Wojennej.

Żałoganci See Atlantic popatrzyli na siebie. Nikt się nie odezwał.

– Gdzie ja jestem? – zapytał po chwili.

– Na pełnym morzu, ale nie wiemy dokładnie gdzie. Może nawet gdzieś koło Afryki – odpowiedział mu Litwin. – Zostaliśmy zaatakowani kilka dni temu, nocą, kiedy płynęliśmy z Kłajpedy. Wtargnęli na pokład, przejęli stery, zniszczyli radio. Najgorsze jest to, że nie wiemy, o co im chodzi.

Keller potarł ręką czoło.

– Tak, coś słyszałem w radiu i telewizji – powiedział. – Nie spodziewałem się tylko, że ja sam... – Popatrzył na Marciulionisa. Nie, chyba nie o wszystkim można było jeszcze powiedzieć – pomyślał.

Po chwili zmarszczył czoło i zapytał:

– O jakiej Afryce pan mówi?

– O Zachodniej – uściślił kapitan. – Minęło tyle czasu od porwania, więc mogliśmy spokojnie dopłynąć już do wybrzeży Gwinei.

Keller, mimo grozy sytuacji, roześmiał się.

– Ale ja jeszcze godzinę temu byłem w Gdyni!

Członkowie załogi porwanego frachtowca zaczęli na powrót kłaść się spać, choć przecież nie czekała ich żadna praca. Nikt z nich nie wiedział, co ich czeka. Z początku nie przestawali gdybać, po kilku dniach odechciało im się i tego.

Mimo że w ładowni coraz gęściej i głośniej zaczynano chrapać, Władysław Keller i kapitan Marciulionis wciąż rozmawiali. Komandor czuł przez skórę, że temu człowiekowi może powiedzieć więcej.

L

Gdańsk, dzień czwarty

Miasto nad Motławą spowijał blask zniżającego się ku zachodniemu horyzontowi lipcowego słońca, kiedy Artur Matejuk po raz kolejny tego dnia przekroczył próg komendy przy Okopowej. Na bardzo późne popołudnie zwołano bowiem jeszcze jedną, nadzwyczajną odprawę.

Musiało upłynąć kilka minut, nim wszyscy, którzy obecni byli wtedy w wieży, zdolali ochłonąć. Kim byli napastnicy i czego chcieli? Jaką rolę w tej całej historii odgrywał warszawski dziennikarz Tomasz Horn, zatrzymany dzięki przytomności umysłu prokuratora, mającego dobrą pamięć do nazwisk.

Matejuk nie chciał wierzyć w to, o co podejrzewano Horna, dlatego zaraz po powrocie do komendy poprosił o udostępnienie dokumentów. Musiał trochę poczekać, aż z komendy wojewódzkiej w Olsztynie, bo to pod nią podlegał Frombork, nadeślą faks.

Komisarz wczytywał się w rozmyte litery i powietrze schodziło z niego niczym z materaca. Niestety, wszystko się zgadzało: oskarżony o zabójstwo niejakiego Ludwika Rosłonia Tomasz Horn wczoraj uciekł z posterunku policji we Fromborku. Fakty świadczyły przeciwko niemu.

– Znasz go? – zapytał Zawisza.

– Owszem. I nigdy nie podejrzewałbym go o coś takiego – westchnął Matejuk.

– Cholera wie, co w nas tak naprawdę drzemie.

On też po strzelaninie na wieży najwyraźniej nie potrafił się pozbierać.

Tyle lat pracy za biurkiem, a tu nagle ktoś celuje do ciebie z kałacha – pomyślał o nim Artur, zresztą nie bez złośliwości.

Około piątej po południu Artur Matejuk wpadł na chwilę do swojego pokoju w internacie. Pogrzebał w torbie, po czym usiadł na łóżku i zapatrzył się w okno, gdzie zieleniały posadzone w równych odstępach topole. Przypomniawszy sobie, że miał zadzwonić do żony i znów tego nie zrobił. Wykorzystam do tego jeszcze jedną wizytę na Okopowej – postanowił.

Dzwony gdańskich kościołów biły, wzywając wiernych na wieczorną mszę, kiedy Matejuk opuszczał internat. Kwadrans później wszedł do gabinetu. Zastał tam kilku oficerów i nerwową atmosferę.

– Co się dzieje? – zapytał pierwszego z brzegu funkcjonariusza.

– Kilka minut temu mieliśmy telefon – odpowiedział tamten. – Ktoś ostrzegł, że równo za trzy doby w centrum Gdańska wybuchną bomby.

– Pewnie jakiś żart,

– Nie wiem. Stary dmucha na zimne, tym bardziej że zaczyna się Jarmark Dominikański.

Było już ciemno, kiedy Matejuk wyszedł z komendy i skierował się w stronę internatu. Idąc chodnikiem, w pewnym momencie usłyszał za plecami swoje imię. Drgnął. Ręka odruchowo powędrowała do pasa. Zatrzymał się i powoli obejrzał przez ramię. Z półmroku wyłoniła się dziewczyna o jasnych, kręconych włosach. Skądś znał jej twarz.

– Dobry wieczór – przywitała się. – Pan Artur Matejuk?

– Tak.

– Nazywam się Monika Lauder, jestem antropologiem. Widzieliśmy się dziś w kościele na Głównym Mieście, no, wie pan...

Komisarz skinął głową i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Tak, pamiętam. W czym mogę pani pomóc? – zapytał.

W milczeniu zmierzyła go wzrokiem, jakby jeszcze się zastanawiała, czy temu człowiekowi można zaufać.

– Tomasz powiedział, to znaczy zdążył mi powiedzieć, że tylko pan może nam pomóc – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Matejuk westchnął głęboko.

– Owszem, widziałem dokumenty dotyczącego jego sprawy, ale obawiam się, że...

– Słyszałam, że razem pracowaliście rok temu – przerwała mu.

– To prawda.

– I udało wam się rozwiązać bardzo trudną sprawę.

– Do czego pani zmierza? – Matejuk spojrzał przed siebie ponad ramieniem Moniki Lauder; był zmęczony, zły i głodny.

– Od kilkudziesięciu godzin jesteśmy w drodze. Zrobiliśmy prawie tysiąc kilometrów, szukając kolejnych wskazówek. Ludzie, którzy na nas napadli w kościele Najświętszej Marii Panny, już dwa razy próbowali nas zabić. Dzisiaj przed południem włamali się do mojego mieszkania w Toruniu i zdemolowali je. Przez cały czas szukali szkatułki, w której Ludwik Rosłoń, do którego śmierci rzekomo przyczynił się Tomasz Horn, trzymał ważne notatki, kopie dokumentów i zdjęcia.

– Ci bandyci nie zrobią już nikomu krzywdy.

– To prawda. Tylko że oni najprawdopodobniej byli jedynie narzędziem w czyichś rękach. Ten ktoś jest wciąż bardzo groźny. I jeszcze nie wie, że

nasze poszukiwania zakończyły się dzisiaj sukcesem. – To powiedziawszy, dziewczyna uniosła wyżej niewielką, czarną szkatułkę.

– Co to jest? – zapytał komisarz.

W odpowiedzi Monika Lauder otworzyła wieczko i wyciągnęła średniej grubości, oprawiony w czarny, bardzo zniszczony półskórek i zakurzony brulion. Artur Matejuk wziął go do rąk, ostrożnie otworzył. Napis na pierwszej stronie głosił:

DIARIUSZ JANA KELLERA (1939–1945)

12 marca 1939 roku

Ja, Jan Keller, oświadczam, iż pozostając zdrowy na ciele (póki co, bo na ulicach, w karczmach i dworcach kolejowych nie widzisz innej barwy niż brunatna i innego języka nie posłyszysz niż niemiecki, bełkotliwy i pełen przekleństw!) i umyśle, władając w pełni wszystkimi swoimi zmysłami, zaczynam pisać ten dziennik. Do kroku tego zmuszają mnie pewne okoliczności i niezwykle zdarzenia, których szczegóły, jak na razie, ujawnić jestem w stanie tylko temu papierowi. Choć i przed tym się bronię.

Dziś wczesnym rankiem obudziło mnie bicie. Na szczęście było to tylko bicie werbli. Ulicami Wrzeszcza, gdzie mieszkam, szła kolumna bojówkarzy z SA i młodzieży z Hitlerjugend. Dziwne to, że tak wcześnie są w stanie wstać ci pierwsi, wszak do późnych godzin siedzą w szynku. Bynajmniej nie o wodzie Vichy.

Zastanawiam się, czy szykuje się kolejna awantura. Oby nie. Po wydarzeniach z listopada ubiegłego roku, zwanych Nocą Kryształową, nic już nie dziwi. W jedną noc zapłonęły synagogi, w tym i ta niewielka, wrzeszczańska, przy Mirchauerweg, zwana Nową Synagogą, gdzie sprofanowano urządzenia i szaty rytualne. Rozbijano w drobny mak witryny żydowskich sklepów, plądrowano je i niszczo, wybijano szyby w domach. Bito Żydów, a na murach wypisywano antysemityczne napisy, choć przecież już nie musiano tego robić, bo słowa zastąpił czyn.

Podczas gdy zgraje podpitych i agresywnych SA-mannów robiły swoje, reszta ludności miasta przypatrywała się temu, jak ogląda się film w kinematografie: czasem z zainteresowaniem i śmiechem, jeśli to komedia, czasem z obojętnością, jeśli nudna. Podpalanie po raz kolejny tej samej synagogi w Zoppot, która jakoś palić się nie chciała, mogło naprawdę znużyć obserwatorów...

Ubrałem się szybko, znalazłszy szczęśliwie ostatni czysty kołnierzyk, wyczyściłem buty, po czym zjadłem śniadanie i jak zwykle udałem się na tramwaj, który zawiózł mnie na dworzec główny. Pociąg do Elbląga, przez Tczew i Malbork, stał już gotowy do odjazdu.

Elbing, Dirtschau, Marienburg – takie nazwy widniały co prawda na tablicy, przytwierdzonej na burcie wagonu, ale my, Polacy, o czym cicho-
sza, wiedzieliśmy, wiemy i będziemy wiedzieć swoje. Pociąg ruszył punktualnie, chwilę po tym, jak wskazówka minutowa na dworcowym zegarze z cichym zgrzytem pokonała sześć stopni.

Przede mną godzina jazdy, może trochę dłużej. Zazwyczaj czytam w tym czasie książki, gdyż nie widać, przynajmniej nie od razu, czcionki, jaką zostały wydrukowane. Jeśli bowiem to nie szwabacha, można narazić się na zaczepki, a tego nie chcę. Dlatego unikam gazet. Zawsze czekam też na moment, kiedy pociąg mija stację w Tczewie i wjeżdża na most przez

Wisłę. Między elementami konstrukcji widać toczące się wody, których barwa zależna jest od pogody.

W Elbing mam przesiadkę na pociąg do Braunsbergi, czyli Braniewa, jadący linią przy samej Zatoce Świeżej. Kolejka robi szeroki łuk, z okien rozciąga się widok na miasto i górującą nad nim wieżę kościoła świętego Mikołaja. Potem miasto znika i zaczynają się pola, łąki, lasy i wzgórza, z drugiej zaś strony, niemal nieprzerwanie – Frisches Haff – woda, trzciny i kołujące nad tym wszystkim stada mew. Jazda nie trwa długo. Im dłużej dojeżdżam, a będzie już półtora roku, jak zacząłem tę pracę, tym szybciej podróż mija.

Pociąg wtacza się na stacyjkę Frauenburg. Tutaj wysiadam i stąd wyjadę w połowie tygodnia, bogatszy o nową wiedzę. I jeszcze bardziej nią zaniepokojony.

14 kwietnia 1939 roku

Obiady jadam zwykle w restauracji hotelu Thiel. Jest tu smacznie i tanio, w dodatku widać stąd bardzo dobrze zarówno Wzgórze Katedralne, jak i większą część miasteczka, przez co zawsze, i to niezależnie od tego, co podają mi na talerzu, myśli moje wędrują do przeszłych wieków, bywa że i pół tysiąca lat wstecz. Jak wyglądało wtedy miasto, czy wiele się zmieniło, kto je zamieszkiwał – wszystko to wiadomo, czasami mniej, czasami bardziej dokładnie. A czy katedra i jej otoczenie się zmieniły? – myślę, krojąc ziemniaka z jasnobrązową, czasem skwierczącą jeszcze omastą.

Katedrę pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i świętego Andrzeja budowano na wysokim wzgórzu nad zalewem, na

miejscu pruskiego grodu, od razu też okolono murami obronnymi, co jednak nie zawsze było w stanie zatrzymać najeźdźców. Pod koniec 1454 roku najechał Frombork Henryk VI Reuss von Plauen, komtur krzyżacki. Pół roku później do Frauenburga weszły zaciężne wojska czeskie, walczące po stronie Polski. W katedrze urządzono stajnie, a nawet zamieszkanie dla żołdaków!

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Nastał bowiem rok 1626, w którym przez morze przepłynęły się tysięczne armie króla szwedzkiego Gustawa Adolfa. Także i Szwedzi bardzo źle potraktowali Frombork. Mówiło się wtedy o rabunkach, masowych mordach, niszczeniu ołtarzy, a nawet bezczeszczeniu zwłok! Wtedy to łupem najeźdźców zza morza padła cała biblioteka Mikołaja Kopernika.

Katedra, w większym lub mniejszym stopniu uszkodzona, profanowana i rabowana, zawsze wracała do wcześniejszego stanu. Budowli nie oszczędzały pożary, te od uderzeń piorunów, jak i te, które spowodowała zwykła ludzka nieostrożność. Z tego, co udało mi się wyczytać w księgach, dach kościoła spalił się dokładnie w połowie wieku XVI. Uległa wówczas zniszczeniu także fasada wschodnia katedry wraz z wieżyczkami. Fasada zachodnia zatem dotrwała do naszych czasów najprawdopodobniej niezmiennie. A wraz z nią wieżyczka z nieruchomą chorągiewką, z wyciętym w blasze symbolem.

Gwiazdozbiór Strzelca.

Dokąd prowadzi? Czy to naprawdę sam Kopernik chciał wskazać drogę potomnym?

Obiad jest już zupełnie zimny, ale ja nawet lubię chłodne ziemniaki. Zjadam wszystkie. Pani Eriке Thiel, właścicielka restauracji, cieszy się, że jedzenie znów mi smakowało. Cieszę się i ja, głównie z tego, że już sobie

poszła, choć Elrike lubi pogawędzić od czasu do czasu ze swoimi gośćmi. Myślami jestem już bowiem daleko.

20 maja 1939 roku

Wszyscy są już niemal pewni, że będzie wojna. W Gdańsku i okolicach nie ma innego tematu. Wiele mówi się o napaściach na polskich listonoszy, wybijaniu szyb przez Hitlerjugend w pociągach jadących do Gdyni i o polskiej składnicy tranzytowej na Westerplatte. Ale na Katedralnym Wzgórzu we Fromborku czas jakby się zatrzymał. Doktor Rau, archeolog, zrobił dziś wielkie oczy, kiedy ktoś obok rozmawiał głośno o problemie gdańskiego korytarza. W ostatniej chwili opanowałem się, by nie wyciągnąć z teczki gazety z przemówieniem ministra Becka...

Może napiszę kilka słów o tym, czym się zajmuję. Tak, trzeba to koniecznie wyjaśnić. Otóż jestem specjalistą od starodruków, szczególnie tych stworzonych przed pół tysiącem lat, a ledwie chwilę od powołania do życia epokowego wynalazku Johanneses Gutenberga. Praca moja absorbuje mnie bardzo, stąd i pewnie nieregularność zapisków tego dziennika. Zawsze więcej robiłem niż gadałem, a że gadać nie mam teraz za bardzo z kim, bo lepsze to dla zdrowia, zapisuję słowa.

Ech, gdyby mury fromborskiej warowni były w stanie i teraz uchronić nas przed wojną! Wtedy byłbym bezpieczny. Ja i odkrycie, którego dokonałem.

Na początku nie wiedziałem, że spostrzeżenie moje może mieć jakiegokolwiek znaczenie. Dziś jednak jestem pewien, że ma. I wiedzy tej sam się boję. Z nikim na ten temat nie rozmawiałem i pewnie nie porozmawiam, co sprawia, że jest mi jeszcze bardziej ciężko.

Dlatego wracam do swoich codziennych zajęć, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Nie wiem, kiedy ponownie coś tu napiszę. Wszystko rejestruję w pamięci, ale ona bywa zawodna, więc najpewniej wrócę w te strony szybciej, niż mi się wydaje.

26 sierpnia 1939 roku

Westerplatte. Od jakiegoś czasu żadne inne słowo nie wzbudza takich emocji w rozmowach między Polakami. Ale kto ma wiedzieć, wie, kto i dlaczego znajduje się na tym cyplu u ujścia Martwej Wisły. Jeśli będzie taka potrzeba, to stamtąd ruszą nam na pomoc polscy żołnierze, szybko wsparci przez okręty z Oksywia i Helu. Prędzej, za kilka bądź kilkanaście minut, będzie można oczekiwać ataku naszego lotnictwa. Piechota nadejdzie od południa.

Niemcy nie zdążą pierdnąć! – śmieją się nasi, choć cicho, żeby nie drażnić sąsiadów.

Tak jeszcze myślało się i mówiło wczoraj. Ale dziś wszystko wygląda zupełnie inaczej: kilka godzin temu do portu wpłynął niemiecki pancernik szkoleniowy Schleswig-Holstein. Niemcy mówią, że z przyjacielską wizytą, jednak jakoś nie chce nam się w to wierzyć. Ogromne cielsko okrętu niemal położyło się cieniem na Westerplatte. I na naszych nadziejach przy okazji.

Od kilku tygodni bywają chwile, że boję się usta otworzyć. Nigdy, nawet w dzieciństwie, kiedy zachowanie powierzonej mi przez kogoś tajemnicy było ważne, nie czułem się tak, jak czuję się teraz. Nie wiem, czy uda mi się utrzymać ten ciężar, co jak nic innego działa na moją wyobraźnię. Spać spokojnie nie pozwala.

Dzisiaj obudził mnie huk tramwaju, chyba pierwszego, który z dworca głównego ruszył w stronę Glettkau. Nie mogłem już zasnąć. Mimo że była niedziela, wstałem z łóżka, zjadłem śniadanie, ogoliłem się, ubrałem i wyszedłem z domu. W biegu wskoczyłem do tramwaju jadącego w stronę miasta. Gdańsk powoli budził się do życia niedzielnego, ale czy radosnego?

Byłby to miły dzień dla wszystkich mieszkańców, nawet dla mnie, gdyby nie czerwien flag ze swastyką, zwisających ze wszystkich niemal okien, zatkniętych na dachach domów i ulicznych latarniach. Wszystko to prawdopodobnie z okazji wizyty okrętu, który został przycumowany wczoraj w pobliżu Zakrętu Pięciu Gwizdków.

Ruszyłem w kierunku miejsca, gdzie Martwa Wisła uchodzi do Zatoki Gdańskiej, w ostatniej chwili jednak zbacząc z trasy. Dzwoniono właśnie na śniadanie, kiedy zatrzymałem się przed główną bramą składnicy. Z wartowni wyjrzał żołnierz w hełmie z białym orłem.

– Czego? – fuknął gniewnie, zaciskając przy tym palce na kolbie karabinu.

Pewnie przyzwyczajeni byli do częstych prowokacji. Ktoś z SA albo Hitlerjugend podchodził, rzucał kamieniem, a każda reakcja polskiego wartownika była zła: przymierzy i strzeli (kamień mógł się przecież okazać granatem), a następnego dnia napiszą w gazetach o tym, jak Polacy mordują bezbronnych Niemców. Nie zareaguje, dostanie reprimendę od dowódcy.

– Czego? – zapytał mnie jeszcze raz i zaraz się poprawił: – W czym mogę panu pomóc?

– Chciałbym się widzieć z dowódcą – odpowiedziałem, po czym sięgnąłem w zanadrze, gdzie w specjalnej skrytce pod podszewką trzymałem polski paszport. – Oto moje dokumenty.

Wartownik zbliżył się nieco, przyglądając się trzymanej przeze mnie książeczce, z którą, a ludzie radzili zawsze tak samo, jakoś nie potrafiłem

się rozstać.

– Poczekajcie – rzucił żołnierz, po czym zniknął we wnętrzu wartowni.

Po drugiej stronie Martwej Wisły, na niemieckim pancerniku uwijała się załoga, na nabrzeżu zaś zaczynał zbierać się tłum gapiów. Mewy, istoty bezpaszportowe, a zatem i bezpaństwowe, krążyły z wrzaskiem nad taflą wody, po której w stronę zatoki płynął niewielki wycieczkowy parowiec. Mijając pancernik, kilka razy dał sygnał syreną. Nie znam się na morskiej etykiecie, ale musiało być to z pewnością pozdrowienie. Jeżeli nie hołd.

Tymczasem do wartowni zbliżał się jakiś oficer. Sądząc po pagonach, był to kapitan. Wysoki, wyprostowany, stąpający pewnie po tym skrawku polskiej ziemi, którego los był tak niepewny.

– Dąbrowski – przedstawił się, na co i ja podałem swoje nazwisko i uścisnęliśmy sobie dłonie. – Dowódca placówki, major Sucharski, jest zajęty – pospieszył z wyjaśnieniami, po czym znacząco spojrział na zegarek i chrząknął. – Ja też nie mam zbyt wiele czasu. W zasadzie nie zajmujemy się takimi sprawami. Od tego jest nasz konsulat.

Jakimi sprawami? – pomyślałem wtedy zdziwiony, bo przecież nie zdążyłem wartownikowi nic wyłuszczyć poza tym, że chciałbym rozmawiać z dowódcą.

Wtedy zacząłem się zastanawiać nad tym, jak wyglądam. Czy aby wzbudzam zaufanie? Na tyle, żeby od razu nie zamknąć mnie w ciemnicy i czekać na ambulans sanitarny ze szpitala psychiatrycznego? Co zrobi kapitan Dąbrowski, kiedy powiem mu, z czym przyszedłem. Co zrobiłbym ja sam, gdyby ktoś powiedział mi, że ma...

– Konsulat! – powtórzyłem jak leśne echo. – Tak, rzeczywiście. Chyba będzie lepiej, jeśli pójdę z tym do konsulatu. To świetny pomysł, panie kapitanie. Przepraszam za kłopot. Do widzenia!

Nie czekając na to, co powie zastępca dowódcy, odwróciłem się na pięcie i zacząłem iść. Przez plecy przebiegło mi mrowie, wyczekiwałem szczęku zamka przeładowywanego karabinu. Przecież przez to, co miałem do powiedzenia, mogli mnie wziąć za wariata. Ale nic nie zdążyłem powiedzieć. A skoro nic nie powiedziałem, mogę być prowokatorem. W miarę jak oddalałem się od bramy placówki Westerplatte, coś we mnie gasło, nikło. Nadzieja? Tak, z pewnością to była nadzieja.

1 września 1939 roku

Iskra przeskakuje bezgłośnie, zapala się zielona lampka. Ręka młodego marynarza sięga po pokrętko z gładkiego, czarnego ebonitu, umieszczone pomiędzy metalowymi tabliczkami pokrytymi gotykiem, rusza nim w lewo, potem w prawo. Mężczyzna, a właściwie młody chłopak, z uwagą nasłuchuje; każdy szmer, który pojawi się w słuchawkach, może mieć znaczenie. Marszczy czoło, mruży oczy. Nie pierwszy raz ma nocny dyżur przy radiu; ma też przeczucie, że ten będzie wyjątkowy.

Nagle twarz chłopaka zmienia się, napina, a czoło jego orzą poziome, głębokie bruzdy. Chwilę trwa w takim stanie. Wreszcie rozluźnia się, w szeroko otwartych oczach pojawiają się błyski. Palce łapią za ołówek, piszą kilka słów na kartce papieru.

Marynarz zrywa się z miejsca i wybiega z pomieszczenia. Wskazówki zegara wiszącego na ścianie pokazują dokładny czas: jest pięć minut przed północą. Trzydziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Jest już jasno, kiedy okrętowe silniki zaczynają grać. Po kilku chwilach cielsko stalowego kolosa przesuwają się w stronę warsztatów Rady Portu, gdzie po kilku chwilach cumuje.

Dowódca wydaje z mostka kapitańskiego krótkie rozkazy. Na ich wypełnienie czeka równo pięć minut.

Zamglone powietrze poranka, w którym czuć już wyraźnie nadchodzącą jesień, przerywa grzmot. Ale to nie burza, jedna z tych wielu, które kończą wyjątkowo upalne lato i przygotowują świat na nadejście jesieni. Grzmot powtarza się w różnych odstępach czasu. W tym czasie z mgłą miesza się bezgłośnie gęsty, gryzący dym.

Równo godzinę od chwili wydania rozkazu, do pancernika podpływa niewielki holownik z zamiarem przeciągnięcia okrętu w inne miejsce, w rejon Szańca Mew, skąd planowany jest kolejny ostrzał i kanonada. I wtedy dzieje się coś dziwnego: ledwo holownik oddaje cumę i oddala się o kilka kabli, jakaś siła niespodziewanie i z impetem podrywa go do góry niczym stateczek z papieru, po czym ciska kadłubem o krawędź nadbrzeża, roztrzaskując skorupę w drobny mak.

W tej samej chwili woda, która dotychczas spokojnie lizała burty pancernika, zaczyna jakby wrzeć, po czym nagle opada, jakby ktoś wyciągnął korek w odpływie wanny. Widać to najlepiej w miejscu, gdzie na burcie naznaczono cyframi wyporność jednostki. Po paru sekundach woda odsłania część burty, którą widzi się zazwyczaj tylko w suchym doku.

Wydaje się, że okręt za chwilę stanie na kilu i się przewróci! Ale tak się nie dzieje. Dzieje się coś o wiele gorszego: kilkadziesiąt metrów od burty okrętu, w miejscu, w którym jeszcze kilka minut wcześniej można było wyznaczyć półmetek drogi, jaką pokonywały wystrzelone z dział pancernika pociski, zaczyna wzbierać woda. Piętrzy się, jakby formował ją wiejący z dwóch stron jednocześnie wiatr, tworząc ścianę mogącą zatrzymać kolejny ostrzał.

Po chwili, kiedy ów wodny mur osiąga wysokość wieży dużego kościoła, nagle zaczyna się przechylać w stronę okrętu niczym mur,

postawiony rękami niedbałych murarzy. Miliony litrów wody zmierzają nieuchronnie ku metalowym elementom pancernika.

Zwykle nietrudno by było wskazać zwycięzcę takiej walki; okręty Kriegsmarine dawały sobie radę z o wiele większymi przeciwnościami Ale nie teraz. Ogromna ściana zwala się z impetem i nieziemskim hukiem na okręt, który na chwilę znika cały w buzującej kipieli. Już z niej nie wypłynie. Bitwa jest wygrana...

Kiedy kończę zapisywać mój sen, wiem już, co się wydarzyło na jawie. Warszawa od rana nadaje fragmenty *Poloneza As-dur* Chopina. Spakowałem walizkę, ale nie mogłem nie zapisać tego, co mi się śniło, a co było realne niczym jawa. Firankę w otwartym oknie mieszkania wydyma wiatr. Być może dzień będzie ładny. Na ulicy jest jeszcze cicho, jak to rano. Przejechał tramwaj, a potem znów cisza.

Nie, jednak coś słychać. Coś dziwnego, jakby stukot podkutych butów. Nikt z sąsiadów nie ma takich butów...

2 października 1939 roku

Ręka z trudem trzyma pióro, na nowo musi przyzwyczajać się do jego kształtu. Ech, móc przetwarzać myśli na atramentowe znaki – czyż to nie jest piękne?! I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu ważniejsze były zwierzęce instynkty i zachowania, na czele z tymi podstawowymi, jak jedzenie, wypróżnianie się czy sen.

Myśl jest niecierpliwa. Z trudem udaje mi się ją okiełznać i tylko moja drętwiejąca prawa ręka przychodzi mi z pomocą. Z początku chciałem z najdrobniejszymi szczegółami opisać, co działo się ze mną przez niemal

półtora miesiąca. Szybko jednak zarzuciłem ten zamiar. Za wszystko powinno wystarczyć jedno słowo.

Stutthof.

Ciuchy miałem brudne jak święta ziemia. Tak jak mnie wzięli z domu, tak chodziłem, spałem, pracowałem. Musiałem śmierdzieć, ale śmierdzieli wszyscy jednakowo. W ciągu kilku tygodni wyrosła mi długa i gęsta broda. Do tego zaczęły mnie gryźć wszy. Bez przerwy byłem głodny. Dzielne racje żywności nie zaspokołyby potrzeb człowieka, którego jedyną czynnością w życiu było leżenie, a co tu mówić o kimś, komu kazano, tak jak nam, pracować ponad siły.

Ale pozostawał jeszcze duch. Dzięki niemu to, co działo się wokół, przyjmowałem z chłodnym spokojem, niemalże na sposób naukowy. Topografia obozu, mimo że wciąż się zmieniała, rytm zmian i siła wartowników, częstotliwość przyjazdów i wyjazdów pojazdów mechanicznych, marszruty oficerów – wszystko to umysł mój zaczął drobiazgowo rejestrować i przetwarzać.

Po kilkunastu dniach miałem już w głowie zaczątki planu, dzięki któremu miałem się znaleźć po drugiej stronie drutów. Problemem pozostawało jeszcze coś: jak sobie poradzę, a przede wszystkim dokąd pójdę, kiedy już uda mi się stąd wydostać. Może napotkam jakiś angielski lub francuski patrol? Za druty nie dochodziły żadne informacje poza tym, co przynosili nowi więźniowie, ale do tej pory, a jesień była już w pełni – o czym najdotkliwiej przekonywaliśmy się nocami – sojusznicze armie powinny już chyba dochodzić do linii Wisły!

O tym, co planuję, nie rozmawiałem z nikim. Owszem, od początku niemal wszyscy knuli, odgrządzali się, robili plany. Jednak z upływem czasu i sił zapał ten słabł, a przychodził marazm. Wszelkie ludzkie odruchy wypierały zwierzęce instynkty.

Wybrałem sobotę. Dzień ten wydał mi się najodpowiedniejszy. Wcześniej różnymi sposobami, jednocześnie starając się nie rzucać w oczy, wyprałem po kolei większość trzymającej się już resztkami szwów garderoby. Ogoliłem się, uprzednio kupiwszy od jednego człowieka żyletkę, chyba najdroższą w życiu. Broda bowiem za bardzo rzucałaby się w oczy. Aby z kolei nie rzucać się na apelu w oczy ze swoją świeżością, chwilę po zabiegu poczeruiłem policzki sadzą. Nikt nie zauważył.

Pozostała ostatnia prosta. W tym wypadku był to ostatni... worek mąki, która przyjechała ciężarówką. Znałem ten typ auta i wiedziałem, że zaraz za szoferką znajduje się zasobnik, w którym ma szansę zmieścić się dorosły, choć niezbyt duży człowiek.

I zmieścił się. Silnik zagrał najpiękniejszą, a zarazem najbardziej niepokojącą melodię, jaką słyszałem w życiu. Wyjechać poza bramę. Wjechać do lasu – te dwa proste zdania powtarzałem w duchu niczym mantrę.

Nie wiem, jak mi się to udało, ale udało się: uciec ze Stutthofu, umknąć pogoni, w czym, u kresu ucieczki, pomogło mi trzciniowisko Zalewu Wiślanego. Nie wiem, ile czasu przesiedziałem w lodowatej wodzie, bliski omdlenia z zimna i ze strachu. Ujadanie psów to zbliżało się, to znów oddalało. W końcu ustało zupełnie, ale i to nie dawało mi pewności, że goniący mnie Niemcy opuścili to miejsce.

Potem szedłem, nocą. Każdy szmer na drodze czy szczekanie psa powodowało, że chowałem się w rowie lub za drzewem, przestawałem oddychać. Z lewej strony przez cały czas, raz bliżej, raz nieco dalej, miałem wody zalewu, w których odbijał się księżyc.

Tym sposobem nad ranem udało mi się dotrzeć do linii kolejowej łączącej Elbląg i Braniewo. Uczepiony ostatniego wagonu, jak na filmach o Dzikim Zachodzie, które wdziałem kiedyś w kinie, i niezauważony przez

nikogo dotarłem do Fromborka, na Katedralne Wzgórze, gdzie zajęli się mną dobrzy ludzie.

Profesor Rau wraz ze swoją gospodynią dwoili się i troili, by utrzymać mnie przy życiu, a jednocześnie utrzymać tajemnicę. Choć był to dopiero początek wojny, nietrudno się było domyśleć, co mogło grozić za udzielenie pomocy zbiegowi z obozu koncentracyjnego.

Tymczasem ze świata dochodziły coraz to nowe, przerażające wieści. Padł Hel, poddała się Warszawa, więc, mimo kilku wygranych bitew, nie było wątpliwości, że Polska, już bez rządu, który uciekł do Rumunii, przegra tę wojnę. Sojusznicy, Francja i Wielka Brytania, mimo szumnych obietnic i podpisania paktów, nie przybyli nam z pomocą.

Co teraz? – zastanawiam się. Muszę się ukrywać. Mój rysopis zna już niewątpliwie każdy żandarm od Helu po Pilawę. Nie mogę jednak wciąż narażać na niebezpieczeństwo Raua. Znam ludzkie słabości i wiem, że żaden sekret nie jest w stanie żyć długo. Można zniknąć, zaszyć się gdzieś, ukrywać. Wiem, że dam radę.

Inna rzecz: co zrobić z wiedzą, którą niechcący posiadam?

24 listopada 1939 roku

Bywa, że całe dnie nie wychodzę ze swojej gawry, którą wspólnymi siłami zorganizowaliśmy w murach fromborskiej warowni. Sam nie wiedziałem, że budowla ta może w sobie kryć tyle korytarzy, komnat, tajnych klatek schodowych. Jest tu ciepło i sucho, choć ciemno. Przede wszystkim jednak bezpiecznie.

Od czasu do czasu pomagam też Rauowi w jego pracy, której, mimo rozpoczęcia wojny, ani na chwilę nie przerwał, nie mówiąc już o jej

zarzuceniu. Badam zatem jakiś starodruk, choć szybko się z tego powodu męczę. Brakuje mi bardzo światła dziennego, nie tylko do pracy.

Chciałbym wyjść na powietrze. Rau mówi, że spadł już śnieg, a zalew ściał mróz.

13 stycznia 1940 roku

Gospodyni profesora mówi straszne rzeczy o Piaśnicy, wsi niedaleko Wejherowa, gdzie hitlerowcy od początku wojny wywożą więźniów. Ofiar może być nawet kilkanaście tysięcy! Mówi się, że zabijano tam także Niemców, których wyciągnięto ze szpitali psychiatrycznych.

Kiedy o tym słyszę, strach we mnie narasta i złość wielka. Czuję, że jestem bezsilny. Jest mi z tym o tyle źle, że gdybym tylko chciał, zdobył się na odrobinę odwagi, wyszedł wreszcie z tej zatęchłej nory... Kobieta wspomina także o wciąż rozrastającym się obozie w Sztutowie. Celowo używam tu polskiej nazwy; niemiecka bowiem wciąż budzi we mnie strach.

Pojawiło się też zupełnie nowe słowo: Gryf. Ludzie mówią, że to tajna polska organizacja wojskowa. Bardzo chciałbym dowiedzieć się, gdzie i jak można ich znaleźć. Anglicy i Francuzi chyba naprawdę zostawili nas swojemu losowi. W takim przypadku nawiązanie kontaktu z Gryfem to chyba jedyna szansa.

23 marca 1940 roku

Od kilkunastu godzin jestem w drodze. Najpierw wsiadłem do pociągu jadącego wzdłuż zatoki. Wszystko odbyło się jak należy: w kasie kupiłem

bilet klasy trzeciej, za dokumenty zaś służyła mi legitymacja zastępcy kustosa muzeum Kopernika we Frauenburgu, którą własnoręcznie wypisał dla mnie Rau. W razie jakiejś kontroli mam z nią większe szanse niż bez żadnego papieru.

Jadąc pociągiem, wspominałem stare, dobre czasy, kiedy wracałem tędy do domu po całym tygodniu pracy. Kto by pomyślał, że wszystko potoczy się w ten sposób...

W Elblągu przesiadka. Przez Malbork dotarłem do Tczewa. Dawniej jechałem dalej, aż do Gdańska, teraz jednak musiałem przesiąść się na pociąg jadący w stronę Kościerzyny.

Wszędzie pełno wojska, zazwyczaj żołnierzy Wehrmachtu, wracających z urlopu lub dopiero się na niego udających. Wielu marynarzy, nie wspominając już o funkcjonariuszach SA i młodziakach z Hitlerjugend i jednostek pomocniczych. Wszyscy roześmiani, zadowoleni, stąpający z hardym przytupem, wszak wojna szła po ich myśli. Ja, okutany szczelnie, ani razu nie zostałem przez nikogo zatrzymany i nie musiałem się legitymować.

Pociąg jadący do Kościerzyny był niezbyt zatłoczony. Za Skarszewami znajdowała się miejscowość o nazwie Głodowo. Tam wysiadłem, a ze mną może z pięć osób: kilka bab z tłumokami, jeden wysoki żołnierz. Tylko ja nie miałem ze sobą żadnego bagażu. Pociąg ruszył dalej, podróżni zniknęli w niewielkim budyneczku dworca z czerwonej cegły. Zaczynało się robić szaro.

Muszę odnaleźć punkt kontaktowy, zanim zrobi się zupełnie ciemno – pomyślałem wtedy.

Wiadomość, którą przekazała mi kilka dni temu w największym sekrecie gospodyni doktora Raua, była dość lakoniczna. Znam ją na pamięć, bowiem o zapisywaniu czegokolwiek mowy nie ma: trzecia chata

od zachodu, wysoki, biały komin. Zdążyć koniecznie przed zmrokiem, inaczej nic z tego nie będzie. Hasło – Częstochowa, odzew: Madonna.

Bez problemu udało mi się odnaleźć właściwy dom. Z duszą na ramieniu pchnąłem furtkę, by po chwili zapukać do drzwi. Cisza. Żadnego dźwięku, choćby szczekania psa, ani w środku, ani na zewnątrz. Chałupa nie wyglądała na opuszczoną, ścieżka prowadząca od bramki była odśnieżona.

Już podnosiłem rękę, żeby zapukać raz jeszcze, kiedy drzwi się otworzyły.

– Hasło – mruknął ktoś po drugiej stronie.

– Częstochowa – odpowiedziałem najczystsą polszczyzną, na jaką było mnie stać. – Odzew?

– Madonna.

Skrzydło znów się poruszyło, ukazując człowieka w burym kożuchu, z czarną brodą i z pistoletem w prawej ręce, wycelowanym w mój brzuch. Człowiek ten taksował mnie dłuższą chwilę w milczeniu, po czym do końca otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka.

– Niech pan wchodzi – mruknął. – Ciepło ucieka.

Znalazłem się w typowej wiejskiej izbie. Gospodarz mówił coś o ciepłe, jednak nie udało mi się go poczuć; wydychane powietrze wciąż tworzyło obłoczki pary.

Mężczyzna dał znak wciąż trzymanym w dłoni pistoletem, bym za nim szedł. Przeszliśmy główną izbę. Za nią znajdowało się mniejsze pomieszczenie, na którego środku było wejście do piwnicy. Gospodarz dał mi do zrozumienia, znów za pomocą lufy, abym tam wszedł. Serce zaczęło mi bić mocniej. Przestraszyłem się. Widząc moją minę, brodacze uśmiechnął się.

– Proszę, wszyscy czekają – powiedział.

Pod podłogą znajdowała się obszerna izba z dużym stołem pośrodku, przy którym siedziało kilku mężczyzn. Wszędzie paliły się świece, ich światło drgało na pociemniałych od zarostu twarzach. Wkrótce odezwał się jeden z nich, siedzący u szczytu stołu. Mówił z żołnierską manierą.

– Nazywam się porucznik Jar i jestem dowódcą Tajnej Organizacji Wojskowej Gryf – przedstawił się. – Organizacja nasza działa od wigilii tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Wiemy, że chciał się pan z nami spotkać.

– Tak – potwierdziłem.

– Naszym zadaniem jest przygotowanie Polaków do aktywnej walki zbrojnej z okupantem niemieckim w celu wyzwolenia ojczyzny i obrony Kościoła Świętego – wyrecytował Jar z lekką zadyszką. – Potrzebujemy przede wszystkim ludzi, broni, amunicji, ale trzeba nam też wiele wiary.

Zaschło mi w gardle. Zauważyłem, że pocą mi się i zaczynają lekko drżeć ręce. Jak na trudnym egzaminie, w zamierzchłych latach akademickich. Wszystko to jednak byłem skłonny zrzucić na karb tej niecodziennej przecież sytuacji, w jakiej się znalazłem: nieznani ludzie, rozmawiający niemal pod nosem Niemców i to bynajmniej nie o markach pocztowych i hodowli kotów.

Opowiedziałem im całą swoją historię. W miarę jak zagłębiałem się w szczegóły, oczy konspiratorów siedzących przy stole robiły się coraz większe. Kiedy skończyłem, zapadła cisza. Słyszeć było tylko nierówne oddechy mężczyzn i skwierczenie jednej kończącej żywot świecy. Ktoś potarł zapalką o draskę, zapalając sobie skręta.

Wtedy znów odezwał się porucznik Jar.

– Czy jest pan chory psychicznie? – zapytał, patrząc na mnie ciężkim wzrokiem.

Było już ciemno, kiedy wpadłem na stacyjkę w Głodowie. Pociąg już ruszał, gdy zatrzasnąłem za sobą drzwi. Był to ostatni tego dnia pociąg, miałem więc niebywałe szczęście.

Wiem już, że muszę schować gdzieś ten dziennik. Dobrze, tak jak ukryłem to, co stało się powodem, by zacząć go pisać. I głęboko, żeby nie znalazł go nikt. A najlepiej ja sam.

3 sierpnia 1944 roku

Wydarzenia ostatnich dni spowodowały, że musiałem przelać znów na papier wszystkie myśli, które kłębią mi się w głowie, nie dając spokoju. Minęły prawie cztery lata, odkąd postanowiłem nic więcej nie zapisać w tym dzienniku i zapomnieć o wszystkim, co stało się w moim życiu, nim zacząłem go prowadzić. Przez ten czas prawie nie ruszałem się z Fromborka i warowni.

Czas płynął powoli. Niemal nie odczuwało się, że na świecie wciąż trwa wojna światowa. W połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku zmarł doktor Rau, mój największy, jeśli nie jedyny przyjaciel i dobroczyńca, któremu zawdzięczam wiele. Pochowaliśmy go na miejskim cmentarzu. Czułem, że śmierć tego człowieka to nie jedyne zło, które się wydarzy.

I nie myliłem się. Na Katedralnym Wzgórzu, będącym dotąd oazą ciszy i spokoju, nastał czas zamętu i niepokoju. Na dziedziniec wjechały z rykiem silników samochody, także ciężarowe. Skądś pojawili się jacyś ludzie, podobno z samego Berlina. Zaczęli szperać, węszyć, jątrzyć.

Wiedziałem, że mój czas w tym miejscu się kończy. Jednocześnie do naszych uszu zaczęły dochodzić wieści o kolejnych klęskach hitlerowskiej

armii i hordach bolszewickich, jak zwykle się tu mówić o Armii Czerwonej i stąpających obok nich polskich dywizjach, idących coraz szybciej na zachód. W dodatku przedwczoraj, pierwszego sierpnia, wybuchło w Warszawie powstanie. Czuję, że nadchodzi czas, aby znów spróbować nadać kształt myśli, która przyszła na świat wieki temu, a której dotąd, tak myślę, nie dane było przemienić się w czyn.

Bez problemu dotarłem do Gdańska. Jakże to inne już miasto od tego, które pamiętałem sprzed kilku lat. Wydało mi się przygasłe, poszarzałe, choć przecież lato trwało w pełni kolorów. Odnalazłem miejsce, któremu powierzyłem swoją największą tajemnicę. Tam szczęśliwie nic się nie zmieniło, bowiem naloty alianckie ominęły Gdańsk. Nikt mnie nie zaczepił ani nie zagadnął, zupełnie jakbym był ze szkła i pyłu stworzony, nie zaś z krwi i kości.

Teraz tylko dotrzeć na dworzec główny, poprosić bilet do Warschau albo do najdalszej stacji, do której kursowały pociągi, a potem...

Już wychodziłem z pełną walizką, kiedy niespodziewanie zatrzymał mnie w miejscu głos.

– Janek?

To koniec, wpadłem – pomyślałem.

Odwrociłem się powoli i dopiero, gdy ujrzałem, kto mnie zawołał, dotarło do mnie, że przecież głos, który posłyszałem, należał do kobiety. Stała w świetle popołudniowego słońca i uśmiechała się, jakby, mimo że minęło tyle lat, była pewna, że to ja.

Od razu poznałem jej twarz, choć miałem problem z przypomnieniem sobie imienia. Dwa warkocze, piegi i ten uśmiech. Niewiele się zmieniła. Tak, to ona! Sąsiadka z Wrzeszcza.

– Nie poznajesz mnie? Maria, Marysia.

– Jasne, że pamiętam!

Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że mówimy po polsku.
Nie dotarłem tego dnia na dworzec. Ani żadnego następnego.

23 maja 1945 roku

Tyle się wydarzyło przez tych kilka miesięcy. Ale po kolei.

Każdy gniew, choćby najdłużej i najmocniej tłumiony, znajdzie wreszcie ujście. Każdy. Pokazali to chłopcy i dziewczęta w Warszawie, walcząc przez ponad dwa miesiące, choć wynik tej walki był chyba od początku wiadomy.

Innym jest gniew kałmuków, idących od Wschodu: z przodu bagnety, z tyłu smród. Z tym gniewem na twarzach się urodzili, dlatego teraz niszczą, palą, co niemieckie, gwałcą kobiety, rabują wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość. Tak ludzie mówili, uciekinierzy z Prus Wschodnich, którzy przybywali nad morze w nadziei znalezienia ratunku na jednym z odpływających stąd statków. Także i mój gniew miał znaleźć wreszcie ujście. Za aresztowanie, obóz, za to, że przez lata musiałem się ukrywać, pozbawiony tożsamości. I za to też, że w ostatniej chwili zabrano mi kogoś, kto był dla mnie najcenniejszy. Moją ukochaną Marię. Tylko za to, że nosiła na piersi niewielką naszywkę z literą P.

Kiedy już mieliśmy nadzieję, że nic się złego nie może wydarzyć, w końcu sierpnia, niespełna miesiąc od naszego spotkania, Maria została aresztowana i zesłana do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. A przecież przez lata wiernie służyła w domu radcy Hessa. Nawet jednej filiżanki przez ten czas nie stłukła!

Żadne słowa nie są w stanie oddać tego, co wtedy czułem. Żadne. Ja, wciąż zmuszony do ukrywania się na strychu jednej z wrzeszczańskich

kamienic, wgrzyzałem się w nieoheblowane belki poszycia dachu. Gniew i rozpacz nie mogły znaleźć ujścia. Aż do tego mroźnego dnia, trzydziestego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego – ostatniego roku wojny. Wtedy podjąłem decyzję, może najważniejszą w całym swoim parszywym życiu.

Na nabrzeżu w Nowym Porcie kłębił się tłum: wojsko, służby pomocnicze, cywile. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Starzy i młodzi. A wszyscy z jednym jedynym zamiarem: za wszelką cenę dostać się na pokład MS Wilhelm Gustloff, który za kilka chwil zabierze ich w morze i uchroni przed gniewem zbliżających się Rosjan. Tłum falował, napierał na bramkę, za którą była droga prowadząca wprost na trap statku. Już na pierwszy rzut oka było jednak wiadomo, że nie wszyscy znajdą schronienie na Gustloffie.

Nie wiem, jakim sposobem udało mi się dostać na pokład. Może poniosła mnie fala tłumy i akurat tej wartownicy postanowili nie zatrzymywać, może ktoś się zagapił, przymknął oko, na chwilę wyłączył zmysły. Grunt, że byłem na pokładzie, sam, bo nieznający nikogo, w lichym paletku, z wciąż tą samą sfałszowaną legitymacją w kieszeni. I z walizką w ręku.

Po wielu pełnych napięcia minutach oczekiwania wreszcie rzucono cumy i statek odbił od brzegu. Mrowie uciekinierów, pięć tysięcy, siedem, a może nawet dziesięć, z większą niż jeszcze przed paroma chwilami pewnością zaczęło szukać sobie miejsca do spania. Długo stałem oparty o reling i patrzyłem na oddalające się miasto mojej młodości, miasto, które kochałem, ale którego także nienawidziłem. Ale czyjś inny gniew miał je wkrótce obrócić w ruinę. Mój gniew miał znaleźć ujście gdzie indziej. Już wkrótce.

Gustloff szedł w konwoju, powoli, z wysiłkiem, co przecież nie mogło dziwić, ale do przodu. Wszyscy zapewne spodziewali się, że po kilku dniach i nocach niewygód czeka ich zasłużony odpoczynek tam, gdzie Sowieci jeszcze nie dotarli i najpewniej nie dotrą. Mówiło się przecież tyle o *Wunderwaffe*, cudownej broni, której użycie spowoduje natychmiastowe przechylenie szali zwycięstwa na stronę Niemiec. Miały to sprawić między innymi rakiety V1 i V2 czy nowoczesne samoloty.

Była noc. Statek znajdował się na pełnym morzu, a ja wciąż nie spałem. Raz, że nie było gdzie, dwa – nie miałem nawet takiego zamiaru. Na pokładach wciąż panował ruch, tu i ówdzie przechodzący w rozgardiasz, zewsząd unosił się zapach, który dobrze pamiętałem ze Stutthofu.

Czy dziesięć tysięcy istnień ludzkich, w tym i ja, to wystarczająca zapłata za całe zło, które uczyniono? – zastanawiałem się. Czy za zbrodnie swych mężów, braci, synów i ojców powinny płacić kobiety, dzieci i staruszkowie, bo i tych setki, jeśli nie tysiące znajdowały się na sunącym w mroku po Bałtyku motorowcu?

Nie, nie można dłużej czekać. Zbliżyłem się do zalodzonego relingu i nie bez wysiłku postawiłem na nim walizkę. Wstrzymując oddech, położyłem kciuki na zamkach...

W tym samym momencie usłyszałem głuchy trzask, zaraz potem poczułem potężne szarpnięcie. Po chwili rozległ się kolejny huk, tym razem o wiele głośniejszy. I jeszcze jeden, z drugiej strony, jakby bliżej rufy. Zaczęły wyc syreny alarmowe. Ludzie budzili się, nie wiedząc, co się dzieje. Mroźne powietrze mieszało się z dymem. Wybuchła panika. Zbliżała się śmierć.

Patrzyłem na to wszystko z otwartymi ustami. Nie z przerażenia, lecz zdumienia. Bo oto ktoś wyręczył mnie w mojej misji...

Byłem jednym z niespełna tysiąca uratowanych z Gustloffa przez niemiecki torpedowiec T-36. I znów nie wiem, i pewnie nigdy się nie dowiem, jakim sposobem czyjeś ręce wyciągnęły się akurat po mnie, dryfującego w kamizelce ratowniczej w lodowatej wodzie i tracącego już świadomość.

Ja, Jan Keller, przeżyłem gehennę Wilhelma Gustloff, jak i, w co ciężko mnie samemu było uwierzyć, całą wojnę. Wiosną 1945 roku wróciłem do Gdańska i ponownie to ukryłem. Tym razem, w co głęboko wierzę, już na zawsze.

Ledwo pozbyłem się walizki, usłyszałem ten głos.

– Janek?

Tym razem poznałem go od razu. To była moja Maria! Wróciła z Ravensbrück.

Chyba wyczerpałem w tym życiu limit łask i cudów – pomyślałem wtedy. Jednak odtąd już nic więcej się nie liczyło.

Piszę te słowa, a na zewnątrz zakwitają drzewa. Wojna się skończyła. Wierzę, że takie słowa, jak Stutthof, Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück, czy Wilhelm Gustloff, Steuben czy Goya na dobre przekonają następne pokolenia, żeby nigdy więcej już nie występował jeden przeciw drugiemu, choćby różniła ich narodowość, kolor skóry czy religia.

KSIĘGA DRUGA

ARCANUM

LI

Gdańsk, dzień piąty

Było kilka minut po północy, kiedy Artur Matejuk zamknął okładki diariusza Jana Kellera. Siedząca naprzeciwko niego blondynka przyglądała mu się pytająco. Mimo późnej pory, kawiarnia nad Motławą, w której siedzieli, jeszcze działała; zajętych była tylko jedna trzecia stolików, nowi goście nie przychodzili, więc obsługa mogła mieć nadzieję na dłuższy sen tej nocy.

– Coś jeszcze państwu podać? – zapytała kelnerka.

Pokręcili głowami. Gdy dziewczyna się oddaliła, komisarz Matejuk jeszcze raz, najdelikatniej jak tylko potrafił, otworzył brulion i spojrzął na pierwszą, pożółkłą kartę.

– Zdziwiałające – mruknął pod nosem.

Lauder ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową. Cieszyła się, że policjant, jak się okazało, znajomy Horna, nie wierzył w jego winę i obiecał czuwać nad sprawą. Wysłuchał też wszystkiego, co do tej pory im się przydarzyło: od momentu odebrania szczątków Kopernika z zakładu medycyny sądowej w Olsztynie po dokonanie niezwykłego odkrycia w wieży kościoła Mariackiego w Gdańsku.

Antropolożka bała się co prawda, że zostanie potraktowana jak ktoś, kto widział UFO i chce o tym koniecznie komuś opowiedzieć, czego efekt jest zawsze taki sam. Na szczęście nieznajomy wysłuchał jej z uwagą. Potem

przeczytali półgłosem – za mało było bowiem czasu na indywidualną lekturę, a i jak najszybsza potrzeba zaspokojenia ciekawości wygrały z koniecznością zachowania tajemnicy – znaleziony w murach kościoła dziennik.

– A jak właściwie do niego trafiliście? – zainteresował się policjant.

Monika sama nie wiedziała, co tak naprawdę kazało im ruszyć wtedy z kościoła świętych Janów w Toruniu do Gdańska. Kaplica świętej Barbary, do której się udali, jest bogato zdobiona, ale Horn patrzył nie na ściany, gdzie wisiały obrazy, ale pod nogi. Nie na żyrandol w kształcie kotwicy ani motywy marynistyczne na obrazach, lecz na posadzkę, gdzie leżała kamienna płyta nagrobna niejakiego Bertolda Segebortha z Lubeki, zmarłego w Toruniu w tysiąc czterysta sześćdziesiątym siódmym roku.

Tyle wynikało z notatek, które wcześniej znaleźli w internecie i z których korzystali. Było więc pewne, że płyta leżała w tym miejscu w czasach Kopernika. Problem w tym, że wszystkie łacińskie napisy były tak zatarte, że niemal nie dało się z nich nic odczytać.

– Wtedy Tomasz zauważył coś dziwnego – powiedziała Monika, kreśląc jakieś znaki palcem na blacie stołu. – Coś, co przypominało znak Gwiazdozbioru Bliźniąt, rodzaj kolumny z dwoma wygiętymi łukami. Wyżłobienie było jednak nieco głębsze niż reszta, a zatem młodsze. Podobnie jak znajdujący się poniżej tekst w języku niemieckim:

Wo ist Flaschbinder, Dichter und Säufer, geboren.

Ihr Kopf in den Wolken.

Am Nacken – ein Zeichen.

Da findest du die Antwort.

Matejuk usiłował zrozumieć, ale nie dał rady. Czuł, że dziewczyna i tak zaraz przetłumaczy mu wskazówkę na polski.

– „Gdzie urodził się Flachs binder, poeta i opój. Głowa jej w chmurach. Na karku znak. Tam znajdziesz odpowiedź” – wyrecytowała.

Znała zdanie na pamięć. Tak jak pamiętała dokładnie niemal każdą sekundę poprzedniego dnia, włącznie z przerażeniem, którego powodem było włamanie do jej mieszkania na Rubinkowie i splądrowanie go. Tamci dwaj wciąż nie dawali za wygraną.

Zbliżało się południe, kiedy Monika, Tomasz Horn i rycerz Gniewomir pruli autostradą A1 w kierunku Gdańska.

– Czemu akurat do Gdańska? – uprzedziła pewne pytanie Matejuka. – I kim był ów Flachs binder?

– Nie mam pojęcia.

– Jeszcze podczas drogi połączyliśmy się z internetem – ciągnęła Monika. – Taki pseudonim nosił nie kto inny jak Jan Dantyszek, biskup warmiński, dyplomata i poeta, niegdyś serdeczny przyjaciel Mikołaja Kopernika, potem pryncypał, chcący obłożyć go ekskomuniką za rzekome życie intymne ze służącą. Dantyszek, jak samo nazwisko wskazuje, przyszedł na świat w Gdańsku, w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym. Tyle powiedziała nam nasza wiedza, wsparta przez internet. Kopernik, zostawiając w kamieniu znak potomnym, zemścił się na swoim wścibskim biskupie, nazywając go opojem, co zresztą, patrząc na wizerunek Jana Dantyszka, mogło być prawdą...

W Gdańsku od razu skierowali się ku Głównemu Miastu i kościołowi Najświętszej Marii Panny, co było zresztą wynikiem wcześniejszej ożywionej dyskusji.

Czyja głowa była w chmurach? Najwyższymi budowlami Gdańska okresu renesansu była bazylika i ratusz staromiejski, obie jednakże zniszczone w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Bazylika jednak chyba najbardziej ze wszystkich zabytków miasta oparła się

wojennej zawierusze. Nie miała całej wieży, ale, patrząc na zdjęcia z tego roku, zachowała jej dolną część.

– Kark! – rzucił Matejuk, a Monika uśmiechnęła się tajemniczo.

Kupili bilety jak zwyczajni turyści, weszli na klatkę schodową, ale skierowali się w dół zamiast do góry. Ku miejscu, skąd wyrastała szyja. „Na karku znak”. Tylko jaki?

Ostatnim zmiennym znakiem zodiaku była Panna. Nic jednak, prócz kurzu, pajęczyn, ptasich odchodów i jakichś śmieci, rzuconych z góry przez turystów, nie znaleźli. Szli coraz wyżej, mijani przez innych turystów, spieszących się na punkt widokowy na szczycie wieży.

– Tak trafiliśmy na drzwi w murze – powiedziała Monika. – Były wąskie i niskie, typowe średniowieczne drzwiczki. Odruchowo nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły. Za nimi znajdował się wąski, ciemny i sklepiony łukowato korytarzyk. Włączyliśmy latarki i weszliśmy do środka. Korytarz nie był długi. Niestety, był też ślepy. Dokąd prowadził kiedyś, nie wiadomo. Już mieliśmy wrócić, kiedy Tomasz coś zauważył.

– Symbol Panny!

– Za dobrze by było – mruknęła z przekąsem. – Na jednej ze ścian były wymalowane białą farbą trzy symbole: A, ale bez poprzeczki, cyfra 3 oraz V.

Artur Matejuk narysował wszystkie symbole na serwetce, by za chwilę niemal krzyknąć:

– Lew. Po rosyjsku! Jakaś pozostałość po czerwonarmistach. Oni rabowali wszystko, co wpadło im w ręce. Może któryś się podpisał pod swoim dziełem...

Lauder popatrzyła na towarzyszącego jej policjanta powiększonymi ze zdziwienia oczami.

– Lew, ale nie do końca – powiedziała po chwili. – To znaczy niezbyt poprawnie.

– Nie?

– Zdążyłam się jeszcze uczyć tego języka w szkole i wiem, że lew pisze się przez „ie”, a tutaj jest „e”. Wciąż szukaliśmy Panny i... to była panna.

– Nie rozumiem.

– A3V oznacza jedną z gwiazd Gwiazdozbioru Panny, Heze.

– Nie rozumiem.

– To jej typ widmowy.

– W ten deseń... A jak na to wpadliście?

Monika Lauder jakby nie dosłyszała pytania.

– Zaczęliśmy obstukiwać ścianę pod napisem i obok – opowiadała. – Różnica była wyraźna, dlatego po dokładniejszym przyjrzeniu się w spoiwie cegieł zaczęliśmy kuć.

– Dewastowanie zabytku – skwitował policjant. – Nie pamiętam tylko numeru paragrafu...

– W płytkiej i wąskiej niszy znajdowała się skrzynka, a w niej ten zeszyt. Co się działo dalej, widziałeś już na własne oczy.

Zamilkła. Długim Pobrzeżem przechodziło jakieś podchmielone towarzystwo i śmiało się głośno.

– Co dalej? – zapytał Matejuk.

Antropolożka znów uśmiechnęła się tajemniczo.

– Rozumowanie Jana Kellera sprzed kilkudziesięciu lat – ciągnęła z nowym zapalem – zbiega się z naszym rozumowaniem, a to oznacza, że droga, którą pokonaliśmy, była właściwa. Jest pewne, że ktoś, nawet znamy jego nazwisko, dokonał tego samego odkrycia i przebył tę samą drogę. Tylko że przecież nie Kopernik ukrył dziennik Jana Kellera! A zatem

można powiedzieć, że Keller nas ubiegł. Co zrobił ze znaleziskiem? Ukrył? Zniszczył? Czy to coś, o czym pisze, jest właśnie tym, co miał w ręku słynny astronom? No i przede wszystkim co to takiego?

– Co może być większego od odkrycia, że Ziemia kręci się wokół Słońca? – stwierdził komisarz nieco górnolotnie.

– Może to, jak ją... unicestwić?

– Jaką „ją”?

– Mam na myśli Ziemię.

– Brzmi groźnie.

– I pewnie takie jest.

– Kopernik był przecież tylko księdzem i astronomem – zauważył policjant.

– Tylko, a może aż. Nie zapominaj, że był też sprawnym strategiem...

LII

Braunsberga, 4 stycznia 1520 roku

Nad biskupią Warmią powoli wstawał dzień. Kolejny dzień niezwykle mroźnej i srogiej zimy, którą siła jakaś zesłała na ów kraj niewielki, kształtem podobny nieco do worka, u wód Zatoki Świeżej uwieszony, na bagnach i lasach Kurpi się opierający.

Krętą, ośnieżoną drogą między łagodnymi wzgórzami podążał niewielki oddział konnych. Na jego czele powiewała chorągiew z herbem biskupa warmińskiego – wizerunkiem baranka z pastorałem. W asyście kilku zbrojnych jechali konno dwaj posłańcy biskupa Fabiana Luzjańskiego: archidiakon Jan Sculteti oraz kanonik Mikołaj Kopernik. Jechali do Braunsbergi z misją, której stawką był pokój, po wielu latach znów zakłócony przez Krzyżaków.

Nie udało się tym razem zachować biskupowi Fabianowi neutralności Warmii w odwiecznym konflikcie polsko-krzyżackim, na co tak liczył. Zakon Najświętszej Marii Panny osłabiony po Grunwaldzie i zawartym rok później pokoju w Toruniu, wyniszczony wojną trzynastoletnią z królem Kazimierzem, zakończoną kolejnym pokojem toruńskim, zawartym w tysiąc czterysta sześćdziesiątym szóstym roku, wciąż podnosił głowę.

Od kiedy wielcy mistrzowie krzyżaccy zaczęli odmawiać składania hołdu lennego władcom Polski, a nienaruszalność granic Korony była co chwilę łamana, zaczęto coraz głośniej mówić o nowej wojnie. Nie pomogły

wydane w tysiąc pięćset piątym roku przez papieża Juliusza II brewe, które nakazywały Krzyżakom złożenie hołdu królowi Aleksandrowi. Wkrótce zresztą owe dokumenty z czerwoną pieczęcią z Pierścieniem Rybaka okazały się jeno nic niewartymi kawałkami pergaminu, biskup Rzymu bowiem z niewiadomych przyczyn brewe wycofał.

A Krzyżacy zwąchali się nawet z Moskalami, by zaatakować Polskę, a Wielki Mistrz Albrecht von Brandenburg-Ansbach, zwany Hohenzollernem, który nigdy nie krył się, że dąży do ponownego wzmocnienia potęgi Zakonu, zażądał od króla polskiego zwrotu Prus Królewskich, Warmii, a także wypłacenia odszkodowania za pół wieku okupacji.

Wojna była już wtedy pewna. Tysiące zbrojnych pod polskim hetmanem Firlejem ruszyły na północ, umacniano fortyfikacje Gdańska i Torunia, a wkrótce polscy kaprzy zaczęli się przygotowywać do blokad krzyżackich portów na Bałtyku.

Pierwszego stycznia tysiąc pięćset dwudziestego roku Krzyżacy zdobyli Braunsbergę, naruszając tym samym neutralność Warmii. Była nadzieja, że wezwany do odstąpienia od złych zamiarów i opuszczenia miasta, Albrecht posłucha i Warmię ominie kolejna wojna.

– A pamiętasz, Mikołaju, tę noc, kiedyśmy wracali z sejmu w Piotrkowie? – zagadnął w pewnej chwili Jan Sculteti. Archidiakon dotąd wydawał się drzemać na koniu, opatulony szczelnie w futra i skóry, więc to pewnikiem słońce, które właśnie wychynęło zza pagórka, otrzeźwiło go.

Jadący obok Mikołaj wzdrygnął się na samo wspomnienie tamtego wydarzenia.

– Tak, pamiętam, jakby to było wczoraj, mój drogi Janie – odpowiedział po chwili.

– Nieraz zastanawiałem się, kim mogli być tamci zbójcy. Przecież żaden z nich nie wyglądał na pospolitego zbirą.

– Czy to ważne po tylu latach?

– Wiem, że nie. Proch i pył. Ale pamięć pozostaje. Kim byli? Ja ci powiem, kim byli!

– Tak?

– Siepaczami opłacanymi przez króla Zygmunta, którzy mieli nas napaść i wybić co do nogi jako pospolici zbójcy.

– Niedorzeczność!

– Żadna niedorzeczność, Mikołaju. To tacy kaprzy, tylko działający na łądzie. Ot, co myślę. Tak to zawsze było, jest i będzie, gdyś wybrał życie między dwiema potęgami, jak między młotem a kowadłem.

– Taki już nasz los, los kanoników, przyjacielu.

– Dlatego wątpię, czy w Braunsberdze cokolwiek uda nam się ugrać. Szczerze w to wątpię, mój Mikołaju.

Kopernik nic nie odpowiedział. Słowa Sculetiego sprawiły, że jeszcze bardziej się zasepił. Nie chciał tego mówić głośno, ale myślał bardzo podobnie jak archidiakon. Bywały dni, kiedy życie stawało się nie do zniesienia.

Wiele lat i zim upłynęło, odkąd utracił Aidę. Wiele razy usiłował zrozumieć, co wtedy, nocą, w porcie fromborskim właściwie zaszło. Jednak za każdym razem dochodził do innych wniosków. Szukał w tym swojej winy i, owszem, zawsze udało mu się ją znaleźć.

Jedna rzecz trzymała kanonika fromborskiego przy życiu – jego pasja: niebo i gwiazdy, których obserwacji nie potrafił zarzucić, i jedynie wojna, która właśnie wybuchła, była w stanie odciągnąć Mikołaja od jego obserwacji. Księga, w której miał zamiar zawrzeć wszystkie wnioski, rozrastała się. Teraz jednak została daleko.

Decyzją biskupa Fabiana on i Jan Sculteti ruszyli z misją do Braunsbergi. Mieli żądać od Albrechta natychmiastowego oddania miasta. Nie byli pewni, czy za swoje słowa nie zapłacą aby głowami, ale taki już los posłów.

Zmierzchało, gdy konni dotarli do bram pierwszej stolicy biskupstwa warmińskiego, miasta Braunsbergi, z polska zwanego Braniewem, położonego u ujścia rzeki Pasłęki. Wpuszczono ich co prawda do środka, ale już za mury ratusza, gdzie zatrzymał się Wielki Mistrz i skąd władzę trzymał, pozwolono wejść tylko posłom biskupa Luzjańskiego.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się Jan Sculteti, Mikołaj zaś płytkim ukłonem dołączył się do pozdrowienia.

– Na wieki wieków. Amen – odpowiedział mistrz Albrecht.

Siedział sam w największej sali obrad rady miejskiej, na krześle zajmowanym zwykle przez burmistrza miasta, rozparty niczym cesarz. Bawił się czarną, szpiczastą brodą. I pewnie czuł się jak wielki władca po łatwym zdobyciu Braunsbergi, mając oto u swoich stóp dwóch kanoników, proszących o zaprzestanie dalszych ataków w imieniu pana swego, biskupa.

Lat miał Albert niespełna trzydzieści, ale już od dziewięciu pełnił honory Wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego. W ciągu tego czasu dał się poznać bardziej jako monarcha niż mnich, pan z licznym dworem. I nie była w stanie zmienić tego stanu rzeczy nawet jego niedawna pielgrzymka do Świętej Lipki, gdzie szedł piechotą szmat drogi.

Jako zwierzchnik zakonu ośmielił się zlikwidować urzędy wielkiego szpitalnika i wielkiego szafarza. I właśnie zaatakował kraj swojego... wuja – Zygmunta I Starego, bowiem był synem Zofii Jagiellonki, córki Kazimierza Jagiellończyka, ojca aktualnego pana na Wawelu.

– Z czym przyszłście, bracia? – zapytał po dłuższej chwili milczenia, utkwivszy w postach przenikliwe, zimne spojrzenie.

Pierwszy zabrał głos archidiakon Jan.

– W imieniu pana naszego, biskupa Fabiana Luzjańskiego, żądamy, abyś, panie, oddał jak najszybciej miasto Braunsbergę i wycofał się z Warmii – wyrecytował mocnym głosem.

Przez twarz Krzyżaka przebiegł cień, prawa dłoń, leżąca na rzeźbionej poręczy krzesła, zadrżała. Zauważył to Mikołaj.

– Wcale nie najechałem ziem kapituły warmińskiej, drodzy kanonicy – rzekł spokojnym głosem. – Jestem tu, a wraz ze mną moi rycerze, z polecenia papieża, aby ich bronić przed Polakami.

Tupet ma ten Niemiec, nie ma co! – ocenił w myślach Mikołaj. Jan spojrzał kątem oka na Kopernika, ten jednak przez cały czas zachował kamienną twarz.

– Mam nadzieję – ciągnął Brandenburg-Ansbach – że biskup Fabian, jak dobry chrześcijanin i poddany papieża, odda moim wojskom wszystkie punkty umocnione, aby do zalewu pogańskiej zarazy społem nie dopuścić. Czyśmy się zrozumieli, drodzy kanonicy?

– Tak – odparł milczący dotąd Mikołaj. – Zrozumieliśmy się doskonale, wasza łaskawość.

– Wystawię wam w takim razie glejt podróżny w obie strony – rzekł Albrecht.

– Glejt podróżny w obie strony? – powtórzył jak echo astronom.

– Oczekuję, że wkrótce znów się zobaczymy, a wy przyniesiecie mi dobre wieści od biskupa Fabiana – wyjaśnił z uśmiechem Albrecht, po czym zaklaskał w dłonie i spojrzał w bok.

Mikołaj Kopernik i Jan Sculteti pochylili jednocześnie głowy.

– Idźcie w pokoju Chrystusa.

Za ich plecami zgrzytnęły otwierane drzwi. Audiencja była zakończona, jak przewidywali obaj wcześniej, niepowodzeniem. Mieli co prawda glejt, co jednak nie mogło zagwarantować, że w ciemnym korytarzu nie spadnie na ich karki ręka uzbrojona w sztylet. Znali przecie nie od dziś rycerzy w białych płaszczach i ich metody...

Kilka dni później na własne oczy przekonał się doktor Mikołaj, na czym ma polegać służba papieżowi. Kiedy wrócił do Fromborka, miasto jeszcze się paliło. Splądrowano je niemal doszczętnie, część ludności uciekła, los innych tłumaczyły liczne krzyże tkwiące krzywo w ziemi i usypane naprędce kopczyki. Oto Krzyżak, choć nieraz już pobity, znów pokazał, czym jest dlań chrześcijańska miłość bliźniego i jak znajduje swoją służbę papieżowi.

Mikołaj ze łzami w oczach patrzył na miasteczko, w którym przeżył tyle lat. Kanonicy również zmuszeni byli opuścić Katedralne Wzgórze i wraz ze skarbcem przenieść się do Olsztyna.

Mijały kolejne tygodnie i miesiące. Nastąpiła wiosna, potem przyszło lato. Na olsztyńskim zamku niecierpliwie oczekiwano doniesień z pól bitew i oblężonych miast – tak warmińskich, jak i krzyżackich. Braunsberga wciąż pozostawała pod panowaniem zakonnym, choć próbował ją odbić rycerz przedni i strateg Janusz Świerczowski ze swymi oddziałami.

Pod koniec marca Polakom udało się zdobyć Marienwerder, miesiąc później padł Pruski Holland. To już nie były niewinne harce, jak wielu sobie roiło, a poważny konflikt, w którym nie wahano się użyć ciężkiej artylerii, ściągniętej z dalekiego Krakowa. Niejednoznaczne dość wieści dochodziły za to z północy, gdzie gdańszczanie nacierali na krzyżacką Bałgę i Memel.

Ale i wojska Albrechta nie pozostawały dłużne, uderzając w lipcu na Mazowsze, podczas której to eskapady najbardziej ucierpiała północna część regionu. Miesiąc później, ku rozpaczy biskupa Fabiana, walki znów przeniosły się na Warmię. Albrecht zaatakował Heilsberg, jednak nie udało mu się go zdobyć.

W tym samym czasie na zachodnich rubieżach Rzeczypospolitej stanęła armia krzyżacka, którą dowodził Wolf von Schönberg i która rychło zajęła Wałcz, Chojnice, Tczew, a także Starogard, by z początkiem listopada stanąć u bram samego Gdańska.

Szala zwycięstwa co kilka tygodni, a nawet co kilka dni przechylała się to na jedną, to na drugą stronę, przy czym zarówno Krzyżacy i ich sojusznicy, jak i wojska zaciężne, walczące po stronie Zygmunta Starego, jednakowo rabowały polskie, a przede wszystkim warmińskie miasta i zamki. Także i Polacy schylali się po leżący złoty denar, który wypadł z biskupiej kiesy. Wkrótce padły kolejne miasta, podległe Fabianowi Luzjańskiemu: Dobre Miasto, Orneta.

Krzyżacy triumfowali. Z nastaniem jesieni blady strach padł na mieszkańców Olsztyna i kanoników, którzy schronili się w murach tamtejszej warowni.

Ósmego listopada tysiąc pięćset dwudziestego roku jeden z nich został mianowany administratorem Olsztyna. Był nim Mikołaj Kopernik, który urząd ów pełnił po raz drugi w swoim życiu. Kanonik, lekarz, znający się na gwiazdach i na pieniądzach.

Ale czy okaże się równie dobrym żołnierzem i wytrawnym strategiem? Czy uda mu się obronić zamek w zakolu Łyny, gdzie ukryto skarb kapituły, i miasto przed hordami Albrechta?

– Potrzeba nam zapasów zboża, mięsa, a przede wszystkim amunicji. Mamy tylko kilka hakownic, a i tak nie każdy potrafi z nich wystrzelić –

zastanawiał się głośno Mikołaj, kiedy z rajcami miejskimi spotkał się w ratuszu, aby omówić sytuację i wynikające z niej zagrożenia.

Rajcowie Olsztyna nie mogli się z nim nie zgodzić, tym bardziej iż, jak wieść niosła, kanonicy wcale nie palili się, by finansować obronę miasta. Mówiło się wręcz, że prędzej przeniosą skarbiec w jeszcze inne, bezpieczniejsze miejsce, niżli wyciągną z niego choćby denar więcej niż potrzeba, aby umocnić mury ciągnące się wzdłuż rzeki.

– Przydałyby się bombardy – powiedział jakby do siebie kanonik-administrator i te słowa bez trudu udało się usłyszeć przedstawicielom mieszkańców grodu.

– To doskonały pomysł, czcigodny księżu kanoniku – odpowiedział któryś.

Mikołaj potoczył smutnym wzrokiem po zgromadzonych. Wiedział dobrze, że o zakupie bombard można jeno pomarzyć. A Krzyżacy, owszem, popierani przez możnych zachodniej Europy, walczący z imieniem Jezusa Chrystusa na ustach i z papieskim błogosławieństwem – mogli je mieć, najlepsze, najnowocześniejsze, bo z brązu odlane. I za ich pomocą w kilka chwil zburzyć mury olsztyńskiego zamku.

Ci ludzie mi ufają – pomyślał, choć wcale nie z dumą i radością, a raczej ze smutkiem, może nawet przerażeniem. No bo co będzie, jeśli nie uda się obronić murów, jak stało się w tylu innych miastach, i Krzyżacy zdołają wdrzeć się do środka?

Tymczasem rok tysiąc pięćset dwudziesty zmierzał już ku końcowi. Na następny patrzono z największymi obawami. Także i Mikołaj nie był od nich wolny. Równy rok minął od chwili, gdy wraz z Janem posłowali do Braniewa zdobytego przez Albrechta i z nim samym gadali. Od tego czasu wydarzyło się bardzo wiele złego. Ale każda wojna musi się przecie kiedyś skończyć.

LIII

Gdańsk, dzień piąty

Tomasz Horn usiadł na pryczy. W ustach poczuł nieprzyjemny posmak. Potarł dłońmi twarz. Miał kilkudniowy zarost.

Obudził się chwilę temu i nie miał najmniejszych problemów z przypomnieniem sobie, co się stało ani gdzie jest. Współlokator leżący na górnej pryczy przewrócił się na drugi bok i zachrapał. Dziennikarz ani przez sekundę nie miał też wątpliwości, czy to jawa, czy sen. Po raz drugi od niespełna tygodnia budził się w środku nocy w policyjnym areszcie. Dobrze, że matka i ojciec tego nie widzą – pomyślał.

W jednej chwili zachciało mu śmiać do rozpuku i płakać jak dziecko. Ani jedno, ani drugie nie wchodziło jednak w tej chwili w rachubę. Kolega spod celi wyglądał na porządnego gościa, ale każdy może się zeźlić, kiedy mu zakłócają święty sen.

Słodycz odkrycia, najwspanialszy moment, kiedy poszukiwacz skarbów, wiedziony niejasnymi znakami i mglistymi wskazówkami, dociera na miejsce, w tym wypadku do kościoła Najświętszej Marii Panny w Gdańsku, została Hornowi odebrana szybko i brutalnie – jednym zdaniem wypowiedzianym przez wymoczkę w garniturku, jak się okazało, prokuratora.

Oskarżenie o morderstwo?! Jakie morderstwo?

Nie dochodziło to do niego tak mocno wtedy, kiedy siedział na posterunku we Fromborku, jak teraz i tutaj. Może dlatego, że dołożą mu kilka lat za ucieczkę i ukrywanie się.

Czy Monika też siedzi? – zastanawiał się. Pomaganie zbiegowi podlega karze więzienia, zdaje się, do lat pięciu – przypomniał sobie formułkę, którą pamiętał z dzieciństwa, gdy zawsze na samym końcu Dziennika Telewizyjnego, jeszcze przed sportem i prognozą pogody, pokazywali zdjęcia poszukiwanych przez milicję zbirów i ostrzegali przed udzielaniem im pomocy. Przy całej tragiczności i powadze sprawy, były to zawsze najciekawsze wiadomości.

Horn uniósł głowę. Za zakratowanym gęsto okienkiem robiło się już szaro. Aż zatrzęsł się ze strachu. Poczul się tak, jakby dzień, który się właśnie budził, miał być jego ostatnim. I za chwilę z więziennego podwórka miał dość stukot młotków...

Otulił się szczelnie kocem, oparł plecami i głową o ścianę z plakatem jakiejś rozebranej lali i starał nie patrzeć w okienko. Po chwili jego myśli powędrowały w stronę postrzelonego Gniewomira. To niesamowite, że przez ten cały czas współpracował z tamtymi. Ciekawe, dlaczego to robił. No i czy rana jest poważna, czy wyżyje? Potem pomyślał o Arturze Matejuku, znajomym gliniarzu z Kwidzyna. Co on tu właściwie robił? Czy wierzy w winę Horna, a jeśli nawet nie, to czy będzie w stanie cokolwiek pomóc? W tej sprawie i w sprawie dalszych poszukiwań. Cholera wie, co ważniejsze. Mówią, że wszystko jest względne i że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. To prawda, szczególnie gdy siedzisz na policyjnym dołku z tak poważnym zarzutem jak morderstwo.

Mężczyzna na górnej pryczy znów przewrócił się z boku na bok, aż zatrzęszczały sprężyny. Tym razem jednak zamiast chrapnięcia rozległo się zdrowe mlaśnięcie.

Musi być wprawionym w bojach, skoro tak dobrze mu się śpi – ocenił Horn. Sam mało spał, choć nie z powodu łóżka – przespał na podobnym „wozie” kilka miesięcy podczas krótkiego epizodu w Wojskowej Akademii Technicznej i zawsze wypoczywał świetnie. Kto by pomyślał, że kiedyś przyjdzie mu spać na takim łóżku w pierdlu...

Czymże były, w porównaniu z tym, co go spotkało, szkolne przewinienia? A przecież dorosłe życie ze wszystkimi konsekwencjami wyborów zaczęło się naprawdę. Dawno temu!

Zawsze dostawał gęziej skórki na samą myśl o więzieniu. Czym miałyby się zająć człowiek aktywny, który nie wyobrażał sobie dnia bez wyjścia z domu? Jak miałyby egzystować skazany na godzinę spacerniaka dziennie i celę dwa na trzy? O co poprosiłby, żeby nie zwariować? Czy posiadanie laptopa i internetu do kontaktu ze światem byłoby jakimś wielkim przywilejem?

– Biblię – doszło nagle z góry.

Horn wstrzymał oddech. Musiał się przesłyszeć. Przecież tamten spał w najlepsze, przynajmniej jeszcze przed chwilą. A on tylko myślał. Chyba że ostatnie słowo bezwiednie wypowiedział na głos.

– Czytaj Biblię, przyjacielu – powtórzył sąsiad z góry.

– Biblię?

– Tam znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania. Czytasz Biblię?

Głos tamtego był wyraźny. Na pewno nie było to gadanie przez sen. Pytanie zawisło gdzieś w połowie dystansu dzielącego obie skrzypiące prycze.

– Tak, tak. Czasami – odpowiedział Horn przez ściśnięte gardło, a następnie wyteńczył wszystkie zmysły, a nawet lekko wychylił się, żeby lepiej słyszeć.

Był gotowy na dalszą rozmowę. Wiedział, że pod celą nie wolno być mrukiem. To jedna z zasad: jak pytają, to odpowiadaj. I gdy idziesz do bardaszki, poinformuj, łaskawco, co masz zamiar tam robić.

Jednak człowiek leżący na górnej pryczy nic więcej nie powiedział.

LIV

86 mil morskich od Rozewia, dzień piąty

Porwany frachtowiec See Atlantic, na którym wciąż powiewała maltańska bandera, znajdował się na wodach międzynarodowych, a nad jego położeniem czuwano na mostku kapitańskim w dzień i w nocy.

– Wszystko pod kontrolą – zameldował Konradowi, który właśnie wkroczył na mostek kapitański, człowiek stojący nad pulpitem sterowniczym.

– Dziękuję – mruknął przybysz.

Przez kilka chwil Konrad, były funkcjonariusz enerdowskiej Stasi, dziś człowiek do wynajęcia, przyglądał się urządzeniom znajdującym się na pulpicie sterowniczym, by następnie przenieść wzrok na zewnątrz, choć było tam widać niewiele. Dzień dopiero wstawał, a i tak wszystko otulała szczelnie mgła, tak gęsta, że nie było widać nawet pokładowych dźwigów.

Żaden z mężczyzn znajdujących się w tej chwili na mostku nie zauważył, że do prawej burty statku dobija właśnie duży ponton z silnikiem. Nie był też słyszalny, choć jego silnik pracował na rewersie. Pojawił się właściwie znikąd.

Po chwili dwa cienie zaczęły wspinać się po burcie frachtowca, mignęły w bocznych oknach mostka, niezauważone. Uchyliły się drzwi. Mężczyzna stojący przy pulpicie sterowniczym jednym ruchem przekręcił automat i wycelował go w stronę intruzów.

- W porządku! – powstrzymał go Konrad. – To nasi.
 - Cześć – przywitał się jeden z przybyszy.
 - Co się stało? – zaniepokoił się dowódca.
 - Budź natychmiast szefa.
 - Ale co się dzieje?!
 - Franz i Uve nie żyją.
 - Co?!
 - Zabiła ich gdańska policja.
 - Pewnie teraz Heinrich wezwie „Szczurołapa” – powiedział po krótkiej chwili Konrad.
-

Kilka metrów niżej Władysław Keller po raz nie wiadomo już który tej nocy przewracał się z boku na bok. Przyzwyczajony do niewygód dawno nie był jednak w sytuacji zmuszającej go do spania na twardej i zimnej podłodze. Ktoś życzliwy z załogi See Atlantic dał mu jakiś sweter, skądś udało się też wygrzebać jeszcze trochę starych gazet. Wszystko to musiało posłużyć byłemu komandorowi za posłanie. Nikt nie wiedział, na jak długo.

– Przestań chrapać, Franz, do kurwy nędzy! – ryknął któryś z leżących, w odpowiedzi na co ktoś, może był to rzeczony Franz, zachrapał jeszcze głośniej.

Keller poprawił sweter zwinięty pod głowę i zamknął oczy z zamiarem podjęcia jeszcze jednej próby zaśnięcia.

W pewnym momencie usłyszał, że ktoś się do niego skrada. Nie czuł strachu, w tym towarzystwie i miejscu czuł się bezpieczny jak nigdzie indziej. Co mi mogą zrobić, gdy siedzę? – mówiło się za komuny.

Uchylił lekko jedną powiekę i ujrzał przed sobą Marciulionisa.

- Śpi pan, komandorze? – zapytał szeptem, łamaną polszczyzną.
- Nie. – Keller uniósł głowę ze swetra-poduszki. – Co się stało?
- Pogadać chciałem.

Władysław Keller usiadł i oparł się plecami o jakąś rurę. Potarł oczy i prychnął. Były to jego stare, niezawodne sposoby na szybkie doprowadzenie się do stanu używalności, choćby po ogłoszeniu nocnego alarmu. Sekundę później mógł już być na nogach, gotowy do działania. Kiedyś. Teraz mógł tylko głęboko westchnąć.

Czego mógł chcieć ten Litwin? – zastanawiał się.

Kapitan Marciulionis widać dostrzegł zainteresowanie i zachętę w oczach starszego mężczyzny, bo już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle zachrobotał klucz w zamku. Drzwi ładowni otworzyły się gwałtownie, zapaliło się górne światło i do środka wpadło dwóch osiłków w czarnych kombinezonach z kominiarkami na twarzach.

Początkowo wydawali się nieco zdezorientowani, jednak głos zza ich pleców, głos kogoś niewidocznego z ładowni, pomógł im w dokonaniu właściwego wyboru. Po chwili dopadli siedzącego w kącie Władysława, szarpnęli go za ręce i pociągnęli.

– Wstawaj! – krzyknął któryś.

Keller nie stawiał oporu. Dowlekli go do drzwi. Stał w nich Henryk. Jego twarz wykrzywiały grymas złości. Bez jednego słowa uderzył brata w żołądek, potem w twarz. Bezwładne ciało komandora zawisło niczym worek między ramionami osiłków.

LV

Gdańsk, dzień piąty

Monika Lauder usiadła na hotelowym łóżku, obejmując ramionami podkurczone nogi. Zrobiło jej się zimno. A zaraz potem nieznośnie gorąco. Pamiętała dokładnie dźwięk świstających kul. Wystrzelonych z wiadomym zamiarem. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle uda jej się wyrzucić go z pamięci...

– Cholera! – zaklęła; zegarek, na który spojrzała, pokazywał kwadrans po ósmej.

W hotelowej restauracji wypła tylko kawę i porwała ze sobą jedną suchą, ale za to świeżutką bułkę. Znała Gdańsk jedynie z kilku wizyt, jeszcze podczas studiów, a także prac wykopaliskowych w dzielnicy Święty Wojciech.

Mimo to dotarcie do szpitala przy ulicy Kartuskiej nie nastręczyło jej problemów. Szybko znalazła oddział, gdzie leżał Gniewomir, o którego stan chciała się dowiedzieć, tym razem osobiście.

– Czy jest pani z rodziny? – zapytała pielęgniarka, mierząc ją wzrokiem.

– Tak – odpowiedziała twardo Monika.

Poinstruowana, ruszyła szpitalnym korytarzem. Nie przepadała za takimi miejscami, teraz jednak starała się o tym nie myśleć. Znalazła salę.

Rycerz leżał na łóżku. Był podłączony do jakichś urządzeń i miał obandażowaną lewą pierś i ramię. Był przytomny.

Na widok Moniki coś wymamrotał pod nosem i przymknął oczy.

– Dzień dobry – rzuciła dziewczyna, w sali leżało bowiem jeszcze dwóch pacjentów, a przy jednym z nich krzątała się pielęgniarka. – Jak się czujesz? – Zbliżyła się do Gniewomira.

– Dobrze – odpowiedział fromborski rycerz.

Monika przysunęła sobie taboret i usiadła. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, Gniewomir również milczał. W końcu jednak nie wytrzymał.

– Zmusili mnie do tego – powiedział niegłośno. – Powiedzieli, że podpalą mój obóz, a mnie samego przywiążą do samochodu i będą ciągnąć po lesie.

– Bardzo w klimacie – oceniła Monika.

– Kpisz sobie, a ja się naprawdę przestraszyłem. Myślałem, że skończy się na tym, że doniosę policji, gdzie siedzicie. Ale tak się nie stało. Wzięli mnie ze sobą do Lidzbarka, potem do Torunia. Ta szarpanina na Starym Mieście miała was do mnie przekonać.

– I przekonała.

– Mam za swoje. Oni też. – Gniewomir odwrócił głowę.

Monika Lauder wstała z taboretu i opuściła salę. Na korytarzu napatoczyła się na lekarza dyżurnego. Postanowiła grać do końca swoją rolę.

– Wyjdzie z tego – ocenił lekarz, stażysta przed trzydziestką, by szybko zastrzec: – Ale od nas to za co najmniej dziesięć dni. Może nawet dwa tygodnie...

Monika Lauder uśmiechnęła się z wdzięcznością, po czym ruszyła z powrotem. Teraz mogła ze spokojnym sumieniem zająć się czym innym, o czym nie przestawała myśleć. Zbliżała się dziesiąta. W nocy, rozstając się

z tym miłym komisarzem, umówiła się z nim w kościele Mariackim na jedenastą. Chciała być jednak na miejscu pół godziny wcześniej.

Dzwonek na wieży gdańskiego ratusza oznajmił okolicy, że do pełnej godziny zostało trzydzieści minut, kiedy antropolożka przekraczała próg największej świątyni. O tej porze trzeba było się wykazywać nie lada sprytem, aby nie zostać stratowanym przez tłum turystów, zdobywających kolejny zabytek na trasie wakacyjnych wędrówek.

Grupy kolonistów czy harcerzy, Japończycy albo emeryci z Niemiec – ich spotykało się najczęściej. Ale, co powtarzali przewodnicy (nawet w tej chwili Monice udało się złowić lewym uchem tę cyfrę), kościół Mariacki w Gdańsku, największa średniowieczna świątynia z cegły w Europie, mógł pomieścić od dwudziestu pięciu do nawet trzydziestu tysięcy ludzi!

W kościele znalazła się o wyznaczonej porze. Problem w tym, że nie umówiła się w żadnym konkretnym miejscu, co przy rozmiarach świątyni i zainteresowaniu nią było trochę niefrasobliwe. Za późno było jednak na kwękanie.

W razie czego stanę przed ołtarzem – postanowiła w duchu. Przynajmniej raz będę miała do tego okazję...

W kościele znajdowało się w tej chwili ledwo kilkadziesiąt osób: parę większych grup zorganizowanych, nad którymi unosiły się głosy przewodników, trochę ludzi kręcących się samopas. Migawki aparatów fotograficznych trzepotały niemal tak samo jak skrzydła zabłąkanych ptaków. W ławach, jak i przed bocznymi ołtarzami modliło się kilka staruszek. Ktoś krzątał się przy głównym ołtarzu.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku spłonęły dachy kościoła, większość sklepień runęła, a duża część wyposażenia uległa

częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu – mówił przewodnik do grupy dzieci. – Rekonstrukcję bazyliki ukończono w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, a wysokie hełmy narożnych wieżyczek odtworzono dopiero po roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Przejdźmy dalej.

Kilkadziesiąt par stóp zaszeleściło na kamiennej posadzce. W tym momencie Monika Lauder jakby ocknęła się z płytkiego snu.

– Dzień dobry – usłyszała nagle za plecami i odwróciła się szybko.

– Dzień dobry panu.

– Przepraszam za spóźnienie – odpowiedział mężczyzna, rozglądając się jednocześnie dookoła. – Musiałem jeszcze zajrzeć do naszego instytutu, mimo że wakacje.

– Rozumiem.

– Wyjdziemy na zewnątrz czy porozmawiamy tutaj? – Mężczyzna zatrzymał wreszcie wzrok, choć skupił się na stopach Moniki.

– Wolałabym zostać w kościele – odpowiedziała, po czym wskazała ruchem głowy na rząd krzeseł, ustawionych pod jedną ścian, w bok od tras zwiedzania i najmniej rzucających się w oczy. – O, może usiądziemy tutaj.

Podeszli do miejsca wskazanego przez dziewczynę. Mężczyzna był średniego wzrostu, około czterdziestki, ubrany w jasny, lniany, przez co nieco wygnieciony garnitur. Nosił okulary, w ręku trzymał zaś brązową teczkę, choć właściwsze byłoby określenie: ściskał.

– Co się panu udało ustalić, doktorze? – zapytała półgłosem.

W odpowiedzi człowiek nazwany doktorem sięgnął do teczki, skąd wydobyl niewielkie, metalowe pudełko, które następnie przekazał dziewczynie.

– Muszę przyznać, że w całej swojej praktyce naukowej nie spotkałem się z czymś tak dziwnym – powiedział. – Z początku byłem przekonany, że

fragment, który mi pani wczoraj wieczorem przekazała, to syderolit.

– Syderolit?

– Tak. To meteoryt kamiennie-żelazny, który tworzy się między metalicznym jądrem a krzemianową powłoką asteroidy. Jest silnie magnetyczny. Niestety, pierwsze wrażenie okazało się mylne, choć na tym etapie badań nie jestem w stanie stwierdzić nic więcej. Pewne jest natomiast, że fragment, o którym mówimy, jest pochodzenia pozaziemskiego.

– Czemu pan tak sądzi?

– Świadczy o tym przede wszystkim czarna skorupa obtopieniowa. W miarę upływu czasu skorupa taka ulega wietrzeniu, jednak w tym przypadku tak się nie stało, więc wygląda, jakby...Jakby meteoryt, z którego pochodzi, spadł niedawno.

– To niemożliwe.

– Nie wiem, nie wiem. – Naukowiec znów utkwiał spojrzenie w stopach dziewczyny. – Jest jeszcze inna rzecz, której nie potrafię wyjaśnić: brak regmagliptów.

Tym razem Monika nawet nie próbowała powtórzyć nazwy.

– Regmaglipt to charakterystyczne zagłębienie na ścianach meteorytu, które przypomina odciski palców w mokrej glinie, co jest wynikiem działania wirów powietrznych. Kiedy meteoryt przelatuje przez atmosferę, a robi to z początkową prędkością dwudziestu kilometrów na sekundę, jego prędkość zaczyna się gwałtownie zmniejszać, a wyzwolona w ten sposób energia zmienia się w ciepło, przez co ściany się stapiają. Niektóre z meteorytów nawet nie docierają do Ziemi.

– Co się z nimi dzieje?

– Mówiąc najprostszym językiem: wyparowują po drodze. W całości. Wiele wskazuje na to, że meteoryt, z którego pochodzi ten niewielki

fragment, jest lub był idealnie gładki. Możliwe jest też, że skumulował powstałą energię. Może to przypadek, ale temperatura w mojej pracowni podniosła się o kilka stopni, a staram się ją utrzymywać zawsze na jednakowym poziomie z pomocą klimatyzacji...

Przerwał. Z głębi kościoła dobiegł miarowy głos przewodnika albo księdza.

Monika przymknęła powieki. Podeszwy butów ludzi zwiedzających bazylikę szeptały każde swoją opowieść. Trzaskały migawki aparatów fotograficznych, ktoś usiłował zdusić telefon komórkowy, który zapomniał wyciszyć. Wszystko odbywało się jak co dzień: liturgia obcowania z kilkoma wiekami historii, zamkniętymi pod jednym dachem.

Kiedy ocknęła się z tego dziwnego stanu, naukowiec stał przed nią, miętosząc brzeg teczki.

– Muszę już iść – uśmiechnął się z wysiłkiem. – Przepraszam, że w tak niewielkim stopniu mogłem pomóc. Proszę pozdrowić serdecznie Tomasza, jak tylko wyzdrowieje. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Nic poważnego – powtórzyła jak echo, czerwieniąc się przy tym.

Wstała, uścisnęli sobie dłonie.

– Do widzenia.

Gdy mężczyzna się oddalił, Monika ponownie ciężko opadła na siedzisko krzesła. Potarła ręką czoło. Zaczynała ją boleć głowa. Zerknęła na zegarek. Za minutę jedenasta.

Dobrze, że udało się to szybko załatwić – pomyślała. Czas na refleksję na temat tego, co usłyszała, zostawiła sobie na potem, po spotkaniu z komisarzem Matejukiem. Swoją drogą dziwna cała ta sytuacja z przyjmowaniem kolejnych facetów w... kościele.

Wstała z miejsca i ruszyła w stronę bocznego wyjścia, gdzie miał na nią czekać Artur. Wzdłuż bocznych ołtarzy przesuwiała się właśnie wycieczka

Japończyków, przewodniczka z zapalem opowiadała o czymś w ich zabawnym języku. Zrozumienie choćby jednego słowa było rzeczą niemożliwą dla przeciętnego Europejczyka. Podobnie jak nic nie rozumiała Monika Lauder ze wskazówki, która została im, znalazcom pamiętnika, zostawiona.

Na samym końcu dziennika Jana Kellera, który poprzedniego dnia znaleźli w szkatule w wieży bazyliki, znajdowała się wskazówka, wyrysowana najprawdopodobniej tą samą ręką, która pisała pamiętnik. Było to dziewięć pól, powstałych w wyniku skrzyżowania dwóch linii poziomych i dwóch pionowych. Zupełnie tak samo wyglądało pole do prostej gry w kółko i krzyżyk. W tych dziewięć pól wpisano następujące znaki: w pierwszym rzędzie były to litery:

K I O

W drugim:

O S T

Natomiast na trzecim najniższym poziomie znajdowały się, patrząc od lewej, następujące symbole:

– II –

Pod szachownicą napisano tekst:

De Virtutis et Fortunae differentia Somnium

A pod nim cyfry:

95-96, 131-134

To wszystko.

Monika Lauder wyszła na zewnątrz. Przymrużyła oczy od słońca, właściwie musiała mocno zacisnąć powieki. Ujrzała czerwone, wirujące koła. Przypomniała sobie w tym momencie słowa doktora fizyki, znajomego Tomasza, któremu wczoraj przekazała znaleziony w szkatule, obok dziennika, zamknięty w mniejszym pudełku kawałek skały. Chcieli wiedzieć, co to jest.

– Meteoryt, meteor – aż musiała powiedzieć sobie to na głos, aby uwierzyć.

– *Confiteor Deo omnipotenti et vobis* – usłyszała nagle obok siebie.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała jakiegoś ogorzałego, brodatego starszego pana, przypominającego ojca Pio, który minął ją z uśmiechem, kierując się ku drzwiom bazyliki. Mężczyzna nie miał jednak na sobie mniszego habitu, ale wytarte dżinsy i koszulkę.

Kiwnęła mu głową z uśmiechem. Usunęła się też nieco w bok, w cień, żeby nie tarasować przejścia. Nagły chłód przyniósł otrzeźwienie.

Mikołaj Kopernik i meteoryt: to się przecież może trzymać kupy! – pomyślała i serce zaczęło jej żywiej bić.

Chwilę potem zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, skądś powiał chłodny wiatr i, to zdziwiło ją najbardziej, a także zaniepokoiło, zapachniało... najprawdziwszym śniegiem.

LVI

Allenstein, 15 stycznia 1521 roku

Mikołaj stał na szczycie wieży zamku, tuląc twarz w futrzany kołnierz płaszcza. Mrużył oczy od słońca. Mimo że świeciło dość mocno, nie było w stanie podnieść temperatury, i mimo że promienie padały pod ostrym kątem, bez trudu można było dostrzec dymy pożarów, podnoszące się z nad północno-wschodniego horyzontu.

– Są blisko, panie. Bardzo blisko – rzekł towarzyszący mu na wieży jeden z rajców olsztyńskich, Jan Klose.

Kanonik wiedział o tym dobrze. Śwąd spalenizny było czuć od wczorajszego wieczora, rychło na niebie pojawiły się łuny pożarów, co kazało wnosić, iż okrutny los spotkał podolsztyńskie wsie. Ile, nie wiadomo. Wysłani zwiadowcy jeszcze nie wrócili. O ich życie już zaczynały się martwić rodziny.

Mikołaj nakazał pełną gotowość, zamknął bramy, kazał podgrzewać smołę i wrzątek. Jego umysł matematyka pracował na najwyższych obrotach, a niemal każdy ruch ciała miał znaczenie.

Z dołu dobiegł tupot ciężkich butów. Ktoś wbiegał po schodach.

– Panie! Snellenberg zapytuje o dalsze rozkazy – wydyszał syn piekarza, z racji szybkich nóg, krzepy, ale niewielkiej postury pełniący na zamku rolę łącznika.

Kopernik zmarszczył brwi. Jeszcze raz spojrzął na czarny dym zasnuwający niebo, po czym odpowiedział piekarczykowi:

– Powiedz, że już schodzę.

Jeno Mikołaj i wspomniany Snellenberg zostali na zamku olsztyńskim. Na wieść o zbliżającej się armii pozostający tu od chwili przyjazdu z Fromborka kanonicy w pośpiechu opuścili gród nad Łyną.

Kopernik był administratorem komornictw w Olsztynie i Melzaku, za racji czego na co dzień zasiedlał puste włóki, dokonywał zapisów lokacyjnych, pilnował ściągania czynszów i danin, wiedział, ile drzew można wyciąć w którym lesie i za jaką kwotę sprzedać, sprawował władzę sądowniczą nad wszystkimi poddanymi kapituły, pilnował rajców i sołtysów, burgrabiów zamkowych i rybackich nadzorców.

Kiedy tylko pozwalał mu na to czas, sięgał Mikołaj po swoje instrumenty i patrzył w niebo, zapisując obserwacje tak na kartach pergaminu, jak i na jednej ze ścian zamkowego krużganka.

Teraz jednak musiał być ponad wszystko obrońcą i dowódcą. A jeśli trzeba – choć miał pod rozkazami stu zaciężnych polskich, drugie tyle Czechów pod dowództwem Peryka z Janowic, a w odwodzie siedmiuset jeźdźców pod czerwonymi chorągwiami z białym orłem i oplatającą go złotą literą S – choćby i ostatnim żołnierzem.

Mimo swych niemal pięćdziesięciu lat szybko i sprawnie zszedł z wieży, pokonał dziedziniec zamkowy. Nie ujrawszy nigdzie kanonika Snellenberga, ruszył ku wejściu na krużganek, pokonał schody i kilkanaście metrów wzdłuż wewnętrznych murów warowni, by wreszcie stanąć w drzwiach swojego mieszkania.

Znajdowało się ono w północno-wschodnim skrzydle budowli, w jednej dużej komnacie o pięknym, kryształowym sklepieniu oraz trzech oknach. Z dwóch z nich widać było zakole Łyny i młyn. Dalej, ku północy,

rozciągały się lasy. Z trzeciego okna można było patrzeć na dziedziniec zamkowy.

Miała komnata astronoma także troje drzwi: przez jedno z nich wchodziło się z krużganka, przez drugie zaś z komnaty urzędowej. Za trzecimi drzwiami, najmniejszymi, znajdowało się gdanisko. To na tych drzwiach spoczął w pewnym momencie wzrok kanonika. Wystarczyła chwila, żeby organizm zaczął domagać się uwolnienia od złogów.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Mikołaj wzniósł błagalne spojrzenie ku kryształowemu sufitowi.

– Wejdźcie – jęknął.

Skrzypnęły drzwi. Klamkę trzymał Snellenberg. Jego mina mówiła wiele.

– Przybyli posłańcy od Albrechta – oświadczył sucho.

– Gdzie są?

– Jeszcze przed Bramą Młyńską.

– Wpuścić.

Kilka pacierzy później dwaj rycerze w białych płaszczach, pod którymi widać było zbroje i futra, stali na środku sali posiedzeń rady miasta.

– Pan nasz – zaczął jeden z heroldów – Wielki Mistrz Zakonu Najświętszej Marii Panny, czcigodny Albrecht von Brandenburg-Ansbach, który przybył tu z woli Ojca Świętego Leona X, aby krwi chrześcijańskiej nie przelewać, wzywa dowództwo i załogę zamku i miasta Allenstein do poddania się.

Pomruk złowrogi potoczył się po zgromadzonych rajcach miasta. Potem, jakby nieco wyżej i w przeciwną stronę, przeleciał szept.

– Jednocześnie daje pan nasz miłościwy parol – odezwał się drugi Krzyżak – że w przypadku dobrowolnego otwarcia bram miasto nie zostanie spalone, a jego mieszkańcom nie spadnie włos z głowy.

Kiedy zamilkli, głos zabrał Kopernik.

– Przekażcie swojemu panu, że bram nie otworzymy po dobroci. Jeśli zechce wejść do miasta, musi to zrobić siłą, sposobem lub jako gość, bez broni. Jego wola. Posłuchanie skończone!

I wstał z miejsca. Krzyżaccy posłowie na ten znak skłonili się i opuścili salę obrad.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, wybuchł tumult niczym wystrzał z bombarde, których załoga zamku olsztyńskiego się nie doczekała.

– Bij! Zabij! – ryknął któryś.

– Na pal z Albrechtem! – dołączył inny.

– Nie oddamy miasta psubratom! – wołali jeden przez drugiego i coraz głośniej, wyciągając miecze; ktoś nawet cisnął poniewczasie za posłami glinianym dzbankiem, który uderzył w drzwi sali posiedzeń i rozbił się w drobny mak.

Mikołaj patrzył w milczeniu na rajców. Powściągliwy z natury, musiał się powstrzymać, by nie krzyczeć tak jak oni. Ale nie ze złości czy w wojennym zapale, tylko z przerażenia, wrywać sobie włosy z głowy, paść na kolana, schować się jak najgłębiej w jakiejś norze jak niedźwiedź na zimę. Przed chwilą oddalił przecież posłów Wielkiego Mistrza, tym samym dusząc ostatnią szansę na uniknięcie przelewu krwi. Wojenna zawierucha nie miała widać zamiaru oszczędzić Olsztyna, choć niemal do ostatniej chwili głęboko w to wierzył.

Wielu ludzi zapewne zginie, wielu pójdzie w niewolę, może nawet wszyscy. Ale czasu cofnąć się nie da. Mury, choćby najgrubsze i najwyższe, prędzej czy później skruszeją, a stolarz wykona drabinę tak wysoką, że będzie można po niej wejść. Och, gdyby tę hardość jakimś cudem udało się przekuć w siłę potrzebną podczas walki. Albo w myśl, jak podstępem pozbyć się intruzów.

Dzień miał się już ku końcowi. Wrzątek bulgotał w kotłach, smoła była gotowa do użycia, hakownice nabite i przekazane najlepszym strzelcom, cięciwy kusz naciągnięte, bełty strzał wyprostowane, a miecze wyciągnięte z pochew, kiedy na dziedziniec wbiegł jeden ze zwiadowców, wysłanych na przespiesi jeszcze wczorajszego wieczora.

Oczy mu pałały, język plątał się, a ręce trzęsły. Najwyraźniej przeziębził się i trawiła biedaka gorączka. Jak w malignie też gadał.

Że wojska Albrechta wycofują się!

Kopernik już szedł, by przygotować choremu jakąś miksturę z ziół, kiedy na dziedziniec wbiegł inny zwiadowca. Był synem kowala, a może garbarza. Nie trzęsły mu się ręce, mówił rzeczowo i spokojnie. To samo co jego druh.

Mikołaj wiedział już, że i tak przygotuje zaraz miksturę z ziół. Dla siebie.

Choć im bardziej na północ jadąc, spotykało się zawsze ludek nieufny, o chłodniejszych sercach i umysłach, dwa tuziny prosiąt i pięć krów zapłaciło życiem za słowa dwóch zwiadowców, które szybko okazały się prawdziwe. Nie licząc już kurcząt, zajęcy i dziczyzny. Choć wielu mieszkańców, w tym spora część rajców, wietrzyło podstęp, spodziewając się rychłego powrotu Krzyżaków pod mury Olsztyna, większość ludności cieszyła się.

Rozbito kilkanaście beczek wina i miodu, śmiano się, a nawet tańczono. I nie były tego w stanie zmienić nawet smutne wieści z okolic miasta. Armia Albrechta bowiem, odstąpiwszy od oblężenia zamku, nie miała bynajmniej zamiaru podarować kilku pomniejszych wsiom. Wycofując się ku północnemu zachodowi, knechci puścili z dymem najbliższe miastu

Likusy, a potem Jonkowo, Pupki, Porbady, Wrzesinę i Warkały. Dymy pożarów znów zasnuły horyzont, tylko że już z innej strony. Było je dobrze widać nie tylko z wieży zamkowej.

Mikołaj cieszył się, rzecz jasna, z takiego obrotu spraw. Nakazał jednak czujność i nie osłabił nawet o jedną duszę nocnych straży na murach, a i ludności zniszczonych wsi, która oddała życie, godne pochówki sprawić kazał.

Dlaczego Krzyżacy odstąpili?

Mówiło się, że nie przewidzieli takich umocnień ani że załoga będzie tak liczna. Swoją rolę odegrała z pewnością także konnica, gotowa rzucić się w każdej chwili na plecy zdobywających zamek. Przebąkiwano też, że zakonnikom, wspomaganym przez najemników, najzwyczajniej w świecie zabrakło pieniędzy, niezbędnych do opłacania sojuszników.

Pewne było, że Olsztyn był ocalony, o czym też z miejsca kazał kanonik powiadomić tak biskupa Fabiana, jak i króla polskiego Zygmunta Starego.

Minęło dni dziesięć. Nikt z ludzi za murami Olsztyna nie wiedział, że to jeszcze nie koniec. Chyba uwierzyli, że widmo wojny odeszło od nich raz na zawsze, uleciało wysoko wraz z dymem płonących wsi, odpłynęło jak suche gałęzie drzew, niesione ku północy przez Łynę.

Nikt z ludzi za murami, nawet Mikołaj, choć wciąż widziano w nim astrologa, nie wiedział, co rodzi się przez ten czas w głowie brata zakonnego Wilhelma von Schaumburga, dowódcy garnizonu krzyżackiego Dobrego Miasta.

Był to chytry lis, który wiedział, że prędzej czy później Kopernik osłabi zamek, zmniejszy liczebność jego załogi, Polacy i Czesi wrócą do swoich

domów, w najgorszym wypadku ktoś z obrońców miasta będzie musiał ruszyć po żywność.

Koncept był prosty: odczekać kilka dni, może tydzień, może nieco więcej, i spróbować raz jeszcze. Dnie były już coraz dłuższe, ale i tak jeszcze dość wcześnie zapadał zmrok. Oddziały von Schaumburga szybkim, skrytym marszem podeszły pod Olsztyn dwudziestego szóstego stycznia tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego roku, niezauważone przez obrońców miasta, i zaatakowały Bramę Młyńską.

Mikołaj w tym momencie przebywał w swojej komnacie i pochłonięty był księgami, kiedy nagle przez otwarte okno dobiegł przerażający krzyk:

– Gwałtu!

A potem pojedynczy wystrzał z hakownicy.

Kopernik wstał gwałtownie zza stołu, dopadł okna, jednak niczego nie udało mu się dostrzec. W tej samej chwili rozległo się walenie w drzwi. Kanonik doskoczył do wyjścia i szarpnął kłamkę. Na progu stał jeden ze zwiadowców, którzy nie przestawali pełnić służby.

– Krzyżacy, panie – wydyszał chłopak.

Mikołaj narzucił na siebie wiszącą najbliżej burkę i ruszył krużgankiem w ślad za posłańcem. Po kilku chwilach znaleźli się na wschodnich murach. Coraz lepiej było słychać odgłosy walki, co chwilę rozlegał się huk wystrzału. Wył wniebogłosy jakiś ranny.

Obrońcy nie dali się jednak zaskoczyć, na co tak liczył brat von Schaumburg. Przybywało ich na murach z każdą chwilą. Choć brakowało gorącej smoły i wrzątku, radzili sobie niezgorza. W ruch poszły polne kamienie, które zawczasu zgromadzono po wewnętrznej stronie murów, świstały strzały. Opór obrońców stawał się coraz bardziej zaciekle.

Kopernik spojrzał dalej, za Bramę Młyńską, gdzie koncentrowały się siły uderzeniowe. I zabrakło mu tchu w piersiach.

– Mrowie ich – jęknął sam do siebie.

Było tak w istocie. Kilkaset metrów od murów miasta koncentrowała się główna siła uderzeniowa Krzyżaków.

A co z innymi bramami? – zaniepokoił się Mikołaj. Wysłał tam zwiadowców, czekał na wieści. Gdzie jest Snellenberg? Gdzie Peryk z Janowic?

Nagle stało się coś dziwnego. Niespodziewany podmuch wiatru pogasił wszystkie pochodnie, zapalone strzały. Któryś z krzyżackich jeźdźców spadł z konia. Rozległ się przeciągły gwizd, który narastał z każdą chwilą, a na niebie ukazał się jasny, okrągły punkt.

Kula ognia.

Mają bombardy! – przemknęła Mikołajowi przez głowę myśl, a była to myśl straszna, oznaczała bowiem niechybną zagładę zamku i miasta.

Lecąca kula ognista powiększała się jednak coraz bardziej. Kopernik aż otworzył usta ze zdziwienia.

Nie masz działa, które pomieściłoby taki pocisk! – zdążył jeszcze wykoncypować, nim owa kula dosięgła wreszcie ziemi, dokładnie w miejscu, gdzie skoncentrowały się krzyżackie oddziały. Rozległ się przerażający huk niczym tysiąc gromów, aż zadrżały mury warowni.

Mikołaj chciał chwycić się za krawędź ściany, ale dłonie jego trafiły na próżnię...

Nikt z obrońców zamku w Olsztynie nie odważył się zbliżyć do krateru, który powstał w miejscu uderzenia. Podejrzewano, że i przeciwnicy nie będą zdolni do podejścia bliżej niż na odległość strzału z łuku, choć powinni zabrać ciała poległych kamratów.

Czym była świetlista kula, która poraziła główne siły wroga? Kto ją wystrzelił i z jakiego działa? – te i inne pytania zadawano sobie długo w noc i jeszcze przez kilka dni następnych. Nikt nie znał odpowiedzi i nie poznał jej. Pewne było tylko to, że kolejny atak został odparty.

Nazajutrz Mikołaj razem z kilkoma zbrojnymi wyszedł za bramy miasta celem oszacowania wielkości uszczerbku w murach po ostatnim oblężeniu. Ledwo jednak przekroczył próg Bramy Młyńskiej, skierował kroki w feralne miejsce. Widząc, co się święci, towarzysze jego popatrzyli po sobie z niepokojem.

– Dokąd idziesz, panie? – zapytał najstarszy z nich, jeden z rajców.

Kanonik jednak nie odpowiedział; przeciwnie – jeszcze bardziej wydłużył kroki. Po paru chwilach stał nad kraterem i rozglądał się. Nim ktokolwiek z jego towarzyszy zdążył pomyśleć, Kopernik... skoczył do środka.

Schodził w dół, bardzo powoli i ostrożnie. Tu i ówdzie z ziemi, która wyglądała, jakby przed chwilą wzruszyły ją ostrza pługów, wystawały elementy uzbrojenia: miecze, włócznie, tarcze – a wszystkie pokryte jednakowym, zielonkawym, podobnym do grynszpanu pyłem. Nie było za to widać ciał. Ani jednego Krzyżaka. Czyżby więc jednak zabrali je ze sobą ci, którzy przeżyli?

Tymczasem Mikołaj był już na samym dnie krateru. Pochylił się. Bardzo powoli sięgnął przed siebie ręką...

LVII

Gdańsk, dzień piąty

Kiedy Monika się ocknęła, ujrzała nad sobą wianuszek ludzkich głów. Leżała na ławce. Wokół był jasny dzień, świeciło słońce, choć stojące nad nią postaci były szare. Jedna z nich pochyliła się.

– Czy pani mnie słyszy? – zapytała kobiecym głosem.

– Tak – odpowiedziała, zdziwiona tym pytaniem, po czym sama zadała swoje: – Gdzie ja jestem? Co się stało?

– Zemdlała pani pod kościołem. Pewnie to udar słoneczny. Wezwaliśmy pogotowie.

Te trzy zdania wypowiedziane jak najbardziej spokojnym głosem sprawiły, że dziewczyna w jednej chwili poczuła się o wiele gorzej. Mimo to uniosła wyżej głowę, po chwili także tułów. Czyjaś ręka podtrzymała jej plecy i pomogła usiąść.

– Już mi lepiej – powiedziała.

Była zażenowana i zawstydzona, że zrobiła z siebie widowisko. Jeszcze nigdy nie straciła przytomności, będąc w miejscu publicznym. Przecież w ogóle nie straciła przytomności!

Całe szczęście, że jestem w spodniach, a nie w krótkiej sukience – pomyślała. Niech ci ludzie już sobie pójdą. Dobrze się czuję, jest w porządku. Nie umarłam jeszcze.

Wtedy przypomniała sobie o pudełku, które kilka chwil wcześniej – ile? A może upłynęła cała godzina?! – zwrócił jej fizyk z Uniwersytetu Gdańskiego.

– Gdzie jest moja torebka? – zapytała.

– Tutaj, proszę. – Ta sama kobieta, która pochyliła się nad nią, podała jej torebkę.

Antropolożka złapała ją chciwie. Przez skórę namacała dyskretnie kształt pudełka. Nie mogła jednak zajrzeć do środka, aby sprawdzić, czy pojemnik nie jest aby pusty. Nie, nie teraz. Zrobi to w hotelu. Tylko musi tam jakoś dotrzeć. Niech ci ludzie wreszcie sobie pójdą... Z daleka dobiegł głos syreny.

– O, pogotowie już jedzie – powiedział jakiś mężczyzna.

Tłumek, który najwyraźniej wcale nie miał zamiaru zrzędnąć, rozstąpił się. Zza rogu nie wyjechała jednak karetka pogotowia, jak się wszyscy spodziewali, ale policyjny radiowóz. Zapiszczały hamulce, aż jakiś przechodzący obok starszy jegomość zaczął wygrażać kierowcy pięścią, mieląc w bezzębnych ustach jakieś powszechnie używane przekleństwo. Szybko jednak usunął się z drogi i z pola widzenia mundurowych.

Z radiowozu wysiadł mężczyzna w cywilnym ubraniu. Ogarnął obojętnym wzrokiem siedzącą na ławce Monikę i otaczających ją ludzi i ruszył szybkim krokiem w stronę bocznych drzwi kościoła. Kiedy od ich progu dzieliło go dwa, może trzy metry, zatrzymał się, jeszcze raz obejrzał przez ramię. Tym razem ją poznał.

– Co się stało? – zapytał Artur Matejuk, podchodząc bliżej.

– Ta pani zasłabła – wyręczył antropolożkę w odpowiedzi jakiś grubas w koszulce z herbem Wielkiego Mistrza Krzyżackiego, zakupioną najpewniej na jednym ze stoisk z pamiątkami u stóp zamku w Malborku.

Komisarz zmarszczył czoło.

– Dzień dobry – powiedziała Monika; tym razem uśmiech jej się udał.

Każda minuta w ciemnym i chłodnym wnętrzu kawiarni sprawiała, że Monika Lauder czuła się coraz lepiej. Każdy łyk zimnej wody działał podobnie. I cisza. Matejuk poprosił barmana o wyłączenie muzyki od razu, gdy weszli do środka. Chłopak za barem wcale nie musiał się na to godzić, jednak wykonał polecenie.

– Musiałem jeszcze być w kilku miejscach i myślałem, że się spóźnię na spotkanie z tobą. Na szczęście chłopaki podrzucili mnie radiowozem – westchnął komisarz. – A co stało?

– Głupstwo, zwykłe przemęczenie – odpowiedziała.

– Możemy przystąpić do pracy?

– Jasne.

Ale oboje wciąż milczeli. Chłopak za barem podzwaniał szkłem, z głębi lokalu, gdzie siedziały tylko kelnerki, dochodziły jakieś strzępki zdań. W pewnym momencie do kawiarni weszła jakaś para wyglądająca na turystów, rozejrzeli się krytycznie, po czym odwrócili na pięcie i wyszli z powrotem na zalaną sierpniowym słońcem ulicę.

– Pan lepiej włączy z powrotem tę dyskotekę, bo naprawdę splajtujecie – rzucił Matejuk wesoło do barmana, po czym spojrzał pytająco na Monikę, ta zaś przyzwalająco skinęła głową.

– Powiedz mi – zagadnęła po chwili, gdy łupanina na nowo popłynęła z głośników.

– Spróbuję!

– Co będzie z Tomkiem?

Matejuk przygryzł wargi. Bał się tego pytania, choć spodziewał się, że prędzej czy później padnie. Wzruszył ramionami, czego od razu pożałował;

sam nie cierpiał, gdy ktoś takim ruchem reagował na jego pytania czy problemy. Nie, nie wiedział, co ma odpowiedzieć tej dziewczynie.

– Zabił człowieka.

– Widziałeś?! – dziewczyna krzyknęła niemal, aż barman pucujący ścierką kieliszki spojrzał ciekawie w stronę ich stolika. – Powiedz, czy widziałeś, jak to robi?!

– To nie ma znaczenia – bąknął Matejuk. – Są ślady, odciski palców...

– Sfabrykowane!

– Jak można sfabrykować odciski palców?

– Widać można. Tę butelkę mogli mieć wcześniej i podrzucić na miejsce zbrodni.

– Prokurator mówi, że...

– Ktoś go zrobił, rozumiesz?! – Monika Lauder uderzyła obiema pięściami w blat stołu. – Tak trudno to pojąć?

– Kto go zrobił?

– Nie wiem. On też tego nie wie. Ale najpewniej to ci sami ludzie, którzy zamordowali Rosłonia, potem strzelali do nas w Lidzbarku, napadli w Toruniu, a wczoraj... Sam widziałeś, co stało się wczoraj w bazylice.

Matejuk podpatrzył w bok. Nie wiedział, co powiedzieć. Zaczynał się już w tym wszystkim gubić. Przecież nie pójdzie i nie wyciągnie, ot tak sobie, z ancla człowieka z najcięższym zarzutem.

– Pomóż nam – syknęła antropolożka.

– Pomogę, przecież obiecałem. Po to się spotkaliśmy.

Dziewczyna sięgnęła po torebkę, otworzyła ją, wyciągnęła ze środka jakieś pudełko i położyła je na stole, między pustą szklanką i wypełnioną do połowy butelką wody.

– Co to jest? – zainteresował się policjant.

Monika pochyliła się nad stołem i zaczęła mówić, niemal niedosłyszalnie na tle decybeli spadających im na głowy. Artur Matejuk zrozumiał jednak każde jej słowo.

LVIII

82 mile morskie od Rozewia, dzień piąty

Władysław Keller z trudem dochodził do siebie po tym, jak został pobity przez rodzonego brata. Zaledwie dwa ciosy – w splot słoneczny i żołądek. Rzucony przez osiłków na podłogę jak worek ziemniaków, nie mógł złapać oddechu. Gdy oprawcy zniknęli za drzwiami ładowni, kilku członków zamkniętej w niej załogi rzuciło się ku pobitemu. Pierwszym był kapitan Marciulionis.

– Słyszysz mnie pan? – zapytał łamaną polszczyzną, którą porozumiewali się wcześniej, nim do ładowni weszli porywacze. – Nic panu nie jest, komandorze?

Keller skrzywił się z bólu, ale pokręcił głową na znak, że nie. Nie zabili go. Jeszcze...

– W porządku – powiedział cicho.

Przy pomocy Litwina udało mu się usiąść.

– Na czym to stanęliśmy, kapitanie? – zapytał, trzymając się wciąż za brzuch, a jednocześnie próbując się uśmiechnąć, na co Marciulionis pokręcił głową z podziwem.

Po chwili Keller wstał i przeszli w kąt ładowni. Większość załogi już spała, trzeba było rozmawiać szeptem. Język polski, którym się posługiwali, również gwarantował dyskrecję, a właśnie o nią chodziło kapitanowi Marciulionisowi.

– Musimy coś zrobić – zaczął Litwin. – Nie wiem, kim są ci ludzie na górze i o co im chodzi, ale mam przeczucie, że nie wyjdziemy z tego cało. Oczywiście pod warunkiem, że będziemy tu tylko leżeć i czekać na zarżnięcie jak świnie. Albo zrobią, co planowali, a potem nas tu zostawią zamkniętych na pastwę prądów i głodu. Boję się tylko, że to towarzystwo nie będzie chciało się ruszyć. Pływamy razem już jakiś czas i zdążyłem ich trochę poznać.

– Ma pan jakiś konkretny pomysł?

Kapitan potarł dłonią nieogolony zarost, porastający jego twarz trochę nierównomiernie.

– Mamy na statku ukrytą broń – rzekł wreszcie. – Wiem o tym tylko ja i jeden Niemiec, nawigator. Problem w tym, że trzeba tam się dostać, otworzyć sejf kluczem, którego mi nie zabrali, i... Sam pan rozumie.

– Zaryzykować?

– Dokładnie tak. Za tych kilkaset dolarów, które płaci armator, nikt z tych ludzi ze mną nie pójdzie.

– Pozostaje jeszcze inna rzecz.

– Jak stąd wyjść? – Marciulionis uśmiechnął się. – O tym wiem od chwili, w której się tu znalazłem. Myśli pan, że kapitan nie zna swojego statku? Już dawno bym to zrobił, ale przecież nie sam. Nie jestem Rambo ani inny szaleniec. Ale gdyby już było nas trzech, czterech, to jest inna rozmowa.

Tym razem to Keller potarł się po policzku. Nie spodziewał się takiej sytuacji. W ogóle niczego, co zaszło w jego życiu w ostatnich dniach, nie przewidziałby nawet w najczarniejszych snach. Wiele by dał, żeby wszystko okazało się tylko nocnym koszmarem. Można było się szczypać do bólu, posypać solą świeżą ranę na przedramieniu, a i tak nic by to nie zmieniło.

– Oczywiście, wchodzę w to – powiedział, by po chwili dodać: – Szkoda tylko, że musimy liczyć jedynie na siebie. Jeszcze wczoraj była szansa, że upomną się o mnie nasze służby.

– Nie rozumiem.

Władysław Keller odwinął prawy rękaw koszuli.

– Miałem wszczepiony chip, który emituje sygnał, ale mi go wycięli. Zresztą bez znieczulenia...

LIX

Okolice Tczewa, dzień piąty

– Patrz pan, dopiero Malbork był – prychnął z pogardą mężczyzna zajmujący miejsce przy oknie; kilka kropelek śliny zostało na szybie.

Siedzący po przekątnej wysoki mężczyzna tylko skinął głową. Pewnie cały monitor laptopa tego durnia jest mokry – pomyślał nie bez złośliwości i obrzydzenia. Mimo że wsiadł chwilę temu, w Malborku, już miał dość towarzystwa.

– Kiedyś, panie, z Warszawy do Gdańska ekspres jechał cztery godziny. Niektórym konduktorom nawet nie chciało się wyjść z przedziału służbowego, żeby ludziom bilety sprawdzić. „Pierdolino” też nieźle leci, choć swoje kosztuje. A ten? Pyrkocze jak osobowy. W kiblu też smród i wody nie ma. Czy to nie jest jakaś paranoja, co?

Sąsiad i z tym się zgodził.

– Święta racja, proszę pana – dorzucił jeszcze, po czym po raz kolejny spróbował skupić wzrok na peticie, wydrukowanym na zielonych stronach gazety.

Chwilę ciszy, a raczej miarowego stukania kół pociągu na łączeniach szyn, przerwał rumor otwieranych drzwi przedziału. W progu stał konduktor.

– Dzień dobry, kontrola biletów.

– Dzień dobry – burknął niezadowolony pasażer, po czym niespiesznie sięgnął w zanadrze, skąd wydobył bilet i miejscówkę; podobnie uczynił jego współpasażer. – O której będziemy w Gdańsku?

– Planowo o osiemnastej czterdzieści trzy – odpowiedział konduktor.

– Czyli mamy opóźnienie?! – rzucił z satysfakcją tamten.

– Przyjedziemy planowo, choć mieliśmy nieprzewidziany postój – odpowiedział ze spokojem konduktor, po czym podziękował, pożegnał się i zamknął drzwi.

– Akurat! Kiedyś to, panie, z Warszawy do Gdańska ekspres jechał cztery godziny...

Siedzący naprzeciwko spojrzął na zegarek, odłożył gazetę, wstał z miejsca i bez słowa opuścił przedział. Będąc już na korytarzu, odetchnął z ulgą, po czym spojrzął w okno. Pociąg zbliżał się do mostu przez Wisłę w Tczewie. Stwierdziwszy to, wysoki mężczyzna szybkim krokiem udał się w stronę wagonu restauracyjnego.

Minutę później był na miejscu. Kiedy zajmował miejsce przy jednym ze stolików, koła pociągu zahuczały na moście, w oknach zaczęły się przesuwać charakterystyczne stalowe elementy konstrukcji przeprawy. Mężczyzna starał się usiąść dokładnie w tym momencie i sztuka ta się udała.

Był to umówiony znak. Chwilę potem do jego stolika podszedł mężczyzna w jasnym garniturze. Nosił gęste wąsy i baczki do połowy policzka.

– Dzień dobry – ukłonił się.

– W czym mogę pomóc?

W odpowiedzi wąsaty wyjął spod blatu podłużną białą kopertę i położył na stoliku.

– Mamy małe kłopoty – rzekł niegłęboko. – Ktoś zaczyna za bardzo węszyć przy naszych interesach.

– Trzeba go uciszyć?

– Zgadza się.

Wysoki mężczyzna przesunął kopertę po czerwonej serwetce i bez zaglądania do środka schował pod swoją stroną blatu. Następnie wstał z za stolika, jakby nikt więcej przy nim nie siedział, i oddalił się w kierunku przedziału. Chwilę potem to samo uczynił wąż z niemodnymi baczkami. Pociąg wtoczył się na stację w Tczewie.

LX

Gdańsk, dzień piąty

Ostrzeżenie o zamachach bombowych, zaplanowanych na kolejny dzień Jarmarku Świętego Dominika, wywołało niepokój wśród rajców miejskich. Niepokojowi towarzyszyła konsternacja, choć nie brakowało i takich, którzy rzecz całą usiłowali obrócić w żart.

Zamach bombowy? W Polsce? Owszem, jako członek NATO i jeden z najbliższych sojuszników Amerykanów z pewnością byliśmy na czarnej liście terrorystów, ale chyba nie na jej czele. No i skąd Gdańsk? W Warszawie było o wiele więcej obiektów nadających się jako cele ataków. Choćby sejm, siedziba rządu, lotnisko Okęcie. Albo metro.

To z pewnością kawał jakichś gówniarzy, którzy normalnie ostrzegliby o podłożeniu ładunków w swojej szkole, ale teraz, z powodu wakacji, musieli zweryfikować plany. Chyba że komuś przeszkadzał sam Jarmark Dominikański, jedna z największych tego typu imprez w Europie, z bogatą i długą tradycją. Ale komu? Może właścicielom supermarketów i sprzedawcom chińszczyzny, których obroty wyraźnie malały za każdym razem, gdy zaczynało się wydarzenie?

Te i inne zdania krążyły w rozmowach między członkami rady miasta Gdańska, nawet na krótko przed rozpoczęciem nadzwyczajnej, bo zwołanej w środku lata i okresu urlopowego sesji.

– Proszę państwa, proszę o ciszę! – Od stołu prezydyjnego doszedł głos przewodniczącego Jana Marii Lisowskiego. – Rozpoczynamy nadzwyczajną sesję rady miasta, która będzie poświęcona w całości wydarzeniom ostatnich godzin i potencjalnym niebezpieczeństwom, które mogą czekać nasze miasto.

– Gówniarze się nudzą i tyle, a nie żadne niebezpieczeństwo! – fuknął jeden z radnych, zajmujących prawą część sali obrad gdańskiego ratusza.

– Jasne! Za mało ojciec z matką używają pasa. Takie to teraz macie bezstresowe wychowanie – przyszedł mu w sukurs ktoś siedzący nieco dalej, ale po tej samej, prawej stronie; wypowiadając te słowa, spoglądał zresztą znacząco na lewą stronę sali.

– Od razu widać, kto dzieci w domu bije – odezwała się siedząca tam paniusia, którą charakteryzował wściekle czerwony kolor włosów. – Oto chrześcijańska miłość bliźniego!

Radny prawicy już podniósł się z krzesła i otwierał usta, by zbić kobietę celną ripostą, kiedy przewodniczący Lisowski zawołał groźnie:

– Proszę o spokój! To nie czas i miejsce na takie wystąpienia, proszę państwa. Jako rada miasta chcielibyśmy dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi i czy mieszkańcy miasta mogą czuć się bezpieczni. Jest z nami pan prezydent, a także komendant miejski policji.

Na mównicę wszedł niczym specjalnym się nie wyróżniający mężczyzna w garniturze. Był to prezydent Gdańska. Zanim zaczął, otarł chustką pot z czoła i wypił pół szklanki wody. Wyglądał na bardzo przejętego sytuacją i chyba nie do końca sobie z nią radzącego.

Przewodniczący Jana Maria Lisowski z satysfakcją przyglądał się poczynaniom prezydenta, a raczej brakowi jakichkolwiek działań. Nie było bowiem tajemnicą, że podczas ostatnich wyborów samorządowych oni

dwaj stoczyli ze sobą ostatni, najważniejszy bój o fotel prezydenta miasta. Jan Maria Lisowski przegrał wtedy. Mówiło się, że o włos.

– Proszę państwa... – zaczął prezydent.

Przerwał mu jednak dzwonek telefonu komórkowego. Skonsternowali radni zaczęli spoglądać na siebie, szukając winnego wybryku. Ale to siedzący w pierwszym rzędzie komendant miejski policji najspokojniej w świecie wydobył z kieszeni komórkę i odebrał połączenie.

– Tak, rozumiem – powiedział półgłosem i zakończył rozmowę, po czym wstał z miejsca i nieproszony wszedł na mównicę,

– Proszę państwa. Właśnie na dworcu głównym został znaleziony pierwszy ładunek.

Przed salę obrad przetoczył się szum.

– Nasi pirotechnicy są w trakcie rozbrajania bomby – dokończył.

Prezydent złapał za plastikową butelkę z wodą i jednym przechyleniem opróżnił ją do końca. Radni z lewej i prawej strony sali kręcili głowami, szepcząc coś zawzięcie między sobą.

Tylko przewodniczący Jana Maria Lisowski zachował stoicki spokój.

LXI

Gdynia, dzień piąty

ORP Hydro stał przy nabrzeżu portu wojennego na Oksywiu, gotowy do wypłynięcia w morze. Na pokładzie trwały ostatnie przygotowania, marynarze wykonywali kolejne czynności, dla laika zupełnie nieczytelne. Klar portowy, który panował na jednostce, ustępował zupełnie innemu wyglądowi: z dział zdjęto plandeki, wstawiono odpowiedni kod flagowy.

Hydro, okręt rozpoznania radioelektronicznego projektu 863, należący do 3. Flotyli Okrętów, na pierwszy rzut oka w niczym nie ustępował reprezentacyjnym jednostkom Marynarki Wojennej. Przeznaczony był jednak do zupełnie innych zadań. Jak choćby tego, które właśnie mu wyznaczono: wsparcia działań jednostki specjalnej na wodach międzynarodowych Bałtyku.

Kiedy dwa dni temu kapitan marynarki Andrzej Czyż i major Krzysztof Trawiński nie zastali w mieszkaniu w wieżowcu Władysława Kellera, wiadomo było, że cała operacja potrwa o wiele dłużej, niż wcześniej planowano. Wezwani później na miejsce kryminalni z Gdyni zebrali pieczołowicie wszystko, co porywacze zostawili w mieszkaniu. Liczył się każdy ślad. W napięciu oczekiwano na kolejny sygnał z chipa wszczepionego Kellerowi. Odebrano go dziś w południe i natychmiast zlokalizowano.

Trawiński już szykował się, żeby wyruszyć na morze ze „swoimi wariatami”, jak o nich mówił, kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon, który skorygował te plany.

– Myślałeś, że sam wpieprzysz ten deser? – zapytał Czyż.

Stali we dwóch w punkcie dowodzenia ORP Hydro. Trawiński nic nie odpowiedział, udając, że bardzo zajmuje go pulpit sterowniczy okrętu. Przez kilka godzin, które ze sobą spędzili, zdążyli też wprowadzić swoje stosunki na poziom kumpelski. Byli niemal rówieśnikami, ale oficerów kontrwywiadu zawsze awansowano szybciej.

– Oby nie okazał się przeterminowany – mruknął pod nosem major.

– Co niby?

– Deser. Oby nie okazał się przeterminowany. Dostałem rano wyniki daktyloskopii od kryminalnych z Gdyni.

– I co?

– Żadnego z odcisków palców nie mają w bazie danych. Może to oznaczać, że mamy do czynienia z kimś na gościnnych występach.

– Obcy wywiad? – próbował zgadnąć Czyż.

– Może być coś koło tego.

W głośnikach rozległy się komendy, jakieś krótkie, modulowane syreny. Za oknami zaczął się powoli przesuwać krajobraz Kępy Oksywskiej. Oznaczało to, że odbili od nabrzeża.

Czyż, mimo że spędził na tym okręcie sporo lat, czuł podniecenie za każdym razem, gdy oddawano cumy. Zagrały silniki. Trawiński, choć nieraz korzystał podczas swoich akcji z „podwózki” jednostek pływających, odruchowo chwycił się jednej ze ścian.

– Masz chorobę morską? – zapytał półgębkiem Czyż.

– Dotąd nie miałem.

Kilkanaście minut później okręt minął główki portu wojennego na Oksywiu, znalazł się na wodach Zatoki Gdańskiej, minął starą torpedownię na Babich Dołach i obrał kurs na Hel. Miasto i górujący nad nim wieżowiec, w którym nie znaleziono Władysława Kellera, zostały za rufą i szybko się oddalały. Dzień miał się ku końcowi.

LXII

Gdańsk, dzień piąty

Wysoki mężczyzna wysiadł z pociągu, który chwilę wcześniej wtoczył się na peron stacji Gdańsk Główny. Przełożył niewielką walizeczkę z brązowej skory z lewej ręki do prawej, po czym, niesiony przez tłum innych pasażerów i tych, którzy wyszli im na spotkanie, ruszył w stronę przejścia podziemnego. Zegar na wieży budynku dworca wskazywał siódmą wieczorem.

– Pociąg Inter City Neptun z Gdyni do Warszawy Zachodniej przez Tczew, Malbork, Iławę, Działdowo wjedzie na tor ósmy przy peronie drugim – zapowiedział kobiecy głos w megafonach.

Mężczyzna zatrzymał się na środku obszernego hallu budynku dworca i rozejrzał dookoła, jakby kogoś wypatrywał. W korytarzu prowadzącym do restauracji McDonald's zniknęła właśnie spora i dość hałaśliwa grupa młodzieży z plecakami. Po chwili podróżny umiarkowanym krokiem skierował się w stronę peronów, skąd odjeżdżały pociągi SKM.

– Pociąg Szybkiej Kolei Miejskiej do Wejherowa odjedzie z toru drugiego przy peronie pierwszym – odezwał się inny głos w megafonach.

Mężczyzna przekroczył próg wagonu w tej samej chwili, w której rozległ się ostrzegawczy sygnał. Drzwi zasunęły się, kolejka potoczyła po torach. Pasażer nie zajmował jednak miejsca siedzącego, choć tych nie brakowało. Stał, wpatrując się w krajobraz przesuwany za szybą drzwi

wagonu. Właśnie pokazały się zabudowania byłej stoczni, nieco dalej dawno nieużywane dźwigi. Pociąg zaczął zwalniać. Po chwili wtoczył się na przystanek Gdańsk Stocznia.

Mężczyzna wysiadł z wagonu, przeszedł kilka kroków w kierunku czoła pociągu, minął miejsce, w którym stykały się ze sobą bufory obu jednostek, i... z powrotem wszedł do pociągu.

SKM-ka ruszyła w dalszą drogę. Kilka minut później dziwny pasażer opuścił wagon na stacji Gdańsk Politechnika i razem z kilkoma innymi osobami szybko zniknął w przejściu podziemnym. Po chwili podszedł do jednego z nielicznych już automatów telefonicznych. Począł, aż pociąg, którym przyjechał, odjedzie, by następnie podnieść słuchawkę i wystukać numer.

– Dzień dobry, komisarz Nowak, Centralne Biuro Śledcze – odezwał się do słuchawki. – Dzwonię w sprawie osadzonego... Tomasz Horn... Tak, zgadza się. Przejmujemy go jutro z samego rana. Oczywiście, dokumenty będziemy mieli ze sobą. Dziękuję, do widzenia.

LXIII

40 mil morskich od Rozewia, dzień piąty

ORP Hydro pruł fale z szybkością dziesięciu węzłów. Dawno minął Hel, gdzie zmienił kurs i skierował się na północny zachód. Mimo że był już środek nocy, niebo po zachodniej stronie wciąż było jaśniejsze niż pozostałe jego części. Lato wszak jeszcze trwało, temperatura nie spadła zbyt mocno i nawet będąc na pełnym morzu, nie odczuwało się chłodu.

– Kiedy będziemy na miejscu? – zapytał major Krzysztof Trawiński kapitana Czyża.

– Za trzy kwadranse – odpowiedział ten po krótkim namyśle i zerknięciu na pełgające różnokolorowymi diodami urządzenia pulpitu. – Możesz jeszcze iść się przespać.

– Jakiejś kawy raczej bym się napił.

– Dobry pomysł – podchwycił z uśmiechem Czyż. – Chodźmy na dół. Może jakiś steward będzie jeszcze na chodzie.

Kilka minut później siedzieli w mesie oficerskiej i pili kawę. Milczeli. Nietrudno było dojść, co trapi każdego z oficerów. Czyż z pewnością martwił się o los przyjaciela, który wciąż pozostawał w rękach porywaczy. W jakiej jest formie? Wszak niedawno spotkali się w szpitalu, jako pacjenci. Podczas podobnych akcji nietrudno też o ofiary, także wśród zakładników.

Z kolei major Trawiński czuł się nieswojo dlatego, iż to nie on i nie jego ludzie dokonają za kilkadziesiąt minut desantu na jednostkę. Główną siłą uderzeniową miała być Formoza.

Wariaci od Modzelewskiego – pomyślał major nie bez podziwu. Znał dobrze komandora podporucznika Zbigniewa Modzelewskiego i wyczyny jego ludzi, z których najgłośniejszy miał miejsce w Zatoce Perskiej, podczas drugiej wojny w tym regionie, kiedy to Formoza, zaokrętowana wówczas na ORP Xawery Czernicki, dała się ponoć nieźle we znaki marynarce Saddama. Formoza przeznaczona była do prowadzenia działań w warunkach, kiedy użycie konwencjonalnych sił zbrojnych nie jest wskazane z różnych przyczyn, na przykład politycznych czy technicznych. Tak miało być właśnie teraz, na wodach międzynarodowych, skąd dobiegł sygnał od Kellera. Liczyła się dyskrecja, a przede wszystkim skuteczność.

– Wiemy już, co to za czort? – zapytał Trawiński, dopiwszy ostatni łyk kawy.

– Prawdopodobnie to porwany kilka dni wcześniej frachtowiec See Atlantic, płynący z Kłajpedy – odpowiedział Czyż.

– To jakaś większa afera. W co ten Keller wdepnął?

– Myślałem, że w końcu ty mi to powiesz.

– Ale tak bez rozkazu?

Zaśmiali się, po czym obaj jednocześnie utkwili spojrzenia w zroszonych wodą bulajach mesy, za którymi panowała już zupełna ciemność. Kapitan Czyż odruchowo spojrział na zegarek.

– Zbliżamy się do granicy, panie majorze – poinformował.

– Co to oznacza?

– Że za chwilę coś nam się przyssie do dupy.

LXIV

250 mil morskich od Helu, dzień szósty

Henryk Keller stał na mostku kapitańskim frachtowca See Atlantic i tępych wzrokiem wpatrywał się w przyrządy sterownicze. Część z nich przestała działać w chwili ataku na statek, niektórych nikt nie potrafił obsługiwać. Dryfowali po wodach międzynarodowych Bałtyku i tylko on, a także jego zaufany współpracownik, Konrad, wiedzieli, w jakim celu. Cel oddalił się kilka dni temu, ale obaj głęboko wierzyli w to, że jeszcze go osiągną. A wtedy zmieni się wszystko. Na zawsze.

Spojrzał nieco w lewo, gdzie w półmroku rysowały się dźwigi. Muszą być mocne i szybkie – pomyślał Keller. Nie powinny przeszkadzać, gdy...

Jakiś stłumiony trzask przerwał rozmyślenia mężczyzny.

– Konrad? – rzucił w mrok.

Hałas się jednak nie powtórzył. Uspokojony Keller odczuł naraz potrzebę napicia się gorącej kawy. Ekspres był na mostku kapitańskim jednym z nielicznych działających urządzeń. Mężczyzna podszedł do stolika, gdzie stało urządzenie, przygotował filiżankę, podstawił ją, nacisnął odpowiednie przyciski. Ustrojstwo zagrało.

W tym samym momencie kilka przyczajonych cieni śmignęło w bocznych szybach mostka, ale odwrócony plecami Keller nie mógł ich zauważyć. Właśnie wyciągał prawą rękę, aby nacisnąć przycisk, kończący

napełnianie filiżanki, kiedy usłyszał trzask otwieranych kopniakiem drzwi. Odruchowo sięgnął ręką pod prawe żebro, gdzie trzymał broń.

– Ręce do góry! – krzyknął po polsku pierwszy z napastników, przekraczając próg mostka.

Henryk Keller zatrzymał prawą dłoń może ze dwa centymetry od zapięcia przypiętej do pasa kabury, jednak widząc przed sobą człowieka w panterce, goglach i hełmie na głowie i z wycelowanym w niego karabinem M14, posłusznie uniósł ręce w górę.

W ciągu chwili mostek kapitański wypełnił się identycznie ubranymi osobnikami. Za nimi do środka wkroczyło dwóch mężczyzn: jeden ubrany był w mundur ćwiczebny polskiej marynarki, drugi był po cywilnemu. Obaj mieli na sobie dodatkowo kamizelki kuloodporne i trzymali w rękach pistolety P-83.

– Gdzie jest załoga statku? – zapytał Kellera kapitan Czyż.

W odpowiedzi rozległy się strzały z broni maszynowej.

– Gdzie jest załoga statku?! – ryknął Trawiński.

– *Ich spreche kein Polnisch* – odpowiedział Henryk Keller, patrząc dumnie przed siebie.

W tej samej chwili rozległ się potężny huk. Było jasne, że opanowanie punktu dowodzenia statku przez komandosów z Formozy to tylko część sukcesu. I że walka zaczęła się na całego.

Władysław Keller ścisnął oburącz berettę. Zimna stała niemal pięścią mu skórę, a płuca wypełniała euforia. Każdy gniew, choćby najdłużej i najmocniej tłumiony, znajdzie wreszcie ujście. Każdy – przypomniał sobie słowa, które napisał w swoim dzienniku jego ojciec, Jan. Te słowa

komandor zapamiętał na całe życie. Niestety, najpewniej te same słowa sprowadziły tutaj po latach także Henryka...

– Co jest za tymi drzwiami? – zapytał Helmuta Pilenza, który znajdował się akurat najbliżej; nawigator nie zrozumiał jednak pytania.

– Idziemy! – Kapitan Marciulionis chwycił za klamkę.

Nacisnął ją, drzwi ustąpiły z łatwością, ukazując długi, wąski korytarz. Był pusty. Trzej byli zakładnicy ruszyli przed siebie. Byli dokładnie w połowie, gdy padły pierwsze strzały.

– Co się dzieje?! – zaniepokoił się Keller, nikt z jego towarzyszy nie znał jednak odpowiedzi.

Nagle otworzyły się drzwi po prawej stronie, dwa metry od trójki, i wypadło z nich dwóch porywaczy. Biegli w kierunku wyjścia; Keller, Marciulionis i Pilenz, którzy w międzyczasie przywarli do ścian korytarza, mieli ich jak na dłoni. Wystarczyło podnieść berettę i pociągnąć za spust. Niemiec już celował w nerki któregoś z bandytów, kiedy Keller nagle krzyknął.

– *Halt!*

Wydawało się, jakby to jedno mocne słowo, rzucone dla poszanowania konwencji międzynarodowych, podcięło nogi biegnącym. Było to jednak mylne wrażenie. Obaj wykonali coś w rodzaju synchronicznego piruetu, lądując plecami na przeciwległych ścianach korytarza, a jednocześnie kierując lufy automatów w stronę Marciulionisa i reszty.

Wszystko trwało ułamki sekund. Keller ujrzał pełne pretensji spojrzenie Pilenza. Serce zamarło mu w piersiach. Rozległ się huk wystrzału, po nim dwa następne. Gryzący dym, zapach prochu. Kątem oka komandor dostrzegł terrorystów padających na ziemię. Grymas wykrzywił twarz Litwina, ale ręka trzymająca pistolet nie drżała.

– Już wiesz, że nie ma tu miejsca na sentymenty!?! – krzyknął do Kellera, gdy mijali ciała bandytów, starając się nie patrzeć na zbryzgane krwią ściany.

– Wiem.

Przedsiębiorczy Helmut nachylił się nad ciałami i podniósł jeden z automatów. Przeładował z zadziwiającą wprawą, berettę zaś wcisnął za pasek od spodni.

Zatrzymali się na progu drzwi, za którymi rozciągał się pokład statku. Kolejny huk aż przygiął ich ku ziemi.

– Co się tam dzieje, do cholery?! – zdenerwował się Keller, usiłując dostrzec cokolwiek przez bulaj w drzwiach.

Znów huknęło, aż zadrżała cała skorupa chroniąca ich przed falami. Dźwiękowi towarzyszył błysk jak podczas burzy lub wykonywaniu zdjęć za pomocą lampy. Wprawne ucho Kellera rozpoznało bez trudu ów dźwięk: granaty błyskowe NIKO. Nie mógł się mylić.

Położył dłoń na klamce drzwi, odwrócił się. Z twarzy towarzyszy, choć znał ich zaledwie kilka chwil, wyczytał z łatwością dalsze plany. Puścił klamkę, wrócił do leżących na ziemi porywaczy, schylił się i wyciągnął jednemu z nich z ręki kałasznikowa...

Na porwanym frachtowcu w ciągu paru chwil rozpętało się istne piekło. Andrzej Czyż, który nigdy wcześniej w całej karierze zawodowego wojskowego nie uczestniczył w podobnej akcji, słyszał, że komandosi z Formozy nie biorą jeńców. Ile było w tym prawdy, miał zobaczyć na własne oczy. Dowódca grupy szturmowej miał opory, czy zabrać ze sobą oficera z Hydro, który asystował akcji. W końcu jednak przystał na to, przekonany przez Trawińskiego.

Opanowanie mostka kapitańskiego okazało się dziecinną igraszką w porównaniu z tym, co zaczęło dziać się chwilę później. Porywacze, mimo że zaskoczeni w środku nocy i pozbawieni głowy, o czym jednak nie wiedzieli atakujący, stawiali wyjątkowo zaciekły opór. Część zadekowała się w mesie, kilku zostało zaskoczonych na dziobie statku i stamtąd się ostrzeliwało.

Cały czas wybuchały granaty błyskowe, serie z broni maszynowej nie cichły ani na moment. Pięć minut od chwili, gdy do burty frachtowca dobiła łódź Formozy, po linach zwisających z przeciwległej burty statku wspinał się drugi oddział, który zaskoczył grupę broniącą się na dziobie.

Andrzej Czyż widział wszystko dokładnie z mostka. Razem z przydzielonym mu do ochrony matem pilnowali starszego mężczyzny, prawdopodobnie Niemca, któremu kazano zająć miejsce na obrotowym krześle i trzymać ręce na karku. Czyż jeszcze kilka razy, po polsku, niemiecku i angielsku zapytał o załogę frachtowca. Zakładnik jednak uparcie milczał.

Wtem otworzyły się boczne drzwi, znajdujące się w głębi mostka. Nim Czyż zdążył zareagować, czyjaś ręka z ogromną siłą cisnęła nóż, który wbił się w bok mata. Komandos wypuścił z rąk swój pistolet maszynowy MP5N i upadł. Z pomieszczenia, którego drzwi wcześniej nie zauważono, wyszedł potężnych rozmiarów mężczyzna z bronią wycelowaną wprost w głowę oficera. Henryk Keller spokojnie opuścił ręce i wstał z krzesła.

Czyż przestał oddychać. Przed oczami mignęła mu twarz żony i dzieci. To bzdura, co mówią, że w tym momencie całe życie przebiega ci przed oczami – pomyślał.

Konrad z uśmiechem podniósł broń. Czyż zamknął oczy, a może to zgasło światło na mostku. Znów rozległ się huk. Andrzej drgnął. Jego płuca

podniosły się, wypełniane powietrzem. Żyły dalej toczyły krew do komór serca. Nic z nich nie ulatywało przez krwawy otwór.

– Andrzej?! – Kapitan usłyszał swoje imię, w dodatku wypowiedziane znajomym głosem.

Otworzył oczy. Światło znów się paliło, może nawet silniej niż przed chwilą.

Stał przed nim Władysław Keller. Za to obu Niemców nie było już na mostku kapitańskim. W drzwiach leżał jakiś mężczyzna, drugi pochylał się nad nim. W jednej chwili Czyż zrozumiał, co się stało.

– Nic mi nie jest – powiedział Marciulionis do podtrzymującego mu głowę Pilenza, by zaraz dodać: – Łapcie lepiej tych skurwysynów!

Andrzej i Władysław wybiegli na zewnątrz. Niewiele było widać. Światła na statku zgaszono chwilę po tym, jak porywacze zorientowali się, że nadeszła odsiecz. Najdłużej świeciło się w punkcie dowodzenia. Atakującym to jednak nie przeszkadzało, bowiem większość z nich zaopatrzona była w noktowizory, nie mówiąc już o szóstym zmyśle.

– Jak mnie tutaj znaleźliście?! – Nie mógł nie zapytać Keller. – Przecież wycięli mi chipa...

– Miałeś dwa – odpowiedział szybko Czyż.

– Co?!

– Drugi jest w udzie.

– To dlatego mnie tak, kurwa, zawsze swędzi! – Komandor skrzywił się i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Ja z kolei nie wiedziałem, że byłeś w wywiadzie – zrewanżował się po chwili kapitan.

Popatrzyli na siebie. Każdy z nich widział jednak tylko zarys głowy drugiego.

Może to i dobrze, że nie widać oczu – pomyślał Keller, ocierając rękawem spływającą po policzku łzę.

Nagle ich uszu doszedł dziwny dźwięk – znajomy, ale zastanawiający w tym miejscu i okolicznościach.

– Na lewej, przy dźwigach! – krzyknął ktoś.

Czyż rozpoznał głos majora Trawińskiego. Nazwał też w końcu odgłos, który narastał z każdą chwilą: z pokładu frachtowca startował śmigłowiec. Niewidoczne łopaty orały pracowicie przesycone solą powietrze. Rozległy się pojedyncze strzały, to prawdopodobnie ludzie z Formozy usiłowali uszkodzić helikopter albo jeszcze walczyli z porywaczami.

Wszystko trwało sekundy. W pewnej chwili huk silnika stał się głośniejszy, jakby śmigłowiec dopiero teraz opuścił jakieś zagłębienie. Tak było w istocie. Niewielki, przypominający owada cień śmignął tylko nad głowami oficerów i szybko zaczął się oddalać. Wkrótce ucichł zupełnie. Nietrudno było zgadnąć, kto znajdował się na jego pokładzie.

LXV

Gdańsk, dzień szósty

Ponoć skazanych na karę śmierci zabierało się z celi, aby wykonać wyrok, zawsze bladym świtem. Więzień nigdy nie wiedział, kiedy ma się to stać. Może nawet po kilku tygodniach albo miesiącach zaczynał powoli wierzyć, że włos, co prawda już siwy z tych nerwów, z głowy mu nie spadnie. Historia zna wiele takich przypadków.

Często spał jeszcze w najlepsze, nie spodziewając się, że to właśnie dzisiaj. Ale i tak do celi wpadało zwykle kilku najsilniejszych strażników, gdyż spodziewano się oporu. Nawet ze strony tych najspokojniejszych i pogodzonych z losem. A czemu świt? Może po to, żeby mógł po raz ostatni zobaczyć wschód słońca, choć nie wiadomo, skąd takie sentymenty. Być może też kat musiał zdążyć na rano do swojej normalnej, codziennej pracy...

Tomasz Horn leżał na więziennej pryczy w areszcie śledczym przy ulicy Kurkowej 12 z rękami pod głową i patrzył, jak ciemność przeradza się w szarość, a potem robi się coraz jaśniej. Nie spał od godziny. Był sam w celi; jego towarzysza, który spał na górnej pryczy, zabrali jeszcze wczoraj, z samego rana, kiedy Hornowi udało się w końcu zasnąć. Właśnie jak skazańca, choć przecież kary śmierci nie stosowano już w Polsce od dawna.

Przez cały ubiegły dzień kontakt Horna ze światem ograniczył się do trzech posiłków, które dostarczono mu do celi. Czarny chleb i czarna kawa zostały już tylko w starej smutnej piosence; dziś osadzeni jedli całkiem nieźle. Wiadomo – szczegółowe dyrektywy Unii Europejskiej.

A poza tym nic. Nikt go nigdzie nie zabrał, nie odwiedził, nie rozmawiał. Nawet żarcie rzucali jak psu. Teoretycznie wszystko się zgadzało: aresztowani przecież nie mają prawa, w przeciwieństwie do skazanych i osadzonych w zakładach karnych, ani do rozmów telefonicznych, ani do przepustek, a ich korespondencja podlega cenzurze. Na widzenie z najbliższymi zgody udziela prokurator. Zresztą co można powiedzieć po niespełna dwóch dobach?

Może to być również jakiś ich nowy sposób na łamanie więźniów – pomyślał Horn.

Sam siebie oceniał jako raczej średnio twardego. Czuł tępą obojętność, jak po zażyciu zbyt dużej ilości środków przeciwbólowych. W myślach zaczął nawet układać mowę, którą wygłosi przed prokuratorem, a potem w sądzie. Będzie dumny, choć uprzejmy, skrupulatny i drobiazgowy.

Zachrotał klucz w zamku. Rumor przesuwanej zasuwki. Więzień nawet nie drgnął, słysząc te dźwięki.

– Horn Tomasz – doszło od progu.

Cisza.

– Horn Tomasz!

– Obecny – mruknął, nie zmieniając pozycji; nienawidził, jak ktoś zwracał się do niego, używając, na węgierską modłę, najpierw nazwiska, a potem imienia.

Klawisz zmełł w ustach przekleństwo. Horn wiedział, że w takich wypadkach należy wstać z pryczy i stanąć przy niej prosto. Nie przeszkadzało mu to jednak zrobić dokładnie odwrotnie.

– Zbieraj się – powiedział strażnik. – Przenosimy cię.
Horn poczuł w sercu nagłą nadzieję. A zaraz potem strach.

W tym samym czasie komisarz Artur Matejuk wchodził do gmachu komendy wojewódzkiej. Nie spieszył się, choć było już dość późno i odprawa w sprawie gróźb zamachami bombowymi, w której miał uczestniczyć, najpewniej już się zaczęła.

– Cześć – rzucił mu jakiś mijający go mundurowy.

– Cześć – odpowiedział Matejuk.

Kiedy znalazł się wreszcie na piętrze, gdzie trwała narada, czuł, jak wzdłuż kręgosłupa płynie mu słuźka potu. Wszedł do sekretariatu. Sekretarka, zawsze miła i nienagannie ubrana, właśnie kończyła rozmawiać przez telefon.

– Tak, sprawdzę to w naszych dokumentach – powiedziała jak zwykle postawionym, operowym wręcz głosem. – Aresztowany Tomasz Horn. Jak to się pisze?

Artur Matejuk wstrzymał oddech. Zatrzymał się dokładnie na progu pokoju. Stwierdził to, bo opuścił wzrok, wbijając go w swoje stopy. Lewy but wygrywał ten wyścig o jakieś pół centymetra. Ale nie wszystko jeszcze było przesądzone...

LXVI

Gdynia-Oksywie, dzień szósty

ORP Hydro wracał z krótkiego, nocnego rejsu. Dochodziło południe, kiedy Władysław Keller wyszedł na pokład. Oparty rękami o reling, wystawił twarz do słońca.

Zawsze lubił chwile powrotu do bazy po krótszych czy dłuższych rejsach. Momenty, kiedy wypływał z portu, też. Pomruk pracujących silników, łopot flag. Pozbawiony tego w wyniku przejścia na emeryturę, w dodatku przez ostatnich kilka dni bez wolności, a czasami wręcz nadziei na to, że kiedykolwiek ją odzyska – teraz czuł się, jakby narodził się na nowo.

Wiele razy słyszał to sformułowanie i zawsze wydawało mu się mocno przesadzone. Ale nie dzisiaj. Był pewien, że zacznie żyć od nowa. I nie tylko dlatego, że wie, czemu tak często swędzi go noga.

– Cześć – usłyszał za plecami.

Poznał głos kapitana Czyża. Odwrócił się z uśmiechem.

– Witaj, zbawco – zaśmiał się.

Andrzej oparł się o reling podobnie jak jego przyjaciel i obaj przez dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu kontemplowali krajobraz. Keller skrzywił się dopiero w momencie, gdy zza Kępy Oksywskiej wyłonił się kształt wieżowca, w którym był przetrzymywany.

– Co to byli za ludzie? – zapytał Czyż.

Keller ciężko westchnął.

– Powiem ci, bo i tak, prędzej czy później, będę musiał to powiedzieć. Nie wiem, kim byli ci ludzie, ale wiem, kto stoi na ich czele. To mój rodzony brat, Henryk. Choć pewnie sam przedstawiłby ci się: Heinrich. Heinrich Keller, Niemiec urodzony w mieście Danzig, kilka lat po wojnie, która, myślę, w jego ocenie, jeszcze się nie skończyła. Boję się, że wrócił do Polski właśnie po to.

– Po co?

– By zakończyć tę wojnę. Zakończyć ją... zwycięstwem.

– Co takiego?!

– Wiem, że brzmi to niewiarygodnie.

Dopiero po dłuższej chwili Czyż był zdolny do tego, by powiedzieć przyjacielowi, że nic z tego nie rozumie. Jaka wojna, jakie zakończenie? Co takiego chciał, a raczej chce zrobić młodszy brat Władysława?!

– Od pierwszej chwili – ciągnął komandor – kiedy ujrzałem cię dziś w nocy na mostku, wiedziałem, że jeśli tylko wyjdziemy z tego cało, będę cię musiał prosić o jeszcze jedną przysługę.

LXVII

Gdańsk, dzień szósty

Tomasz Horn czuł się śmiesznie ze skutymi kajdankami rękami. Jakoś nie docierało do niego, że to dzieje się naprawdę i wcale zabawne nie jest.

– Dokąd mnie przenosicie? – zapytał oficera, który ze skrupulatnością i przejęciem pierwszoklasisty wypełniał dokumenty.

– Dowiesz się w swoim czasie – odpowiedział wściz, nie przerywając czynności.

Chwilę później Horn maszerował wąskim korytarzem, prowadzony przez dwóch funkcjonariuszy. Zeszli po schodach. W okratowanym okienku klatki schodowej mignął mu zalany słońcem wewnętrzny placyk, na którym stało kilka samochodów. Dostrzegł też wieżyczkę z uzbrojonym strażnikiem.

Furgonetka, a raczej więźniarka, którą miał jechać, stała bardzo blisko drzwi. Kiedy wyszli na podwórze, akurat wsiadał do niej skuty mężczyzna. Horn poznał go od razu – był to uczestnik wizji lokalnej w kościele Mariackim, który na oczach wszystkich strącił w przepaść jednego z uzbrojonych bandytów. Chudy, ostrzyżony na pałę chłopak z pryszczami na gębie.

W oczekiwaniu na swoją kolej Horn wystawił twarz do słońca.

Coś jednak jest w tym pożegnaniu skazańców – pomyślał i zimny dreszcz smagnał mu plecy. Przecież nie jadę na ścienie! – zaśmiał się po

chwili w duchu. Nie przekonał tym jednak samego siebie...

– Wskakuj – ponaglił go jeden ze strażników, w czym Horn wyczuł przyjazną nutę.

Wcale nie było łatwo wejść do budy ze skutymi, nawet z przodu, rękami. Krawędź podłogi wbiła mu się w prawą kość piszczelową. Skrzywił się, ale nawet nie syknął. Po chwili był już w środku, zajął wolną ławkę na lewej burcie więźniarki; naprzeciwko siedział przyszczaty. Więcej więźniów nie było. Huknęły zamykane drzwi. Uruchomiono silnik. Ruszyli. Przez okratowane bardzo gęsto okienko było widać oddalający się podwórzec aresztu.

Nie ujechali jednak nawet czterdziestu metrów, kiedy samochód zatrzymał się ponownie. Pewnie kontrola na bramie – wytłumaczył sobie to Horn.

Ani on, ani siedzący naprzeciwko nie mogli jednak dostrzec tego, co działo się na wysokości bramy aresztu przy ulicy Kurkowej, gdzie zatrzymała się więźniarka.

– O co chodzi? – rzucił kierowca w stopniu sierżanta sztabowego do podchodzącego do samochodu mężczyzny. – Jeszcze jedna kontrola?

– Komisarz Matejuk – przedstawił się Artur, unosząc rękę z odznaką. – Mogę się zabrać?

– Wiozę aresztantów – odburknął sierżant, obniżając nieco daszek policyjnej baseballówki.

– Bez eskorty?

Brak odpowiedzi.

– Pan sierżant chyba od niedawna się tym zajmuje, mam rację?

I tym razem Matejuk nie uzyskał odpowiedzi. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, obszedł furgonetkę od przodu. Przez cały czas czuł na sobie wzrok kierowcy. Wreszcie otworzył drzwi i zajął miejsce obok kierowcy.

– Teraz może pan jechać.

LXVIII

Gdynia-Oksywie, dzień szósty

Władysław Keller i Andrzej Czyż wsiedli do samochodu kapitana, zaparkowanego na oksywskim nabrzeżu. Aby móc to zrobić, umknęli obowiązkowej kontroli lekarskiej (lekarze musieli się zadowolić rannymi – kapitanem See Atlantic i matem z Formozy), a także udało im się zmylić ruchy oficerów z prokuratury wojskowej, czających się z zamiarem przesłuchania uczestników awantury. Na ich źer Czyż wystawił zresztą Trawińskiego, który nie oponował.

– Pogadać zawsze zdążymy, nie? – skwitował, przekręcając kluczyk z stacyjce, a Keller uśmiechnął się z wdzięcznością.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że od chwili, gdy opowiedział młodemu przyjacielowi swoją historię, umysł kapitana pracuje na podwyższonych obrotach, a chłopięca wyobraźnia działa.

Wiedzieli, że czasu jest mało. Henryk i jego najbliższy współpracownik byli przecież na wolności. Stratedzy i dowódcy Formozy z pewnością długo jeszcze będą omawiać na swoich szkoleniach akcję, która miała miejsce tej nocy, a która, prócz odbicia więźniów i ubicia kilku bandytów, zakończyła się, niestety, ucieczką dwóch najważniejszych terrorystów.

Byli jeszcze na terenie portu, kiedy Keller zadzwonił z komórki Czyża do żony, Mirki. Uspokajał ją dość długo. Zdążyli opuścić i przejechać całe Obłuże...

– Naprawdę, czuję się dobrze – zarzekał się, wznosząc oczy ku sufitowi auta. – Tak, już do ciebie jadę. Andrzej jest ze mną. Wszystko ci opowiem w domu.

W końcu udało mu się rozłączyć. Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie mówił nic.

– Dlaczego twój ojciec nigdy nie wykorzystał wiedzy, którą miał? – zapytał Czyż po kilku chwilach, kiedy pruli już po estakadach Trasy Kwiatkowskiego.

– Nie wiem – odpowiedział Keller. – O wszystkim powiedział mi dopiero krótko przed śmiercią. Najbezpieczniej było zabrać tajemnicę ze sobą do grobu, a jednak tacie było żal. Był zbyt praktycznym człowiekiem, żeby tak to wszystko pogrzebać. Może wierzył, że uda się to wykorzystać do jakichś pokojowych celów. Jego wiara musiała być naprawdę wielka, bo przecież właśnie trwała zimna wojna i człowiek bał się, że któregoś dnia spojrzy rano w okno i ujrzy na horyzoncie grzyb atomowy.

Zjechali w Morską, by po kilku minutach znaleźć się na trójmiejskiej obwodnicy, którą ruszyli w kierunku Gdańska.

– Gdyby jeszcze Heniek sam zjawił się w Polsce i sam usiłował zdobyć skrzynkę – ciągnął komandor. – Ale on przyciągnął z sobą całą armię gotowych na wszystko zabijaków. Zastanawiam się, po co. Po jaką cholere porywał statek i dryfował po Bałtyku?!

– Słyszałem w radiu, że jakiś szaleniec grozi atakami bombowymi podczas Jarmarku Dominikańskiego – przypomniał sobie kapitan Czyż. – Chwali się, że planuje uderzyć dokładnie w dniu rozpoczęcia imprezy.

– Głupie żarty?

– Nie wiadomo. Znaleźli już kilka atrap w różnych punktach miasta.

– Nieźle.

– Pewne jest, że temu komuś udało się postawić na nogi całą trójmiejską policję. Może to właśnie Henryk?

Władysław Keller nic nie odpowiedział, jakby jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

Niespełna trzy kwadranse później zatrzymali się przed kościołem Mariackim w Gdańsku. Weszli do środka. Chcieli kupić bilety na wieżę, ale kasa była zamknięta. Za to drzwi, za którymi zaczynały się schody prowadzące na górę, nie.

Byli już na klatce schodowej, kiedy zatrzymał ich głos, zwielokrotniony echem, choć nie przez to wydał im się złowróżbny.

– A panowie dokąd?

Popatrzyli na siebie. Czyż od razu spiekł raka. Poczul się jak sztubak, którego złapano na próbie wejścia do damskiego internatu.

– Idziemy na wieżę, na punkt widokowy – odparł ze spokojem Keller, nie odwracając się nawet w stronę tamtego.

– Drzwi były otwarte – dorzucił Czyż.

Wtedy wszystko się wyjaśniło. Władysław Keller musiał mocno trzymać się poręczy, kiedy słuchał kolejnego zdania, wypowiedzianego przez kościelnego:

– Aha! Jedni też tak mówili, dwa dni temu. A potem policja tylko trupy zbierała.

I choć mogło to oznaczać wszystko i nic, Keller czuł, że ich dalsza droga do tajemnego schowka jego ojca Jana jest daremnym trudem. Wiedział jednocześnie, że kościelny, bo to właśnie on ich zatrzymał w drodze na wieżę, powie im zaraz wszystko. A nawet więcej.

LXIX

Gdańsk-Brętowo, dzień szósty

Więżniarka zatrzymała się przed skrzyżowaniem. Matejuk zerknął kątem oka na kierowcę. Przez cały czas od chwili wyjazdu z aresztu na Kurkowej nie zamienili ze sobą ani słowa, choć komisarz kilka razy próbował zagaić rozmowę.

Mruk jakiś – ocenił go w myślach.

Udało mu się tylko dowiedzieć, dokąd więźniowie są przewożeni. Jakiś nowy areszt śledczy na peryferiach miasta, niedaleko lotniska w Rębiechowie. Nazwa ulicy, którą dostrzegł na niebieskiej tablicy, nic mu nie mówiła. Miał tylko nadzieję, że na miejscu będzie jakiś do rzeczy funkcjonariusz i uda się pogadać z Hornem.

– Zielone – mruknął.

Szofer bez słowa wrzucił jedynkę. Ruszyli.

Matejuk nie miał pojęcia, gdzie jest. Nie zareagował więc, gdy nagle zwolnili, by po chwili skręcić z ulicy w leśną, choć asfaltową drogę. Wkrótce jednak asfalt skończył się, a autem trzęsło coraz bardziej. Komisarz wciąż nie reagował.

Zatrzymali się. Wokół tylko gęste zarośla, drzewa. Dziwne, bo przed chwilą byli jeszcze w mieście...

– Co się dzieje? – zapytał kierowcę komisarz.

– Chyba coś z kołem – powiedział sierżant. – Pójdę sprawdzić.

Otworzył drzwi i wysiadł z furgonetki. Był wysoki, o czym można było się przekonać dopiero teraz.

Matejuk pokręcił korbką, uchylając szybę. Robiło się coraz bardziej gorąco, więźniarka zaś albo miała zepsutą klimatyzację, nie miała jej w ogóle albo po prostu resort oszczędzał. Zerknął w boczne lusterko, ale nie dostrzegł kierowcy po swojej stronie. Z zewnątrz dochodziło jednostajne bzyczenie owadów. Właśnie jakiś zabłąkany okaz o niewiadomej nazwie i zamiarach wleciał do szoferki i zaczął rozpaczliwie objąć się o przednią szybę.

W tej samej chwili Matejuk poczuł parcie na pęcherz. Postanowił skorzystać z okazji, jaką dawał postój w lesie. Nacisnął klamkę drzwi i wyszedł z samochodu. Stopa trafiła od razu na gęstą kępkę trawy. Zrobił dwa kroki po szeleszczącej ściółce.

– I co? Jakaś poważna rzecz z tym kołem? – rzucił w przestrzeń za sobą, rozpinając jednocześnie zamek rozporka.

Zamiast odpowiedzi usłyszał znajomy dźwięk. Metaliczny szczęk zamka, nieporównywalny z niczym innym. W ciągu sekundy odechciał mu się sikać.

– O co chodzi? – Zaczął odwracać się bardzo powoli.

Kierowca więźniarki celował do niego z pistoletu. I robił to jakoś dziwnie, trzymając broń dość nisko, jakby był pewny swojej skuteczności. Nie miał już na sobie bluzy z dystynkcjami sierżanta, a na głowie policyjnej baseballówki.

– Jak widzisz, nie do wszystkich samochodów opłaca się wsiadać – powiedział. – Mówią o mnie „Szczurołap”, może słyszałeś. Pozbywam się szkodników. Do ciebie nic nie mam, ale jedyni świadkowie, których toleruję, to Świadkowie Jehowy.

– Kto cię przysłał? – zapytał Matejuk.

– Ktoś, kto nie lubi, kiedy inni wtrącają mu się do interesów – odrzekł tamten, wykonując nieznaczny ruch pistoletem. – Możesz wybierać: popatrzysz sobie, jak załatwiam Horna i tego drugiego dresa, albo rozstajemy się od razu.

Nagle zaszeleściły suche liście. Matejuk nie ruszał się z miejsca, zabójca też. Nadchodził ktoś trzeci. Mimowolny sprzymierzeniec komisarza czy umówiony tamtego? Przyjaciel czy wróg?

– Przepraszam, ale nie mogę przejechać – zachrypiał jakiś głos, w tym samym momencie zapiszczały hamulce.

Oto w polu widzenia znieruchomiałego Artura pokazał się jakiś dziadek na rowerze.

– Poza tym tu jest zakaz wjazdu – zauważył przybysz.

– Mamy awarię – wyjaśnił szybko zabójca, chowając rękę z pistoletem za plecami. – Zaraz odjeżdżamy – zapewnił z przyklejonym uśmiechem.

Dziadek jednak nie miał zamiaru zrobić tego samego. Stał i patrzył. Są tacy ludzie, szczególnie wśród osób starszych.

Matejuk przełknął boleśnie ślinę. Trzy czy cztery trupy to dla takiego nie problem – pomyślał z trwogą. Nie zauważył, czy na końcu lufy znajduje się tłumik. Zresztą co za różnica. Nim ktokolwiek zaalarmowany strzałami przybiegnie na miejsce, furgonetka będzie daleko.

– Macie panowie może jakiegoś papierosa? – zapytał staruszek, oparłszy się żyłastymi rękami o kierownicę roweru.

– Ja nie – odpowiedział Matejuk, by zaraz dodać: – Ale może kolega ma.

Zabójca skrzywił się. Niespiesznym ruchem wolnej ręki sięgnął do kieszonki na piersiach, skąd wydobyl paczkę papierosów. Dziadek z kolei

zbliżył się wraz z rowerem i wyjął z zanadru osmoloną szklaną lufkę. Poczęstował się papierosem, umieścił go w fifce. Zapalił.

– Bóg zapłać.

Zabójca schował papierosy i wlepił w natręta ciężkie, wiele mówiące spojrzenie z nadzieją, że ten wreszcie sobie pojedzie. Wtedy gwałtownie otworzyło się jedno ze skrzydeł drzwi więźniarki i trafiły w zabójcę, powodując, że stracił równowagę, a broń wypadła mu z ręki.

Matejuk w mgnieniu oka doskoczył do niego, pchnął z całej siły. Jednocześnie lewą ręką chwycił leżącą w trawie „klamkę”. W tej samej chwili z więźniarki wyskoczył przyszczaty. Tuż za nim, mrużąc oczy, niepewnie wyjrzał Tomasz Horn. Ręce obu wciąż skute były kajdankami.

Całemu zajściu z niemal trupa obojętnością, wciąż opierając się łokciami o kierownicę, przyglądał się dziadek-rowerzysta, nad którym unosiły się kłęby tytoniowego dymu.

– Artur, co ty tu robisz? – zapytał Horn.

W tym momencie komisarz Matejuk po raz trzeci usłyszał szelest ściółki. Podłużny kształt zerwał się z ziemi i wyprysnął przed siebie.

Komisarz nacisnął spust. Leśne echo poniosło huk. Zabójca zniknął za lewą burtą więźniarki. Matejuk dał susa przed siebie, ostrożnie przylgnął do tylnej ściany furgonetki. Ledwo się wychylił, z daleka padły dwa strzały...

LXX

Gdańsk, dzień szósty

– Przejdźmy do trzeciej, najwyższej kondygnacji zegara. – Kustosz bazyliki Najświętszej Marii Panny, mimo że był młodym człowiekiem, sapnął z wysiłkiem, końcem języka zwilżył wargi, po czym znów zadarł głowę. – Znajduje się tam teatr figur, na który składają się dwie sceny. W dolnej widzimy figury dwunastu apostołów, za nimi czai się zaś śmierć z kosą.

Omawiany zabytek mieścił się przy zachodniej ścianie zakrystii kościoła Mariackiego, a była nim ogromna, bo wielkości kilku pięter szafa zegara astronomicznego autorstwa Hansa Diringera. Był to jeden z najważniejszych zabytków świątyni.

Monika Lauder, nie doczekawszy się Matejuka, sama zaczęła umówione spotkanie z kustoszem. Ten widać znalazł w niej wdzięcznego słuchacza, bo opowiadał bez wytchnienia, raz po raz zwracając nawet uwagę stąpających po kościelnej posadzce wycieczek, a przede wszystkich ich przewodników, najwyraźniej wpędzanych w kompleksy.

– Wyżej ustawiono czterech ewangelistów, a także rzeźby aniołów – tokował niezmordowanie kustosz. – Szczyt całej kondygnacji wieńczy krenelażowy ornament, nad którym wyrasta drzewo wiadomości dobrego i złego, a także znajdują się Adam i Ewa. Nie mogło też zabraknąć węża. I tu ciekawostka: wąż ma kobiecą głowę i złotą koronę...

Monika z początku słuchała, potem jednak coraz częściej zdarzało jej się wyłączać. Spojrzała w górę. Zegar był rzeczywiście piękny i ogromny, umieszczony pomiędzy białymi kolumnami kościoła, robił niesamowite wrażenie. Jednak zwykły śmiertelnik nie potrafiłby niczego wyczytać z jego tarcz. No i niewiele, a raczej wcale nie posuwało to do przodu ich śledztwa.

– Czy są tu znaki zodiaku? – zapytała kustosza, wykorzystując chwilę ciszy.

– Owszem, są – odpowiedział z uśmiechem, po czym ponownie wskazał ręką na zegar, konkretnie jego tarczę znajdującą się zaraz pod nogami apostołów. – Dwanaście znaków zodiaku umieszczono w dwudziestoczerogodzinnej tarczy zegarowej na różnobarwnych polach. Spośród nich zachowały się tylko Waga i szczytce Skorpiona. Pozostałe zaś zostały zrekonstruowane.

Monika wpatrywała się w tarczę, ale miała w głowie zupełną pustkę. Żadnych pomysłów, które mogły choć odrobinę posunąć ich poszukiwania do przodu.

– Wszystkie te znaki ustawione są według kalendarza, prawda? – zapytała. – Od Barana po Ryby?

– Równie dobrze można powiedzieć, że od Wodnika do Koziorożca – rzekł na to kustosz. – To zależy, który znak przyjmiemy za początek.

– A słyszał pan o podziale znaków? Woda, powietrze...?

– Oczywiście.

– A o ich jakości?

– Kardynalne, stałe i zmienne.

Monika zaczęła gorączkowo rozmyślać. Jeżeli Strzelec przez inne znaki zmienne zaprowadził nas do Panny, to może Panna zaczyna inny podział?

Znak ten należy do żywiołu Ziemi, razem z Bykiem i Koziorożcem. Tylko że nie znaleźli nigdzie znaku Panny, a jedynie jedną z jej gwiazd. Co dalej?

– Czy w czymś jeszcze mogę pani pomóc? – zapytał po chwili kustosz.

– To chyba wszystko, dziękuję.

Wskazał jej ręką drogę i ruszyli ku głównemu wejściu do bazyliki. Ani przez chwilę nie przestawał rozprawiać; tym razem na tapecie był temat kościelnych epitafiów. Z każdym wypowiedzianym nazwiskiem, z każdym krokiem mętlik w głowie Moniki był coraz większy.

– Na tamtym filarze znajduje się z kolei epitafium Bartłomieja Wagnera z tysiąc pięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, które prawdopodobnie wykonał ten sam artysta, co epitafium rodziny Conertów.

Byli na środku świątyni, gdy Monika postanowiła zapytać kustosza o jeszcze jedną rzecz. Wyjęła z kieszeni kartkę z rysunkiem. Kustosz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kombinację znaków, ale w efekcie tylko wzruszył ramionami.

– Nic mi to nie mówi, droga pani – odpowiedział, tym razem z przepaszającym uśmiechem, po czym jeszcze raz rzucił okiem na rysunek: – K, I, zero. Kizero?

– Nie Kio?

– A może Kio. Nie, naprawdę nie wiem.

– A słowa?

Jeszcze raz spojrzął na kartkę.

– *De Virtutis et Fortunae differentia Somnium* – odczytał bez najmniejszego trudu. – Czy to nie jest czasem...

Monika Lauder wstrzymała oddech.

– Oczywiście, że tak! – niemal krzyknął kustosz. – To przecież *Sen o różnoistości fortuny i cnoty!*

– Jakiś wiersz?

– Jedna z pieśni Jana Dantyszka.

Monika poczuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej. Mężczyzna oddał jej zapiski, po czym skierowali kroki ku wyjściu.

Właśnie mijali drzwi prowadzące na punkt widokowy na wieży, o czym informowała drewniana tabliczka, kiedy usłyszeli podniesiony męski głos, nieprzystający do tego miejsca. Uśmiech w jednej chwili zniknął z oblicza kustosza.

– Jakieś kłopoty, panie Geniu? – zwrócił się do niskiego, starszego mężczyzny, któremu towarzyszyło dwóch innych, postawnych facetów.

Kościelny podniósł prawą rękę na znak, że całkowicie panuje nad sytuacją.

– W porządku. Panowie już wychodzą – wyjaśnił jeszcze, po czym twardym gestem wskazał właściwą drogę kłopotliwym turystom.

Kościelny Eugeniusz Wąchaj, zwany przez wszystkich panem Geniem, jak mało kto znał swój fach. W Najświętszej Marii Pannie już niemal ćwierć wieku pełnił posługę i ani razu nie dał plamy. No, jeśli nie liczyć tej historii z winem mszalnym, przed którego spróbowaniem nie oparli się wraz z organistą Bernacikiem. Ale to dawno było, jeszcze za głębokiej komuny, więc mało kto pamięta, choć butelek wtedy wypili ze cztery, a może pięć.

Wąchaj odpokutował grzech, pracując na rzecz swojej świątyni ze wszystkich sił i we wszystkie dni tygodnia. Zresztą kto, jak nie on? Ławkę zarwaną pod jakimś cielskiem naprawić, zawiasy w drzwiach tylnej Bramy Mariackiej naoliwić czy dopilnować, by kwiaty zawsze świeże przy ołtarzu były – we wszystkie te aspekty życia świątyni wgląd musiał mieć kościelny.

Dziś też w porę znalazł się na posterunku: złapał dwóch podejrzanych typów, którzy mieli zamiar grzebać w okolicach klatki schodowej wieży, gdzie kilka dni temu doszło do wypadków. Kto by pomyślał, że w tak świętym miejscu ludzie przeciwko ludziom z karabinami maszynowymi będą występować?

– Co za czasy! – mruknął pod nosem, jak miał w zwyczaju.

Po obiedzie, na który, jak co poniedziałek, zaprosiła kościelnego Eugeniusza gospodyni księdza proboszcza, Wąchaj udał się na tradycyjny, krótki spacer. Marszruta była zawsze taka sama: ulice Piwna, Kozia, Świętego Ducha. Nieco ponad kwadrans marszu, dla podtrzymania formy, a o takową, gdy się miało już lat ponad sześćdziesiąt, dbać należało szczególnie.

Kiedy z lekką sapką, z rękami wciąż splecionymi za plecami wrócił do bazyliki, zastał w jej wnętrzach o wiele mniej zwiedzających niż wcześniej, co tłumaczył sobie porą obiadową.

Już miał się udać do zakrystii, gdzie czekała robota, kiedy jego uwagę ściągnęły drzwi prowadzące na wieżę. Nic nie było szczególnego w samych drzwiach, to bardziej ich widok przywiódł kościelnemu na myśl historię sprzed kilkadziesiąt minut, kiedy to musiał wyprosić, grzecznie, ale stanowczo, tamtych dwóch.

Ale przecież mogli wrócić!

– Strzeżonego pan Bóg strzeże – rzekł sam do siebie i ruszył w kierunku wieży.

Intuicja go nie zawiodła. Dwa męskie głosy usłyszał jeszcze na dole. Wrócili, bezbożnicy! – pomyślał.

Zaczął się wdrapywać po schodach na górę. Strzępki rozmowy układały się w zdania. Bez trudu rozpoznał język, jakim się posługiwali: niemiecki, drugi po polskim, używany przez turystów zwiedzających Gdańsk.

To z pewnością ci sami. Tylko dla niepoznaki szwargoczą – wyjaśnił sobie szybko początkowe wątpliwości.

– Mówiłem coś? Mówiłem, prosiłem?! – krzyknął, starając się zapanować nad sapką.

Dwaj mężczyźni, znajdujący się w niszy, zamilkli.

– Wyłazić mi, ale to już! – fuknął gniewnie kościelny Eugeniusz Wąchaj.

Drzwi niszy się uchyliły. Zamiast min skruszonych, ujrzał jednak coś, czego nie poznał od razu. Gdy po krótkiej chwili bluznęło ogniem z okrągłej, ciemnej, choć niewielkiej dziury, wiedział już, że się pomylił. A pomyłka ta będzie kosztować go więcej niż sto modlitw i praca przez okrągły tydzień.

LXXI

Obwodnica Trójmiasta, dzień szósty

Więżniarka prukała ponad setką, lewym pasem, w kierunku północnym. Siedzący za kierownicą Artur Matejuk wydawał się całkowicie pochłonięty prowadzeniem auta. Tak naprawdę jednak starał się odreagować w ten sposób traumę spowodowaną przez sytuację sprzed kilkadziesiąt minut, kiedy to uszedł kulom zabójcy. Dłonie zaciskał na kierownicy ze wszystkich sił tylko dlatego, żeby mu nie drżały. Nigdy jakoś nie wierzył w swoje szczęście. Teraz był przekonany, że rzeczywiście je ma.

Na podwójnej kanapie obok fotela kierowcy siedzieli Tomasz Horn i pryszczaty. Cała trójka nie odzywała się do siebie od chwili, gdy Matejukowi udało się ich rozkuć i wyjechali z lasu w okolicach Brętowa. Mimo tego, co się stało, wciąż sobie nie ufali. A pryszczaty wciąż był podwójnym zabójcą.

– Co teraz? – zapytał Matejuk, do czego zmusił go widok tablicy informującej, że do Szczecina pozostało trzysta osiemdziesiąt sześć kilometrów, oraz żołądek, który domagał się zapewnienia.

– Ty nam lepiej powiedz, co teraz – burknął Horn.

– Dlaczego ja?

– Lepiej pan zjedzie na prawy pas i zwolni – odezwał się milczący dotąd jak grób chłopak.

– W jakim celu?

– Żeby nie drażnić drogówki – wtrącił się Horn. – Od godziny jesteśmy zbiegami. Chyba tyle wystarczy twoim kolegom, aby się zorientowali, że nikt nie wysyłał po nas samochodu – powiedział, by zaraz dodać: – No, chyba że zamierzasz nas teraz grzecznie odwieźć z powrotem.

Matejuk nic nie odpowiedział. Tylko jeszcze mocniej zacisnął palce na kółku. Posłuchał sugestii pryszczatego. Zwolnił, zredukował bieg, zmienił pas na prawy. Więźniarka wciąż jednak oddalała się od Gdańska. Zza zakrętu wyłoniła się reklama centrum handlowego. Matejuk włączył prawy kierunkowskaz i jeszcze raz zmienił pas.

– Co robisz? – zapytał Horn.

– Najlepiej będzie, jak pogadamy przy jakimś jedzeniu – odpowiedział pogodnie, co reszta przyjęła z milczącą aprobatą. – Ja zapraszam.

Kilka minut później siedzieli w ogródku jednej z licznych restauracji i w skupieniu studiowali menu. Przy stoliku obok jakaś czteroosobowa rodzina z małymi dziećmi, najpewniej jadąca nad morze albo wracająca z urlopu, rozpoczynała bój o deser.

Po kilku chwilach nadeszła kelnerka. Matejuk, Horn i pryszczaty złożyli zamówienie. Wyglądali jak trójka przyjaciół lub współpracowników, którzy zrobili sobie przerwę w długiej trasie. Nie wzbudzali podejrzeń. Było też mało prawdopodobne, by radiowozy w okolicy miały już ich rysopisy. Pozostało zatem tylko jedno: porozmawiać i wszystko wyjaśnić.

– Odleję się. – Pryszczaty wstał od stołu, przez chwilę z góry patrzył to na Matejuka, to na Horna, wreszcie przestąpił z nogi na nogę, odwrócił się i odszedł.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Wiesz, że właśnie uciekł ci podejrzany... – rzekł lekkim tonem dziennikarz.

– Mam to w dupie – warknął Matejuk. – Ten chłopak uratował nam życie.

– I to dwa razy.

LXXII

Gdańsk, dzień szósty

Monika Lauder kończyła jeść pizzę. Ogródek kawiarni znajdował się na zacumowanej przy nabrzeżu Motławy barce, w pobliżu mostu łączącego ulice Długą i Stągiewną. Podczas gdy prawa ręka dziewczyny operowała widelcem, lewa przewracała karty niepozornej książeczki. Choć nie mogła w to uwierzyć, *Pieśni* Jana Dantyszka udało się jej dostać w pierwszym napotkanym antykwariacie!

Z wieży ratusza rozległy się pierwsze dźwięki *Ody do radości*. Monika spojrzała na most, po którym od strony Zielonej Bramy i w przeciwnym kierunku, ku Długim Ogrodom, przesuwał się nieprzerwanie gęsty, kolorowy, irytująco hałaśliwy i rozgadany w dziesiątkach języków tłum.

Przecież trwa Jarmark Dominikański – przypomniała sobie.

– Smakowało pani? – Kelner sięgnął po jej talerz.

Skinęła głową, dopijając resztkę soku ze szklanki.

– Tak. Rachunek proszę.

Kelner oddalił się. Monika już sięgała do kieszeni z zamiarem kolejnego przyjrzenia się ostatniej stronie dziennika Jana Kellera i skonfrontowania jej z zakupioną książką, gdy zadzwoniła jej komórka. Numer na wyświetlaczu niewiele jej mówił. Po dwóch sygnałach odebrała połączenie.

– Tak?

Kiedy w słuchawce odezwał się głos Tomasza, serce dziewczyny zabiło cztery razy zamiast dwóch. Gdy jeszcze okazało się, że nie dzwoni on z aresztu, liczba uderzeń wzrosła do sześciu.

Z pokoju hotelowego, który wynajmowała Monika Lauder, widać było jak na dłoni gdańską marinę. Słońce powoli już wydłużało cienie masztów cumujących tam jachtów. Za mariną, Motławą i Długim Pobrzeżem rysowało się Główne Miasto z jego najważniejszymi zabytkami.

Monika, Horn i Artur Matejuk od niemal godziny siedzieli na krzesłach i hotelowym tapczanie. Dziewczyna opowiedziała dziennikarzowi o zdradzie Gniewomira i jej powodach, a także swojej wizycie w kościele Najświętszej Marii Panny. Horn zrewanżował się opowieścią o tym, co wydarzyło się w więźniarce. Potem zaczął głośną lekturę dziennika Jana Kellera.

– Niesamowite – mruknął pod nosem, skończywszy czytać.

Monika i Matejuk, choć znali już treść zapisków, z zainteresowaniem wysłuchali ich jeszcze raz.

– Pokaż mi ten rysunek. – Horn wyciągnął rękę w stronę Moniki, a otrzymawszy go, przez kilka chwil przyglądał się tajemniczemu znakom i słowom.

– I co? – zapytał Matejuk.

– Nic mi to nie mówi.

– Może przynajmniej wiesz, co oznaczają cyfry pod tytułem pieśni? – naciskał policjant.

– Podejrzewam, że to numery wersów. Wynotowałam je – pochwaliła się antropolożka, po czym sięgnęła po drugą kartkę, pokrytą równym

pismem:

*Idź do czarno odzianych, kajdanami skutych,
Marny poeto, tu nie miejsce tobie!*

– Czyżby Dantyszek pisał o mnie?! – zaśmiał się Horn, ale szybko spoważniał.

Monika tymczasem odczytała kolejny czterowiersz:

*Nagle ujrzałem Fortunę. Dwie miała twarze,
Pod nią tron świetny mienił się pozłotą.
Na głowie połyskliwy diadem szczerozłoty,
W lewej ręce berło królewskiej władzy.*

– To wszystko? – skrzywił się Matejuk.

Zapanowała cisza. Horn spojrział za okno.

– Jestem przekonany – rzekł po chwili – że w miejscu, do którego dotarliśmy, szukając ostatniego znaku zmiennego, czyli Panny, znaleźliśmy tylko kolejny ślad, nie zaś to, czego naprawdę szukamy. Symbol A3V, umieszczony na ścianie, oznacza z pewnością typ widmowy jednej z gwiazd Gwiazdozbioru Panny, Heze. Mając dziennik i kolejne wskazówki, możemy spokojnie iść dalej.

– Bez zbirów na karku – zauważyła przytomnie Monika.

– A kolejna wskazówka znajduje się... – Horn zawiesił głos i potarł dłonią czoło. – No właśnie, gdzie?

Monika Lauder sięgnęła do swojej walizki, skąd wydobyła plik zadrukowanych kartek.

– Gwiazd w gwiazdozbiorze Panny jest kilkaset, ale najważniejszych jest sześć. Heze jest ostatnia w tej stawce, a przed nią mamy, w kolejności

od najmniejszej do największej: Vindem, Auva, Porrima, Zavijah i Spica.

– Jakbym czytał menu jakiejś pizzerii – zaśmiał się Horn.

– Poza Zavijah, która bardziej pasuje do budki z kebabem – wtrącił z kamienną twarzą Matejuk.

Monika spojrzała na obu z przyganą, ale nie skomentowała tych skojarzeń.

– Spica, czyli Kłos. Główna gwiazda gwiazdozbioru Panny – powiedział Horn jakby do siebie. – Według starożytnych gwiazdozbiór, zresztą największy spośród gwiazdozbiórów zodiakalnych o łacińskiej nazwie Virgo, wyobraża pannę trzymającą w ręku kłos.

Dziennikarz wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju. Po chwili zatrzymał się, spojrzał w okno, przymrużył oczy i przekrzywił lekko głowę.

– Widzę ją – powiedział szeptem.

– Kogo? – zapytali niemal jednocześnie Monika i Matejuk.

– Spicę. Kłos.

– Ale przecież jest jeszcze jasno – jęknęła antropolożka, ale Horn wydawał się wyjątkowo pewny swojej obserwacji.

– Kłos! – powtórzył z mocą, by za chwilę dokończyć niemal szeptem. – Złoty kłos! Dużo złota... Naprawdę nie domyślacie się, gdzie go szukać!

Nie wiadomo dokładnie, kiedy został zbudowany ratusz Głównego Miasta w Gdańsku. Przez wieki budowla zmieniała swój kształt, by po groźnym pożarze, który wybuchł trzeciego października tysiąc pięćset pięćdziesiątego szóstego roku, przybrać obecną, renesansową, strzelistą postać z charakterystycznym hełmem na wieży. O wystrój sal, w tym sali obrad: Czerwonej i Wielkiej Sali Wety, zadbali najwybitniejsi gdańscy

artyści ówczesnych czasów: Willem van der Meer, Izaak van den Block, Anton Möller czy Hans Vredeman de Vries. Pod koniec II wojny światowej pożar strawił hełm wieży i drewniane stropy. Pociski i bomby poważnie uszkodziły też mury budowli – do tego stopnia, że ratusz chciano rozebrać do końca. Na szczęście zabytek udało się uratować.

– Dlaczego uważasz, że to właśnie tutaj? – zapytała Horna Monika, kiedy zatrzymali się na styku Długiej i Długiego Targu, przed głównym portalem budowli.

– Nie wiem – odpowiedział Horn. – Przeczucie, pierwszy impuls. Jak dotąd jakoś nas nie zawodziły – dodał z uśmiechem i puścił oko do dziewczyny. – Gdy Jan Keller zmieniał miejsce ukrycia skarbu, co wynika z zapisu w dzienniku, wszystko tu wyglądało zupełnie inaczej, prawda?

– Nie da się ukryć – rzekł milczący dotąd Matejuk.

– Właściwie nie zachował się kamień na kamieniu – ciągnął Horn – z wyjątkiem dolnych części budowli bazyliki, a także ratusza. Nie wiemy też, kiedy dokładnie zawartość walizki, którą Keller miał przy sobie na Gustloffie, została ukryta w nowym miejscu. Może dopiero wiele lat po wojnie? I może zapis na końcu dziennika został dokonany dopiero na początku lat siedemdziesiątych, kiedy nad Gdańskiem było już widać wyraźnie... kłos.

– Czyli co? – zapytali jednym głosem Monika i Matejuk. W odpowiedzi Horn zadarł wysoko głowę.

– Czyli jego królewską mość króla Zygmunta II Augusta, ostatniego z Jagiellonów, nieszczęśliwego małżonka Barbary Radziwiłłówny. To on, a dokładnie przedstawiająca go pozłacana figura naturalnej wielkości, usadzona na wierzchołku wieży ratusza – wyjaśnił ze swadą. – Oglądana z pewnej odległości, czyż nie wygląda jak kłos zboża?

Spojrzeni w górę. Problem w tym, że oglądana z aktualnej perspektywy, czyli perspektywy mrówki, rzeźba, o którą chodziło dziennikarzowi, była podobna... właściwie do niczego.

– I co chcesz zrobić? – zainteresował się komisarz ze sceptycznym półuśmiechem.

– Przede wszystkim wejść do środka. Stojąc tutaj, niczego się nie dowiemy – odpowiedział Horn, po czym zdecydowanym krokiem skierował się w stronę drzwi.

– Muzeum Historyczne Miasta Gdańska – Monika przeczytała głośno tekst z tablicy wiszącej obok portalu.

– Ale o tej porze pewnie wszystko jest już pozamykane! – zawołał z rezygnacją policjant.

Horn nie zareagował na te słowa. Drzwi do muzeum okazały się zresztą otwarte. Po chwili cała trójka stała w przyjemnie chłodnym i niepokojąco ciemnym i cichym przedsionku budowli. Drugie, oszklone drzwi wpuściły ich do wnętrza. W środku nie było nikogo. Z daleka dobiegło bzyczenie odkurzacza i jakieś kobiece nawoływania. Wyglądało na to, że rzeczywistości dzień pracy w muzeum już się zakończył.

– Co dalej? – Matejuk spojrzał na Horna.

Ten wskazał brodą schody prowadzące na piętro. Tylko jedno słowo kołatało mu się bowiem w głowie: wieża. To musiała być kolejna wieża!

Szli, starając się robić to bezszelestnie. Chyba każde z nich, choć najpewniej w innych, może nawet biegunowo innych okolicznościach, choć raz przekonało się na własnej skórze, jak to jest być nieproszonym gościem, w dodatku po godzinach. I jak skutecznym cerberem potrafi być dziadek w baseballówce z wyświeconym od brudu daszkiem albo kobiecina w szarym fartuchu, uzbrojona w ścierę takiego samego koloru.

Horn przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Czuł, że odpowiedzi na zadane pytania i zarazem potwierdzenie jego hipotezy znajduje się wysoko. Tam, gdzie kłos. Spica. W najgorszym razie może to być kolejna wskazówka, która w spokoju czekała przez lata, aż ktoś do niej dotrze.

LXXIII

Gdańsk, 2 kwietnia 1970 roku

Klucz w zamku przekręcił się z łatwością. Raz. Potem drugi. Nawet miły dla ucha chrobot, mimo że zamek nowy, jeszcze niewyrobiony. Jan Keller, stojący dwa metry od drzwi i przyglądający się mężczyźnie, w którego rękach obracał się niewielki, metalowy przedmiot, z ulgą wypuścił z ust powietrze. Niezgrabnie zamachał ręką w powietrzu, po czym szybko ukrył ją w kieszeni prochowca. Druga ręka, lewa, trzymała niewielkich rozmiarów walizeczkę.

– Gotowe, panie kustoszu – rzekł posiadacz klucza.

– Dalibyście już spokój z tym kustoszem! – zachnął się Keller, kiepsko udając skromność. – Stare dzieje.

Tamten miał jednak swoje zdanie:

– Kustosz to zawsze kustosz. Nawet były.

Keller tylko coś mruknął pod nosem. Przez chwilę wydawał się obecny tu, kilkadziesiąt metrów nad ziemią, jedynie ciałem. Przytomność zwróciło mu szuranie nogami i głos mężczyzny, który go tutaj przyprowadził, a przed chwilą otworzył osobiście drzwi prowadzące na wieżę ratusza Głównego Miasta w Gdańsku.

– Zostawiam w takim razie pana kustosza samego. Muszę lecieć na dół.

– Oczywiście.

– Dziś wielki dzień. Gdańsk otrzymuje wreszcie z powrotem swój ratusz – powiedział z egzaltacją. – Kiedy będzie pan wychodził, proszę po prostu zamknąć drzwi.

Keller przytaknął bez słowa, podczas gdy tamten skierował się ku schodom. Za kilka chwil rzeczywiście miała rozpocząć się uroczystość przekazania miastu odbudowanego gmachu ratusza. Uroczystość, na którą, prócz władz Gdańska i województwa, przybyli ważni goście z samej Warszawy, partyjni dygnitarze i minister kultury i sztuki.

Kiedy odgłos kroków tamtego ucichł zupełnie, Jan nacisnął na klamkę i pchnął drzwi. Od razu poczuł na twarzy świeży powiew wiosennego wiatru. Tak pachniała obietnica, odkąd tylko pamiętał. Wiele rzeczy w jego długim, ponadsześćdziesięcioletnim życiu zdewaluowało się, odeszło, straciło znaczenie. Ale obietnicę, a ją niosła zawsze kolejna wiosna, odkąd pamiętał, czuł zawsze tak samo. Dziś przypominała mu także o jego młodości.

Jan Keller wspiął się po kilku stopniach. Oto znajdował się w najniższej części hełmu wieży. Także i ten odcinek, choć niewielki, kosztował go sporo wysiłku. Ostatnimi czasy zdrowie niezbyt dopisywało, pokolenie wojny najwyraźniej zaczynało płacić za wszelkie niedogodności, wynikające z tamtego czasu. Jednak już widok, który roztaczał się z tej części wieży, był wystarczającą zapłatą za trud wspinaczki: ulice, place, perony dworców z wiecznie spieszącymi się dokądś, zabieganymi, poszarzałymi, dobrze widocznymi na tle świeżej zieleni trawników ludźmi. Czerwone dachy domów odbudowanego już w większości Głównego Miasta, Westerplatte z nowym pomnikiem, port, Motława, zrujnowana twierdza Wisłoujście. Gdzieś tam daleko ma powstać nowy port, Port Północny.

Po kilku chwilach Jan Keller zaczął piąć się po kolejnych schodach. Z dołu dochodziło miarowe, przerywane pokaśływaniem samochodów i wyciem karetek pogotowia rżenie miasta. Z każdym krokiem, z każdym stopniem nowych schodów robiło się jednak coraz ciszej.

Była to cisza – Jan długo nie zastanawiał się nad tym określeniem, właściwie przyszło do niego samo – cisza śmiertelna. Tak woła niebyt. Wieczność. Nicość.

Po kilku chwilach Jan Keller był w najwyższym punkcie, do którego mógł dotrzeć człowiek. Wyżej królowały już tylko ptaki: mewy i gołębie, które już zdążyły przyzwyczać się do nowego miejsca zbudowanego im przez człowieka. Mężczyzna przystanął przy otworze okiennym, kurczowo trzymając się framugi. Przez dłuższą chwilę patrzył w dal, na wody zatoki, i jeszcze dalej, gdzie za mierzeją zaczynało się morze. Uśmiechnął się do tego widoku, a może do swoich myśli. Palce jeszcze mocniej zacisnęły się na rączce walizeczki. Wiedział już, co dalej zrobić.

Już miał nacisnąć klamkę drzwi, które przed kilkunastoma minutami specjalnie dla niego otworzono, kiedy czyjaś ręka pchnęła je od zewnątrz. Jan ujrzał przed oczami granat munduru, błysnęło złoto guzików.

– Cześć, tata! – zawołał wesoło jego syn, Władek Keller, ubrany w wyjściowy mundur podchorążego Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. – Powiedzieli mi, że tu jesteś...

– Jak widzisz – rzekł sucho Jan; chyba nie był do końca rad, że widzi akurat w tej chwili i w tym miejscu swojego pierworodnego.

– Co tutaj robisz?

– Podziwiam widoki.

Władek już wtedy wiedział, że niczego więcej nie dowie się od ojca.

– Schodzisz na dół? – zapytał. – Właśnie zaczęła się uroczystość.

LXXIV

Gdańsk, dzień szósty

W drugim gdańskim komisariacie policji przy ulicy Piwnej było pusto i cicho. Gdyby nie sierżant siedzący na dyżurce, oddzielonej od korytarza okratowanym okienkiem, można by było uznać miejsce to za całkowicie wymarłe, zgasić światła, jeśli byłby to wieczór, i pozamykać drzwi na klucz. Mieszczący się na Głównym Mieście posterunek rzadko kiedy ogarniał taki spokój i senność. To przecież tutaj powstawała najważniejsza część pitawalu miasta nad Motławą, szczególnie w lecie, podczas wakacji, kiedy telefony komórkowe, aparaty fotograficzne, portfele czy samochody zmieniały właścicieli z dużo większą częstotliwością niż w pozostałe pory roku.

Na słuchawce telefonu usiadła mucha i zaczęła myć przednie łapki. Sierżant oderwał się od pisanego właśnie raportu i w milczeniu przyglądał się poczynaniom owada.

Śmieszne stworzenie – ocenił w duchu. Gdyby był we własnym domu, pewnie próbowałby pozbawić muchę życia. W pracy jej obecność przeszkadzała mu jakby mniej.

Nagle ciszę przerwał dzwonek telefonu. Spłoszona owocówka uciekła, serce policjanta przyspieszyło bieg. Po trzecim sygnale podniósł słuchawkę.

– Komisariat drugi, starszy sierżant Sosna, słucham.

Przez dłuższą chwilę Sosna robił to, co powiedział, czyli słuchał. Wysłuchiwanie ludzi było jego pracą. A słuchać umiał, jak dobry psycholog lub nawet ksiądz. Umieć właściwie wysłuchać człowieka, nie zdradzić się zbyt szybko ze swoim zniecierpliwieniem czy znudzeniem – to była połowa sukcesu.

Często nawet tylko tego oczekiwali. Móc powiedzieć: „Ubiłem tę kurwę, leży tu właśnie i nie dycha, nie zdzierzyłem, panie władzo, ubiłem ją”. Zrzucić z siebie ten ciężar, mieć to już za sobą, niech przyjadą, zdrutują, zabiorą. Równie często zdarzało się tak, że rzekomo ubita... wstawiała jednak po chwili. Choć wydawało się, że to już na amen, ale jednak wstawiała, więc nie było sprawy żadnej. Do następnego razu.

– Nie rozumiem: zginął ten samochód czy nie zginął? – W głosie starszego sierżanta Sosny nie można było wyczuć choćby śladu rozdrażnienia. – To ja mam wiedzieć?! – Zaśmiał się, ale nie nerwowo, lecz serdecznie. – Składa pan doniesienie? – Pytanie było zadane najuprzejmiej, jak tylko Sosna potrafił. – Dziękuję.

Odłożył słuchawkę, wrócił do pisania. Długopis po raz kolejny tego dnia odmówił jednak posłuszeństwa. Tej próby już Sosna nie wytrzymał.

– Kurwa!

Otworzył szufladę biurka i zaczął poszukiwania. Przez dłuższą chwilę ze schowka niczym z pudła rezonansowego dochodził chrobot poruszanych drobiazgów. Przerwał go dopiero kolejny dzwonek telefonu. Policjant zmełł w ustach kolejne przekleństwo, po czym sięgnął po słuchawkę. Nie zdążył się jednak nawet przedstawić; ktoś po drugiej stronie krzyczał. Była to kobieta.

– Proszę się uspokoić – przerwał jej sierżant. – O jakich kartonach pani mówi?

– Dziwne jakieś, zaklejone – odpowiedziała niewidoczna rozmówczyni.

Sosna jednym ruchem rozpiął guziczek koszuli pod szyją i poluzował krawat.

– Bomba – powtórzył na głos to, co pomyślał.

LXXV

Gdańsk, dzień szósty

- Nie otworzysz tych drzwi! – warknął Artur Matejuk.
- Dlaczego? – Horn spojrzał na policjanta bykiem.
- Bo to będzie włamanie.
- Jakie tam włamanie...
- Przepięstwo.
- A mało ich mamy na koncie? Co nam zrobi jedno więcej czy mniej?
- Nie otworzysz tych drzwi! – powtórzył z mocą komisarz.

Tomasz Horn miał czerwoną, nabrzmiałą od wysiłku i zdenerwowania twarz. Po chwili zrobił krok do tyłu, powoli obejrzał się przez ramię. Przed dłuższy czas patrzyli na siebie, jakby za chwilę mieli sięgnąć po broń i wycelować przeciwko sobie. Obecna przy tej scenie Monika Lauder w żaden sposób nie reagowała na tę coraz bardziej napiętą sytuację.

– Artur, opanuj się! Zostały nam jeszcze tylko te jedne, jedyne drzwi – Horn mówił powoli, starannie ważąc słowa.

– To przepięstwo.

Dotąd było łatwo. Udało im się przejść niezauważonymi przez cały ratusz, piętro za piętrzem, coraz wyżej. W którymś momencie na jednej ze ścian Monika zauważyła tabliczkę z napisem: WIEŻA. Czego można było chcieć więcej? Nawet drewniane schody nie skrzypiały...

Nie liczyli pokonywanych pięt, musieli jednak być już dość wysoko, gdy na ich drodze stanęły te pechowe drzwi. Zamknięte na głucho. Solidne. Na domiar złego przytwierdzona była do nich taka sama tabliczka, jak te, które ich prowadziły. WIEŻA. Ale już bez strzałki. Kostki nóg stojących kilka razy owionął podmuch chłodnego powietrza.

Byli blisko. Naciśnięcie klamki przez Horna wywołało konsternację. Dobra passa musiała się kiedyś skończyć. Szkoda tylko, że stało się to tak niedaleko celu.

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Głos dziennikarza był coraz niższy, chrypiący.

Ale Matejuk uparcie kręcił głową. Sytuację próbowała ratować Monika:

– Może trzeba z kimś pogadać, wejść tu legalnie, jutro. Przecież już się tak dało, w Lidzbarku kustosz był w porządku.

Wtedy zza niedalekiego okna dobiegł odgłos syren. Dopadli łukowato sklepionego otworu. Okno było uchylone, widać przez nie było ulicę. Widzieli stąd dokładnie: kilka radiowozów zatrzymało się w pobliżu fontanny Neptuna, wyskoczyła z nich spora grupa mundurowych. Przewalający się Długim Targiem tłum, nagle zatrzymany, zaczął tężeć. Przechodnie zaczęli sobie coś pokazywać rękami.

– Odcięli ulicę – relacjonowała Monika. – Chyba wchodzą do środka.

– No to jesteśmy w dupie – mruknął Horn, po czym... wyciągnął skrzyżowane w nadgarstkach ręce w stronę Matejuka. – Proszę, w razie czego będziesz pierwszy. Może nawet jakiś medal dostaniesz.

– Nie pierdol! – bluznął Matejuk. – Ja nie mam z tym nic wspólnego, rozumiesz?

– Nie wierzę ci.

Monika Lauder wychyliła się przez drewnianą balustradę schodów.

– Uspokójcie się, do cholery – syknęła, by za chwilę dodać: – Są coraz bliżej...

Miała rację. Z dołu dochodziły wyraźne nawoływania i tupot wielu par butów. Pojedyncze szczeknięcie psa.

Horn i Matejuk zaczęli się gorączkowo rozglądać. Policjant, jakby nie do końca wierzył dziennikarzowi, szarpnął za klamkę drzwi prowadzących na wieżę.

– Tutaj – powiedziała w pewnej chwili Monika. – Szybko.

Patrzyli nieporuszeni, jak z kocią sprawnością siada na parapecie, by zaraz spuścić nogi po drugiej stronie.

– Jest przejście! Na pewno dacie radę – dorzuciła, wyrzawszy przez okno, ale już z drugiej strony.

– Ale drzwi, wieża... – jęknął Horn bezradnie jak dziecko.

Matejuk zdecydowanym ruchem pociągnął go za ramię.

– Nie masz dość dołka?

Horn nie odpowiedział. A przecież miał dość. Serdecznie dość! Podobnie jak całej tej awantury. Dał się poprowadzić do okna, wyjrzał przez nie. Droga ucieczki miała prowadzić najprawdopodobniej wzdłuż rynny, położonej na styku dwóch spadzistych dachów. A dalej?

– Wskakuj! – ponaglił go Matejuk.

– A ty?

– Ja za tobą.

Horn z łatwością pokonał przeszkodę i zaczął powoli przesuwać się w dół po łagodnej stromiźnie. Kiedy w pewnym momencie obejrzał się za siebie, Matejuk właśnie zamykał okno. Szyba odbiła pomarańczowy promień zachodzącego słońca. W tym samym momencie Monika coś

krzyknęła. Nie zrozumiał, co. Nie rozumiał też, czemu Matejuk zamyka okno od wewnątrz...

LXXVI

Gdańsk, dzień siódmy

Kolejny alarm bombowy okazał się fałszywy. Kilka minut po północy spod ratusza odjechał ostatni radiowóz. Policyjny kordon rozwiązano kilkadziesiąt minut wcześniej, dzięki czemu ruch na najważniejszej trasie spacerowym odbywał się już płynnie. Mimo późnej pory, nie był wcale mniejszy niż za dnia, jakby spacerowicze chcieli nadrobić zaległości.

– Szlag by go trafił – zaklął nadkomisarz Zawisza. – Gdybym tylko dorwał takiego gnoja w swoje ręce, przez tydzień nie usiadłby na dupie.

Siedzący obok w radiowozie komisarz Matejuk zgodził się z przełożonym skinieniem głowy.

– A ty, Artur, naprawdę niczego nie widziałeś? – zapytał po chwili tamten.

Trzecie. Tak, było to już trzecie niemal identyczne pytanie, jakie Zawisza skierował do Matejuka, który jako pierwszy znalazł się w zagrożonym obiekcie. Jak opowiadali antyterrorysty, mieli go już na muszce, kiedy powolnym ruchem, żeby nie drażnić bez potrzeby ludzi z wycelowaną w niego bronią ani psów, niepuszczających z niego wzroku, sięgnął po policyjną odznakę.

Mam nadzieję, że mnie nie podejrzewają – pomyślał.

– A wiesz, że uciekli nam ci ludzie z katedry? – odezwał się po dłuższej chwili nadkomisarz Zawisza.

Matejuk czuł, jak się czerwieni. Klawisze na Kurkowej nie mogli go zapamiętać. A jeśli?

– Naprawdę? – udał zdziwienie.

– Tak. To jakaś dziwna sprawa. Najpierw nie wiadomo skąd telefon, że przejmują ich CBS. Wszystkie dokumenty i pieczętki wydają się w porządku. Potem nawet jakiś gliniarz wsiada przed aresztem do więźniarki, a po kilku godzinach samochód znajdujemy w centrum miasta. Oczywiście pusty. Chłopaki robią daktyloskopię.

– Kiedy będą wyniki?

– Mam nadzieję, że rano – mruknął, a potem westchnął. – Ale to jeszcze nie koniec. Wiesz, gdzie byłem, zanim się tu znalazłem? W katedrze. Dwie godziny temu na schodach prowadzących na wieżę znaleziono ciało kościelnego. Wąchaj jego nazwisko.

– Co się stało?

– Piętnaście centymetrów zimnej stali w sercu. Robota zawodowca.

– Myślisz, że to ten chłopak?

– Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wysłałem za nim list gończy.

Matejuk przeciągnął dłonią po twarzy. Czuł, jak stygnie, ale był to stanowczo zbyt powolny proces. Najchętniej wskoczyłby do tej fontanny, w której taplał się Neptun, kilka metrów dalej. Albo pobiegł większy kawałek i wykąpał się w Motławie.

– A co sądzisz o tych bombach? – zapytał po chwili nadkomisarz Zawisza.

– Sam nie wiem.

Bo i nikt nie wiedział, kto stoi za kartonami, podrzucanymi od trzech dni w różnych częściach Gdańsk. A to niedobrze, bo Jarmark Dominikański, mający być, jak lojalnie ostrzegano, główną areną działań terrorystów, trwał w najlepsze.

Z zamyślenia wyrwał go głos nadkomisarza:

– Podrzucić cię gdzieś?

Matejuk energicznie pokręcił głową.

– Dziękuję.

Wysiadł, zamknął drzwi. Odprowadził wzrokiem samochód, po czym wsunął dłonie w kieszenie spodni i uważnie rozejrzał się dookoła. Nie ruszał się z miejsca.

W tym samym momencie dwa cienie przemieszczały się wzdłuż murów uśpionych kamienic, jedną z bocznych uliczek Starówki, Szewską. Po chwili przecięły Świętego Ducha i znalazły się na Złotników.

Tomasz Horn nie przestawał rozcierać lewego przedramienia, które ucierpiało przy uderzeniu o mur, gdy skakali z dachu przybudówki, na jednym z podwórek w najbliższym sąsiedztwie bazyliki. Właściwie powinien rozcierać inną część ciała. Razem z Moniką siedzieli przecież kilka godzin na dachu, ukryci we wnęcie, którą tworzył komin, o tej porze roku na szczęście niefunkcjonujący, i ściana sąsiedniej kamienicy. W niewygodnej, dobrej dla ptaków, ale na pewno nie dla ludzi pozycji spędzili kilka godzin.

Kiedy zdecydowali się zejść na ziemię, żadne z nich nie było przekonane co do trafności tej decyzji. Więzienna prycza wydawała się w tym momencie szczytem wygody w porównaniu z dachem i dachówkami. Czekali na koniec kotła. Czekali równie niecierpliwie na Matejuka.

Doczekali się jednak tylko tego pierwszego, choć nawet w momencie opuszczania kryjówki Horn nie był niczego pewien na sto procent. Zatrzymali się gwałtownie na rogu Szerokiej.

– Co jest? – zaniepokoił się dziennikarz.

Idąca przodem Monika położyła palec na ustach. Horn opadł plecami na zimną ścianę.

Zaczynam wariować – pomyślał, a raczej wyłuskał jedno zdanie z setek, które przelatywały mu w tej chwili przez głowę.

Z otwartego okna kamienicy dobiegł strzęp jakiegoś filmowego dialogu. Znajomy głos lektora. Horn zacisnął ze wszystkich sił powieki. Ile by dał, żeby móc teraz siedzieć sobie wygodnie przed telewizorem, pić zimne piwo i oglądać czyjeś, nieprawdziwe, bo przecież tylko filmowe perypetie. Zawsze można zmienić kanał lub po prostu wyłączyć telewizor. A życia wyłączyć się nie da. To znaczy da się, owszem, ale to ruch tylko w jedną stronę.

– Dobra, poszli – powiedziała Monika.

Horn z niechęcią oderwał się od powierzchni, która, choć zimna i chropowata, dawała jakieś pozory bezpieczeństwa. Teraz przed nimi była noc i niepewność. I pytania wciąż bez odpowiedzi.

Zatrzymali się dopiero na końcu Długiego Targu. Tym razem schronienie dała im zabytkowa Brama Zielona. Zapach moczu mieszał się w tym miejscu z zapachem wody płynącej kilka metrów dalej Motławy. Do hotelu mieli stąd prostą drogę. Od Chlebnickiej szło jakieś rozbawione wieloosobowe towarzystwo, zmierzające najpewniej w stronę Długiej.

– Zabierzemy się z nimi – mruknął Horn.

LXXVII

Gdańsk-Wrzeszcz, dzień siódmy

Władysław Keller przewracał się z boku na bok. Mający za sobą wiele dni ekstremalnych niewygód, przy których nawet poligon w Wicku był czterogwiazdkowym hotelem, wcześniej wykąpany jak małe dziecko w wannie przez żonę, zasnął również jak niemowlę. Na chwilę przed utratą świadomości czuł, że zapada się w jakąś miękką, aksamitną, szumiącą cicho otchłań.

Mirka, od chwili gdy wsparty na ramieniu kapitana Andrzeja Czyża poprzedniego dnia wieczorem przekroczył próg mieszkania, nie odzywała się prawie wcale. Przygotowała kolację, od której wymigał się Czyż, kąpiel, pościeliła łóżko, wyjęła z szafy czystą piżamę. Wszystkie te czynności wykonywała niemal automatycznie, jakby starała się wytłumaczyć nimi swoje milczenie.

Bo tak było. Nie wiedziała, co powiedzieć. Musiałaby albo krzyczeć, albo płakać. Wołała więc nie otwierać ust w ogóle.

– Dobranoc – bąknął Keller, kładąc się do łóżka.

– Dobranoc – odpowiedziała mu, po czym zgasiła światło i wyszła do kuchni; była wszak jeszcze dość wczesna godzina.

– Pogadamy jutro, nie? – rzucił jeszcze za nią, ale chyba go nie usłyszała albo nie chciała usłyszeć.

Kiedy się obudził, za oknem było jeszcze ciemno. To przez te ciężkie zasłony – skonstatował. Dzięki nim mogli zawsze trochę dłużej pospać.

Nie był w stanie określić, która może być godzina. Przewrócił się na drugi bok. Starał się to zrobić jak najdelikatniej, żeby nie obudzić żony, choć przy tak sponiewieranym ciele było to dość trudne. Wreszcie się udało. Ułożył wygodnie głowę na poduszce. Kiełkujący już zarost zaczął o materię poszewki.

Zamknął oczy. Chciał pospać, choćby i do południa. Przesłuchanie w prokuraturze wojskowej wyznaczono dopiero na czternastą. Mirka pewnie nie będzie chciała go wypuścić, nawet i tam. W najgorszym wypadku pojedą razem...

Coś stuknęło, gdzieś w głębi mieszkania. Keller wstrzymał oddech, podniósł nieco głowę, żeby zrobić użytecznym także i drugie ucho. Często było też tak, że dźwięki, które rzekomo słyszał w nocy, tak naprawdę były tylko wytworem jego wyobraźni. Po przeżyciach ostatnich dni takie omamy nie powinny dziwić.

– Słyszałeś? – odezwała się nagle szeptem Mirka, która również uniosła z poduszki głowę i nasłuchiwała w napięciu.

– Tak.

– Chyba coś na korytarzu.

Keller odgarnął kołdrę, uniósł tułów. Przez opuszczeniem stóp na podłogę powstrzymał go jęk żony.

– Nie idź.

– Może to jakiś kot – próbował ją uspokoić. – Nie da nam spać.

– Boję się.

Ale on już był na nogach. Mijając kuchnię, zauważył suszarkę do naczyń. Zboczył z drogi, chwycił długi nóż do ryb i ruszył ku drzwiom wyjściowym. Dzielilo go od nich może z półtora metra, gdy jego uszy

złowiły czyjś szept, dobiegający zza drzwi. Zimny dreszcz przebiegł Kellerowi przez plecy. Mocniej zacisnął palce na rękojeści noża.

– Władek... – szepnęła Mirka.

Zatrzymał się, odwrócił. Stała na progu sypialni w nocnej koszuli. Przypominała ducha. Machnął gwałtownie ręką na znak, żeby się schowała. Zjawa zniknęła. Keller patrzył teraz już tylko na drzwi prowadzące na korytarz. Wysokie, stare. Takie drzwi spotyka się dziś tylko w stuletnich mieszkaniach. Powinien je pomalować. Tak, na pewno to zrobi. Jutro kupi farbę.

Prawa stopa zatrzymała się pół metra od progu. Mężczyzna odwrócił głowę, tak żeby ucho, również prawe, mogło złowić najcichszy nawet dźwięk. I złowiło.

Ktoś majstrował przy zamku!

Keller poczuł, jak krew zaczyna w nim buzować. Położył dłoń na języczku metalowej zasuwki, jednym szybkim ruchem przesunął blokadę, by drugim szarpnąć za klamkę. Drzwi zostały otwarte, komandor napał na nie ramieniem.

– *Donnerwetter!* – wrzasnął ktoś, a echo korytarza spotęgowało krzyk.

W tym samym momencie krzyknęła Mirka. Keller działał jak w amoku. Pchnięte przez niego drzwi najwyraźniej kogoś potrąciły, ale nie widział intruza. Na tle okna na korytarzu zamajaczyły jakieś postacie. Ktoś jęknął z bólu. Ktoś obcy.

Keller pchnął nożem na oślep, ale ostrze trafiło na próżnię. Rozległ się tupot nóg na schodach.

– Złodzieje! – ryknął Keller.

Wtem coś zafurkotało w powietrzu. Rozległ się trzask łamanego drewna. Keller poczuł zapach prochu. Nogi się pod nim ugięły.

Posiłkowany przez dodatkowy zmysł, padł jak długi na podłogę. Nagle ramię wyczuło szorstkość wycieraczki leżącej przed drzwiami mieszkania.

Nagle zobaczył dokładnie nad sobą biel zjawy. Kolejny trzask.

– Mirka! – krzyknął, próbując chwycić ją za nogi.

W tej samej sekundzie miał w rękach bezwładne ciało żony.

LXXVIII

Gdańsk, dzień siódmy

Obudziło ich pukanie do drzwi. Nie było to walenie pięściami, ale wciąż tylko pukanie, choć natarczywe. To jednak wystarczyło, żeby Tomasz Horn zerwał się z podłogi, na której spał, i dopadł drzwi. Przyszli po mnie – przeleciało mu przez głowę.

W tym samym momencie poczuł parcie na pęcherz, a na nagich plecach zimny powiew. Zbliżył ucho do płyty drzwi, w których nie było judasza. Za sobą usłyszał klaskanie bosych stóp. Monika także się obudziła.

– Proszę otworzyć – zza drzwi dobiegł kobiecy głos.

Horn chciał coś powiedzieć, ale z jego ust dobył się tylko nieartykułowany charkot. Odchrząknął. Pomogło.

– O co chodzi? Kto tam? – zapytał.

– Obsługa. Budzimy wszystkich gości. Mamy kłopoty – odpowiedziała szybko kobieta.

Przekonujące – ocenił w duchu. Jednocześnie stanął mu przed oczami obrazek znany z telewizyjnych wiadomości: leżący na podłodze twarzą do ziemi gangster, skuty na plecach kajdankami, a nad nim antyterrorysty z wycelowaną w jego głowę bronią. Aresztowany jest na takich filmikach zawsze, ale to zawsze w samych spodenkach. Tak samo jak Horn w tej chwili. Nie, do tego nie mógł dopuścić.

Odwrócił się, żeby wrócić po spodnie, kiedy ujrzał swoje dżinsy w wyciągniętej ręce Moniki. Podziękował jej uśmiechem, błyskawicznie wskoczył w portki, po czym otworzył drzwi hotelowego pokoju, pogodzony z losem, ale spokojny przynajmniej o swoją godność.

Na korytarzu stała jakaś kobieta. Była niespokojna.

– Musicie państwo jak najszybciej opuścić hotel – wyrecytowała z zadyszką.

– Co się stało? – Horn usłyszał za plecami głos Moniki.

Pracownica obsługi hotelowej w odpowiedzi odwróciła się plecami, by zapukać do drzwi pokoju naprzeciwko.

– Alarm bombowy – rzuciła po chwili przez ramię. – Mieliśmy telefon. Policja już jedzie. Musicie się państwo pospieszyć.

Przedostatnie zdanie bardziej niż cała reszta zmobilizowało Horna.

W ciągu minuty zabrali swoje rzeczy, opuścili hotelowy numer, zeszli na dół i dołączyli do sporej już grupki stojących przed hotelem i złorzeczących w różnych językach ludzi. Była wszak dopiero siódma rano i jeszcze dość chłodno.

Pięć minut później pod hotelem zatrzymały się dwie furgonetki, z których wyskoczyli antyterrorysty. Jednocześnie policjanci w zwykłych mundurach pilnowali, by nikt nie zbliżał się do hotelu. Skądś pojawiła się ekipa telewizyjna, no i ci, na których zawsze można liczyć, czyli gapie. Widać temat, który wałkowano w Gdańsku od trzech dni, jeszcze nie zdążył ich znudzić.

– Nic nie znajdują, jak zwykle – rzucił jakiś starszy mężczyzna w kwiecistych bermudach.

– Myśli pan, że to fałszywy alarm? – chciała wiedzieć jakaś paniusia.

– Jak wszystkie poprzednie – dorzucił ktoś trzeci i zaraz dodał, zresztą dość mądrze: – Problem w tym, że nikt z władz nie weźmie na siebie

odpowiedzialności za niewysłanie i niesprawdzenie takiego miejsca. Bo a nuż okaże się, że bomba jednak wybuchnie.

Horn i Monika zajęli ławeczkę na niewielkim skwerku, nieopodal hotelowego parkingu. Obok siedział jakiś jegomość, prawdopodobnie również pechowy gość hotelu. Nie wydawał się jednak zbyt przejęty całą historią, gdyż najspokojniej w świecie czytał gazetę. Ujrzawszy kątem oka znajomą winietę, Horn zaczął szybciej oddychać. Nachylił się, próbując przeczytać tytuły na jedynce.

Tymczasem w tłumie oczekujących przed hotelem gości dało się odczuć jakieś poruszenie.

– Chyba coś znaleźli – zawołał dramatycznie ten w bermudach.

– Zaraz wybuchnie! – krzyknęła ta sama paniusia.

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca: ani chwilowo bezdomni, ani pilnujący ich policjanci, ani gapie. Że nie drgnęła ekipa telewizyjna, to akurat nie dziwiło.

Horn i Monika wstali z ławki. Nic, co działo się w sąsiedztwie hoteliku, nie zapowiadało rychłego zakończenia sprawy. Ale też nic już nie trzymało tych dwojga w tym miejscu.

Iść, szukać, myśleć, odkrywać! – wołała dusza dziennikarza, niespokojna, jakby przeczuwała, że na wykonanie wszystkich tych czynności z pożytkiem zostało już niewiele czasu. Także jego umysł, jak zwykle wcześniej rano, pracował na zdwojonych obrotach.

Horn rozglądał się po okolicy. W pewnym momencie jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem jednego ze stojących przy radiowozie policjantów. Skądś znał tę twarz. A jeśli znał, to mogło oznaczać tylko jedno: że jest źle.

Uciekł wzrokiem w bok. Zezując, próbował wciąż obserwować tamtego. Nie miał wprawy w tego typu szpiegowskich praktykach i oko

zaczęło go szybko boleć. Miał jednak wrażenie, że policjant wciąż mu się przypatruje.

– Idziemy stąd. – Horn chwycił Monikę ze rękę.

– Dokąd?

– Jak to dokąd? Szukać skarbów. Przecież po to tu przyjechaliśmy, prawda?

Po chwili oderwali się od tłuszczy. Horn wciąż trzymał dziewczynę za rękę, żeby lepiej udawać parę. Bał się obejrzeć za siebie, by sprawdzić, czy policjant albo ktoś z jego kolegów ruszył za nimi.

Wyręczyła go Monika:

– Idą za nami.

– Ilu?

– Dwóch.

Lodowaty dreszcz smagnął Horna przez plecy. Nogi same zaczęły sadzić dłuższe kroki. Póki nie krzyczą, nie strzelają – tłumaczył mu jakiś wewnętrzny głos. Nie muszę mieć oczu z tyłu głowy.

– Halo! – dobiegło naraz z tyłu niczym szczęk odbezpieczanego zamka pistoletu. – Proszę się zatrzymać.

Monika posłusznie wykonała polecenie. Poskutkowało to tym, że Horn szarpnął drobnym ciałem dziewczyny niczym zdenerwowana matka dzieckiem, które na środku ulicy gotowe było rozpocząć awanturę o kupno zabawki.

– Co robisz?! – krzyknęła.

Nic nie odpowiedział. Zaczął biec, nie puszczając ani na chwilę jej ręki. Dziewczyna już się nie opierała.

Zatrzymam się dopiero na odgłos strzału – postanowił.

Trucht szybko przeszedł w sprint. Przed nimi znajdowała się Brama Zielona. Po chwili znaleźli się na moście. Gdyby nie było tak wcześnie, mogliby wmieszać się w tłum. Tymczasem ruchu prawie nie było, jeśli nie liczyć kilku chłopaków, tkwiących już na swoich posterunkach z plikami ulotek w rękach.

Ten widok olśnił Monikę.

– Na dół! – Pociągnęła Horna w drugą stronę ulicy.

– Czemu?

– Posłuchaj mnie choć raz.

Zbiegli po schodach. Do zamienionej w restauracyjny ogródek barki, gdzie Monika Lauder jadła wczoraj pizzę, dobijała właśnie motorówka. Horn wyczuł bezbłędnie intencje dziewczyny. Przecięli salę konsumpcyjną, potrącając jakieś krzesło, by zatrzymać się na krawędzi barki.

– Można? – rzucił Horn do mężczyzny siedzącego za kołem sterowym.

Nie czekając na zezwolenie, weszli na pokład.

– Rejsik będzie? – zapytał sternik.

– Tak jest.

– Trzydzieści dwa złote.

– Dam obola – zażartował Horn. – Byle szybko. Chcemy uciec znajomym – wytłumaczył, widząc niepewną minę tamtego.

– Najlepiej, jak się gdzieś schowamy – dorzuciła Monika.

Sternik z uśmiechem wskazał ręką niewielką, ale zadaszoną część łodzi. Chyba już go nic nie mogło zdziwić. Za bzykanko doliczę im najwyżej stówę – zaśmiał się w myślach.

Uciekinierzy ukryli się pod brezentowym daszkiem. Zagrał potężny silnik, wprawiając w drżenie skorupę z laminatu i łódź znalazła się na Motławie. Płynęła w stronę zatoki.

W momencie gdy znikła pod mostem, od strony ulicy Chlebnickiej wbiegało na niego kilku policjantów.

LXXIX

Gdańsk, dzień siódmy

Władysław Keller siedział w poczekalni OIOM-u 7. Szpitala Marynarki Wojennej przy ulicy Polanki. Przed dwiema godzinami za drzwiami z napisem BLOK OPERACYJNY – WSTĘP WZBRONIONY zniknęło łóżko na kółkach, a na nim żona Kellera z raną postrzałową.

Krył głowę w dłoniach i sprawiał wrażenie śpiącego. Był jednak gotów zerwać się z miejsca na każdy szmer, który doszedłby od strony drzwi z mlecznego szkła. Z taką samą reakcją mężczyzny spotkał się również hałas, który dobiegł z przeciwnej strony. Po korytarzu sprężystym i szybkim krokiem zmierzał ku niemu kapitan Andrzej Czyż.

Podali sobie ręce. Keller długo nie puszczał prawicy młodego przyjaciela.

– Boję się – jęknął.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze – powiedział Czyż.

Usiedli. Drewniane krzeselka zajęczały pod ich ciężarem.

– Przecież wiesz, że mają tu lekarzy i sprzęt o wiele lepsze niż te krzesła – próbował żartować Andrzej.

Znał okoliczności nocnego wypadku. Wiedział też, że żona komandora została trafiona prawdopodobnie tylko w obojczyk. Miał jednak

świadomość, że martwiącemu się na zapas mężowi trudno będzie to wyperswadować.

– Tak, sprzęt mają dobry – mruknął Keller. – Ludzi też. Ale jest jeszcze to coś...

Chwilę milczeli. Z głębi lecznicy, w której kilka dni temu sami zmuszeni byli spędzić kilka dni i nocy, dochodziły zagadkowe dźwięki. Czujne uszy, już teraz dwie pary czujnych uszu, czekały na otwarcie drzwi prowadzących na blok operacyjny.

– Wiesz, kto to był? – zapytał w pewnej chwili Czyż.

Keller jakby tylko czekał na takie pytanie. Przygryzł wargi, a dłonie spoczywające na kolanach zacisnęły się w pięści i zaczęły się trząść, jakby już nie mogły utrzymać jakiegoś ciężaru.

– To musieli być nasi przyjaciele z See Atlantic. Nikt inny. Tylko Henryk.

– Najpierw się włamali, teraz spróbowali jeszcze raz?

– Chyba tak...

Drzwi się otworzyły i pojawili się w nich lekarze i pielęgniarki, cała całkiem spora grupa, otaczająca jadące korytarzem łóżko. Leżała na nim żona komandora. Oczy miała zamknięte. Ręka pielęgniarki unosiła nad nieprzytomną kroplówkę.

– Kochanie! – Keller zerwał się z krzesła.

Drogę zastąpił mu kroczący nieco z boku i najpewniej przygotowany na to lekarz.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Operacja się udała. Żona śpi. Proszę przyjść za dwie, trzy godziny.

Dziwny kondukt zniknął za następnymi drzwiami. Mężczyźni zostali sami. Keller ponownie zajął swoje miejsce. Siadał tak, jakby chciał nie naruszyć ciszy, która nastąpiła. Przerwał ją dopiero głos Andrzeja:

– O drugiej mamy przesłuchanie w prokuraturze. Pamiętasz o tym?

Władysław Keller kiwnął potakująco głową, a jego twarz wykrzywił grymas, którego kapitan, jak długo znał swojego zwierzchnika i przyjaciela, nigdy u niego nie widział. Był to grymas bólu pomieszanego z szaleństwem.

– Co chcesz zrobić? – zaniepokoił się.

– Zakończyć to – powiedział powoli Keller. – Zakończyć to, kurwa, raz na zawsze. Nie jestem tylko pewien, gdzie szukać. Chyba muszę zacząć myśleć dokładnie tak jak ojciec. Mam jednak wrażenie, że gdy tylko będę to wiedział, będą wiedzieć i oni...

LXXX

Gdańsk, dzień siódmy

Monika Lauder nie mogła oderwać oczu od widoków przesuwających się po obu stronach Motławy. Łapała zapach wody, a wiatr rozwiewał jej włosy. Motorówka, którą płynęli, minęła prawą burtą statek-muzeum Sołdek, po chwili lewą statek stylizowany na galeon. Wszystko to sprawiło, że dziewczyna na kilka chwil zdążyła zapomnieć o powodzie, dla którego znalazła się na pokładzie łodzi. Ona i Horn. Że są ścigani, a jednocześnie sami starają się rozwikłać zagadkę. To pierwsze niepokoiło. To drugie wciąż ekscytowało.

Wzdrygnęła się, zamrużyła powiekami. Kolorowy, jasny obraz nagle pociemniał. Słońce skryło się za chmurę.

– I jak? Podoba się państwu? – Sternik, a pewnie jednocześnie właściciel łodzi, postanowił zbadać rynek.

– Jasne – potwierdził z uśmiechem Horn.

– Niektórym ludziom to, panie, już nie wystarcza tak się tylko wziąć i przepłynąć łódką po Motławie – powiedział sternik. – Emocje, emocje! To albo jeden z drugim chce, żebyśmy się ścigał z wiatrem, a przy okazji opryskał wodą ludzi na brzegu, bo i takie pomysły były. Albo od razu każą po flaszkę płynąć.

– Jak ktoś musi – bąknął Horn, puszcżając jednocześnie oko do Moniki.

– A wczoraj, proszę państwa, jedna taka rodzinka mówi mi, żeby ich wysadzić przy Westerplatte, które akurat rozminowują, bo pierwszego września mają przyjechać oficjele z całego świata na rocznicę wybuchu wojny. No i oni, ta rodzinka, mówią, żeby przycumować i ich wypuścić na ląd, bo słyszeli, że ponoć coś znaleziono wieczorem w jednym z bunkrów na półwyspie.

– Co znaleziono? – zapytali pasażerowie niemal jednocześnie.

– Jakąś starą walizkę, jeszcze z wojny. Z trotylem czy coś w tym guście. Plotka szybko poszła w miasto...

Horn spojrzął na Monikę. Słuchali dalej tyrady sternika, nie spuszczać z siebie wzroku.

– Bo to, proszę państwa, przez tyle lat od wojny nikt nie rozminował terenu, a tam żelastwa więcej niż na Mierzei Wiślanej, gdzie nie było lata, żeby jakiegoś ciekawskiego gówniarza nie chowali. No i wczoraj wypłynęła ta skrzynka.

– Mówił pan, że walizka – zauważył dziennikarz trochę głośniejszym niż zamierzał.

– Walizka, skrzynka. Co za różnica?! Grunt, że mogła wysadzić w powietrze pół miasta. Z początku saperzy myśleli, że to ten sam szaleniec, co od kilku dni terroryzuje Gdańsk. Może zresztą tak jest. Mieli się za to brać od razu, ale, wiadomo: procedury. Podobno czekają na kogoś ważnego.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytała Monika.

– Szwagier jest portierem w muzeum na Westerplatte – wyjaśnił mężczyzna nie bez dumy.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko mruczenie silnika i plusk wody. Łódź mijała właśnie czerwone mury twierdzy Wisłoujście. W przeciwnym kierunku płynął statek wycieczkowy. Turyści na pokładzie machali im

przyjaźnie. Wysoko nad głowami kołowały mewy, a w głowach Horna i Moniki nie przestawały się kręcić myśli.

W pamiętniku Jana Kellera – rozważał w duchu dziennikarz – który zresztą mamy cały czas przy sobie, jest dokładnie opisane spotkanie z kapitanem Dąbrowskim przed bramą polskiej składnicy tranzytowej na kilkanaście godzin przed wybuchem wojny. Czyżby Keller wrócił tam po wojnie? Cholera, gdyby można było wczoraj wejść na wieżę ratusza...

Tymczasem po prawej stronie było już widać charakterystyczny kształt pomnika na Westerplatte. Byli na Martwej Wiśle. W tej chwili monument był obstawiony przez rusztowania i remontowany. Wszystko miało być związane na ostatni guzik przed ważną datą.

– Ludzie się śmieją, że po co rozminowywać, skoro Ruscy przyjadą! – zarechotał przewoźnik, po czym szeroko zakręcił kołem sterowym; zawracali.

– Nie! – krzyknął Horn.

Sternik popatrzył na niego spod spuszczonej na czubek nosa okularów przeciwsłonecznych, po czym westchnął:

– Następni...

Pięć minut później biała motorówka odbijała od nabrzeża półwyspu. Tomasz Horn i Monika Lauder przez dłuższą chwilę stali w milczeniu na betonowej platformie.

– Co dalej? – zapytała dziewczyna.

– Nie wiem. Ale przynajmniej tu nie ma policji. – Horn spojrzał w górę, w stronę głównej bramy niegdysiejszej jednostki wojskowej. – Byłaś kiedyś na Westerplatte?

– Chyba na wycieczce z klasą, w podstawówce.

– Czyli nie tak dawno.

– Jesteś bardzo miły. Czuję, że się czerwienię.

Od wejścia na teren muzeum dzieliło ich kilkanaście metrów, gdy zza zakrętu wyjechała wojskowa ciężarówka z opuszczoną, powiewającą plandeką, minęła idących, zostawiając za sobą chmurę spalin. Dopiero teraz zauważyli, że bramy strzegą uzbrojeni żołnierze.

Czyżby muzeum było jednak nieczynne? – pomyślał dziennikarz.

Kiedy był małym chłopcem, wiele razy chodzili z kolegami do niedalekiej jednostki wojskowej, żeby zagadywać wartowników. Czasem nawet któryś dał potrzymać karabin albo przyniósł kilka łusek. Wartownicy, którzy strzegli wejścia na Westerplatte, wyglądali, jakby to im przed chwilą ktoś dał potrzymać kałacha i do tego jeszcze pozwolił włożyć mundur. Nie mogli mieć więcej niż dwadzieścia, góra dwadzieścia jeden lat. Nie wydawali na żyłki. Jeden żuł zapamiętałe gumę.

– Muzeum nieczynne – rzucił, ubiegając pytanie nadchodzących.

Horn wytrzymał wzrok mundurowego i nie zatrzymał się, mimo że nie miał nawet przy sobie legitymacji dziennikarskiej, które wiele razy otwierała mu drzwi, bywało, że i lepiej strzeżone niż ta brama.

– Dzień dobry – przywitał się. – Przyjechaliśmy z Warszawy...

– Z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – dokończyła Monika, by zaraz dodać, bez mrugnięcia okiem: – Czy moglibyśmy rozmawiać z panów przełożonym?

– Muzeum nieczynne – powtórzył znów swoje wartownik.

A mówiono, że debili już w armii nie ma – pomyślał Horn ze złością. Czuł, że dobra passa go opuściła, a rozwiązanie zagadki znów się oddala, być może na zawsze. Za kilka dni wszystko wyda mu się jedynie nic niewartą mrzonką...

W tej samej chwili za plecami rozległ się odgłos samochodowego silnika. Do bramy zbliżał się jakiś cywilny samochód na gdyńskich numerach. Horn i Monika przesunęli się nieco w bok. Pojazd zatrzymał się przed bramą. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Monika zmrużyła oczy, pochyliła się nieco, żeby móc lepiej widzieć. Miała wrażenie, że już gdzieś ich widziała.

– Muzeum nieczynne – poinformował nowo przybyłych wartownik.

– Zapierdalaj po oficera! – dobiegło z pojazdu.

Ręka kierowcy trzymała jakiś dokument, małą, zieloną książeczkę. Wartownik wyprostował się jak struna.

– Kogo mam zapowiedzieć, panie kapitanie?

– Kapitan marynarki Andrzej Czyż i komandor Władysław Keller.

Ostatnie słowo sprawiło, że Monika i Horn omal nie podskoczyli.

LXXXI

Gdańsk, dzień siódmy

Władysław Keller przez całą drogę z Gdyni bił się z myślami, czy dobrze robi, opuszczając szpital. Na szczęście z Rumi przyjechała córka Kellerów, Ola. Ruszyli więc z Czyżem na Westerplatte, bo właśnie tam wczorajszego wieczora dokonano sensacyjnego odkrycia. Ale kim byli ci ludzie, którzy zaczepili ich przed bramą? Może pomocnikami Henryka?!

Kiedy jednak młody mężczyzna przedstawił siebie i towarzyszącą mu dziewczynę, a następnie wyjął zeszyt w znajomo wyglądającej oprawie, serce Kellera żywiej zabiło. W kilku słowach Tomasz Horn opowiedział o drodze, jaką przebyli z Fromborka aż do Gdańska. O znalezisku na wieży bazyliki. To przecież tam kilkadziesiąt godzin później Monika Lauder widziała Kellera i Czyża.

Niejako w rewanżu Keller opowiedział o swoim ojcu i jego największej tajemnicy, której syn jednak nigdy nie poznał, a także o swoich perypetiach. W ten sposób pokazali sobie wszystkie karty. I w ciągu kilku minut, które spędzili w oczekiwaniu na przybycie wezwanego oficera, zostali sprzymierzeńcami.

– Mówicie, że byliście śledzeni i strzelano do was? – upewniał się Keller.

– W Lidzbarku. Potem spotkaliśmy ich w Toruniu, gdzie obyło się bez fajerwerków, a ostatni raz w Gdańsku – wyliczał Horn. – Z tej ostatniej

wizyty nie wyszli już, na szczęście, cało.

– Henryk nie przebiera w środkach – powiedział jakby do siebie Keller i podrapał się nerwowo po lewej nodze.

Tymczasem do bramy podjechał od wewnętrznej strony wojskowy honker i wyskoczył z niego oficer w stopniu porucznika. Był to dowódca jednego z patroli saperskich, które rozminowywały teren Westerplatte. Marynarze w kilku zdaniach przedstawili swoją sprawę. Porucznik wysłuchał ich w skupieniu. Potem rozłożył szeroko ręce.

– Niestety, znaleziony wczoraj ładunek został dziś rano przewieziony na poligon i zdetonowany – powiedział.

To zdanie było przysłowiowym kubłem zimnej wody, który ktoś bez ostrzeżenia wylał na głowy całej czwórce. Każdemu po jednym. Najbardziej przytomnie w towarzystwie zachował się Andrzej Czyż, najmniej wtajemniczony.

– Wiadomo, co zawierała walizka? – zapytał.

– To był trotyl. Prawdopodobnie pochodzący jeszcze z czasów II wojny światowej. Walizka została znaleziona w jednym z bunkrów, pół metra pod ziemią. Mogła tam leżeć od czasów oblężenia Westerplatte. Natrafili na nią nasi saperzy. Coś jeszcze? – Porucznik spojrzał wymownie na zegarek. – Przepraszam, ale mamy dzisiaj jeszcze do przeczesania kilka arów ziemi.

– Zrobiliście jakieś zdjęcia tej walizki przed zdetonowaniem ładunku? – zapytał milcząco do tej pory Horn.

Saper spojrzał na niego tak, jak zawodowiec patrzy na amatora.

– Oczywiście, proszę pana – odparł porucznik. – Mam je nawet przy sobie.

I niespiesznym gestem sięgnął do kieszeni na piersiach, skąd wydobył telefon. Po chwili na wyświetlaczu pojawiła się typowa skrzynka na

amunicję. Władysław Keller przez dłuższą chwilę przyglądał się fotografiom. Wreszcie pokręcił głową.

– Pierwszy raz ją widzę – mruknął.

– To wszystko, poruczniku. Bardzo dziękujemy panu za pomoc. To dla nas bardzo ważne – wyrecytował z uśmiechem i manierą rzecznika prasowego kapitan Czyż.

Saper zsalutował, wsiadł do samochodu i odjechał. Brama została zamknięta. Wartownik znów żuł gumę.

– Ale pewności nie masz? – Czyż bezlitośnie zaatakował Kellera.

– Nie.

Z głośników grającego cicho przez cały czas samochodowego radia dobiegło kilka znajomych dźwięków. Była dwunasta w południe. Melodia hejnału obudziła w umyśle Horna skojarzenie z wieżą.

Może warto jeszcze raz spróbować wejść do ratusza? – zapytał sam siebie w duchu. Zostały im przecież już tylko dwa tropy: właśnie wieża ratusza, czyli Spica, oraz tajemniczy rysunek.

No właśnie! Może syn autora łamigłówek wie o niej cokolwiek więcej?

Horn sięgnął po znaleziony w bazylice dziennik, otworzył go na ostatniej stronie i podsunął Władkowi.

– Tak, znam dobrze ten rysunek – powiedział Keller, choć bez wielkiego entuzjazmu. – Wiele razy zastanawiałem się, co mogą oznaczać te litery i znaki, jednak na nic nigdy nie wpadłem. K. I. O. Kio.

– Kioto? To chyba w Japonii? – wypalił bez namysłu Czyż.

– Chyba że O to nie O, a na przykład zero – zastanawiał się wciąż głośno Keller. – Wtedy to będzie... kizero?

– Kizero?! – powtórzyli jednocześnie Andrzej i Monika, a każde z innego powodu.

– Przecież ja znam to nazwisko! – zawołał kapitan Czyż, omal nie wybijając głową dziury w dachu samochodu.

– Nazwisko? – zdziwił się Horn.

– Tak! Hans Kizero, kapitan. Był dowódcą pierwszej polskiej królewskiej jednostki przeznaczonej do służby na morzu, Żółtego Lwa. Zginął na swoim okręcie podczas ataku szwedzkiej marynarki na Gdańsk, latem tysiąc sześćset dwudziestego ósmego roku...

LXXXII

Gdańsk, 5 lipca 1628 roku

Lipcowe niebo nad Gdańskiem było pogodne, a wieczór bardzo ciepły, toteż wszystkie okna w tawernie Pod Srebrną Stynką otwarto na oścież. Nie przynosiło to co prawda wielkiej ulgi siedzącym w środku, ale za to sprawiało, że z wnętrza gospody wydobywał się i niósł po okolicy zapach potraw, wśród których królowała jagnięcina i rozmaite ryby, a także gwar rozmów. A tego akurat dnia rozprawiać było o czym.

- Nie wejdą, jako Bóg na niebie. Nie wejdą, psubraty!
- Rok będzie przecie, jak spod Oliwy jak niepyszni uciekali.
- Hajda na Szweda, waszmościowie!

Zadzwończyły wyciągnięte z pochew szable, zadzwończyły podniesione w górę szklanice, posłyszeć można było nawet zgrzyt odbezpieczanego pistoletu skałkowego, który jednak koniec końców nie wystrzelił. I nikt nie ruszył na wzmiankowanego i lżonego najeźdźcę, choć ten w istocie był już blisko. Bardzo blisko.

Zamówiono za to następną kolejkę piwa, wina i miodu – co kto uważał. Z kuchni nadeszły posiłki, ale te w tradycyjnym tego słowa znaczeniu: na półmiskach wniesiono bowiem bażanty, rzeczoną jagnięcinę, a także tołpygę i śledzie na jeden ze stu sposobów przyrządzone, a wszystko pięknie przystrojone, parujące i ociekające tłuszczem, że tylko brać i jeść.

- Dzisiaj pijem, jutro gnijem!

Nie wszyscy biesiadnicy, którzy tego wieczora siedzieli w tawernie Pod Srebrną Stynką, byli jednak w tak bojowych nastrojach. W kącie sali jadalnej siedział samotnie młodzieniec w stroju podróżnym kupca. Do nikogo nie przepijał ani nie zagadywał.

Pochylony nad wieczerzą, wydawał się całkowicie pochłonięty jedzeniem, jak i swoimi myślami. Od czasu do czasu podnosił wzrok znad talerza albo przy uniesieniu do ust pucharka z winem spozierał w jeden punkt, jedno miejsce i człowieka jednego.

Kapitan Kizero. Hans Kizero – powtarzał wciąż w myślach ów człowiek i nie były to myśli dobre.

W rzeczy samej: w centralnym punkcie tawerny siedział przesławny Hans Kizero, dowódca Żółtego Lwa, starej dwumasztowej pinki, pływającej w służbie króla Zygmunta III Wazy, która wślawiła we wspomnianej kilka chwil wcześniej, zwycięskiej bitwie z eskadrą szwedzką pod Oliwą dwudziestego ósmego listopada tysiąc sześćset dwudziestego siódmego roku, a potem ścigał wycofujących się Szwedów.

Zimą tego samego roku Żółty Lew wyruszył w rejs rozpoznawczy burta w burtę z Latającym Jeleniem, Arką Noego i Panną Wodną. Wtedy to pinka kapitana Kizero zdobyła pływającą z kontrabandą fluitę holenderską, która później, już jako Feniks, pływała dumnie pod polską banderą. Wiele razy jeszcze zapuszczał się Żółty Lew na wody Zatoki Gdańskiej i Morza Bałtyckiego, by bezlitośnie tropić i ścigać przemytników i szwedzkich szpiegów. Teraz zaś właśnie w tym okręcie, choć niewielkim, i walecznym jego dowódcy pokładano nadzieje, że obroni Gdańsk przed zmierzającą z północy nawałą.

– Zdrowie naszego prześwietnego kapitana Hansa, waszmościowie! – ryknął któryś z kontuszowych wążaczy.

– Zdrowie! – odpowiedzieli chórem obecni.

Choć tak naprawdę, gdyby zapytać możnych Gdańska, szczególnie jego rajców, czy im w smak, że okręt Hansa i wiele innych cumuje u ujścia Wisły, pod Latarnią, odpowiedzialiby grymasem; co innego szynkarze i właściciele tawern i gospód, o burdelmamach nie wspominając – oni w panach podobnych Hansowi widzieli największych przyjaciół i najświetniejszych klientów. Widmo zagrożenia atakiem Szwedów obróciło wniwecz wszystkie te podziały.

Także i tajemniczy obserwator z rogu izby podniósł kielich, ale tylko zwilżył usta piwem, po czym na powrót zagłębił się w swych rozmyślaniach i obserwacjach. Znał ów człowiek dobrze nie tylko Hansa Kizero, ale i jego okręt. Obudzony w środku nocy potrafiłby wymienić liczbę jego dział, tych było po dziesięć w bateriach burtowych, jak i podać pojemność i długość pinki, które wynosiły łącznie sześćdziesiąt i sto amsterdamskich siedemdziesiąt.

Ktoś, kto to wszystko wiedział, a nie był Żółtego Lwa konstruktorem, armatorem, dowódcą, pierwszym oficerem ani nawet zwyczajnym marynarzem czy żołnierzem piechoty morskiej, mógł być jednym tylko. I był nim.

Szpiegiem króla Szwecji Gustawa Adolfa.

– Jeszcze jedną szklanicę waćpan sobie życzysz? – zaćwierkała nad nim dziewczka roznosząca w tawernie napitki i mięsiwa, a zbierająca klepnięcia w tyłek i całusy, których nie skąpili nigdy biesiadnicy.

Podał jej puste naczynie. Dziewczyna odeszła. Lars, bo tak miał na imię ów mężczyzna, którego na ulicy każdy minąłby z obojętnością, a i w gospodzie świetnie wtapiał się w otoczenie, skubnął nieco dorsza po kaszubsku, którego na początku zamówił.

Czas płynął szybko, jak to czas zabawy i oczekiwania na niechybną wojnę zwykł płynąć, i Pod Srebrną Stynką zaczęło się już przeredzać.

Była północ, kiedy Hans Kizero wstał wreszcie od stołu i rzuciwszy karczmarzowi kilka złotych denarów, skierował się ku wyjściu. W chwili gdy kapitan Żółtego Lwa przekraczał próg tawerny, zza swojego stołu podniósł się Lars. Zapłacił szybko i suto dziewczę i po chwili także i on zniknął.

Gdy wyszedł na ulicę, nie dostrzegł charakterystycznej postaci kapitana Kizero ani po lewej, ani po prawe stronie. Zamiast niego jakiś cień zbliżał się, kuśtykając i rżąc coś niezrozumiale. Żebrak.

– *Dra åt helvete!* – warknął ze złością Lars, nie zważając na to, że odezwał się w języku wrogów czyhających u bram.

Pomaszerował w stronę Motławy. Ktoś taki jak Kizero zapewne nie będzie wracał na swój okręt piechotą – skonstatował. A jeśli nie wraca na okręt, tylko poszedł do któregoś z burdeli? – odezwał się w głowie głos. Mężczyzna wyskoczył zza rogu jak oparzony. Wzrok jego ściągnęła rychło jakaś para. Na przedprożu jednej z kamienic ktoś obściskował się z panną. Nie, to nie kapitan, jeno jakiś rajtar, młokos z szablą dłuższą od własnej nogi.

Lars jeszcze bardziej przyspieszył kroku, pokonał następny róg ulicy. I wtedy wreszcie dostrzegł swoją zgubę. Kizero szedł lekkim skosem, utykając na lewą nogę, choć w jego postawie nie ubyło ani trochę dumy, z którą kroczył ulicami Gdańska za dnia, będąc zupełnie trzeźwym i wypoczętym, jeśli takowym kiedyś bywa kapitan królewskiej pinki. Teraz zmierzał najwyraźniej ku rzece. Tam musiała czekać na niego łódź, która zaraz powiezie kapitana na Żółtego Lwa!

Szpieg ruszył w ślad za nim. Okolica była pełna zaułków, bram i wnęk rozmaitych, skąd dobiegał smród ludzkich i zwierzęcych odchodów, więc

Szwed starał się nie spuszczać z oka cienia w kapeluszu z szerokim rondem i piórami, a także charakterystycznej pelerynie. Ta, mimo że obszerna i długa, nie była w stanie zamaskować budzących respekt kształtów i rozmiarów tego wilka morskiego, znanego z waleczności, siły, a i niezwykłego konceptu, co na równi z dwiema wcześniejszymi cechami pomagał tropić przemytników, jak i wygrywać bitwy.

Wreszcie brzeg Motławy. Gwar rozmów w różnych językach, nawoływań i śmiechów, nieustający w tym miejscu nawet tak późną porą. Skrzypienie pracujących mechanizmów dźwigu portowego żurawia i kół wozów kupieckich. Rżenie koni, dzwonienie monet – dla ludzi stąd najpiękniejsza muzyka. Był to dość powszechny obrazek, nie tylko w chwili zbliżającego się zagrożenia szwedzką inwazją.

– Dwieście dukatów za pud?!

– Jako Bóg na niebie!

– Boga to ty w sercu nie masz, waćpan...

Tak, handel w tym miejscu trwał zawsze do późnych godzin wieczornych, a i zamierał dopiero na kilka godzin w noc.

Hans Kizero zatrzymał się na krawędzi nabrzeża i rozejrzał dookoła. To samo, tylko kilka metrów dalej, uczynił Lars. Kapitan przez dłuższą chwilę wypatrywał na dole kogoś albo czegoś, pewnikiem łodzi i przewoźnika. Stał w cieniu, słabo widoczny, z dala od statków i ludzi.

To najlepszy moment – zdecydował w myślach Lars, po czym kocim krokiem ruszył w stronę samotnej postaci.

W momencie gdy był krok ledwie od swojej ofiary, Hans się odwrócił. Napastnik nie dostrzegł jednak jego oczu. Może wtedy nie wyprowadziłby potężnego ciosu, który spadł na pierś kapitana. I nie poprawił uderzeniem w głowę, od góry, w dno kapelusza.

Te dwa szybkie ruchy sprawiły, że pod potężnym ciałem ugięły się nogi, choć Larsowi udało się uchronić je przed upadkiem – chwycił Hansa mocno pod ramię, niczym dobrego druha, co od sznapsa zasłabł. Pióra kapelusza połaskotały twarz Szweda.

W tej samej chwili z dołu dobiegł krzyk.

– Mości kapitanie!

Do brzegu dobijała niewielka łódź wiosłowa.

– Jest tutaj! – odkrzyknął najczystsza polszczyzną Szwed, by od razu wytłumaczyć nietypową, jak sądził, sytuację. – Wracamy ze Srebrnej Stynki.

Krok po kroku dziwna ta para, spleciona „przyjacielskim” uściskiem zaczęła schodzić ku rzece. Stopnie kamiennych schodów były śliskie od rosy, każdy ruch groził upadkiem i skręceniem karku.

Lars i Kizero byli już w połowie drogi, kiedy przewoźnik pospieszył im z pomocą, podtrzymując drugie ramię kapitana. Śmiał się przy tym i złorzeczył też trochę, widać nie było to dla niego żadne *novum*. Majtająca się szabla kapitańska podzwaniała o kolejne stopnie niczym stary dzwonek przy klasztornej furcie.

– Spił się jak zwykle – skomentował wiosłarz, kiedy zaczęli ładować kłopotliwy towar do łodzi.

Wreszcie się udało. Kizero spoczął na gretingu, przewoźnik zaś chwycił za wiosła i zajął swoje miejsce. Nie zapytał też, czemu kompan kapitana nie opuszcza pokładu. Widać wieczór jeszcze się nie skończył i na okręcie kolejny gąsiorek pęknie.

Płynęli oto w stronę zatoki. Woda w Motławie szeptała coś cicho. Jeszcze kilka zakrętów i już było widać kształty okrętów wojennych cumujących pod Latarnią.

W tym samym czasie umysł Larsa również pracował na najwyższych obrotach. Od wykonania zadania dzieliły go zaledwie chwile.

Łódź była już na wysokości Bastionu Ostronóg, szajca wschodniego twierdzy, gdy szpieg wstał z miejsca, które zajmował na dziobie, i bezszelestnie zbliżył się od tyłu do wiosłującego człowieka.

Po chwili rozległ się plusk ciała wpadającego do wody. Lars prędko zajął miejsce wiosłarza, zacisnął palce na rozgrzanych i śliskich od potu belkach. Nieobce mu było to rzemiosło: pierwaj pracował prawą ręką, aż łódź zmieniła kierunek, potem równał lewą.

Kilka chwil później skorupa uderzyła lekko w mur bastionu. Lars puścił wiosła, dopadł dziobu, przycumował łódź. Chwycił oburącz bezwładne ciało Hansa Kizero i jął ciągnąć je po gretingu. Obcasy wysokich butów kapitana zastukały dość głośno o ławkę, potrącając jedno z wiosel, które omal nie wpadło do wody, jednak szpieg nie przejął się tym.

Wiedział, że o tej porze ta część bastionu jest opuszczona. Wiele tygodni obserwował to miejsce, potem był tu osobiście. Wszystko przygotował, jak tylko potrafił najlepiej. Był jednak gotów na wszelkie niespodzianki: za jego pasem tkwiły dwa przygotowane do strzału pistolety, w cholewie buta zaś długi, wąski sztylet.

Kilka chwil później Kizero leżał na podłodze w niewielkim pomieszczeniu bez okien i o sklepionym łukowato suficie. Nad nim stał Lars. Dyszał ciężko. Wykonał ogromną pracę i teraz podziwiał swoje dzieło, choć jeszcze nie było ono ukończone.

Umysł Larsa nie zwalniał. Następną zaplanowaną czynnością było zdjęcie butów, potem skórzanej kamizeli. Odpięta od pasa pochwa z szablą Hansa oparta została o ścianę celi.

– *Jag är full. Var kan jag köpa vodka?* – powiedział na głos, uśmiechając się i wkładając na głowę kapelusz z szerokim rondem

i piórami.

Oto nad leżącym na ziemi, spletanym kawałkami mocnego postronka i rozebrany do bielizny ciałem kapitana Hansa Kizero stał... kapitan Hans Kizero.

Lars strzelił obcasami, poprawił ułożenie kapitańskiej szabli przy boku i obniżył jeszcze bardziej przednią część runda kapelusza. Żałował jeno trochę, że w kryjówce nie ma zwierciadła.

Drzwi celi zamknęły się niczym wieko trumny. Potem Lars słyszał tylko bicie własnego serca. Szedł szybkim krokiem korytarzem prowadzącym do wyjścia.

Mimo że był tu dopiero trzeci czy czwarty raz, zdążył już poznać dobrze układ tego miejsca. Dwa zakręty w prawo, jeden w lewo. Trzy stopnie w dół, osiem w górę. Na rozwidleniu znów w lewo. Nawet idąc tyłem i ciągnąc ciężkie ciało dowódcy Żółtego Lwa, nie zabłądził. Teraz też nie zamierzał, tym bardziej że oświetlał sobie drogę pochodnią. Na rozwidleniu dróg w prawo, skoro wcześniej było w lewo. Dziecko by pojęło, a co tam szpieg Jego Królewskiej Mości Gustawa Adolfa!

W miarę jak zbliżał się w stronę, jak ufał, wyjścia, jego pewność jednak malała. Naraz lewa stopa, którą postawił na ziemi, trafiła na próżnię, i tylko kocia zręczność Larsa uchroniła go przed niechybnym upadkiem, runięciem w przepaść i połamaniem gnatów.

Spojrzał w dół. Schody. Oświetlił ściany korytarza. W niczym nie różniły się od tych, które zdążył poznać.

Skąd więc tutaj nagle schody!? Czyżby jednak pomylił drogę? – pomyślał.

Wrodzona ciekawość nie pozwoliła mu tak od razu zawrócić. Powoli i ostrożnie jął schodzić w dół. Schody były dość długie, czuć tu było

stęchlizną. Wreszcie korytarz, dużo węższy i niższy od tego na górze. Głucha cisza.

Mury muszą być tu bardzo grube – wytłumaczył sobie Lars, którego ta nieoczekiwana zmiana planów rajcowała coraz bardziej.

Jeszcze jeden zakręt i nagle... koniec. Ślepy zaułek? Mężczyzna uniósł wyżej rękę z pochodnią, wyciągnął przed siebie drugą, dotknął palcami ściany. Była zimna i twarda. Spiętrzone gotyckie cegły i spoiwo. Nic więcej. Jakiś głos podpowiadał mu jednak, że za tą ścianą coś się znajduje. Zwykle słuchał intuicji. To przecież ona pozwoliła mu zejść aż tak daleko: szpiegować przez wiele tygodni kapitana Kizero i doprowadzić do tego, że wpadł w zastawioną sieć.

W pewnym momencie wzrok Larsa spoczął na jednej z cegieł, a dokładnie na dwóch okrągłych zagłębieniach, wpisanych symetrycznie w prostokąt, które mogłyby powstać, gdyby ktoś włożył dwa palce w wypalaną właśnie cegłę!

A gdyby tak teraz włożyć palce dwa? – pomyślał Lars.

Ludzie mówili, że bogaci gdańszczanie, bojąc się wojny, ukrywali swoje skarby poza miastem. Dlaczegoż by zatem nie mieli wybrać twierdzy, gdzie mury grube, a lochy głębokie? Wiele razy, bywając w różnych miejscach w Europie, odwiedzał Lars stare budowle i tajemne lochy, choćby te, które zostawili po sobie templariusze – mistrzowie zagadek, ale i pułapek.

To pomyślawszy, podniósł wyżej rękę prawą, wycelował dwa szeroko rozstawione palce, wskazujący i wielki, i wsunął je w otwory. Pasowały idealnie! Jeszcze kawałek i natrafił na opór. Nacisnął śmiało. Gdzieś w głębi coś zazgrzytało, ozwał się rumor przesuwających się kamieni.

I tylko tyle? – zapytał się w duchu Szwed, wstrzymał oddech, po czym zaczął wycofywać się rakiem na bezpieczną, jak podpowiadało mu obycie,

odległość.

Chwilę nie działo się nic. Nagle ściana zaczęła się obracać wokół własnej osi, ukazując dalszą część korytarza. Zimne powietrze wypełniło płuca mężczyzny. Obejrzał się za siebie, jakby spodziewał się, że ktoś może go obserwować.

Szczelina była dość wąska, ale z łatwością przepuściła nawet kogoś takiego. Korytarz zaś dość krótki. Lars zmartwił się, że oto trafił na kolejny ślepy zaułek. W tym samym momencie kątem oka zauważył drzwi na bocznej ścianie. Najnormalniejsze, drewniane i zapewne mocne, bo z żelaznymi okuciami i takąż klamką.

Niewiele myśląc, położył dłoń na zimnym metalu i nacisnął. Mechanizm puścił z łatwością, drzwi ustąpiły i uchyliły się bez najmniejszego zgrzytu ni skrzypienia. Oczom Larsa ukazała się niewielkich rozmiarów komnata. Na jej środku znajdował się kamienny sześcian, którego górna część wyraźnie podzielona była na dwa prostokąty. Budziło to dość niemiłe skojarzenia, bo z katafalkiem, na którym położono dwie trumny.

– *Jesus...* – jęknął cicho.

W centralnej części frontu domniemanego grobowca – nie było tu bowiem żadnych napisów, dat ani symboli religijnych – uwagę Larsa ściągnął niewielki wykusz. Mężczyzna zbliżył się, poświecił sobie pochodnią, której płomień zaczął już powoli słabnąć. Mimo to ogień strawił gęstą pajęczynę, a posługujący się nim człowiek widział teraz dokładnie: w kamiennych ramach tkwiło coś, co przypominało... oko. Oko w głowie kamiennej rzeźby – niewielki kawałek kamienia.

Agat, szmaragd, a może jaki ametyst? – podpowiadał Larsowi znów ten głos wewnętrzny i ten sam głos kazał mu teraz wyciągnąć rękę, chwycić ów

kształt, zacisnąć chciwie palce na gładkich ściankach, wreszcie pociągnąć ku sobie, lekko, bez wysiłku...

Już po chwili trzymał w ręku kamień o nieregularnych kształtach, ale mieniący się pięknie w świetle dogasającej pochodni barwami różnymi, zimny i niepokojący. Lars niemal biegł korytarzem, pchany nienazwaną wciąż siłą, która teraz, miast konceptu, przydawała nogom człowieka siłę. Bez trudu trafił na właściwą drogę, a nią do wyjścia, gdzie czekała na niego łódź. Wsiadł do niej, odcumował, chwycił wiosła.

Kilka chwil później zbliżał się do lewej burty Żółtego Lwa.

– To kapitan! – krzyknął ktoś z góry.

Zastukała o burtę spuszczana drabina. Lars począł pięć się po jej szczepkach. Wchodząc na pokład, jeszcze raz, dla pewności, nacisnął na oczy przód kapelusza. Drgnął na odgłos tradycyjnego świstu trapowego. Majtkowie o nic nie pytali. Widać wiedzieli, że Kizero wraca z tawerny. Lars znał doskonale rozkład pinki, więc od razu ruszył w kierunku kajuty.

Plan był coraz bliższy realizacji: chwilę po zachodzie słońca zarządzi alarm bojowy, każe podnieść wszystkie żagle i obrać kurs na morze. Tam podda okręt szwedzkiej marynarce, eliminując tym samym Żółtego Lwa z walki o Gdańsk! Dokładnie w chwili, gdy zamykał za sobą drzwi, wybiła północ. Zaczął się nowy dzień, szósty lipca tysiąc sześćset dwudziestego ósmego roku. Dzień, który przejdzie do historii, a na pewno do historii wojen.

Nagle Lars przypomniał sobie o swojej dodatkowej zdobyczy. Sięgnął szybkim ruchem do kieszeni kapitańskich spodni i wydobył swój skarb. Mimo że był przez dłuższy czas blisko ciała, kamień wciąż pozostawał zimny.

– Sprzedam cię na targu w Sztokholmie – przemówił.

Nagle poczuł przemożną potrzebę opróżnienia pęcherza. Kilka wypitych w Pod Srebrną Stynką piw i ani razu nie przyniósł sobie ulgi. Natura upomniała się o swoje.

Czy jednak znajdę zęzę? – zaniepokoił się.

Otworzył drzwi, rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym skierował kroki najpierw korytarzykiem, potem wąskimi i stromymi schodami. Smrodek, który doleciał z dołu, utwierdził go w słusznym wyborze. W drzwiach wychodka niemal zderzył się z jakimś człowiekiem.

– Czołem, kapitanie – rzucił tamten.

Lars skinął głową, uciekając w bok wzrokiem. Głos mógł go zdradzić. Kiedy tamten się oddalił, wszedł do wychodka, zamknął za sobą starannie drzwi na metalowy skobelek. Wreszcie rozpiął pas ściskający nieco zbyt szerokie spodnie. Upadły w dół, obciążone dodatkowo przez kamień. Szwed zdążył je złapać lewą ręką, drugą wydobywając przyrodzenie. Po chwili ulga rozlała się ciepłem po całym podbrzuszu.

Już kończył, gdy nagle przyszła mu ochota jeszcze raz spojrzeć na kamień. Namacał go, wysupłał z kieszeni. W momencie gdy podnosił go do oczu, agat lub ametyst nagle zatańczył mu w palcach. Nim zdążył cokolwiek zrobić, kamień runął w dół, trafiając idealnie w szczelinę zęzy!

– *Knulla!* – zaklął Lars szkaradnie, choć w języku ojczystym.

Z niedopiętymi spodniami, upadł na kolana, sięgnął z obrzydzeniem do szczeliny w nadziei, że jego zdobycz jakimś cudem zatrzymała się i nie wpadła do wody. W tym samym momencie wychodkiem zatrzęsło, jakby był on jeno drewnianą skrzynką w rękach niesfornego malca. Niemający zrazu pojęcia, co się dzieje, Lars zrozumiał, że trzęsie się nie tylko wychodek, ale i cały okręt. Chwilę potem rozległ się ogłuszający huk.

Szpieg wyskoczył z wychodka i stanął jak wryty. Podmuch gorącego powietrza idący gdzieś z dołu, najpewniej z okrętowej komory prochowej,

zdarł mu z głowy kapelusz, zmierzwił włosy, podniósł kołnierz. Idąca za nim fala ognia zdmuchnęła Larsa niczym płomień świecy...

Nie mógł zatem widzieć, jak okręt w służbie króla Zygmunta III Wazy, stara pinka o dumnej i budzącej respekt wrogów nazwie Żółty Lew, którą miał podstępem wykraść i poddać swoim, wylatuje w powietrze.

LXXXIII

Gdańsk, dzień siódmy

Z dwóch szaniców twierdzy Wisłoujście, zachodniego i wschodniego, do naszych czasów zachował się tylko ten ostatni, z charakterystyczną cylindryczną wieżą pośrodku, pełniącą od początku istnienia budowli rolę latarni morskiej. Już w XIV wieku w miejscu, gdzie Wisła wpadała do morza, Krzyżacy wzniesli drewnianą budowlę o znaczeniu strategicznym. W tysiąc czterysta osiemdziesiątym drugim wyrosła w tym miejscu pierwsza ceglana wieża, na której szczycie umieszczono latarnię, a ludziom wyznaczono jako zadanie kontrolę ruchu statków, a także dostępu do gdańskiego portu.

Począwszy od gotyku, można tu było spotkać wszystkie kolejne style architektoniczne; powodem takiego pomieszania było częste niszczenie twierdzy, którą za każdym razem odbudowywano w aktualnie obowiązującym stylu, używając do tego dostępnych w danej chwili materiałów.

Górującą nad okolicą wieżę otaczał czterobastionowy fort o francuskiej nazwie *carré*, który to fort okalały umocnienia składające się na Szaniec Wschodni. Tworzyły go bastiony: Wiślany, Bielnik, Świński Łeb, Ostronóg i najbardziej wysunięty na północ Bastion Pucki. Od stałego lądu oddzielał twierdzę niezbyt skomplikowany system fos połączonych z Martwą Wisłą i rzeczką Leniwką.

Twierdza Wisłoujście była na przestrzeni wieków wielokrotnie oblegana, zdobywana albo nie. Powodowała ból głowy wielkich tego świata: królów Stefana Batorego i Karola Gustawa, a nawet Napoleona Bonaparte! Straciła na znaczeniu, w miarę jak Wisła nanosiła coraz to nowe łachy piachu, a także po wybudowaniu fortyfikacji na niedalekim Westerplatte, które znajdowało się niemal pół kilometra bliżej zatoki. Po każdym oblężeniu odbudowywana, nie podniosła się jednak twierdza Wisłoujście po wizycie na Wybrzeżu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku Armii Czerwonej.

Dziś były nadzieje, plany. Czekano na dotacje. Obiekt został bowiem wpisany na specjalną światową listę ginących zabytków. Niewiele się chyba jednak działo: tu i ówdzie czerwieniał nowy dach, przy murach stały rusztowania.

Tomasz Horn, Monika Lauder, Władysław Keller i Andrzej Czyż jechali uliczką o nazwie Stara Twierdza. Minęli bramę po lewej stronie, dalej, między drzewami, zarysowała się charakterystyczna wieża. Na jej szczycie powiewała biało-czerwona flaga. Samochód Czyża zatrzymał się na poboczu. Wysiedli.

- Kapitan Hans Kizero zginął w pobliżu Twierdzy Wisłoujście. – Andrzej spojrzał na komandora. – Twój ojciec musiał to wiedzieć.
- Zapewne tak – zgodził się Keller.
- Jeśli idziemy dobrym tropem, to...
- To mamy przed sobą kilka dni chodzenia – wtrącił Horn półgębkiem.
- Przecież to jest ogromna przestrzeń i pewnie za chwilę natkniemy się na jakichś strażników.

Czyż podrapał się po głowie.

- Pewnie stanie się tak, jak mówisz – mruknął. – Chyba że uda nam się dowiedzieć, co oznaczają pozostałe litery.

- Powinny zawęzić zakres poszukiwań – zauważyła antropolożka.
- I pewnie tak jest! – rzucił Andrzej z niesłabnącym entuzjazmem.
- Domyślasz się czegoś? – zapytał Keller.

Zastępca dowódcy ORP Hydro przymrużył oczy. Wydawało się, że walczy sam ze sobą, aby zbyt wcześnie nie zdradzić się ze swoim odkryciem. Keller zawsze miał Czyżę trochę za efekciarza, któremu zdarzało się, że robił wielkie halo choćby z tego, że... wypuścił marynarza na przepustkę. Teraz najwyraźniej też dobrze się bawił.

Oby tylko był z tego jakiś wymierny pożytek – pomyślał emerytowany komandor.

- O, S i T – wyrecytował wreszcie kapitan.
- Ost – powtórzyła, ale już bez celebracji Monika. – Ost, czyli wschód?
- Bastion Wschodni, czyli ten, w którym się znajdujemy. W dodatku *carré* to nazwa typu fortu i po francusku oznacza kwadrat, co może tłumaczyć kształt rysunku. Jesteśmy na miejscu, proszę państwa! – Czyż zatarł ręce.

Spojrzeli dookoła siebie. Jak okiem sięgnąć, trawa i zielsko, spod którego gdzieniegdzie wyzierała czerwień gotyckich cegieł.

Na oko jakieś pół roku kopania. Oczywiście z użyciem ciężkiego sprzętu – stwierdził bez uśmiechu Horn, po czym zawiesił wzrok na kapitanie. – Pewnie odpowiedź dałyby ostatnie znaki. Domyślasz się, co oznaczają?

- Nad tym się właśnie zastanawiam.
- A może to konkretna mapa? – myślał głośno Keller. – Pozioma kreska, dwie pionowe i znów pozioma. Mur, brama i znów mur? Część znaków zodiaku, które wcześniej znajdowaliście, była umieszczone w bramach i na drzwiach...

– Wydaje się, że to znak powtórzenia – wtrącił się znów Horn, jakby w ogóle nie docierały do niego słowa komandora.

Czyż był nieporuszony tymi dywagacjami nowego znajomego. Zmarszczki pobruździły mu czoło.

– Jeśli to znak powtórzenia – tokował – wtedy litery w trzecim, najniższym rzędzie to także O, S i T. Co to może oznaczać? Wschód szańca wschodniego?

Nikt nie odpowiedział na pytanie.

– Ostronóg! – zawołał nagle Czyż tak głośno, że Monika aż podskoczyła, a Keller złapał się oburącz za serce.

– Czyli co? – zapytał powątpiewającym tonem dziennikarz.

– Ostronóg to przecież jeden z bastionów twierdzy Wiśloujście – wyjaśnił szybko i rzeczowo kapitan. – W istocie jest to fragment twierdzy położony najbardziej na wschód, który kiedyś leżał wręcz nad samym brzegiem zatoki. I z tego, co wiem, jest też najlepiej zachowany. Idziemy!

– Dokąd? – Horn był nieco zdezorientowany.

– Do bastionu Ostronóg. To przecież tam. – Wskazał ręką kierunek niczym przewodnik wycieczek. – Nie musimy nawet wyjeżdżać za mury.

Po chwili cała czwórka ruszyła w głąb twierdzy, wkrótce znikając z pola widzenia lornetki, przez którą czujna para oczu śledziła każdy krok wszystkich członków nieformalnej grupy. A czerwona wiązka światła, po której docierał każdy dźwięk do innej pary uszu, spoczęła na omszałym fragmencie gotyckiej ściany. Ściany, która mogła widzieć wiele...

LXXXIV

Grudziądz, 21 marca 1522 roku

Przeto, kończąc, czcigodni przedstawiciele stanów Prus Królewskich, zgromadzeni tutaj, w Grudziądzu, jeszcze raz podkreślić pragnę, iż opowiadam się za ścisłą kontrolą liczby mennic działających na obszarze Prus.

Po zgromadzonych przetoczył się nieprzyjazny pomruk. Mówca wiedział dobrze, że to głos gniewny, ale wspólny przedstawiciele Gdańska, Torunia i Elbląga, miast, które obawiały się utraty przywilejów menniczych. Spojrzał w bok, gdzie siedział towarzysz jego, kanonik warmiński Tiedemann Giese. Jego spojrzenie mówiło wszystko.

– Pieniądz sam w sobie wartością być musi! – ciągnął po chwili z mocą Mikołaj Kopernik. – Siła nabywczą monety zależy od ilości zawartego w niej srebra i złota, a także od kosztów jej bicia. Ceny towarów proporcjonalne do zawartości kruszcu w monecie być muszą. Wtedy jest ona zdrowa. Chora i zła – szkodzi wszystkim, którzy żyją ze stałych dochodów.

Mówca odchrząknął, potoczył zmęczonym już nieco wzrokiem po audytorium, wreszcie rzekł niegłośno:

– Wszystko, com powiedział, będzie, jak wierzę, w reces wpisane. Bóg zapłać, czcigodni, za posłuchanie.

Na sali ozwały się znów głosy, ktoś w dłonie zaklaskał, ale krótko. Kanonik zaczął porządkować karty zapisanego papieru, składające się na rozprawę, którą napisał lat temu trzy, jeszcze w Olsztynie, i która służyć miała naprawie pieniądza. Czy posłuży, tego autor dzieła nie wiedział. Spełnił właśnie wolę stanów: powiedział, co myślał. Reszta w rękach możliwych.

Mikołaj zszedł z mównicy. Już mu ktoś rękę ścisnął, inny coś gadał, ale kanonik ni słowa nie mógł posłyszeć, jeno twarz jakąś rozmazaną widział i oczy w niej, już wyraźnie, złe, zawistne. Poczł, że ktoś pod ramię go bierze i na stronę prowadzi. To Giese.

Kilka chwil później siedzieli w refektarzu, czekając na posiłek. Kopernik, mimo zapewnień przyjaciela, że mowa jego była udaną, zmarkotniał. Coraz częściej popadał w stan, który nazywano melancholią i na który nie było żadnego antidotum w postaci ziółek ani niczego innego.

Upływające coraz szybciej lata – to one odpowiadały za taki stan rzeczy. Miał ich Kopernik już czterdzieści dziewięć. Za rok, jeśli dożyje, będzie świętował pół wieku bytowania na tej ziemi. To wiele, a zarazem ledwie chwila, jeśli spojrzeć za siebie, na antyczny Rzym, Grecję, Mezopotamię i dziesiątki innych, starszych kultur.

– O czym myślisz? – zapytał przyjaciela Tiedemann.

Mikołaj zapatrzył się w dal. Przez okno refektarza było widać malowniczy fragment Wisły. Wody toczyły jeszcze krę, ale rzeka była już żeglowna.

– Chciałbym już wracać do Fromborka – powiedział. – Nasza misja została wypełniona, choć nie spodziewam się wielkich pożytków. Jak długo będą ze sobą wojować miasta Warmii, tak długo nic nie będzie z mocnej waluty. I słowo króla nic temu nie zaradzi. Nikt z tych ludzi tutaj nie zgodzi się na to, mój przyjacielu, żeby mennica znajdowała się w Polsce.

– Tak – potwierdził kanonik Giese. – Ta historia jeszcze długo nie znajdzie szczęśliwego końca.

– Chcę wracać do Fromborka. Wiosenne niebo jest pełne niespodzianek – rzekł Kopernik i twarz jego na chwilę krótką się rozpogodziła.

Ledwo jednak wypowiedział te słowa, do refektarza wpadł sługa Kopernika, Joachim. Chwilę szukał wzrokiem swego pana. Ujrawszy go wreszcie, ruszył między rzędami stołów i ław. Był wysoki i chudy, tak jak wcześniejszy Hieronim, toteż Mikołaj spostrzegł go szybko.

Mina sługi nie wróżyła nic dobrego.

– Co się stało? – zapytał astronom.

– Nie wyjedziemy stąd panie – odpowiedział Joachim, starając się zapanować nad zadyszką.

– Dlaczego?! – zaniepokoił się Giese.

– Powódź. Wszystkie drogi na północ i wschód zalane. Wozy nie przejadą.

Kanonicy spojrzeli po sobie. Wiosna, a był właśnie jej pierwszy dzień, jak zwykle przychodziła do tego kraju nie bez problemów. Czyżby zatem ich plany rychłego powrotu do swych kurii, bo i Tiedemann tęsknił już za swoimi, choć, skryty i zamknięty w sobie, nie mówił tego głośno, miały spełznąć na niczym? Giese zasepił się, Mikołaj potarł kułakiem czoło.

– Mówisz, że drogi zalane... – zastanawiał się głośno.

– Tak – potwierdził Joachim.

Mikołaj uśmiechnął się. Tiedemann znał dobrze ten wyraz twarzy.

– Co chcesz uczynić, bracie? – zapytał drżącym głosem.

– Będziemy w domu na czas – odpowiedział twardo Kopernik. – Wozy i konie zostaną w Grudziądzu, a my weźmiemy jeno najpotrzebniejsze rzeczy. Popłyniemy Wisłą do Gdańska!

– A kra?! – jęknęli pozostali mężczyźni jak na komendę.

– Już prawie jej nie ma – odpowiedział pewnym głosem Mikołaj. – Idź, Joachimie, wypytaj o jaki statek. Chciałbym wyruszyć jeszcze dzisiaj. Tylko, na Boga, niech to nie będzie łódź rybacka...

Niespełna pół dnia później byli już w drodze. Kanonikom udało się znaleźć miejsce na barce, która płynęła z rodzinnego miasta Mikołaja, Torunia aż do Gdańska wypełniona różnym towarem. Była zresztą jedną z pierwszych, która wyruszyła w drogę po srożej zimie przełomu roku roku tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego.

Kiedy wypływali z Grudziądza, słońce było jeszcze dość wysoko na niebie. Jako że kra była wciąż niebezpieczna, rejs nocą nie wchodził w rachubę, toteż kapitan barki planował zatrzymać się na nocleg w Gniewie. Kanonicy cieszyli się i z tego. Z każdą chwilą zbliżali się do domu, a to było w tej chwili najważniejsze.

Następnego dnia, zaraz po wschodzie słońca, ruszyli w dalszą drogę na północ. Mikołaj upodobał sobie miejsce na pokładzie i mimo chłodu, nie zamierzał kryć się w kajucie, jak to czynił Tiedemann Giese. Urzekły go niezwykle widoki. Żuławy budziły się do życia. Spomiędzy białych łąk wyzierała już zieleń łąk i pastwisk, słońce przygrzewało mocno, choć wiatr wiał chłodny. Mikołaj myślał o ubiegłych latach.

Dzień miał się już ku końcowi, gdy barka dotarła do Gdańska. Kanonicy z ulgą postawili stopy na stałym lądzie. Silny wiatr od morza spowodował, że jednostka ostatnie mile przebyła, kołysząc się na falach rzeki jak na morzu. Dlatego też i pierwsze kroki po zejściu na ląd Kopernik i Giese skierowali ku gospodarzowi.

– Jestem głodny jak wilk – powiedział Tiedemann.

– Aliści nie morski to wilk! – zaśmiał się Mikołaj.

Rychło udało im się znaleźć odpowiednią gospodę. Od razu zażyczyli sobie na przystawkę śledzie po gdańsku, na danie główne zaś udziec barani, a do tego gąsior wina, które zresztą podano najsampierw. Już po kilku chwilach wnętrzości obu podróżnych wypełniła ciepła błogość. Do pełni szczęścia brakowało im tylko wiedzy, jak i któredy będą mogli dostać się teraz do Fromborka.

– Proponuję płynąć zatoką do Kahlbergu, potem przez Frisches Haff prosto do domu – powiedział Kopernik, rysując palcem po stole jak po mapie; takową wraz z przyjacielem Bernardem Wapowskim planował zresztą sporządzić niebawem.

– Jak chcesz płynąć z Kahlbergu? Łodzią rybacką? – zapytał Giese powątpiewająco.

Kopernik zamachał w powietrzu długimi palcami.

– A niech by! Byle szybciej.

– A Zatoka Świeża, uważasz przyjacielu, odtajała?

Na to pytanie Mikołaj już nie odpowiedział. Nie był pewny.

Można zapytać o to miejscowych rybaków – pomyślał. W grę wchodziło jeszcze wynajęcie koni i jazda brzegiem morza aż do samego Frauenburga.

Wszystko to jednak kanonicy zostawili sobie na następny dzień. Dzisiaj myśleli już tylko o spoczynku. Czekwały na nich dwie izby w tej samej gospodzie, w której właśnie zaczynali posiłek, piętro wyżej.

LXXXV

Gdańsk, 24 marca 1522 roku

Był już wieczór, gdy Mikołaj udał się na krótki spacer po okolicy. Wcześniej bywał w Gdańsku, nieodległym przecież, dość często, ale za każdym razem tak miasto, jak i port robiły na astronomie niezwykle wrażenie. Patrząc na obce statki, przypominał sobie wczesną młodość, spędzoną we włoskich miastach – Padwie, Bolonii i Ferrarze. Ach, cóż to były za czasy! Co za widoki, zapachy i smaki, których próżno szukać było później i gdzie indziej.

W pewnym momencie uwagę Kopernika ściągnął potężny statek handlowy, który przycumowany był dokładnie pod Żurawiem. Właśnie dźwig podnosił powiązane grubymi linami kufry i paki, pewnikiem wypełnione towarami. Jakiś człowiek w bufiastych spodniach pokrzykiwał w obcym języku. Na pokładzie uwijali się majtkowie o smagłej cerze i czarnych włosach. Nie dziwiło już wszak nikogo, że po Bałtyku pływały statki z dalekich i bardzo dalekich krajów, w tym i z państw arabskich.

Mikołaj dłuższą chwilę przyglądał się pracy marynarzy. Westchnął przy tym ciężko, widok ów przypominał mu bowiem wydarzenia sprzed lat. Ile ich już właściwie upłynęło? – zapytał sam siebie w duchu. Niemal dziesięć. Szmata czasu. Już miał iść dalej, gdy zatrzymał go w miejscu czyjś głos.

– Hej, panie!

Wołała kobieta. I do tego zdążył się już przyzwyczaić: portowe kurwy spotykało się tutaj równie często jak marynarzy. Mikołaj miał na sobie strój podróżny, nie było więc widać, że jest osobą duchowną.

Tymczasem wołanie się powtórzyło.

– Miły wędrowcze!

Wyczuł wyraźny obcy akcent, ale i to go nie zdziwiło. Gdańsk, miasto światowe, ściągał przecież dziewczyny z wielu krajów. Niektóre zostawały żonami kupców, miejskich rajców. Te, którym fortuna poskąpiła, kończyły jako kurtyzany.

Doktor Mikołaj spojrział wreszcie w stronę, z której dochodził ów głos. I nagle tchu mu w piersiach brakło, co zdarzało mu się coraz częściej, jednak tylko wówczas, gdy do swojej samotni na krużganku warowni fromborskiej wchodził po schodach zbyt szybko.

Teraz stał nie na schodach, a na środku nabrzeża gdańskiego portu. Dwa, może trzy kroki od karety przepięknej, zaprzężonej w czwórkę koni. I to z tej karety dobiegał ów głos. Z okna wychylała się niewiasta o twarzy matką okolonej, choć raczej nie na modłę włoską. O twarzy skądś znajomej...

– Aida? To ty?

– Mikołaj...

Nagle doznał uczucia, jakby w jednej chwili stracił całą władzę w nogach. Rzewność nagła rozlała się w jego sercu, które bić dwa razy szybciej i głośniejszy zaczęło. W gardle nastąpiła suchość jak rankiem, przy pochmielu. Astronom myślał, że śni tylko lub może jaką gorączką nagłą jest trawiony, wiele czasu spędził przecie na barce płynącej Wisłą, pośród kry, ryzykując przeziębienie.

Otworzyły się drzwiczki powozu i nim siedzący na koźle sługa zdążył zareagować, Aida postawiła stopę na ziemi i podeszła do Mikołaja. Dzielili

ich odległość wyciągniętej ręki. Żadne z nich nie śmiało jej jednak zmniejszyć.

– Witaj – powiedziała.

– Witaj.

Aida. To była ona! Dziesięć lat temu wyłowiona przez rybaków z morza nastoletnia dziewczyna, choć ukrywająca się pod męskim przebraniem, dziś już dorosła kobieta, ubrana w tradycyjny strój swojego narodu. Co robiła w Gdańsku? Jakże to wiatry przygnały ją znów na zimne, nieprzyjazne morze?

– To statek mojej rodziny – wyjaśniła, uprzedzając pytanie kanonika, a wskazała właśnie na ów bryg pod Żurawiem, który zwrócił uwagę Mikołaja.

– Ten?

– Tak. Przypłynęliśmy do Gdańska z towarami, w większości dywanami. Planujemy kupić od was jak największą ilość bursztynu.

Kilka chwil później siedzieli w karecie i jechali najszerszą ulicą Głównego Miasta. W oknach domów paliły się już światła, ale i na ulicach pulsowało życie: tu i ówdzie gapie zatrzymywali się, by obejrzyć występy igrców, połykaczy ognia i akrobatów. Jakiś mężczyzna wykrzykiwał słowa, z których przy odrobinie skupienia można było zrozumieć, iż to nie nic innego jak zaproszenie na wieczorne przedstawienie w miejskim teatrum.

Przechodnie znikali w drzwiach licznych w tym miejscu tawern, szynków i gospód, skąd wydobywały się smakowite zapachy i gwar rozmów. Rychło ozwały się dzwony niedalekiego kościoła Najświętszej Marii Panny, wzywające wiernych na wieczorną mszę.

Pasażerowie karety przez pierwsze chwile milczeli. Radość ustąpiła pola skrępowaniu. Mikołaj z ukosa przypatrywał się swojej dawnej znajomej. Czas był dla niej łaskawy – ocenił w duchu.

Dopiero gdy przejechali obok Katowni, jakoś rozwiązały im się języki. Aida opowiedziała o wszystkim, co zdarzyło się w jej życiu przez lata, które ich dzieliły. Wróciła do Persji, gdzie wyszła za mąż, lecz nie doczekała się potomstwa. Ale nie z tego powodu nie miała zamiaru być tylko żoną przy mężu, czyli siedzieć w domu. Wbrew wszystkim poszła w ślady ojca i zajęła się handlem, między innymi z Europą. Tak dotarła znów do hanzeatyckiego Gdańska.

Także i kanonik fromborski przybliżył w kilkunastu zdaniach, co działo się u niego. Ważne miejsce w jego opowieści zajął pobyt kilkuletni w Olsztynie i obrona miasta. Nie mógł też Mikołaj nie wspomnieć o swoich obserwacjach nieba, o wnioskach i teoriach. Na koniec, jakby mimochodem, przywołał też sprawę tajemniczego kamienia, który upadł był tamtej pamiętnej zimy pod zamkiem olsztyńskim, zabijając w jednej chwili setki krzyżackich agresorów z Dobrego Miasta. Ta ostatnia sprawa, co nieco zdziwiło Kopernika, bardzo żywo zainteresowała Aidę.

– Kamień, który spadł z nieba? – powtórzyła słowo w słowo za kanonikiem.

Mikołaj potakująco poruszył głową. Piękne i czarne łuki brwi Aidy ściągnęły się, a jej twarz jakby pociemniała.

– Mówisz, że posiadasz fragmenta tego kamienia? – drążyła dalej.

– Tak.

– Pokażesz mi je?

Mało co dziwiło jeszcze tego prawie pięćdziesięcioletniego mężczyznę, uczonego, doktora wielu dziedzin. To, co posłyszał przed chwilą, jak i całe spotkanie z tajemniczą kobietą z dalekiej Persji, było częścią owej mniejszości.

Konie szły kłusem. Powóz minął właśnie Pogrodzie i kierował się w stronę miasta Frauenburg. Zbliżało się południe dnia dwudziestego trzeciego marca roku pańskiego tysiąc pięćset dwudziestego drugiego. Wiosenne słońce stało w zenicie. Na gościńcu mało gdzie jaśniały płaty śniegu. Zima najwyraźniej dawała już za wygraną.

– Spadłaś nam, pani, jak z nieba – powtórzył chyba po raz dziesiąty kanonik Giese, a siedząca naprzeciwko niego Aida po raz dziesiąty skromnie spuściła wzrok; w niczym nie przypominała tej twardej i niebojącej się niczego kupczynie ze Wschodu, którą znali handlarze od Lubeki i Hamburga po Gdańsk i Królewiec.

Kiedy Mikołaj przyniósł swojemu przyjacielowi wieść, że następnego dnia wczesnym rankiem wyruszą do domu, Giese nie krył radości. Nie zapytał nawet o stan dróg po roztopach! Jak się okazało, obawy kanoników były zupełnie niepotrzebne: karetą pokonała drogę, bodaj trzy razy tylko mocząc koła w jakiej większej kałuży. Liczyli, że na Wzgórzu Katedralnym pojawią się w porze obiadu.

Tak się stało. W kuriach nie posiadali się ze zdumienia, widząc kanoników, znanych ze swej skromności, wysiadających z królewskiej niemal karety.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – westchnął Tiedemann, prostując członki.

Pojawienie się Aidy na Wzgórzu zaczęto komentować szybko i na różne sposoby. Rybacy w porcie opowiadali sobie przy rozplątywaniu sieci o córce perskiego szacha, którą porwano i która jest przetrzymywana dla zmylenia tropów właśnie we fromborskiej warowni. Wspominało się o milionowym okupie, jaki władca z dalekiego kraju gotów jest zapłacić za życie swojej jedynej córki, ale też o całej armadzie okrętów wojennych, która zbliża się do Polski.

Po sutym obiedzie Aida i Mikołaj udali się na przechadzkę po okolicy. Kobieta, aby nie wzbudzać niepotrzebnie sensacji, włożyła na siebie płaszcz podróżny. Dzięki jego szarościom skuteczniej wtapiała się w otoczenie.

– Wiele się tu zmieniło przez te lata – powiedziała.

– Sama zaś nie zmieniłaś się wcale – odparł bez zastanowienia Mikołaj.

– No, może poza jednym.

Popatrzyła na niego pytająco, unosząc w górę swoje piękne brwi.

– Nikt już nie uwierzyłby w małego Fritza.

Zaśmiali się. Doszli akurat do szpitala, gdzie dziesięć lat wcześniej dziewczyna pomagała doktorowi sporządzać jego mikstury, po czym zawrócili. Potem wspięli się na wieżę na krużganku, gdzie astronom pokazał wyniki najnowszych obserwacji. Aida przez chwil kilka przeglądała w skupieniu zapiski, mapy i rysunki.

– Gwiazdozbiór Panny – powiedziała, pochylając się nad jednym z nich. – Jest piękny. Znamy go od dawna. Przedstawia boginię sprawiedliwości Dike. W Mezopotamii mówią na nią Astarte, a w Egipcie nazywają Izydą.

– W istocie jest piękna – zgodził się Mikołaj, choć tylko on wiedział, co miał tak naprawdę na myśli.

– Stara legenda, którą pamiętam jeszcze z dzieciństwa, mówi, że ów układ gwiazd przedstawia dziewczynę, która porzuciwszy bezpieczny, rodzinny dom na Wschodzie, wbrew wszystkim i wszystkiemu podąża uparcie na Zachód, oświetlając sobie drogę niesioną w wyciągniętej ręce pochodnią.

– Na Zachód. Zupełnie tak jak ty! – Astronom usłyszał swoją myśl.

– Tak jak ja... Legenda mówi też, że miała ona na imię Adab, czyli Nadzieja i Potrzeba, i czekają jej pomocy ludzie, którym uwięziono ciała

albo dusze.

Aida wyprostowała się, popatrzyła w oczy Mikołajowi tak przenikliwie, że mężczyzną aż wstrząsnął dreszcz.

– Pamiętasz o mojej prośbie? – zapytała po krótkiej chwili.

Potwierdził bez słowa.

– Mogłabym teraz?

– Chodź za mną.

Rychło znaleźli się w domu poza murami, gdzie kanonik mieszkał i skąd prowadził swoje obserwacje nieba, którym służyło wybudowane przed sześcioma laty *pavimentum*. To właśnie przy wejściu na równą i szeroką, murowaną platformę znajdowały się niewielkie drzwi, przypominające nieco te, które prowadziły do wiejskich piwnic w okolicy. Mikołaj przekręcił klucz w zamku, chwycił za klamkę i mocno pociągnął do siebie. Stał bokiem i skinął głową. Aida schyliła się i weszła do środka.

Gdyby ktoś widział tę scenę, a wcześniej odmawiał posłuchu plotkom o porwaniu perskiej księżniczki, nie miałby już wątpliwości, że są prawdziwe.

LXXXVI

Frauenburg, 23 marca 1522 roku

Jeszcze tego samego dnia Aida musiała wracać do Gdańska, chociaż Mikołaj próbował odwieść ją od tego zamiaru. Tłumaczyła się koniecznością dokończenia kilku ważnych interesów z tamtejszym kupcami, on zaś, niemający przecież zbyt wielkich doświadczeń w negocjacjach z płcią przeciwną, szybko spasował.

– Tak będzie lepiej – powiedziała, wchodząc do karety. – Nie znam zbyt dobrze tutejszych zwyczajów, ale wydaje mi się, że moja obecność w tym miejscu, innowierczyni i w dodatku kobiety, nie byłaby chyba zbyt dobrze odebrana.

Mikołaj tylko westchnął. Trudno było bowiem nie przyznać jej racji. Chociaż kanonicy fromborscy do świętych pod tym względem wcale nie należeli, prowadząc życie na poły świeckie, utrzymując gospodynie czy wręcz kochanki.

– Jedź szczęśliwie – rzekł astronom. – Uważaj na siebie...

Uśmiechnęła się.

– Jeszcze się zobaczymy – powiedziała.

– Wierzę, że nie będzie to za kolejne dziesięć lat.

Nie odpowiedziała. Stangret ściągnął lejce, konie ruszyły. Kopernik podniósł rękę w geście pozdrowienia. Stał tak długo. Powóz zniknął za

zakretem, jął staczać się ze wzgórza ku drodze elbląskiej, a on wciąż sterczał przed swoją kurią.

Nie potrafił się ruszyć. Czekały na niego obowiązki w kapitule, pacjenci w szpitalu, czekała wreszcie pasja największa – niebo i gwiazdy, on jednak czuł, jak w serce leje mu się niewymowny żal. Zupełnie jak wtedy, wiele lat temu, w środku nocy we fromborskim porcie. Czuł, jakby odejmowano mu po kolei wszystkie członki. Bezboleśnie, ale i bezlitośnie. Czuł, jakby umierał po raz drugi.

Następnej nocy Mikołaj ze swego *pavimentum* w ogrodzie kanonii obserwował wiosenne niebo. Dzieło, nad którym od lat pracował, a które traktowało o obrotach sfer niebieskich, wciąż pozostawało niedokończone, chociaż podstawowe wnioski dotyczące owej teorii sformułował już wiele lat wcześniej.

Dokonywał właśnie pomiarów za pomocą kwadranta, gdy z głębi ogrodu, budzącego się do życia po zimowej przerwie, doszedł jego uszu jakiś dziwny szelest.

Może koty marczą – skonstatował i ponownie podniósł do oczu przyrząd.

Dźwięk jednak powtórzył się, a i był już o wiele bardziej natarczywy. Mikołaj sięgnął za siebie po sztylet, bo i takie narzędzie trzymał na podorędziu, po czym na palcach jął zbliżać się ku miejscu, skąd hałas ów dochodził. Nie mógł liczyć na pomoc sługi, Joachim spał już bowiem smacznie, a spał zawsze jak zabity. Astronom wciąż też żywił nadzieję, że to mimo wszystko koty.

– Hej! Jest tam kto? – zapytał schrypniętym głosem starca.

Żadnej odpowiedzi. Palce prawej dłoni mężczyzny jeszcze mocniej zacisnęły się na rękojeści sztyletu.

Nigdy nie skrzywdziłem nikogo, może pod koniec życia przyszedł czas i na to? – przeszło mu przez myśl.

– Wychodź, jeśli ci życie miłe! – zawołał znów, starając się przybrać groźny ton.

Był już przy granicy ogrodu, na krawędzi wzgórza, które opadało w tym miejscu stromo ku Fromborkowi i zatoce, kiedy na tle łuny miasteczka zarysowała się ludzka postać: czapa polska, futrzana, wysoka, z piórem sterczącym, wąski w ramionach ów gość tajemniczy był i lichego dość wzrostu.

Nie czas jednak był na podziwianie atutów jego ciała czy ich braków. Ważniejszym było, czego człowiek ten chce o tak późnej porze, która jednoznacznie świadczyła o zamiarach.

Czy Mikołaj da sobie radę z chłystkiem? Gdzie najpierw zadać cios sztyletem? W brzuch, w pierś, w bok czy celować raczej w górne partie ciała – tego, niestety, nie uczyli ani w szkole przy toruńskim kościele świętych Janów, ani na Akademii Krakowskiej, ani na uniwersytetach w Padwie czy Ferrarze; w przypadku tych dwóch ostatnich, owszem, bywało, że studenci, głównie miejscowi paniczykowie, sprawy swoje rozwiązywali za pomocą szpady, sposoby te jednak zawsze obce były Mikołajowi...

Tymczasem stało się coś dziwnego: cień zdjął z głowy czapę i uklonił się nisko, staropolskim obyczajem.

– Witaj, mistrzu mój i przyjacielu – ozwał się głosem skądś znajomym.
– Pytałeś, czy mi życie miłe. Tak, miłe. Ale tylko wtenczas, gdy ty jesteś blisko.

Mikołaj aż otworzył usta ze zdumienia. Przed nim w męskim odzieniu od stóp do głów stał nie kto inny, jak siostrzeniec jego, lat dziesięć niewidziany Fritz.

- Co się stało? – wykrztusił z największym trudem kanonik.
- Statek mój odpłynął – powiedziała Aida.
- I nie wróci?!
- Wróci, ale dopiero za kilka miesięcy.

Odtąd nie odstępowali się ani na krok: Mikołaj i Fritz, krewny, a także wierny uczeń, co po latach pobierania nauk na zagranicznych uniwersytetach wrócił był na Katedralne Wzgórze, by wiedzę swą pogodzić z praktyką. Zaglądał z Mikołajem w gwiazdy, pomagał mu w szpitalu, sam sporządzał nawet niektóre mikstury dla chorych. Unikał spotkań bezpośrednich z innymi kanonikami, nie rzucał się w oczy, z Mikołajem jeno i sługą jego Joachimem przystawał.

Dzień biegł za dniem, tydzień za tygodniem, a te składały się na miesiąc kolejny. Zaczerniały się kolejne karty księgi *De revolutionibus...* recepty, rachunki, dokumenty, wyroki sądów. Wkrótce też, co wynikało nie tylko z obserwacji Mikołaja i Fritza, miał nadejść dzień, w którym na kilka chwil zaciemni się niebo i zniknie słońce, choć dzień nadal dniem będzie.

– Nazywa się to zaćmieniem słońca, a polega na tym, że Księżyc i Słońce stają w jednej linii – tłumaczył Kopernik. – Kiedyś kapłani straszili tym zjawiskiem prosty lud, wykorzystując jego naiwność i niewiedzę do swoich celów. Działo się tak choćby w dalekim Egipcie.

- Dalekim albo niedalekim – uśmiechnęła się Aida.
- Racja.

Dzień całkowitego zaćmienia przypadł w środku tygodnia. Mikołaj chodził podekscytowany już od rana. Przez przydymione szkło patrzył co chwila w niebo.

Dokładnie gdy dzwony katedralne ozwały się na Anioł Pański, poczęło się ściemniać. Ludzie zatrzymywali się w drodze, przerywali codzienne czynności, rybacy puszczały wiosła, a chłopcy odrywali się od pługów, aby spojrzeć z bojaźnią – wszystko wyglądało bowiem na niespodziewany i podstępny atak burzy, choć niektórzy mówili o końcu świata – w niebo.

– Zmniejsza się, zmniejsza! – powtarzał rozgorączkowany Mikołaj, zadzierając głowę wysoko. – Jest już jeno połowa słońca. Połowa! Już mniej...

Z każdą chwilą było coraz ciemniej, ale i coraz chłodniej, wiatr wzmógł się, a dygoczące od jego podmuchów liście drzew rzucały dziwny cień – połowę tylko swojego kształtu. Wszystko to razem budziło niepokój, jakby poprzedzało kataklizm, który zniszczy Ziemię, jej trzęsienie, pęknięcie albo nawałnicę z piorunami, jakiej nie widział jeszcze nikt z żyjących.

– Za chwilę zniknie zupełnie. Widzę cienki rogalik – relacjonował już szeptem Mikołaj.

Oto nastąpiła cisza. Ciężka i złowróżbna. Wiatr ucichł, znikąd głosu żadnego, ni człowieka, ni zwierzęcia, jakby wszystko w jednej chwili od zarazy jakiej lub sztyletu skrytobójcy pomarło. Wtem ozwał się pomruk, zrazu cichy, potem coraz głośniejszy, miarowy, jakby naprawdę skorupa ziemi pękać zaczęła, za chwilę otworzy swe ciemne, bezdenne, ogniem zionące czeluście i wszystko, co dotąd stało na jej powierzchni, chodziło, pływało lub latało w powietrzu, na zawsze zniknąć w nich miało.

Szybko okazało się jednak, że ów huk to... tętent kopyt końskich. Na gościńcu elbląskim kurz się podniósł wysoko i po chwili ukazał się tam oddział jazdy.

Widząc ich, kanonik odetchnął z ulgą. Była to jednak radość przedwczesna.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał doń jadący na czele oddziału rycerz ogromnej budowy, ze szpecącą szramą idącą ukośnie przez twarz.

– Na wieki wieków – odpowiedział Kopernik, z niechęcią oderwawszy się od obserwacji. – W czym mogę waszmościom pomóc?

Dowódca zmierzył kanonika wzrokiem pełnym pogardy. Mikołaj uczył to od razu. Od razu też wiedział, iż ludzie ci nie mają przyjaznych zamiarów. Nieraz dochodziło do zatargów między biskupem Warmii a przedstawicielami polskiego króla. O co mogło chodzić tym razem?

– Przyjechaliśmy po kobietę – odpowiedział rycerz.

Gardło Mikołaja wyschło na wiór w jednej chwili.

– Nie ma tu żadnej, jak widzisz, panie – odpowiedział drewnianym głosem, czyniąc jednocześnie szeroki gest ręką, jakby zapraszał w gościnę.

Dowódca oddziału zeskoczył ciężko z konia, aż zadzwoniły stalowe elementy zbroi. Zbliżył się do stojących nieruchomo Mikołaja i Fritza. Konni podnieśli wyżej kopie. Konie niespokojnie ubijały ziemię na gościńcu przed kurią. Od strony warowni szybkim krokiem nadchodziło kilku kanoników w towarzystwie straży. Mikołaj rozpoznał Tiedemanna Giese, dzięki czemu poczuł się nieco pewniej.

Tymczasem dowódca oddziału stanął przed nim na wyciągnięcie ręki.

– Kim jest ten człowiek? – wskazał ruchem głowy na Aidę.

– To siostrzeniec mój, Fritz von Allen – odparł doktor bez zajknięcia.

– Zostaliśmy powiadomieni, że w domu twoim ukrywa się kobieta.

– Jestem osobą duchowną – rzekł z dumą Mikołaj, ale Polak wydawał się tym zupełnie nieporuszony, bo odparował szybko:

– Kobieta ta jest niebezpiecznym szpiegiem.

Kopernik nie dał się jednak zbić z pantafyku.

– A ja przypominam ci, panie, że ty i twoi podkomendni znajdujecie się na ziemi biskupa warmińskiego – rzekł twardo.

Polak nic nie odpowiedział. Nim ktokolwiek się spostrzegł, jednym niespodziewanym ruchem złapał za czapkę, którą nosił Fritz, i zdarł mu ją z głowy. Czarne włosy rozsypały się na ramiona. Aida krzyknęła przestraszona. Krzyknęła wysokim, kobiecym głosem. Swoim głosem.

– W imieniu króla Sigismunda, brać ją! – rozkazał rycerz, wskazując oskarżycielskim palcem na Fritza-Aidę.

W mgnieniu oka dwaj podkomendni jego zeskoczyli z koni i chwycili kobietę. Ta szarpnęła się, ale raz tylko. Nikt z obecnych, a scenie tej przyglądali się kanonicy warmińscy, nie wypowiedział słowa ani nie wykonał żadnego gestu w jej obronie.

Powiedli ją za sobą, związaną posadzili na koniu. Przez cały czas Aida nie spuszczała wzroku z Mikołaja, jakby spodziewała się od niego pomocy.

Stał jak wykuty w kamieniu. Nie był też w stanie wyobrazić sobie chwili, która za chwilę nastanie: konni odjadą wraz z aresztowaną, a on będzie musiał spojrzeć w oczy braciom z kapituły.

LXXXVII

Gdańsk, 21 lipca 1523 roku

– Trzymają ją w twierdzy warownej, miłościwy panie. – Szept człowieka, którego twarz skrywał kaptur głęboko naciśnięty na głowę, był teraz jeszcze cichszy, niemal niesłyszalny. – Głęboki loch, labirynt korytarzy, wszędzie uzbrojeni strażnicy, w dodatku ze wszech stron woda...

Twarz siedzącego naprzeciwko Mikołaja była nieruchoma, nie drżał na niej ani jeden mięsień. Przypominała swym kolorem kartę pergaminu i nie zdradzała żadnych emocji. Szczęściem, bo jej właściciel, gdyby tylko mógł, krzyczałby i ile sił walił pięściami w blat stołu, przy którym siedział.

Karczmą, gdzie stał ów stół, znajdowała się niedaleko kościoła Najświętszej Marii Panny, z dala od portowego zgiełku i Motławy. To właśnie tutaj wyznaczył spotkanie polecony Mikołajowi przez Tiedemanna Giese zaufany człowiek, którego koneksje pozwalały, jak widać, zajrzeć i za grube mury twierdzy.

– Nie wiesz, czy potwierdziły się zarzuty o szpiegostwo? – zapytał Mikołaj.

– Tego nie wiem, panie. Wiadomo jeno, że sprawa jest śliska.

– Śliska?!

– Ponoć sprowadzono specjalnie śledczych aż z Krakowa, aby przesłuchali aresztowaną. Są też świadkowie, którzy potwierdzają, iż

kobieta ta szukała czegoś w Gdańsku i okolicach. Plotka mówi, że planowała nastawać na życie samego króla.

– Brednie! – Kanonik huknął pięścią w stół, co ściągnęło wzrok kilku biesiadujących w najbliższym sąsiedztwie mężczyzn, a także urzędującego za szynkwasem właściciela.

Zawstydzony Kopernik pochylił głowę jeszcze niżej. Najwyraźniej sam zaskoczony był swoim wybuchem.

Należy zachować spokój. Tak, spokój przede wszystkim! – zganił się w myślach.

Od kilku dobrych tygodni nie spał, jadł źle, nieregularnie i mało, tak że Joachim musiał wmuszać strawę w swojego pana jak w małe dziecko. Konsekwencyj ze strony kapituły nie było, to jedyne szczęście. Przez wiele dni nie było też żadnych wieści o Aidzie: dokąd ją zabrali, o co oskarżają, co może jej grozić i jak jej pomóc można?

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Mikołaj nie pamiętał już niemal o jej istnieniu, dziś nie było mu bliższej osoby. W ciągu chwili zmieniło się wszystko. Coś, co dano mu, równie szybko odebrano. To bolało o wiele bardziej niż wszystkie inne straty, których w życiu doliczyć się mógł niemało. Pozostawała nadzieja. Ona, jak mówią, odchodzi ostatnia.

Mikołaj kochał bowiem Aidę miłością ziemską i ludzką. Dla niej był w stanie poświęcić bardzo wiele.

– Muszę ją obaczyć – rzekł twardo do siedzącego wciąż naprzeciwko informatora.

– Sprawdź, co da się zrobić – odpowiedział człowiek w kapturze.

Dzień mijał za dniem. Mikołaj, by być bliżej, wynajął pokój nad oberżą w pobliżu kanału Raduni i czekał na wieści. Wciąż nie mógł spać. Jeśli już sztuka ta mu się udała, miał koszmary, z których budził się krzykiem, cały zlany potem. Widział w nich kata, który ucinał toporem głowę Aidzie na

oczach całej kapituły, przybyłych do Gdańska króla Polski i... samego papieża! Nikt nie kiwnął w tym śnie palcem, aby ocalić nieszczęsną. Nawet Mikołaj.

Niespełna tydzień później kanonik fromborski znów spotkał się ze swoim tajemniczym informatorem.

– Zaczęło się śledztwo, miłościwy panie – powiedział mężczyzna.

– Co to oznacza?

Tamten z początku nie chciał powiedzieć. Potem uściślił swoje doniesienia.

Kopernik zbladł jeszcze bardziej, usłyszawszy o torturach, jakie potrafią stosować w twierdzy. Żałował nawet, że chciał wiedzieć więcej. Zaczął trząść się jak w febrze. Był bliski płaczu. Jednocześnie czuł się bezsilny jak zniedołężniały starzec.

– Jest jedna szansa – powiedział po chwili milczenia informator.

Astronom powoli podniósł głowę. Człowiek w kapturze mówił szybko i bardzo cicho, a nadzieja rozlewała się ciepłem w sercu kanonika. Nadzieja rozwodniona dziecięcą naiwnością jak wino w kiepskiej, przydrożnej gospodzie. Ale zawsze nadzieja.

Wiosła mlaskały rytmicznie, rozbijając nieruchomą taflę Wisły. Niewielka rybacka łódź zbliżała się ku górującej nad okolicą, a jednocześnie wzbudzającej strach latarni twierdzy. Okryty szczelnie, przez co nierozpoznawalny Mikołaj przypomniał sobie tamten rejs, sprzed wielu lat, gdy wezwany przez rybaków z Kahlberg, płynął, aby przyjrzeć się wyłowionemu z morza chłopcu, który okazał się dziewczyną, by później znów udawać chłopca. Wszystko było wtedy inne, łatwiejsze chyba, a życie

bardziej znośne. Dziś nawet niebo i gwiazdy nie przynosiły ukojenia duszy Mikołaja.

– Zaraz będziemy na miejscu, panie – szepnął informator, siedzący teraz na dziobie łodzi jak zwykle z kapturem głęboko nasadzonym na głowę, oddzielony od pasażera człowiekiem, który operował wiosłami.

Mikołaj zadrżał. Nie z zimna, a ze strachu. Przecie właśnie kierowali się w paszczę groźnego zwierzęcia! Po drodze minęli dwie łodzie wypełnione uzbrojonymi strażnikami strzegącymi portu i oświetlone płonącymi pochodniami, a także jeden okręt kaperski.

Powoli zbliżał się zmierzch. Zgodzony człowiek w twierdzy miał ich wprowadzić do środka i umożliwić spotkanie Mikołaja z Aidą. Kosztowało to kanonika sporo talarów, jednak najważniejsze było teraz, by wszystko przebiegło bez problemów.

Szarzało już, gdy łódź wpłynęła do fosy. Od zatoki szła świeża, wieczorna bryza. Przejmujący chłód wstrząsnął ciałem Mikołaja dokładnie w chwili, gdy ten zstępował na stały ląd. Astronom zachwiał się, wyciągnięte w górę i w bok ręce usiłowały trafić na jakiś punkt zaczepienia, jednak bezskutecznie. Rozpaczliwie zafurkotał płaszcz podróżny niczym skrzydła schwytanego w pułapkę ptaka. Mikołaj runąłby niechybnie do wody, gdyby nie silne ręce informatora, któremu udało się w porę pochwycić kanonika.

– Ostrożnie, miłościwy panie! – sapnął, gdy już stali obaj bezpieczni na przedmurzu warowni.

– Chodźmy – odrzekł twardo Mikołaj.

Umówiony strażnik czekał na nich w bramie bastionu. Tylko skinął głową na pozdrowienie, karku nie ugiął ani na pół paznokcia. Nie to było jednak teraz ważne. Ważne było, aby bezpiecznie dotrzeć do miejsca, gdzie czekała nieszczęsna Aida. Szli długim, ciemnym i prowadzącym lekko ku

dołowi korytarzem. Wilgoć osiadała im na ubraniach, przy ustach pojawiły się obłoczki pary.

Jezu, oby nie w takim nieludzkim miejscu siedziała – pomyślał z trwogą Mikołaj.

Korytarz skończył się gwałtownie. Przewodnik otworzył szerokie, ciężkie drzwi, za którymi znajdowały się spiralne schody. Szli znów w dół. Kanonik pierwszy raz w życiu znajdował się w podobnych kazamatach; nawet lochy na Wzgórzu Katedralnym, gdzie od czasu do czasu posyłano niepokornych, były w porównaniu z tymi tu niczym dziecięcą izdebką – jasne i suche. Ile pięter w dół mogli zejść, tego Mikołaj nie wiedział. Z początku usiłował liczyć, ale szybko, matematyk, pogubił się w rachunkach. Nie miało to też chyba wielkiego znaczenia. I tak z miejsca tego nie ma ucieczki.

– To tutaj. – Przewodnik wskazał ręką krótki korytarzyk u nasady schodów, na którego końcu w nikłym świetle rysował się prostokąt drzwi. – Macie trzy pacierze, wasza miłość. Potem zaczyna się *kunt*...

Mikołaj nogi miał jakby z siana usypane, oddech przyspieszony, a serce biło tak głośno, że jego posiadacz bał się, czy go nie zdradzi. Pchnął drzwi. Ujrzał przez sobą niewielką celę, oświetloną jeno lichym kagankiem świecy. Pod ścianą naprzeciwko drzwi siedziała jakaś postać. Miała opuszczoną głowę, co czyniło trudnym rozpoznanie rysów twarzy.

A jeśli chcą zakpić z niego, wyrwać pieniądze, a miast ukochanej pokażą jeno jakieś bezrozumne czupiradło? – przeszło mu przez głowę i znów dreszcz zimny wstrząsnął ciałem.

– Mikołaj – usłyszał naraz i serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. – Kochany!

Przypadł usiłującej dźwignąć się z ziemi dziewczynie, ogarnął ramionami, przycisnął mocno do siebie.

– Aida...

To była ona. Trzymał ją w ramionach, na jawie, nie we śnie. Nie przeszkadzał mu jej zapach niezbyt przyjemny, który tłumaczyły tygodnie spędzone w celi bez podstawowych wygod.

Rozmawiali zachłannie, szybko, starając się nie zmarnować ani chwili. Mikołaj ze wszystkich sił starał się zapamiętać dobrze każde słowo wypowiedziane przez Aidę. Dowiedział się od niej, kto i kiedy z nią rozmawiał, a także o tym, że nikt, jak na razie, nie przedstawił jej żadnych zarzutów, co można było poczytywać dwojako: dobrze i źle. Żywili ją też źle, ale regularnie. Nie bili, nie prowadzili na męki.

Chciał mówić i on, pytać, ale żadne słowa nie były w stanie precyzyjnie mu się przez krtań.

– Musimy wracać, panie – dobiegło od drzwi,

Mikołaj ciężko dźwignął się z kolan, bo w tej pozycji właściwej żarliwej modlitwie trwał od początku. Niczym innym zresztą nie było spotkanie owe, jak właśnie modlitwą o zmiłowanie.

– Jeszcze chwilę – rzucił Mikołaj do przewodnika, po czym jeszcze raz nachylił się ku Aidzie. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię stąd wyciągnąć. Przysięgam na swojego i twojego Boga. Nie znam go, ale wierzę, że jest dobrym, a jeśli jest dobrym, to nie pozwoli ginąć swoim dzieciom.

Aida uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Taki właśnie jest Allah.

Po chwili zmarszczyła brwi i przygryzła wargi. Mikołaj znał ten jej wyraz twarzy. Przybliżył ucho do jej ust, wstrzymał oddech.

– Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego – wyszeptała.

– Mów.

– Chodzi o to, co pokazałeś mi w krypcie pod swoim *pavimentum*.

– Fragmenta kamienia?

– Tak. Musisz coś o nich wiedzieć. To nie są zwykłe kamienie. Drzemie w nich ogromna moc, o której mój lud dowiedział się nie tak dawno...

Myśli kotłowały się w głowie Mikołaja, gdy wspinał się schodami ku górze, potem szedł korytarzem ku wyjściu, gdzie królowała już noc. Brzmiały mu w uszach słowa Aidy, słowa, które w ustach jakiegokolwiek innej osoby uznałby za mowę obłąkanego. Wiedział już, co zrobić powinien.

Dopiero będąc z powrotem na łodzi, zaczął się zastanawiać, dlaczego jego ukochana przez cały czas siedziała. Wytłumaczył to sobie szybko jakimś niedomaganiem nóg, może inną chorobą.

Znów mijały dni i noce, wypełnione, jak dotąd, nadzieją i wyczekiwaniem, ale i wytężoną pracą. Mikołaj wrócił na kilka dni do Fromborka, potem znów pomieszkiwał w Gdańsku, by codziennie dowiadywać się o los swojej miłej.

Któregoś dnia, a było to już jesienią, zaufany człowiek Mikołaja nie stawiał się na umówione spotkanie. Zaniepokojony, potem rozsierdzony kanonik miotał się po swojej izbie. Przed rozbiciem sprzętów znajdujących się na wyposażeniu wynajmowanego lokum powstrzymało go pukanie do drzwi.

Otworzył je gwałtownie. W progu stał przyjaciel jego serdeczny, kanonik warmiński Tiedemann Giese.

– Wdziewaj płaszcz i buty! – rzucił od razu.

– Co się dzieje? – zapytał Mikołaj.

– Przyjechali śledczy z Krakowa. Ludzie mówią, że mają ją zabrać z Gdańska.

– Gdzie nasz człowiek?

– Ubity. Znaleźli go wczoraj w zaułku niedaleko Motławy, ze sztyletem w sercu...

Kopernik chwycił się za głowę.

– Pospiesz się – ponaglał Giese.

– Co chcesz zrobić?

W odpowiedzi Tiedemann wydobyl z rękawa jakiś rulon pergaminu.

– Mam glejt od naszego biskupa – powiedział. – W samo południe mamy mieć posłuchanie u najważniejszego z rajców miasta, niejakiego Hanemanna.

– Czy on coś pomoże?

– Nie wiem. Ruszaj!

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Kilka chwil później stawili się u wspomnianego rajcy, który wysłuchał ich w skupieniu, ale potem tylko głową kręcił. Zapytany wprost, uznał sprawę za trudną, ale obiecał zrobić, co w jego mocy.

Mikołajowi to jednak nie wystarczyło ani tym bardziej nie uspokoiło.

– Jedźmy do twierdzy – powiedział.

Tiedemann zrobił wielkie oczy.

– Teraz ja zapytam: co chcesz zrobić?

Mikołaj był już w drodze ku Motławie, gdzie chciał wynająć jakąś łódź, więc przyjaciel musiał go gonić, co kosztowało go sporo wysiłku.

– Mów! – huknął Giese.

– Masz glejt, który otworzył nam drzwi ratusza. Może otworzy też drzwi więzienia. A jeśli nie otworzy... – Mikołaj poklepał się po kieszeni, w której coś trzymał; przyjaciel nie zauważył jednak tego gestu.

– To szaleństwo! – krzyknął niemal.

– Oczywiście, to szaleństwo. Od samego początku.

Już pierwsza łódź, której właściciela zagadnęli, wiozła ich w kierunku latarni. Znow minęli łodzie ze strażnikami i aż dwa wracające z morza okręty kaperskie, noszące jeszcze na burtach świeże ślady krwi po jakiejś potyczce. Jednak na Mikołaju nie zrobiło wszystko to najmniejszego wrażenia.

Rychło łódź dobiła do przedmurza bastionu twierdzy i kanonicy wyskoczyli na ląd, jakby byli młodzieniaszkami. U wejścia do więzienia nastali jakieś zamieszanie: ludzie ubrani jak szlachcice o czymś żywo dyskutowali.

– Co się dzieje? – spytał Giese, którego wygląd zawsze wzbudzał posłuch.

Zagadnięty strażnik popatrzył na niego krzywo.

– Śledczy z królewskiego Krakowa przybyli tu, by przesłuchać podejrzaną – odpowiedział szybko i zaraz dodał: – Ale spóźnili się...

– Nie rozumiem. Mów jaśniej, człowieku! – Tiedemannowi udzieliło się podenerwowanie Mikołaja.

– Bóg już wymierzył sprawiedliwość – powiedział strażnik.

Żelazna jakaś obręcz chwyciła za gardło Mikołaja, a czyjeś niewidzialne ręce bezlitośnie dokręcały grubą śrubę. Oddychanie było dla Mikołaja niczym sztuka szycia dla krawca, tkacza lub szewca, któremu jednym ciosem miecza ucięto obie ręce.

Padł na kolana, wzbudzając tym zainteresowanie ludzi zgromadzonych przed bramą bastionu. Coś mówili po polsku. Nie rozumiał ani słowa. Pokazywali go sobie palcami, ale tego nie widział. Wiedział, że jego Aida nie opuści już nigdy tego lochu. Nie wiedział, że wraz z nią umarło coś jeszcze...

Tylko Giese zachował zimną krew.

– Wpuśćcie nas do środka. Rozstąpcie się, chrześcijanie! – Uniósł w górę obie ręce. – Wpuśćcie nas do tej duszy nieszczęsnej. Jesteśmy przecież księżmi...

LXXXVIII

Gdańsk, dzień siódmy

Dzień robił się coraz bardziej upalny. Słupek rtęci z pewnością dawno przekroczył już trzydziestkę. W okolicach wieży twierdzy Wisłoujście widać było zaczątki jakichś robót konserwatorskich, gdzieś w tle kręcili się nawet robotnicy.

Niezatrzymywani przez nikogo Tomasz Horn i Monika Lauder, w towarzystwie dwóch oficerów marynarki, sprawnie i bez błądzenia odnaleźli szukany bastion o nazwie Ostronóg. Niemało do roboty budowlańcom i konserwatorom zabytków pozostawało także i w tym rejonie warowni. A to budziło nadzieję, że wiele tu mogli jeszcze znaleźć tacy ludzie jak oni.

– Dokąd teraz? – zapytał Horn, jakby chodziło o marszrutę niewinnej pieszej wycieczki.

– Byle niżej – odpowiedział Keller.

– Bastion wybudowany został w tysiąc pięćset osiemdziesiątym siódmym roku – czytał Andrzej Czyż z ekranu telefonu komórkowego – na co wskazują daty umieszczone na zwornikach działobitni obu barków bastionu. Wewnątrz bastionu znajdują się kazamaty, które były wielokrotnie przebudowywane. Naprzeciw wejścia do kazamatów zachowało się na wysokim podmurowaniu pomieszczenie dawnego aresztu.

– Przynajmniej wiemy, że Kopernik nie mógł mieć z tym nic wspólnego – skwitowała Monika.

Skierowali kroki ku wejściu. Łukowata, gotycka brama przykryta była częściowo darnią i stanowiła jedyny widoczny element konstrukcji. Ktoś, kto nie znałby przeznaczenia budowli, pomyślałby zapewne, że prowadzi do wnętrza góry. Horn nie pierwszy raz spotykał się z podobnymi konstrukcjami; swego czasu był częstym gościem w warszawskich fortach z okresu zaboru rosyjskiego – Cytadeli i Fortu Bema.

– Zamknięte – stwierdził sucho Keller, odwracając się od drzwi.

Horn i Czyż przyjrzeni się zabezpieczeniom: była to jedna dość duża, ale prawdopodobnie łatwa w „obsłudze” kłódka. Dziennikarz mrużąc oczy od światła, przyjrzał się fryzurze Moniki.

– Co? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Nic. – Podniósł w górę rękę. – Pchła!

Nim zdążyła krzyknąć, trzymał w palcach metalową wsuwkę do włosów.

– Dobrze, że nie ma z nami Matejuka – mruknął pod nosem, po czym odwrócił się plecami do reszty towarzystwa i zaczął manipulować przy zamknięciu.

Monika poczuła się w obowiązku wytłumaczyć Czyżowi i Kellerowi, kim jest wspomniany Matejuk i co ich spotkało na wieży gdańskiego ratusza. Na wspomnienie tej ostatniej nazwy Keller zmarszczył brwi.

– Pamiętam. Ojciec bardzo interesował się odbudową ratusza – powiedział. – Myślicie, że tam coś może być?

W odpowiedzi rozległo się pojedyncze ciche brzęknięcie. Otwarta, zdjeta i ponownie założona kłódka uderzyła o skobel. Drzwi były otwarte.

– Zobaczmy później, komandorze. – Horn otworzył szerzej drzwi prowadzące do bastionu Ostronóg. – Na razie zapraszamy na pokoje.

Zaledwie kilka kroków od wejścia panował chłód, na razie, zważywszy na upał panujący na zewnątrz, przyjemny. Korytarz był prosty, zaś betonowa posadzka równa. Stopy idących rozgniatały zeschnięte liście. Światła latarek lizały ściany z czerwonej cegły.

Nagle uszu idących doszedł najpierw narastający furkot, potem przeraźliwy pisk. Na ich głowy spadło z impetem coś czarnego, miękkiego i rozedrganego, coś, co zaczęło wplątywać się we włosy, drapać pazurkami twarze, wsadzać wilgotne pyszczki do uszu!

– Jezu! Co to jest?! – Monika usiłowała strząsnąć z siebie nieproszonych gości.

W ciągu kilku sekund znaleźli się na zewnątrz. Ciężko dyszeli, obmacując się jeszcze po głowach. Nietoperze, gospodarze przybytku, zostały w środku.

– Zapomniałem wam powiedzieć – odezwał się Czyż, podnosząc w górę komórkę, czyli swoje źródło wiedzy. – W roku dwa tysiące piątym naliczono tu trzysta trzynaście osobników. Najliczniejszym gatunkiem spędzającym tu zimę jest nocek *Natterera*. Do częstych i względnie licznych należą również nocek rudy i nocek łydkowłosy, który jest uważany za gatunek zagrożony wymarciem w Polsce – przeczytał z powagą z ekranu.

Pierwszy zaczął się śmiać Horn. Siedział na trawie i nie mógł się opanować. Potem dołączyli do niego marynarze. Jedyne Monika wciąż z przerażeniem dotykała włosów i twarzy.

– Co z tym zrobimy? – zapytał dziennikarz, kiedy już wszyscy się uspokoili, a przynajmniej na takich wyglądali. – Wiemy już, że bastion jest strzeżony, i to nieźle.

– Potrzebny jest sprzęt – wtrącił Andrzej. – Przywiózłbym z okrętu sztormiaki. Albo jakiś stare OP-1.

– Co to jest? – zainteresowała się Monika, ale Horn szybko przerwał ten quiz:

– Nie mamy na to czasu.

Milczeli. Andrzej skubał trawę. Uwagę dziennikarza ściągnęła jego komórka.

– Mogę?

Czyż podał mu aparat. Horn chwilę w napięciu naciskał klawisze, wreszcie pokazał reszcie wyświetlacz z jakimś rysunkiem.

– Spójrzcie. To jest plan całej twierdzy Wisłoujście, a tu jest nasz Ostronóg. – Wskazał palcem obraz, który od razu powiększył. – Załóżmy, że w czasie, gdy Jan Keller, jak sądzimy, prznosił skarb Kopernika z bazyliki gdzie indziej, wyglądało to wszystko podobnie. No, może mniej było zielska, drzewa szybko rosną...

– Do czego zmierzasz? – zapytał Czyż.

Horn tylko pokręcił głową, po czym wyciągnął rękę.

– Pokażcie mi jeszcze raz ten rysunek.

Monika posłusznie podała mu kartkę. Pochylili się nad nią wszyscy.

– Myślę, że ten rysunek może być jednocześnie mapą. Że tak jest, powinien nas przekonać ten dopisek dokonany ręką samego Jana Kellera.

Otworzyli dziennik na ostatniej stronie. Rzeczywiście, ręka kopisty, w tym wypadku Moniki, powieliła jedynie litery i znaki. Dopiero teraz zauważyli bowiem, iż wielkie „i” jest dość grube. O wiele grubsze od kreski, którą stworzono pozostałe znaki.

– To przecież jest wieża! – Keller ucieszył się jak małe dziecko. – Tata narysował wieżę.

– Wiele wskazuje na to, że tak – potwierdził ze spokojem Horn, po czym przystawił rysunek do mapy Google, widniejącej na ekranie telefonu.

– Skoro tu jest wieża, to tutaj muszą być skrajne bastiony: Wiślany i Pucki. A tędy wjechaliśmy. – Wskazał palcem poziomą linię w najniższym rzędzie.

– Po moście – uściślił Andrzej. – Dwie linie pionowe to prawdopodobnie drugi most prowadzący do ścisłej twierdzy *carré*. Tylko który z tych znaków oznacza bastion Ostronóg?

– Czy ta druga linia na rysunku ojca jest odrobinę krzywa, czy mi się wydaje? – zastanawiał się głośno Keller.

– Według mnie jest – zgodziła się Monika. – Ale to nie jest drugi most...

Spojrzenia całej czwórki przeniosły się na kilka chwil z poźółkłej karty na wyświetlacz telefonu. Mostu, w istocie, nie było w tym miejscu. Pośród gęstej zieleni wyraźnie rysowała się za to bryła jakiejś budowli.

Tomasz Horn jeszcze raz spojrział na ostatnią stronę dziennika.

– A gdyby zapytać pana Flaschbindera? Wersy 95–96. – Monika zaczęła wertować karty tomiku.

Idź do czarno odzianych, kajdanami skutych,

Marny poeto, tu nie miejsce tobie!

– Przecież to budynek dawnego aresztu – rzekł, tym razem spokojnie, Andrzej Czyż.

– Mam nadzieję, że nie ma tam gacków. – Horn podniósł się z trawy. – A przynajmniej nie aż w takiej ilości.

Chwilę później cała czwórka stanęła przed szczytem budowli. Wejścia nie uniemożliwiała tym razem żadna kłódka, bo... nie było tu nawet drzwi. Ciemna czeluść wabiła pewnie nieraz dzieci z okolicy, poszukiwaczy przygód i pijaczków. Przekonali się o tym zaraz po wejściu, gdy jedno

z nich niechcący kopnęło puszkę po piwie. Obijająca się o posadzkę blacha spowodowała hałas, który zaświadczył o wielkości pomieszczenia.

Włączyli latarki. W dawnym areszcie panował o wiele większy bałagan niż w miejscu, z którego przepłoszyły ich nietoperze. Tu i ówdzie widać było kałuże, walały się butelki, stare gazety i strzępy szmat, co świadczyło o tym miejscu jako o nawiedzonym często i, szczególnie latem, nie bez przyjemności.

Korytarz zakręcił w prawo. Światło dzienne tutaj już nie docierało. Ściany, niegdyś otynkowane, dziś były obtłuczone do cegły, brudne, nadpalone, z grzybem i resztkami jakichś napisów, które z pewnością nie pozostawili osadzeni tu więźniowie. Nie było za to ani jednego nietoperza. Zapach stęchlizny, z początku jeszcze możliwy do zniesienia, teraz się wzmógł.

Keller oddychał coraz ciężiej, w pewnym momencie zakasłał. Przystanęli.

– Może wrócisz? – zaproponował nieśmiało Czyż.

– Niedoczekanie! – zachnął się. – Teraz? Kiedy jesteśmy tak blisko, a wierzę, że jesteśmy? Nie mógłbym sobie tego darować...

Szli dalej. Korytarz zaczął opadać w dół. Monika asekuracyjnie chwyciła Horna pod ramię, wszyscy poruszali się teraz na ugiętych w kolanach nogach, choć podeszwy ich butów znajdowały dobre zaczepienie. Wkrótce trafili na rozwidlenie.

– Którą? – zapytał Horn.

– Na szczęście to nie pytanie o to, który kabel przeciąć: niebieski czy czerwony – zaśmiał się Czyż, po czym oświetlił najpierw lewą odnogę, potem prawą.

Były niemal identyczne. Kapitan powtórzył czynność kilka razy, smuga światła musnęła ostrą krawędź ściany.

– Co to jest? – odezwał się naraz Horn. – Możecie mi poświecić?

Dwie smugi światła skrzyżowały się w miejscu, gdzie celował wyciągnięty palec wskazujący dziennikarza: na czerwonym fragmencie muru, dobrze zachowanym i czystym (najwyraźniej dzieci i amatorzy taniego wina bali się zapuszczać aż tak daleko), widniała tarcza herbowa, a w niej dwa krzyże z koroną.

– To herb Gdańska – powiedział Czyż. – W starych murach spotyka się co chwila takie ozdoby. Widzieliście przy bramie.

– Poświećcie wyżej, na koronę. – Horn wskazał na coś palcem.

Płaskorzeźba była zapewne stara, wszyscy wiedzieli, jak wygląda korona w herbie miasta nad Motławą. Ta była z pewnością inna: zamiast pięciu rogów, miała tylko cztery, zaś w przestrzeń pomiędzy dwoma środkowymi wrysowano jakiś symbol. Była to grecka litera γ .

Tomasz czuł się jak w transie.

– *Porrima* – powiedział głucho. – To przecież trzecia gwiazda w gwiazdozbiorze Panny!

Przez chwilę nie było słycać nawet oddechów pozostałej trójki.

– Wciąż nie wiemy, w którą stronę iść – zauważyła Monika.

– Może coś na ten temat mówi Dantyszek – rzekł coraz bardziej podekscytowany Horn.

Światło latarki spoczęło na kartach książeczki.

– Kolejne wersy to 131 do 134 – powiedziała Monika, po czym odczytała fragment:

*Nagle ujrzałem Fortunę. Dwie miała twarze,
Pod nią tron świetny mienił się pozłotą.
Na głowie połyskliwy diadem szczerozłoty,
W lewej ręce berło królewskiej władzy.*

– W lewej ręce berło, czyli powinniśmy iść w lewo – analizował na głos dziennikarz. – Chyba że to podpucha. O ile biskup i ambasador Jan Dantyszek był zawsze blisko polskich królów, Kopernik był człowiekiem niezależnym.

– Rozdzielmy się – zaproponował Czyż.

– Zgoda – rzekł Horn po chwili zastanowienia. – Właściwą drogę powinna oznaczać następna gwiazda, Zavijah. Oznacza ją grecka litera β . Umawiamy się, że idziemy przez dokładnie dziesięć minut. Potem wracamy i spotkamy się w tym miejscu.

Oficerowie ruszyli lewą odnogą, za wskazówką, Horn i Monika zaś prawą. Dziewczyna puściła jego ramię. Było coraz zimniej.

– Chciałbyś pierwszy odnaleźć betę, prawda? – zagadnęła dziewczyna.

– Nie rozumiem.

– Kręci cię rywalizacja, przyznaj się.

Nic nie odpowiedział. Bo musiałby albo skłamać, albo przyznać tej dziewczynie rację. Tak, lubił konkurować. A w oficerach marynarki, mimo że jeden był już emerytem, widział godnych siebie przeciwników.

– Za szybko idziemy – zwróciła mu uwagę Monika.

Zwolnił, znów przyznając jej rację. Dokładniej badał ściany w poszukiwaniu kolejnych znaków. Korytarz zakręcał lekko w prawo, był też nieco węższy niż na początku. Skądś dobiegło kapanie wody, potęgowane przez echo. Światło latarki zaczęło słabnąć.

Tego jeszcze brakowało! Horn oddychał coraz szybciej, coraz bardziej niespokojnie.

– Jest! – krzyknęła Monika, wskazując palcem na wyłom w murze.

Horn zaklął w duchu. Przegapiłby jak nic! Światło latarki padało na wyraźny, drugi znak greckiego alfabetu. Co więcej: w obu brzuskach bety znajdowały się otwory.

Już wyciągał rękę, był sprawdzić ich głębokość...

– Wracamy – powiedziała Monika.

– Dlaczego?

– Mieliśmy iść dziesięć minut, pamiętasz?

Kiwnął potakująco głową. Tak, trzeba wrócić – odezwał się jakiś wewnętrzny głos. Naciśnij, a co ci szkodzi?! – zawtórował mu drugi, również słyszany tylko przez Horna.

Cofnął rękę. Oddalił się o krok.

– A jak drugi raz nie znajdziemy tego znaku?

Nie odpowiedziała. To sprawiło, że podjął decyzję. Krok do ściany, uniesienie ręki, palec wskazujący i duży, ten ostatni wyżej. Przecież nic się nie stanie!

Rozległ się dźwięk przypominający przesuwanie się kamiennego bloku po innym kamieniu. I tak było w istocie! Horn i Monika odskoczyli przestraszeni. Prostokąt cegieł szerokości i wysokości drzwi zaczął się obracać wokół własnej osi, wkrótce ukazując dwa wąskie przejścia.

Niewiele myśląc, dziennikarz zbliżył się do jednej ze szczelin i poświecił latarką. Za przemyślną konstrukcją drzwi znajdowało się niewielkie pomieszczenie, coś w rodzaju krypty dwa na trzy metry. Na samym środku, na metrowym postumencie, znajdował się niewielki i prawdopodobnie wykonany z metalu sarkofag. Jego rozmiary i kształt przywodziły na myśl trumienkę małego dziecka. W nogach widniała litera α .

– *Spica* – rzekł przez ściśnięte gardło Horn. – Kłos...

Teraz mógł wrócić po marynarzy. Okazało się to jednak niepotrzebne: w ciemności korytarza zamajaczyło światło latarki. Keller i Czyż maszerowali już w ich stronę. Horn ciężko oparł się o ścianę. Przez chwilę patrzyli na siebie z Moniką, przez co nie mogli zauważyć, że prócz dwóch

oficerów, którzy szli z wysoko uniesionymi rękami, zmierza w ich stronę ktoś jeszcze.

– Ręce do góry – rzucił Henryk Keller.

Nie podniósł nawet wyżej i nie wycelował trzymanego w dłoni pistoletu. Zrobił to za niego jego towarzysz, Konrad, który trzymał w rękach automat kałasznikowa.

LXXXIX

Gdańsk, dzień siódmy

Dochodziła druga po południu, gdy Artur Matejuk kończył jeść obiad w bufecie pomorskiej komendy wojewódzkiej policji przy Okopowej. Przy krzesełku, na którym siedział, leżała spakowana torba podróżna. Myślami był już w domu, w Kwidzynie. Nie tak to sobie planował, powinien zjawić się tam dwa dni temu. Postanowił jednak wykorzystać właściwie czas, który mu pozostał.

Kwadrans później minął okienko, za którym siedział dyżurny.

– Cześć! – rzucił.

– Miłego weekendu – dobiegło z drugiej strony szklanej ścianki.

Matejuk wyszedł z gmachu komendy, mrużąc oczy od słońca. Zatrzymał się między dwiema kamiennymi kulami umiejscowionymi przy schodach, prowadzących do portalu. Przerzucił pasek torby przez ramię.

Nagle za plecami usłyszał głos.

– Panie komisarzu...

Nie, tylko nie to – pomyślał Matejuk.

Odwrócił się powoli. Pod ścianą zabytkowego gmachu z czerwonej cegły stał nie kto inny jak przyszczaty zabójca z katedralnej wieży.

– Przyszedłeś oddać się w ręce policji? Zapraszam do środka. – Matejuk wskazał ręką drzwi. – Ja już mam wolne.

– Musi mi pan pomóc – powiedział chłopak, zbliżając się do komisarza i jednocześnie rozglądając się na boki.

– Nie jestem prawnikiem. A tobie potrzebny jest teraz dobry obrońca. Wysłali za tobą list gończy.

– Być może, ale nie teraz. – Pryszczaty pokręcił energicznie głową. – Musi pan iść ze mną.

– Nie słyszałeś?! Wyjeżdżam! – Matejuk uderzył dłonią wiszącą na ramieniu torbę.

– Ale tam człowiek potrzebuje pomocy. Nie znam w tym mieście nikogo prócz pana. I nikomu nie ufam...

Matejuk westchnął, pokręcił głową. W końcu ten gówniarz dwa razy uratował mi życie – pomyślał.

Kwadrans później komisarz Artur Matejuk i pryszczaty szli w stronę Głównego Miasta. Już nie tylko przejazd ulicami ścisłego centrum miasta, ale i przejście po chodnikach było utrudnione. Trwało apogeum najazdu turystów na coroczny Jarmark Dominikański. Jeszcze kilkanaście lat temu, w poprzednim systemie, była to jedna z nielicznych okazji do tego, by kupić produkty, których nie można było dostać na co dzień w sklepach. Potem jednak prestiż imprezy zaczął stopniowo maleć, gdyż w dużej mierze była to już tylko okazja do wymiany staroci i bibelotów, ewentualnie zakupienia produktów ekologicznych.

Teraz, w obliczu zagrożenia zamachem bombowym, na Jarmark Dominikański waliły nieprzebrane tłumy!

– Czasem zastanawiam się, czy naszym rodakom nie potrzeba jakiegoś porządnego konfliktu zbrojnego – mruknął pod nosem Matejuk. – Skąd

niby się bierze taka fascynacja wybuchami w Sylwestra i długo potem, co? Po co ci wszyscy ludzie pchają się do miejsca, gdzie może coś pierdolnąć?

Pryszczaty nic nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby duchem był zupełnie gdzie indziej. Stanęli na rogu Pańskiej i Szerokiej.

– Co się tam dzieje? – zaniepokoił się jakiś staruszek, który maszerował przed nimi, a teraz również się zatrzymał.

Spojrzeni. Stał nie tylko on, a cały pochód ludzi. Z dwóch stron blokowały ich ściany kamieniczek, a uliczka była dość wąska. Mimo że media ostrzegały przed wycieczkami, dając automatycznie tubę potencjalnym zamachowcom, ludzie walili jak w dym! Jarmarku przecież nie odwołano...

– Chyba policja dalej nie puszcza – interpretował jakiś dryblas, który z racji naprawdę dużego wzrostu miał ułatwioną obserwację, więc można było mu wierzyć.

– Złapali już tego szaleńca? – zainteresowała się jakaś kobieta, blondynka z odrostami.

– Legitymują – donosił ktoś z przodu. – Bramki postawili, takie jak na koncertach.

Matejuk i pryszczaty spojrzeli na siebie.

– Przeprowadzę nas – powiedział komisarz.

Miał przy sobie odznakę, gorzej było jednak z przepchaniem się przez tłum. Sytuacja przywiodła mu na myśl, choć nigdy tam nie był, coroczne święto w jakiejś hiszpańskiej Pampelunie, gdzie punktem kulminacyjnym była ucieczka ludzi przed stadem rozjuszonych byków.

– Spróbujmy pójść inną drogą – zdecydował pryszczaty.

Po chwili weszli w jakąś bramę, przecięli podwórko. Chłopak poruszał się po okolicy, jakby spędził tu dzieciństwo, choć przecież, jak sam powiedział, nie znał tu nikogo prócz Artura. Kilka chwil później wyszli

z innej bramy. Dokładnie przed nimi znajdowała się teraz czerwona bryła bazyliki Najświętszej Marii Panny. Kilkadziesiąt metrów szli pod murami kościoła, by wreszcie skręcić w lewo. Ruch tutaj nie był już tak wielki jak w miejscu, z którego się wycofali, choć wzdłuż przecznicy znajdowały się namioty mieszczące stoiska handlowe.

– Przystaje mnie to bawić – burknął Matejuk.

– Jeszcze chwilę, komisarzu.

Niespodziewanie skręcili w kolejną bramę. W półmroku stopy ich trafiły z łatwością na pierwszy stopień drewnianych, trzeszczących przy każdym kroku schodów. Pryszczaty szepnął jeszcze, że zmierzają na strych. Matejuk po raz pierwszy pożałował, że oddał swój służbowy pistolet do magazynu broni.

Pół minuty później stali przed odrapanymi drzwiami. Chłopak nie pukając, nacisnął klamkę. Otwarte. Pchnął drzwi mocniej. Weszli do środka. Na jakichś starych materacach i skotłowanych kocach leżała dziewczyna. Była nieprzytomna.

– Znowu wzięła. – Pryszczaty pochylił się nad leżącą. – To dla niej kradłem, panie komisarzu. Chcę, żeby się leczyła...

Matejuk ogarnął spojrzeniem całe pomieszczenie. W pewnym momencie za plecami usłyszał jakiś dźwięk.

– Jesteście tu sami? – zapytał pryszczatego.

I nie czekając na odpowiedź, cofnął się na korytarz. Dźwięk, miarowe stukanie, dochodził z pomieszczenia, które znajdowało się za drzwiami umiejscowionymi na prostopadłej ścianie. Drzwi były uchylone. Matejuk pchnął je i zajrzał do środka. Pomieszczenie było podobne do tego, w którym pomieszkiwał pryszczaty i jego dziewczyna narkomanka. Na podłodze wały się jednakowe, szare kartony. Na kilku z nich naklejono kartki z napisem...

Komisarz omal nie krzyknął. Przecież to były atrapy bomb, którymi od trzech dni terroryzowano Gdańsk!

– To ty, Jacek? – dobiegło nagle z głębi pomieszczenia, zza kolejnych drzwi. – Ale będzie zabawa! Biegnij i dzwoń, że zaminowano Dwór Artusa...

– Nie, to nie Jacek – powiedział niegłośnie Matejuk, zaciskając palce na pasku swojej torby, z którą, wiedział to, nie uda się na dworzec.

Skrzypnęły otwierane szerzej drzwi. Na progu stał Jan Maria Lisowski, przewodniczący rady miasta Gdańska. Gdański *Unabomber*.

XC

Gdańsk, dzień siódmy

Tomasz Horn stał pod ścianą z podniesionymi rękami. Przez cały czas przyglądał się mężczyźnie z pistoletem w ręku. Znał skądś tę twarz. Musiał kiedyś spotkać tego człowieka, może nawet więcej niż jeden raz. Sytuacja nie była zbyt komfortowa i nie sprzyjała podobnym analizom. Do swojej dziennikarskiej roboty Horn nie potrzebował wcale ciszy, o którą zresztą było dość trudno w jego redakcji. Jednak wycelowana w niego lufa powodowała, że myśli przebiegały mu przez głowę z dużo większą prędkością.

– Czego ty chcesz, człowieku? – syknął Władysław Keller. – Powiedz to w końcu!

Tamten tylko się uśmiechnął.

– Spokojnie, braciszku – rzekł. – Wszystko w swoim czasie.

A więc to był Henryk, brat Władysława, odpowiedzialny za jego porwanie i uwięzienie – Horn przypomniał sobie opowieść komandora sprzed kilkudziesięciu minut. Przynajmniej to jasne.

– Jest i pan Horn. – Henryk przeniósł spojrzenie na dziennikarza.

– Znamy się?

– Nie posłuchał pan naszych ostrzeżeń i jednak wetknął nos w nie swoje sprawy. Chociaż może to i dobrze, bo dzięki temu szybciej dotarliśmy do

celu...

Mózg dziennikarza niemal gotował się od nawału myśli. O jaką historię sprzed roku mogło im, u diabła, chodzić?!

– Wciąż nie rozumiem. Kim pan jest? – zapytał.

– Jednym z tych, którzy chcą zmienić ten świat. Dokończyć to, co nie udało się przed rokiem Wiktorowi Ratzowi. Z pewnością pamięta pan Pasterza...

Tomasza Horn przełknął ślinę. To o to chodziło! O nieudany zamach, który sekta Ratza, byłego klero i wojskowego, planowała przeprowadzić w Kaliningradzie.

– Mieliśmy cię od dawna na oku, Horn – rzekł młodszy z braci Kellerów. – Miarka przebrała się jednak kilka tygodni temu, gdy ty i twoi znajomi z olsztyńskiej policji znów weszliście nam w paradę.

– Borussia XX? – Dziennikarz uczył, że jego podniesione w górę ręce ważą teraz sto kilogramów, a może więcej. Każda. Przełknął ślinę. Zrobiło mu się na przemian zimno i gorąco.

– Zgadza się – odparł Henryk. – To jedna z mniejszych powiązanych z nami organizacji. Trzeba się było odegrać, ale nie chcieliśmy cię zabijać. Dlatego postanowiliśmy nauczyć cię rozumu, na początek w dość niewinny sposób, zabezpieczając butelkę z twoimi odciskami palców. Butelkę po wodzie, którą wypieś na olsztyńskiej starówce.

Kloszard czający się przy ogródku. Tomasz w jednej chwili przywołał w pamięci sytuację sprzed paru tygodni.

Henryk Keller spojrział na zegarek, westchnął.

– Miło się gawędzi, ale czas ucieka. Na nas już pora.

– Dowiem się przynajmniej, po co to wszystko? – odezwał się znów Władysław.

Młodszy brat spojrział na niego jak nauczyciel na ucznia, który w środku lekcji chce wyjść do toalety.

– Oczywiście – rzekł po chwili, po czym podszedł do sarkofagu. – Prawda należy wam się za to wszystko. Tajemnicę ojca znałem od dzieciństwa, jednak dopiero wiele lat później uświadomiłem sobie jej znaczenie. Będąc już na emeryturze, zacząłem szukać. Jak zapewne wiecie, nasze emerytury na to pozwalają. Z pomocą przyszedł mi jeden wariat, archeolog z Fromborka.

– Rosłoń – powiedziała bezwiednie Monika.

– Tak jest. Ludwik Rosłoń. To on wpadł na trop tajemniczego skarbu Kopernika. Nie wiedział, że podąża tropem naszego ojca, to póki co chciałem zostawić dla siebie. Przyrządy pomiarowe, których używaliśmy do poszukiwań, ożywiły się w odkrytej przez Rosłonia krypcie pod domniemanym *pavimentum*, jednak tam nie udało nam się niczego znaleźć. Zapewne kiedyś Kopernik przechowywał tam to, czego szukaliśmy.

Horn i Monika wymienili spojrzenia. A więc byli tak blisko!

– Potem Rosłoń zaczął się buntować – ciągnął Henryk Keller. – Nie chciał powiedzieć, co odkrył. Bo że wiedział więcej, tego byłem pewien. No i ta historia z kradzieżą kości i czaszki mogła sprowadzić na nas policję, a na to nie mogliśmy sobie pozwolić. Poza tym my nie zostawiamy świadków...

– Niedawno to słyszałem – mruknął Horn, ale Keller puścił to mimo uszu.

– Rosłonia trzeba było więc wyłączyć z dalszej zabawy – dokończył i westchnął.

– Morderca! – syknęła Monika.

– To nie ja. – Henryk Keller dotknął oburącz piersi i zrobił niewinną minę. – To Konrad. Początkowo nie wierzyliśmy w geniusz Tomasza

Horna, chcąc go również szybko wyeliminować. Potem jednak doszliśmy do wniosku, że może nam się przydać. I tak jak z naszą pomocą dostał się do aresztu we Fromborku, tak z naszą pomocą równie szybko go opuścił. Później, jak zakładaliśmy, zaczął po swojemu węszyć, dociekać, inspirowany dodatkowo piękną kobietą...

– To też wasz pomysł?! – wtrącił dziennikarz, spojrzawszy na Monikę, która odwzajemniła się równie przerażonym spojrzeniem, ale Henryk tokował dalej:

– Frombork, potem Lidzbark Warmiński i Toruń. W połączeniu z Rosłoniem stanowilibyście z pewnością niezłą grupę detektywów. Ale oto jesteśmy tutaj, przy tym sarkofagu. Pewnie nie zdajecie sobie nawet sprawy, co zawiera.

Nikt nie odpowiedział. Horn tylko przygryzł wargi, Władysław Keller zaś, który cały czas stał ze zwieszoną głową, podniósł ją.

– Chętnie wam to wyjaśnię – zawołał wesoło jego młodszy brat. – Otóż pod koniec życia wielki... niemiecki astronom postanowił ukryć przed ludzkością coś, co, w przeciwieństwie do teorii heliocentrycznej czy traktatu o monecie, nie przyniosłoby jej pożytku. Wręcz przeciwnie: mogłoby przynieść tylko zagładę. W tej niewielkiej skrzynce znajduje się bowiem materia odnaleziona przez Kopernika po uderzeniu meteorytu, do którego doszło najprawdopodobniej w okolicach Olsztyna. Materia ta ma niezwykłą moc. Idealnie gładki metal skumulował energię powstałą przy spadaniu na ziemię. Chondryty zawierają, jak wiemy, dziesięć procent krystalicznego żelaza. Nasz przyjaciel ma go aż połowę.

Usłyszawszy te słowa, Monika przypomniała sobie niedawną rozmowę z naukowcem. Wszystko się zgadzało. Andrzej Czyż i Władysław Keller też aż pootwierali usta z wrażenia.

– Jak już wspomniałem, to, co znajduje się w tej niewielkiej skrzynce, ma niezwykłą moc. Szczególnie w zbliżeniu z niektórymi miejscami dna morskiego Bałtyku. A najbardziej tymi, które wykazują silne cechy magnetyczne. Słona woda, jeśli jeszcze tego nie wiecie, działa w tym wypadku jak najlepszy przewodnik. Wiedzieli o tym już podobno dowódcy arabskich okrętów, które zapuszczały się w te rejony. Nie tylko po to, aby kupować bursztyn. Kto wie, może beżowi przypomniał sobie kiedyś o tej niecodziennej broni, a wtedy marny nasz los. *Allah akbar!* – zaśmiał się, by zaraz spoważnieć. – Na razie jednak mam ją ja!

– Jesteś szalony! – krzyknął starszy Keller, aż Konrad podniósł wyżej automat.

– Masz rację, bracie – uśmiechnął się Henryk. – Ale ktoś musiał wziąć to na siebie. Sam dobrze wiesz, jacy są dzisiejsi Niemcy. Połowa to cioty i zieloni, a reszta – Turcy. W dodatku ze starą babą jako kanclerzem. Bundeswehra nawet na wojnę w ramach sojuszu NATO nie kwapi się jechać. Nasza organizacja postanowiła to zmienić, przywrócić honor narodowi. A najlepiej świadczą o tym nie słowa, a czyny. Nic tak nie oczyści atmosfery jak porządny konflikt zbrojny. Nie udało się przed rokiem Ratzowi, uda się nam!

– Już wiem, po co porwałś statek! – Władysław najpierw złapał się za głowę, a potem wycelował oskarżycielski palec w pierś brata. – Chciałeś...

– Tak. Wywołać małe tsunami – dokończył ze spokojem Henryk.

Wszyscy otworzyli usta ze zdumienia, grozy i przerażenia.

– Teraz już wiecie wszystko. – Henryk Keller znacząco otrzepał ręce. – Mówię wam to tylko dlatego, że, jak się pewnie domyślacie, nigdy więcej się nie zobaczymy.

To powiedziawszy, chwycił za skrzynkę i z dziecinną łatwością zdjął z cokołu.

– Odsunąć się! – huknął Konrad, potrząsając kałasznikowem.

Cała czwórka szybko wykonała polecenie.

– Zastrzelisz rodzzonego brata? – zapytał z niedowierzaniem milcząco dotąd Czyż.

– Nie, to byłoby niewskazane – odpowiedział z niewinną miną Henryk.

Horn domyślał się, co mogą oznaczać słowa Kellera. Tak, zostaną tu zamknięci. Nim ktokolwiek się zorientuje, zdechną z głodu albo się uduszą. To koniec. Zawsze myślał, że w takich wypadkach będzie walczył, gryzł, drapał jak dzikie zwierzę, bił na oślep. Że na pewno nie zachowa się jak baran prowadzony na rzeź.

Terrorysty zaczęli się wycofywać. Konrad nie przestawał wodzić końcem lufy po czwórce, a z twarzy jego dowódcy nie schodził irytujący uśmiezek.

– Powiesz nam, jak nas tu znalazłeś? – zapytał Władysław.

– To proste – odparł jego młodszy brat. – Wszczepiliśmy ci chipa w nogę. Jeszcze w Gdyni, gdy mieszkałeś, krótko co prawda, w apartamencie, na który nigdy cię nie będzie stać.

Rozległ się rumor przesuwającego się boku. Nie tak głośny jak wcześniej. Ciężkie drzwi zamknęły się niemal bezszelestnie.

Pomyśleć, że w filmach rozległby się huk jak przy opuszczaniu wieka trumny. A tu nic. Cisza. Tylko oddechy czworga ludzi, ludzi chyba tak naprawdę zupełnie sobie obcych, którzy wkrótce będą tylko czterema zimnymi trupami.

Nikt nie odzywał się przez dobrych parę minut. Pierwszy oprzytomniał Czyż. Rzucił się w stronę drzwi, a raczej ściany, gdzie przed chwilą znajdował się otwór prowadzący do życia, napał na nią ze wszystkich sił, a gdy to nie przyniosło najmniejszego nawet skutku, zaczął na oślep kopać i bić pięściami.

– Wypuść nas, skurwysynu! – ryknął, po czym oparł się plecami o ścianę, osunął po niej i usiadł na ziemi.

Horn, Monika i Władysław Keller patrzyli na to z przerażeniem. Świadomość zbliżającego się końca każde z nich przeżywało zupełnie inaczej.

Dziennikarz ukrył twarz w dłoniach, kapitan ostukiwał ściany, komandor zaś, podciągawszy nogawkę spodni, drapał się po goleniu do krwi. Z kolei Monika Lauder skuliła się pod ścianą i opuściła głowę. Ledwo to jednak uczyniła, podniosła wzrok i wstała. Coś jej przeszkadzało. Sięgnęła do prawej, przedniej kieszeni dżinsów, skąd wydobyla kamień. Tak, zupełnie zapomniała o kamyku, który zdziwił i przeraził znajomego fizyka.

Kamyku zupełnie takim samym jak ten tkwiący w... podstawie cokołu!

Dziewczyna sięgnęła po porzuconą latarkę, której światło było coraz słabsze, pomarańczowe. Zbliżyła ją do cokołu i umieszczonego w nim kamyka.

Były identyczne!

– Co robisz? – chciał wiedzieć Czyż.

Nie odpowiedziała. Wiedziona przeczuciem, zaczęła szukać miejsca, gdzie można by było umieścić kamień znaleziony w szkatule wraz z dziennikiem. Niewielki otwór. Oby na ścianie, symetrycznie? Nie, nie ma. Może z boku? Też nie...

Działania te zwróciły w końcu także uwagę Horna. Dostrzegł przedmiot w jej palcach i dopiero teraz przypomniał sobie o jego istnieniu. Serce podskoczyło mu w piersiach jakby na nowo pobudzone do biegu. Podszedł do drugiego szczytu, wyciągnął w dół rękę. Po raz kolejny porozumieli się bez słów.

– Jest – rzekł ledwo dosłyszalnym szeptem, na co źrenice dziewczyny rozszerzyły się jeszcze bardziej.

Bez słowa podała mu swój mały skarb. Najdelikatniej jak tylko potrafił, choć było to bardzo trudne, umieścił kamień w otworze. Pchnął wskazującym palcem, jakby to był włącznik światła.

Cisza. Nic. Czy tak umiera nadzieja?

Wtem coś zazgrzytało. Horn i Monika podnieśli głowy i spojrzeli w kierunku miejsca, gdzie znajdowały się drzwi do ich pułapki i gdzie teraz siedział Keller.

– Wstań! – krzyknął dziennikarz.

Nie wiedząc, co się dzieje, komandor zerwał się z miejsca jak oparzony, jednak drzwi się nie otwierały.

– Patrzcie tam! – Czyż wskazał ręką przeciwległą ścianę, która przesuwawała się wzdłuż własnej osi dokładnie tak samo.

– Szybko! – zakomenderował Horn.

Cała czwórka w kilka chwil precyzyjnie się przez powstałe szczeliny. Była to dobra decyzja – ściana bowiem nie zatrzymała się, tylko wciąż obracała. Otwory się zmniejszały, by po chwili wrócić do poprzedniego stanu. Po kilku chwilach pomieszczenie, w którym Jan Keller ukrył tajemną broń Mikołaja Kopernika, zostało znów odcięte od świata. Czy jednak ludzie, którzy się z niego wydostali, byli teraz wolni i bezpieczni?

– Spójrzcie! – zawołała Monika.

Na środku wielkiej komnaty znajdował się kamienny sześcian, którego górna część wyraźnie podzielona była na dwa prostokąty. Wszystko to wyglądało jak katafalk, na którym położono dwie trumny. Na szczycie cokołu znajdował się wyryty w kamieniu znak.

– Panna – wyszeptał Horn. – To jest właśnie szukana przez nas Panna.

– Litera M spleciona z czymś, co przypomina chrześcijański symbol ryby – interpretowała na głos Monika.

– Albo arabską literą A – zauważył dziennikarz. – W każdym razie tak się oznacza Gwiazdozbiór Panny. Czyj to może być... grobowiec?

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy patrzyli bowiem na jedną ze ścian, która właśnie zaczęła się przesuwać tak samo, jak ta, przez której otwory tutaj weszli! Jeden mechanizm najwyraźniej uruchomił następny.

– Coś czuję, że to jedyna szansa – powiedział Andrzej Czyż. – Szybko!

Ruszyli pędem w stronę zwężających się już, prostokątnych szczelin. Ostatni precisnął się Horn. Zdążył jeszcze rzucić spojrzenie na monument stojący na środku komnaty.

Chyba to nie jest... – pomyślał dokładnie w chwili, gdy obraz zniknął mu z oczu.

Korytarz i schody doprowadziły ich do wyjścia. Nie wierzyli własnemu szczęściu, gdy ujrzeli plamę dziennego światła. Plama miała kształt gotyckiego okna. W krótkim przedsionku znajdowały się drzwi. Andrzej Czyż otworzył je potężnym kopnięciem. Byli dokładnie pod wieżą twierdzy. Wolni.

– Są tam! – wrzasnął nagle Horn, celując palcem w stronę Martwej Wisły.

Niewielka łódź motorowa z Henrykiem Kellerem i Konradem na pokładzie znajdowała się dokładnie na środku akwenu i właśnie mijala się ze statkiem białej floty. Za pół minuty minie Westerplatte i wpłynie na Zatokę Gdańską.

– Jeśli teraz to zdetonują... – Głos Władysława uwiązał mu w gardle.

Tylko kapitan Andrzej Czyż patrzył na to wszystko ze spokojem. Powoli podniósł do ucha komórkę, teraz znów użyteczną, poczekał na połączenie, powiedział kilka niezrozumiałych słów.

Chwilę później znikąd pojawiły się łodzie wypełnione ubranymi na czarno ludźmi.

– Formoza? – Keller spojrzał na byłego podwładnego.

– Przygotowałem się do zajęć, panie komandorze – zameldował z uśmiechem kapitan Andrzej Czyż.

Twarz Kellera wciąż jednak nie mogła się rozchmurzyć.

– A jeśli oni zdetonują ładunek?! – powtórzył z trwogą. – Zatopią miasto! Co tam miasto. Pół wybrzeża!

– Mam przeczucie, że skrzynka jest pusta – powiedział w zastępstwie kapitana stojący nieco z tyłu Tomasz Horn.

Pozostała trójka odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego pytająco.

– Mam dziwne przeczucie, że skrzynka była i jest pusta – powtórzył drżącym głosem dziennikarz. – Ale to tylko, jak mówię, przeczucie...

W tej samej chwili ścigacze dopadły obu burt łodzi szaleńca.

EXITUS

Gdańsk, nazajutrz po dniu siódmym

Tomasz Horn w wyniku zeznań świadków i wstępnych czynności prokuratorskich przestał być oficjalnie osobą poszukiwaną listem gończym. Na ostateczne oczyszczenie z zarzutów, w tym z tego najpoważniejszego, zabójstwa, trzeba było jednak jeszcze trochę poczekać. Wizje lokalne, przesłuchania, gadanina prawników, tomy akt – to wszystko przecież trwa.

Najważniejsze jednak było to, że mógł się teraz poruszać jak człowiek wolny. Takich słów użył prokurator-młokos, na co Horn niemal się roześmiał. Poruszać się jak człowiek wolny. Dobrze sobie! Ale niech będzie.

W Warszawie pewnie już redaktor Piwowar czeka i ostrzy nóż – pomyślał.

Co prawda w największej tajemnicy trzymano nazwę owego czegoś, co stanowiło zawartość skrzynki, którą znaleziono przy Henryku Kellerze i jego pomocniku, ale dziennikarz czuł przez skórę, że nie była to żadna rewelacja. Żeby postawić zarzuty terrorystom, wystarczyło w zupełności porwanie statku, zabójstwo Ludwika Rosłonia i kościelnego Wąchaja z kościoła Najświętszej Marii Panny w Gdańsku.

Monika Lauder zapytała Horna, kiedy szli ulicą Długą jak para najnormalniejszych w świecie turystów, o tamte słowa wypowiedziane pod Latarnią w Wisłoujściu.

– To tylko przeczucie – odpowiedział.

– Znam cię! – zaatakowała, celując wskazującym palcem w pierś dziennikarza. – Gdzie jest zabójczy meteor, skoro nie było go w skrzynce? Gadaj!

– Nie wiem.

– W tym grobowcu?

Bystra dziewczucha – pomyślał. I do tego bardzo ładna. Będzie miał jakiś facet pożytek z takiej żony.

– Ale czyj to był grobowiec? – naciskała bezlitośnie niczym mała dziewczynka, usiłująca ze wszelką cenę wymóc na rodzicach zakup lodu albo lizaka.

– Nie domyślasz się?

Stanęli na rogu Długiej i Kaletniczej.

– Jest całkiem prawdopodobne – ciągnął Horn – że Jan Keller, szukając nowego miejsca dla ukrycia skarbu Kopernika, trafił też przypadkowo na jego...

– Nie! – przerwała mu, zasłaniając się przy tym ręką. – To przecież niemożliwe. Przecież osobiście wiozłam jego głowę w bagażniku. Badali ją najwybitniejsi specjaliści, antropolodzy, kryminolodzy...

– ...którzy i tak oparli się na włosie, znalezionym w zrabowanej księdze z Uppsali. Tylko że większość ksiąg Mikołaja Kopernika należała wcześniej do jego wuja, Łukasza Watzenrodego. DNA kości i włosy było identyczne, zaś w rekonstrukcji wyszedł starzec o pociągłej twarzy, który równie dobrze może być zarówno Kopernikiem, jak i jego szlachetnym wujem Łukaszem, zmarłym w podobnym wieku i wcale nie dużo wcześniej. Przecież nikt nie zna dokładnego miejsca jego pochówku.

– Ale to przekreśla całą naszą dotychczasową pracę.

– Dlatego nikomu o tym nie powiem. Słowo. – Horn położył uroczyście dłoń na sercu.

Z wieży Ratusza dobiegły pierwsze takty *Ody do radości*. Gwar dookoła świadczył, że Trójmiasto żyło normalnie, jeśli nie liczyć historii *Unabombera*, którym okazał się polityk, najprawdopodobniej mający na celu zdyskredytowanie przeciwników, niepotrafiących poradzić sobie w obliczu zagrożenia.

W melodię płynącą z gdańskiego ratusza wplątała się inna. Monika Lauder wyciągnęła komórkę, przez chwilę spoglądała na wyświetlacz. Wzruszyła ramionami, po czym odebrała połączenie.

– Tak? To ja.

Horn widział, jak twarz blondynki się zmienia. Monika najpierw uniosła wysoko brwi, potem wybałuszyła oczy. Nie, jeszcze jej takiej nie widział. Co takiego usłyszała? Dobrą czy złą wiadomość?

– Tak, dziękuję. – Rozłączyła się.

– Co się stało? – zapytał Tomasz.

Nie odpowiedziała. Zaczęła się śmiać, po wariacku i tak głośno, że przechodzący obok ludzie oglądali się i tręcali łokciami.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – zdenerwował się Horn.

– Dzwonili z zakładu medycyny sądowej w Olsztynie – odpowiedziała wreszcie. – Okazuje się, że wydali mi nie tę skrzynię, co trzeba.

– Co?!

– Zaszła pomyłka. W katedrze fromborskiej nie pochowaliśmy Kopernika...

Prócz tego wszystko toczyło się normalnie: wakacje trwały, nic nie zapowiadało załamania pogody, a handel na Jarmarku Dominikańskim kwitł w najlepsze.

– Musimy sprawdzić ten grobowiec w twierdzy – powiedziała twardo Monika, po czym szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Tomasz Horn poszedł jej śladem, ale dużo wolniej.

Niespełna godzinę później siedział w pociągu stojącym na peronie stacji Gdańsk Główny. Skład, który kilka chwil wcześniej przyjechał z Gdyni, zmierzał do Warszawy. Owszem, Horn wybierał się tam, ale wcześniej miał zamiar dotrzeć do Fromborka, gdzie został przecież jego samochód, a w nim rzeczy osobiste, klucze do mieszkania, telefon.

Nagle w szybie oddzielającej przedział od korytarza mignęła mu znajoma postać. Zerwał się z siedzenia.

– Artur?

Rzeczywiście, to był Matejuk.

– Jadę do domu, do Kwidzyna. Dostałem trzy dni urlopu – pochwalił się, rzucając nonszalancko torbę na półkę.

Oprócz nich w przedziale nie było nikogo, toteż mogli spokojnie opowiedzieć sobie o wszystkim, co zdarzyło się od momentu, kiedy widzieli się po raz ostatni.

– Tam, na wieży ratusza, przez chwilę myślałem, że nas zasypałeś – przyznał się Horn.

Komisarz nic nie odpowiedział.

Usłyszeli przeciągły gwizd. Pociąg ruszył. W przedziale zapaliły się górne światła. Znajomi przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Wtem rozległ się charakterystyczny rumor otwieranych drzwi i w progu przedziału stanął wysoki mężczyzna z niewielką skórzaną walizką w ręku.

– Dobry wieczór – przywitał się. – Można?

Matejuk i Horn z niechęcią skinęli głowami. Gość położył starannie bagaż na półce i zajął miejsce przy samych drzwiach. Komisarz przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę. W pewnej chwili łokieć prawej ręki odruchowo dotknął boku.

Policjant nachylił się do siedzącego naprzeciwko Horna.

– Powiedz mi, stary, czy gdyby mnie nie było, potrafiłbyś otworzyć te drzwi na wieży ratusza? – zapytał niegłośnie.

– Może. – Dziennikarz wzruszył ramionami. – A czemu pytasz?

– A z drzwiami w twierdzy też sobie, jak mówisz, poradziłeś.

– To była bardzo stara kłódka.

Matejuk przez chwilę milczał, po czym jeszcze bardziej zbliżył twarz do kolegi.

– A umiałbyś zamknąć ten przedział? – zapytał.

Horn spojrzał zezem na górę.

– Myślę, że tak – odparł po krótkiej chwili.

– To zrób to.

Tomasz Horn uśmiechnął się nerwowo.

– Co? – zapytał.

– Teraz.

Horn westchnął, sięgnął do kieszeni, coś z niej wyjął. Wreszcie wstał, wyciągnął rękę. Sekundę majstrował przy zamku drzwi.

– Gotowe. – Usiadł na swoim miejscu, wbijając pytające spojrzenie w przyjaciela.

Komisarz Artur Matejuk szybkim ruchem wyciągnął pistolet, którego tym razem nie zdeponował w magazynie. Odbezpieczył i skierował wylot lufy w stronę mężczyzny drzemiącego pod drzwiami. Ten w tej samej chwili otworzył oczy.

– A teraz sobie pogadamy, panie „Szczurołapie” – rzekł.

Na te słowa Horn podniósł się z kanapy, by po sekundzie ponownie na niej usiąść.

– Cholera – mruknął. – W życiu bym go nie poznał.

Zabójca nawet nie otworzył oczu.

– Kurwa, a mogłem wybrać pendolino – mruknął pod nosem, głośniej zaś powiedział: – Nic do ciebie nie mam. To było zlecenie na tego drugiego gościa. Zresztą jest już nieaktualne.

– Toteż nie zastrzeli cię ze służbowej broni komisarz policji. Pędzący pociąg daje, jak wiemy, bardzo wiele możliwości. Nie musi być pendolino.
– Matejuk mrugnął do Horna, który patrzył z coraz większym przerażeniem na rozgrywającą się przed nim scenę.

– Dogadajmy się – rzucił „Szczurołap”, otworzywszy wreszcie oczy.

– Kto wie? Obaj z kolegą mamy przesiadkę w Malborku, więc jest jeszcze całkiem sporo czasu. Jakby co, ten pociąg jedzie aż do Warszawy...

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387


OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

OSTIUM

KSIĘGA PIERWSZA. SEPULCRUM

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIX

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV

XLVI

XLVII

XLVIII

XLIX

L

KSIĘGA DRUGA. ARCANUM

LI

LII

LIII

LIV

LV

LVI

LVII

LVIII

LIX

LX

LXI

LXII

LXIII

LXIV

LXV

LXVI

LXVII

LXVIII

LXIX

LXX

LXXI

LXXII

LXXIII

LXXIV

LXXV

LXXVI

LXXVII

LXXVIII

LXXIX

LXXX

LXXXI

LXXXII

LXXXIII

LXXXIV

LXXXV

LXXXVI

LXXXVII

LXXXVIII

LXXXIX

XC

EXITUS

Karta redakcyjna

Copyright © Oficynka & Krzysztof Beśka, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Allusioni/Shutterstock, Yeti studio/Shutterstock, vladm/Shutterstock, valzan/Shutterstock, sNike/Shutterstock

ISBN 978-83-66613-78-2



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek